



Daniel Horch

Anioł o stu skrzydłach

Z angielskiego przełożył Michał Wroczyński



Świat Książki

עלם

Moim Rodzicom

Podziękowania

Jestem głęboko wdzięczny przyjaciołom zza granicy, którzy zapraszali mnie do swych domów. Spośród wielu szczególną wdzięczność wyrażam Hichamowi Rashidowi oraz Jamaa, Omarowi i Fatimie Oulachguara.

Za dobroć i uprzejmość dziękuję też Elijahowi Aronowi, Winsome Brown, Christopherowi Cainesowi, Richardowi Denisowi, Jori Finkel, Ethanowi Goldowi, Johnowi Hodgmanowi, Diartnie lik, Elizabeth Johnson, Paulowi LaFarge'owi, Darze Mayers, Richardowi Nashowi, Joe Regalowi, Jennifer Rich, Simonowi Romero, Frances Sackett, Rachel Samuels i Raymondowi Scheindlinowi.

Nie mogę również nie podziękować mojej agentce, Michele Rubin, oraz wydawcy, Pete'owi Wolvertonowi.

Pewien bogobojny człowiek ujrzał Madżnuna przesiewającego przez palce ziemię z drogi i zapytał:

- Czego szukasz, Madżnunie?

*- Szukam Lajli*¹ - odparł.*

- Ależ Lajla jest niewiastą - rzekł bogobojny człowiek. - Skąd pomysł, że ją tu znajdziesz?

- Szukam jej wszędzie w nadziei, że gdzieś ją znajdę - oznajmił Madżnun.

*Szejk Jusuf z Hamadanu powiedział, że wszystko, co jest widzialne, na niebie i w otchłaniach - każdy atom, tak naprawdę jest Israilem*² szukającym wieści o swym ukochanym Jusufie*³, którego utracił.*

FARIDUDDIN ATTAR

¹ *Lajla i Madżriun - kochająca się para młodych Beduinów, którzy nie mogli się pobrać. Stare prawo zwyczajowe, uświęcone przez islam, zakazywało żenić się tym, którzy wcześniej się znali. Tragiczne dzieje Lajli i Madżnuna należą do najpopularniejszych wątków romantycznych eposów wschodnich, zwłaszcza perskich i tureckich. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² * Israil - prorok koraniczny, odpowiednik biblijnego Jakuba. Wszystkie imiona żydowskie, które autor przytacza, zmieniłem na oryginalne arabskie. Oparłem się na: Janusz Danecki, Kultura islamu. Słownik, Warszawa 1997.

³ * Jusuf-prorok koraniczny, syn Jakuba, odpowiednik biblijnego Józefa.

1

Powiadają, że po śmierci, po Zmartwychwstaniu i po Dniu Ostatnim wszyscy musimy przekroczyć most. Zewsząd otacza nas ciemność, świat jest niczym mroczny grobowiec; z dołu unosi się dym. Niczego nie widać, ani gwiazd, ani nieba; niczego prócz mostu, dymu i punktu światła w oddali - światła, które jest wejściem do Raju.

Człowiek sprawiedliwy przemknie nad mostem niczym błyskawica, prowadzony przez lśniącego jak słońce Proroka. Lecz gdy na most wstąpi grzesznik, jego stopy otworzą się i zaczną krwawić, ponieważ most ten jest ostrzejszy od miecza i cieńszy od włosa. Kiedy człowiek taki stanie na drodze do Raju, skórę jego stóp spali żar, płuca zdławi dym, a most wtopi mu się w nogi. Wtedy zacznie krzyczeć z bólu, by ostatecznie zapaść się w ciemność, w której już na zawsze będzie tak samo krzyczeć.

Powiadają też, że między Niebem a Piekłem istnieje ściana przeznaczona dla wiernych czyniących zło i dla niewiernych, którzy czynili dobro. Przez ścianę tę widać zarówno czeluście Piekła, jak i Ogrody jasności; tam, na szczycie muru, pokutnicy czekają całe wieki, aż Bóg się nad nimi zlituje. Ciekaw jestem, gdzie ten mur się znajduje. Sądzę, że po drugiej stronie mostu, tuż przed bramami Niebios - w miejscu, z którego widać zarówno światłość, jak i ciemność. Ale w jaki sposób człowiek, ani dobry, ani zły, zdoła przekroczyć ten most? Niewierny z całą pewnością nie może być prowadzony przez Proroka, zatem jego przejście nie będzie ani szybkie, ani łatwe. Lecz jeśli Nieskończenie Miłosierny*⁴ uzna go za godnego zbawienia, człowiek ów dostąpi Nieba.

⁴*W tradycji koranicznej wszystkie imiona (przymioty) Boga pisane są z dużej litery. Zob. Koran, przeł. Józef Bielawski, Warszawa 1986.

Są kupcy przemierzający świat, synowie ziemi, którzy podróżują do Chin, Indii, Grecji oraz królestw zachodnich. Kiedy wracają do Miasta Pokoju⁵, przywożą nie tylko futra i przyprawy, nie tylko miecze i jedwab, ale także opowieści. Jak głosi jedna z nich, Frankowie w okresie żałoby odziewają się na czarno. Dla nich czerń jest kolorem zła, a oni wierzą, że śmierć jest złem.

Przede wszystkim uważam, że moi rozmówcy są w błędzie. Znam tutaj chrześcijan i wiem, że ich religia mówi, iż śmierć wcale nie jest złem. Ale każdy z powracających kupców twierdzi to samo: chrześcijanie z Zachodu w czasie żałoby przywdziewają czarne szaty. Sądzę, że to piękny zwyczaj. Zwyczaj, który głęboko przemawia do mego serca, tak bardzo obawiającego się śmierci. Wciąż jednak pamiętam starą pieśń mówiącą: „Prawdziwą barwą żałoby jest biel⁶; jakaż żałoba jest smutniejsza niż biel moich włosów”.

Jestem starym człowiekiem. Opuścili mnie przyjaciele z wyjątkiem jednego, najlepszego, najbardziej ukochanego, a jednak zdradziłem go, ryzykując nawet życie.

Moja broda nie jest tak biała jak kiedyś. Gdy byłem młodszy, farbowałem ją na białą, próbując zdobyć szacunek mędrca, a nie szalbierza. Przez wiele lat podtrzymywałem swoją reputację mędrca, przemierzając ulice, na których kłaniali mi się ludzie. „Atrament uczonego jest więcej wart niż krew męczenników” - mówi Prorok. Wszyscy wiedzieli, że kalif obsypuje mnie zaszczytami; było wiadomo, iż jestem w państwie jedynym człowiekiem, z którym wciąż gra w szachy.

„Czymże jest życie - mówi inna pieśń - jeśli nie miłością, oddaniem się pijaństwu winem⁷ oraz ślicznym oczom?” Strofy te nigdy mnie nie bawiły. Zawsze unikałem wina, a z kobiet poznałem tylko jedną. Czymże jest życie,

⁵*Miasto Pokoju (Madinat as-Salam) - w literaturze arabskiej tak określano Bagdad.

⁶*W krajach azjatyckich kolorem żałobnym jest biel.

⁷* U muzułmanów każdy rodzaj alkoholu jest zabroniony.

jeśli nie oddaniem się - myślałem zawsze - oddaniem się pijaństwu oraz oczom. Przez lata całe poddawałem się oczom innych. A jednak przez ostatnich kilka tygodni nie zakosztowałem wina. Zaniechałem pijaństwa, które czasami wydawało się błogosławieństwem. Śmierć może nadejść w każdej chwili, ale już nie czuję przed nią lęku. Łapczywie chcę żyć.

Dzisiejszy wieczór spędzam w swojej bibliotece. Brama mojej posiadłości jest zamknięta, służba przebywa w swoich pomieszczeniach, podobnie jak moja żona. Moja komnata jest bogata, ściany obite gobelinami, wypełniają ją kanapy i miękkie poduszki, na posadzce leżą dywany sprowadzone z Persji i Armenii. A jednak najlepiej czuję się, siedząc na wytartym wełnianym dywaniku, utkanym przez żonę przed blisko pół wiekiem. Blask ze złotej lampy pada na przywieziony z Samarkandy w dwunastu zwojach wytworny papier związany żółtą wstążką. Kiedy kończę pisać jeden zwój, umieszczam go w skórzanym futerale, gdzie będzie czekać na czytelnika, a ten zapewne nigdy do niego nie sięgnie. Jestem szczęśliwy, tak szczęśliwy, że mijający mnie na ulicy ludzie raczej patrzą się na mnie, niż mi się kłaniają.

A od dzisiejszego dnia zawsze będę ubierał się na biało.

Minęło już czterdzieści pięć lat od chwili, gdy poprzedni kalif ustanowił nową stolicę dla swego imperium, a ja załadowałem swoją przerażoną rodzinę na wielbłądy i z karawaną wyruszyliśmy do tego miasta. Mój majątek pozwolił mi nabyć kawałek gliniastego terenu w nowej „metropolii”: morzu namiotów otaczających zwały cegieł, kłbowisku osłów, wielbłądów i ludzi, kilkunastu niewykończonych jeszcze budynków z gliny, których drewniane konstrukcje strzelały w niebo. Robotnicy pogłębiali istniejące już rowy melioracyjne, tworząc z nich kanały z prawdziwego zdarzenia; spoceni mężczyźni wnosili kosze z ceglami na wysokie rusztowania, za którymi, przed moimi zdumionymi oczyma, nabierały ostatecznego kształtu Wielki Meczet i Pałac Zielonej Kopuły. Najwyższy budynek, jaki w życiu widziałem, miał zaledwie jedno piętro; nigdy jeszcze nie żyłem w krainie, która tak obfitowała w wodę, że ludzie mogli się w niej kąpać dniem i nocą.

Wkrótce miałem już całą armię niewolników. Niektórzy z nich rozbiegali się po okolicach rosnącego w niebywałym tempie miasta w poszukiwaniu ziół i kwiatów. Inni prażyli proszki, warzyli i mieszały syropy, destylowali wonne balsamy i sporządzali z nich mikstury. Jeden z pomocników prowadził mój sklep w centrum miasta, inni zajmowali się moimi straganami na bardziej odległych bazarach, gdzie handlowano medykamentami i wonnościami. Stałem się najbardziej znanym w mieście aptekarzem, ale jeszcze więcej pieniędzy zarabiałem na wyrobie perfum; każdy, czy to mężczyzna, czy kobieta, musiał używać wonności z mojego sklepu. Sam zapach nie miał znaczenia dopóty, dopóki nie dowiedziano się, iż składniki pochodzą z odległych krain: ambra z kaszalotów, zdobywana z wysiłkiem i narażeniem życia przez rybaków w Chinach; kadzidła z Ziemi Świętej... mój Boże, kto wie, skąd jeszcze, skoro na tamtych lądach nie postawił nogi nawet sam Prorok. Oczywiście używałem tylko suszonych płatków róży z Indii, gdzie kwiaty najpiękniej pachną. Bardzo często wątpiłem, czy płatki różane i inne wonności, które mój agent kupował w Basorah, rzeczywiście stamtąd pochodziły, lecz dopóki klienci mnie o to nie pytali, ja nie zadawałem mu pytań.

Kiedy osiągnąłem już pewną stabilizację materialną, stałem się bardziej kupcem niż aptekarzem i przez kolejnych piętnaście lat właściwie niczego nowego nie dokonałem; wtedy dopiero przyszedł mi do głowy ekscentryczny pomysł zamiany metali w złoto. Niemniej ciągle, co kilka dni, szedłem do magazynów, skąd zabierałem do swojej pracowni kilka gatunków zwyczajnych roślin. Mogła to być na przykład *sebastena*, kasja albo rodzyunki. W pracowni, w piecu do topienia ołowiu, sporządzałem syrop od kaszlu. W miarę potrzeby brałem siemię lniane, wykę, migdały, sosnowe szyszki, korzenie lilii i gumę arabską. Prócz gotowania i ucierania tych składników, co stanowiło moją zwykłą praktykę alchemika, musiałem również obierać korzenie i kruszyć migdały.

Kiedy porzuciłem aptekarstwo dla alchemii, porzuciłem również towarzystwo ludzi. Stałem się samotnikiem. Nie kupowałem już osobiście towarów ani ich nie sprzedawałem, nie stawiałem diagnoz i ich nie konsultowałem; przestałem chodzić do łaźni publicznych, unikałem przyjęć towarzy-

skich, na których zdobywałem sobie zwykle nowych klientów; zrezygnowałem z wydawania uczt, podczas których moi niewolnicy zasypywali gości wonnymi płatkami róż, czerwonym śniegiem opadającym również na moją twarz, na rozjaśnione zabawą oczy i białą brodę mędrca. Przez ostatnich piętnaście lat całe dni spędzałem samotnie, dzieląc czas między piece, paleniska i kotły destylacyjne, między rtęć i siarkę, między węgle i rozżarzone popioły. Nie wiem, czy ta samotność była tym, czego naprawdę potrzebowałem, ale nie chciałem już dłużej kupować i sprzedawać, stosować kupieckich sztuczek, wdzięczyc się i przymilać, oszukiwać i umi- zgiwać się do klientów. Nie miałem czasu na różane płatki. Byłem tym po prostu zmęczony.

Moje odosobnienie przerywałem tylko dla dwóch osób; dwa wyjątki zdumiewające jak na prostego aptekarza, syna ubogiego powroźnika, urodzonego w skromnym plemienu żyjącym w nic nieznaczącej wiosce. Jedną z tych osób był sam kalif, Strażnik Wiary, Cień Boga, padający na nasz kraj, stanowiący centrum świata. Drugim był książę Abu al-Hasan Ali z Persji, syn Abu Bakra, potomek rodu niegdyś nazywającego siebie królami królów. Jak na ironię, spotkałem księcia dzięki jednemu z moich uczniów.

Kiedy jednak zarzuciłem aptekarstwo, codziennie, po odmówieniu popołudniowej modlitwy, zaglądałem do swego sklepu. Tam spotykałem, a czasem i obsługiwałem ważnych klientów, ale moimi gośćmi byli głównie młodzi ludzie, wywodzący się z najlepszych rodzin imperium. „Szukaj wiedzy choćby i w Chinach” - powiedział Prorok, a naszej młodzieży nakazano rozmawiać ze starszymi, mądrymi osobami. Mojej mądrości bardziej dowodziły względy, jakimi cieszyłem się u kalifa, niż rzeczywista wiedza. Spokojne życie, jakie prowadziłem, i roztropne słowa, jakich używałem, stwarzały wokół mojej osoby aurę prostej, staroświeckiej moralności.

Siadywaliśmy na grubych, miękkich dywanach i poduszkach, które nabyłem z myślą o wygodzie moich klientów, a ja wyjaśniałem im Arystotelesa i Demokryta, mówiłem o humorach kierujących ciałem ludzkim i żywiołach rządzących światem. Czasami rozmowa schodziła na tematy bardziej ogólne. Co to jest cnota? Czy istnieje wolna wola? Czy prawdy głoszone przez Świę-

ta Księgę*⁸ zostały stworzone przez Boga, czy też są równie wiekuiste jak On? O cnocie rozprawiłem z zadowoleniem, ale wszelkie kontrowersje religijne mogły być niebezpieczne; prawie co miesiąc na tym tle na ulicach wybuchały burdy, a nawet dochodziło do rozruchów. „Bądźcie posłuszni Bogu, kalifowi i ojcu - pouczałem swoich słuchaczy. - Ufajcie słowu Boga, a głupie pytania zostawiajcie głupcom. Bądźcie wielkoduszni; żyjcie skromnie i wstrzeźliwie; pozwólcie swoim rodzicom wybrać wam żonę, a nie miejcie ich więcej niż jedna”.

Czerpałem wiele przyjemności z tych dysput, ale szybko przekonałem się, że młodzi ludzie puszczali moje rady mimo uszu. Nie mieli wobec mnie żadnych zobowiązań i po kilku miesiącach doszedłem do wniosku, że z mojej strony jest wielką niezręcznością pouczać i nawracać potomków tak potężnych i wpływowych rodów.

Kiedy perski książę po raz pierwszy zawitał w moim sklepie, dopiero zaczynał sypać się mu pod nosem wąs i zapuszczał pierwszą brodę. Zajął skromnie miejsce między pozostałymi gośćmi, lecz już po chwili poczułem na sobie jego uważny wzrok. Kiedy zabierał głos, jego pytania, komentarze i uwagi najwyraźniej miały na celu zdobycie mojej aprobaty. Wiedziałem, że książę był jeszcze niemowlęciem, kiedy zmarł jego ojciec. Zainteresowanie takiego gościa moją osobą bardzo mi schlebiało, lecz jednocześnie ogarnął mnie niepokój.

Pewnego wieczoru książę poprosił mnie o prywatną rozmowę. Przypuszczałem, że chodzi mu o jakąś poradę medyczną; przez wszystkie te lata wielu młodych ludzi pojawiała się u mnie w tajemnicy, szukając pomocy związanej ze wstydliwymi chorobami.

Ale książę miał inny problem. Kilka dni wcześniej prosił kalifa o pozwolenie wzięcia udziału w wojnie z Grekami. Władca odmówił.

⁸ *Koran.

- Dlaczego, mój panie? - spytał młodzieniec. - Dlaczego Jego Wysokość odmówił mej prośbie?

Choć Persją zarządzał gubernator i książę nie miał żadnej formalnej władzy, jego imię wciąż było czczone przez większość mieszkańców tego kraju. Gdyby pozyskał znacznie większe wpływy, jak nikt inny mógłby wzniecić rebelię. Wiedziałem też, choć nie zdradziłem tego księciu, że gdyby jego ojciec i dziadek nie służyli wiernie kalifowi, młodzieniec z całą pewnością umarłby w niemowlęctwie na „tajemniczą chorobę”.

Książę zmarszczył brwi i zaczął nerwowo przechadzać się po mojej bibliotece. Gwałtownie wznosił ręce nad głowę.

- Rozumiem - powiedział. - Nie mogę go za to winić. - Przystanął i odwrócił się w moją stronę. - Ale jeśli kalif nie wyznaczy mi jakichś konkretnych obowiązków, cóż mam zrobić ze swoim życiem, Panie, doradź mi coś.

Było to zwykłe pytanie zadane staremu aptekarzowi. Odpowiadałem za swój sklep, prowadziłem rozliczne interesy, ożeniłem się i wychowałem wspaniałych synów; ale wówczas zrozumiałem, że on oczekuje od życia i świata czegoś więcej niż ja.

Potrząsnąłem głową.

- Panie mój i książę, nie wiem.

Przez chwilę świdrował mnie wzrokiem.

- A ty, panie? - odezwał się cicho. - Czy ty i twoja rodzina nie ucierpieliście srodze od wojny? Ucierpieliście, prawda?

Popatrzyłem nań ze zdumieniem.

- Tak. Skąd o tym wiesz?

Na jego twarzy pojawił się figlarny, chłopięcy uśmiech; najwyraźniej był rad, że odgadł właściwie.

- Z rozmów o wojnie, jakie prowadziliśmy przez kilka ostatnich dni. Po prostu wiem. - I wtedy, mimo że prawie mnie nie znał, perski książę ujął mnie za dłoń, sękatą, zniszczoną przez lata pracy w laboratorium. - Wiele w życiu wycierpiałeś, panie, a ponadto jesteś bardzo mądrym człowiekiem.

Niebawem znów się u mnie pojawił. Pośpiesznie umyłem ręce zabrudzone węglem i popiołem, skropiłem brodę pachnidłem, by zabić zapach siarki, przebrałem się w czystą szatę i opuściłem pracownię.

- Wybacz mi, panie, że przerywam twoją jakże ważną pracę - oświadczył książę. - Wybacz, gdyż moje sprawy są nieistotne w porównaniu z twoimi obowiązkami. Nie wiedziałem, że jesteś zajęty, choć byle głupiec powinien się był tego domyślić. Wybacz, proszę, nieopierzonemu młodzieńcowi jego bezmyślność i pozwól, bym natychmiast cię opuścił. Niech moim usprawiedliwieniem będzie głupota, a ogarniający mnie wstyd niech stanowi dowód szacunku, jakim cię darzę.

- O nie, przeciwnie, zostań, panie mój i książę. Błagam cię o to. Twoje wtargnięcie w moją prywatność jest niczym ożywcza chmura rzucająca cień w czasie skwaru południowego słońca. Żałuję tylko, że moje jałowe zajęcia nie pozwoliły mi powitać Waszej Wysokości szybciej. Mam nadzieję, że mój pan wyświadczy zaszczyt temu domowi i znajdzie w nim chwilę wytchnienia; modłę się o łaskę i dobrodziejstwo twego towarzystwa przez resztę tego dnia.

- Nie, panie. Zażenowanie nie pozwala mi dłużej przebywać w twojej obecności. A twoja łaskawość zwielokrotnia jedynie poczucie, jak bardzo jest nieistotna sprawa, z którą do ciebie przychodzę. Pozwól zatem, panie, odejść mi z wyrazami szacunku, jaki do ciebie czuję, z wyrazami przeprosin oraz zapewnieniem mojej gotowości służenia ci w każdej chwili.

I tak to trwało; z jednej i z drugiej strony wymiana grzeczności, która dawno już mnie znudziła... Z tym tylko, że książę sprawiał wrażenie naprawdę zażenowanego przerwaniem mi zajęć, a ja z kolei naprawdę chciałem, by został. Byłem bardzo zaintrygowany powodem jego wizyty.

Ostatecznie poddał się i zgodził pozostać w moim domu; przynajmniej tak długo, dopóki nie wyjaśni mi przyczyny swego najścia. Szukał u mnie rady. Poprzedniego dnia, w przebraniu, udał się do najbiedniejszych dzielnic miasta, podobnie jak czynił to niegdyś sam kalif.

- Ale, mój panie, ludzie traktowali mnie podejrzliwie. Kiedy próbowałem z nimi rozmawiać, okazywali strach. - Schylił głowę. - Jestem w kompletnej konfuzji, że z powodu takiego głupstwa przerwałem ci pracę, ale pomyślałem sobie, iż człowiek o twojej mądrości i doświadczeniu wyjaśni mi, gdzie popełniłem błąd.

Niezwykła była to prośba, ale poczułem się zarówno mile połączony, jak i zaintrygowany.

- A za kogo się przebrałeś, panie mój i książę?

- Za tragarza, mój panie.

Kiwnąłem głową.

- Usiądź, panie mój i książę. Błagam, byś wyświadczył mi ten zaszczyt.

- Mój panie...

- Ani słowa więcej, panie mój i książę. Poczuję się urażony, jeśli odmówisz mojej gościny.

Usiedliśmy. Mój pokój gościnny wyłożony był kosztownymi kobiercami i zastawiony haftowanymi sofami; w oknach tkwiły drewniane, rzeźbione w kwieciste wzory kraty, które przepuszczały światło i powietrze, a jednocześnie zapewniały prywatność.

- Panie mój i książę - powiedziałem. - Zapewne powinieneś być przebrać się za kupca. Za kupca jedwabiem lub za sprzedawcę dywanów albo za jakiegoś innego handlarza, którego usługi są w cenie. Tragarze nie mają dłoni tak delikatnych jak twoje, a twa mowa z kolei jest zbyt wykwinna dla kogoś, komu obce są domy wysoko urodzonych.

Książę popatrzył na swe ręce.

- Tak. Rzeczywiście.

Nasza rozmowa stawała się coraz mniej oficjalna. Rozmawialiśmy jak ludzie, z których żaden nie jest ani księciem, ani zamożnym kupcem, a ja przypominałem sobie własną, jakże ubogą młodość. W jaki sposób książę odgadł, że naprawdę znam życie biedaków? Rozprawialiśmy o rozwadze i roztropności, o ostrożności, z jaką obcy ludzie ze sobą rozmawiają. Książę wpadł na pomysł, by uzupełnić swój kamuflaż perskim akcentem i w ten sposób udawać, że jest cudzoziemcem, który właśnie przybył do obcego kraju i nie zna jeszcze panujących w nim zwyczajów. O zmierzchu moja żona wniosła filiżanki z jej słynnym sorbetem; napój podawała z lodem, dostarczanym ze znajdujących się poza miastem pieczar, wymieszanym z owocami, a sama receptura przyrządzenia tego napoju była bardziej skomplikowana niż niejednego z moich leków.

- Książę Abu al-Hasan - powiedziałem, zwracając się do żony. - A to moja żona Fatima, panie mój i książę.

Przez chwilę książę był tak zdumiony, że zapomniał nawet wstać. Jak to, usługiwała nam moja żona, nie niewolnik? Szybko jednak zerwał się z miejsca, skłonił i próbował pocałować ją w dłoń, lecz ona zgrabnie ją cofnęła i gestem ręki kazała mu ponownie usiąść.

Ku najwyższemu zdumieniu księcia moja żona została z nami w komnacie. Ubrana w skromną, jasną szatę z bawełny, spoglądała na perskiego księcia i na mnie. Obaj mieliśmy na sobie bogate stroje z jedwabiu, na głowach turbany wyszywane złotą nicią, a na rękawach szat wyszyte cytaty ze Świętej Księgi. Moja żona miała odkrytą twarz, gdyż była we własnym domu, a jej wiek oddalał wszelkie podejrzenia o brak skromności. Popatrzyła z uśmiechem na księcia i na mnie. Odwzajemniłem jej uśmiech.

- Fatimo, czy zechcesz przysiąc się do nas? - zapytałem.

Książę wytrzeszczył oczy. Moja żona w milczeniu skinęła głową, a ja odwróciłem się do gościa. Byłem szczęśliwy z jej obecności, a przecież rzadko bywałem w życiu szczęśliwy. Ale księciu pomysł obecności kobiety w towarzystwie rozmawiających mężczyzn po prostu nie mieścił się w głowie.

- Fatima jest moją żoną - wyjaśniłem prosto.

Wstał i ponownie się skłonił, a żona znowu gestem dłoni kazała mu usiąść.

- Panie mój i książę - rzekłem. - Jaką część miasta zamierzasz odwiedzić w następnej kolejności?

Obrzucił szybkim spojrzeniem moją żonę, po czym zwrócił się do mnie.

- Zapewne ulicę zamieszkaną przez tkaczy dywanów - wyjaśnił z uśmiechem. - Powinienem poznać swoją nową profesję.

Rozpoczęliśmy rozmowę o tym, w jaki sposób kupiec handlujący kobiercami powinien postępować z tkaczami. W miarę rozwoju naszej rozmowy książę zapomniał o obecności Fatimy, która cały czas milczała jak zaklęta. W pewnej chwili wyczułem raczej, niż zobaczyłem, że nas opuściła. Wyszła bez słowa, by zająć się domowymi obowiązkami, ale nawet wtedy sorbet wydawał mi się jeszcze słodszy niż zwykle.

Przebrany za handlarza dywanami, książę zaczął chodzić na walki bokserskie i walki kogutów; odwiedzał tawerny i włóczył się po nadrzecznych dokach; targował się o towar, który nieustannie pojawiał się w porcie. Wędrował po głównych bazarach z ich wyłożonymi cegłą uliczkami, odgradzonych od reszty miasta żelaznymi wrotami. Odwiedzał mniejsze bazary, leżące już poza murami miasta, gdzie ubodzy kupcy rozkładali towary na dywanach pod gołym niebem. Nie pominął bazaru mężczyzn, gdzie gromadzili się robotnicy w nadziei dostania choćby jednodniowej pracy. Był również na ulicy kobiet, gdzie owe nieszczęsne, upadłe dusze oferowały klientom swoje wdzięki i usługi. W końcu wyszedł za miasto, by obejrzeć pola opuszczone przez wieśniaków, którzy uciekali przed poborcami podatków. W drodze po-

wrotnej natknął się na bandę „drapieżców”, jak nazywano grupy bezrobotnych, pozbawionych domów i ziemi ludzi, którzy rabowali kupców. Oddał im swój trzos oraz konia i na piechotę wrócił do miasta. Po każdej przygodzie składał mi wizytę. Opisywał dokładnie, co widział, i prosił o wyjaśnienie niezrozumiałych dla niego szczegółów. Opowiadał mi wszystko tak żywo, iż czasami wydawało mi się, że sam uczestniczyłem w wyprawie w rejony miasta, których również nie znałem.

Często podczas naszych rozmów w komnacie pojawiała się moja żona, przynosiła posiłek i zostawała, by posłuchać naszych opowieści. Nigdy w takich sytuacjach nie odzywała się słowem, lecz z wyrazu jej oczu czy sposobu, w jaki przenosiła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, dobrze wiedziałem, czy zgadza się, czy nie z tym, co mówiłem perskiemu księciu. Przeważnie jednak zgadzała się. Sam ksiązę coraz bardziej oswajał się z obecnością Fatimy. Kiedy wchodziła do komnaty, wstawał i kłaniał się z galanterią, ale moja żona nigdy nie pozwalała się pocałować w rękę. Po prostu nie znosiła takiej etykiety.

Ksiązę spakował wielki toból z kobiercami i spędził cały miesiąc na żegludze w dół rzeki, handlując wszędzie swoim towarem. „Sądzę jednak - oświadczył mi po powrocie, wzruszając ramionami - że przy każdej transakcji tylko traciłem pieniądze”.

Ale wyprawa zaostrzyła jego apetyt. Oświadczył, że w imię podróży zamierza opuścić swe posiadłości na długie lata, być może na zawsze.

- Chcę na własne oczy ujrzeć Święte Miasto*⁹ i piramidy - wyjaśniał. - Chcę zobaczyć miasta czcicieli ognia i karawany przemierzające Wielką Pustynię. Chcę poznać obyczaje Greków i Hindusów, nomadów i górali. Chcę zobaczyć wszystko.

Pewnego wieczoru, już po wezwaniu na ostatnią modlitwę, ksiązę przebywał w tawernie na obrzeżach miasta. Nie zdążyłby już do domu przed ha-

9 *Mekka.

słem do gaszenia ogni. Oświadczył swemu towarzyszowi, z którym spędzał czas, że jego karawanseraj znajduje się daleko i czy nie mógłby mu polecić jakiegoś miejsca na nocleg. Ów mężczyzna zaprosił go do swego domu. Był dmuchaczem szkła i mieszkał z żoną i czwórką dzieci w jednej izbie. Książę spożył z nimi skromną wieczerzę, następnie ułożył się pospołu z gospodarzami na słomianej macie rozłożonej na brudnej podłodze. W środku nocy jedna z córeczek dmuchacza szkła przytuliła się do księcia w poszukiwaniu ciepła. Książę nigdy wcześniej nie widział takiego domu, nie podejrzewał nawet, że wśród ubogich mąż, żona i dzieci żyją tak blisko siebie i nie rozdziela ich harem. Kiedy następnego dnia opowiedział mi o swej przygodzie, poczułem się bardzo zmieszany; wszak sam kiedyś pędziłem żywot biedaka. Książę prosił, bym mu o tym opowiedział. Moja opowieść sprawiła, iż perski książę nabrał do mnie jeszcze większego szacunku za to, że o własnych siłach potrafiłem wydzwignąć się z takiego ubóstwa. A ja snułem wspomnienia, choć do tamtej chwili nie wiedziałem nawet, że mam ich aż tyle.

Spojrzał też innym wzrokiem na moją żonę.

- Mój panie - rzekł. - Pańska szlachetna żona i ty...

- Tak - odparłem. - My również mieszkaliśmy w jednej izbie, gdzie Fatima i ja razem przygotowywaliśmy leki i pachnidła. Pracowaliśmy obok siebie, zupełnie tak samo jak ów dmuchacz szkła i jego żona. Przez wiele lat nie rozstawaliśmy się na dłużej niż godzinę.

Ale te czasy dawno już minęły. Obecnie nieraz przez całe dni, nawet tygodnie, wymieniam z żoną zaledwie kilka słów. Moje dzieci opuściły dom przed wielu laty i obecnie spotykam je tylko podczas większych świąt. Książę chłonał moje opowieści o przeszłości i wydawało mi się, że doskonale wszystko rozumie; z kolei sam mówił o własnym życiu i szukał u mnie rady. Od wielu lat kolacje spożywałem samotnie, w swej pracowni, pośród tygli, kolumn rektyfikacyjnych i palenisk, w których nieustannie płonął ogień. Wyjątkami od tej reguły były dni, kiedy książę zostawał u mnie dłużej, podczas gdy inni goście wracali już do domów. Wtedy moja żona przygotowywała dla

nas kolację. Był to wielki dar, którego do dziś nie rozumiem, a który otrzymałem na swe stare lata od Miłosiernego i Litościwego.

To prawda, nigdy nie podejrzewałem, że niebezpieczeństwo może nadejść ze strony niewiasty, ale często obawiałem się o księcia. Sprawy pałacowe są tak skomplikowane, tak pokrętne i nieubłagane, że nawet nie mam nadziei, bym kiedykolwiek je zrozumiał. Powszechnie jednak było wiadomo, że niektórzy perscy dworacy wszelkimi sposobami starają się powiększyć swoje wpływy. Pomijając już zwykłe dworskie intrygi, gra szła o tron. Następcą był syn królowej, ale wszyscy też wiedzieli, że faworytem kalifa jest jego pierworodny syn zrodzony z perskiej konkubiny.

Książę trzymał się z dala od tych intryg, podobnie jak wielu jego ziomków, wiernie służących kalifowi, ale sam książę stanowił symbol Persji. Miał wrogów, którzy uczyniliby wszystko, by go skompromitować i tym sposobem zaszkodzić perskiej sprawie. Jednak wielu Persów przebywających na dworze nie godziło się z tym, iż książę publicznie popiera kalifa. Ojciec księcia również był wiernym sojusznikiem tronu, a plotki głosiły, że strzała, która przerwała nić jego życia, nadleciała nie od strony Greków, ale z własnych linii. Nasi łucznicy bowiem rekrutują się głównie spośród Persów.

Kiedy książę po raz pierwszy wkroczył do mego sklepu, miał lat czternaście, był prostoduszny i porywczy. Trzy lata później wciąż pozostawał zapalczywy, ale jednocześnie rozsądny i wyrozumiały. Na moich oczach przemienił się z chłopca w mężczyznę i wiem, że stał się nim dzięki temu, iż z uwagą słuchał moich słów. Obaj - on i ja - nosimy to samo imię: Abu al-Hasan.

2

Trzy tygodnie później siedziałem z księciem w moim sklepie, gdzie rozmawialiśmy jeszcze po odejściu innego młodzieńca, gdy nagle z dziedzińca

mego domu dobiegły odgłosy gorączkowej bieganiny Służba zerwała się na równe nogi, następnie pochyliła w głębokich pokłonach. Jeden z niewolników gwałtownie wtargnął do komnaty, w której siedzieliśmy, i wezwał mnie, bym bez zwłoki wyszedł przed dom; gdy to uczyniłem, również pochyliłem głowę w głębokim ukłonie.

To przybyła w towarzystwie dziesięciu swych najbardziej urodziwych niewolnic Szemselnehara. Nie zauważyłem ani jednego eunucha. Kiedy opuściła palankin dźwigany na grzbietach dwóch osłów, jej słowa były skromne:

- Powstań, Abu al-Hasanie. Zawstydzasz mnie.

Weszła do mego sklepu, pozostawiając służbę na dziedzińcu. Ponownie zgiąłem się w ukłonie.

- To najwyższy dla mnie zaszczyt, iż zechciałaś, pani, uświetnić swą obecnością skromne progi mego ubożego sklepu. Czym może najędzniejszy z nędznych służyć Waszej Wysokości?

Pojawiła się u mnie osobiście, w otoczeniu ogromnego królewskiego orszaku, tylko po to, by wybrać flakon perfum. Kiedy moja służba hurmem rzuciła się, by dostarczyć pachnideł, zaprosiłem ją do prywatnej komnaty, gdzie moja żona miała przynieść jej posiłek.

- Błagam, Abu al-Hasanie, nie obrażaj mnie posądzeniem, że żywię tak mało szacunku dla twej łaskawej żony, by żądać od niej usługiwania niemądrej dziewczynie. Wręcz przeciwnie, to ja z największą radością usługiwałabym jej. A już poza szacunkiem, jakim darzę jej cnotę oraz jej męża, nie jestem głodna.

Słyszając taki komplement, ponownie zgiąłem kark w pokornym ukłonie i już miałem odebrać od niewolników flakon z perfumami, gdy w ostatniej chwili coś mnie tknęło. Doszedłem do wniosku, że lepiej się nie ruszać.

Książę powstał, zwalnając tym samym honorowe miejsce. Podniósł poduszkę i wygładził ją, wyręczając niewolnika, następnie pochylił się w tak niskim ukłonie, że prawie dotknął głową ziemi. Kiedy Szemselnehara zaj-

mowała miejsce, pozostawał w tej pozycji do chwili, kiedy ona poleciła mu powstać; posłusznie stanął obok niej, gotów we wszystkim jej służyć.

Księżę traktował większość kobiet z zabawną poufałością. Wydawało się to trochę niezwykle jak na młodzieńca, ale ostatecznie był księciem, a przy tym bardzo przystojnym mężczyzną o wyrazistych rysach twarzy, bujnej, czarnej brodzie i muskularnej budowie ciała. Na jego obliczu często gościł uśmiech, w źrenicach lśniły zawsze figlarne iskierki, a on sam sprawiał wrażenie, iż traktuje świat jak własną zabawkę. Ktoś, kto go nie znał, kto nie wiedział, że jest księciem krwi, mógłby mniemać, iż styl bycia młodzieńca bierze się ze zwykłego tupetu i pewności siebie, ale jego wesołe oczy i pogodny uśmiech zniewalały. I nawet teraz, kiedy stał rycersko obok Szemselnehary, jego oczy lśniły osobliwym blaskiem, a wyraz twarzy zdawał się zapowiadać, że księżę lada chwila wybuchnie śmiechem.

Haftowane złotem szaty Szemselnehary, bezlik ozdobiących ją brylantów oraz towarzystwo dziesięciu niewolnic wyraźnie świadczyły, że dziewczyna pochodzi z bardzo wysokiego rodu. Nawet nie znając jej rzeczywistej urody, skrytej pod najwykwintniejszym kwefem, księżę uznał, że niewiasta ta jest godna nie tylko najwyższego szacunku, ale i zainteresowania. A nie domyślając się, kim jest, nie mógł wiedzieć, jak bardzo potrafi być nieroztropna i porycza; przed Szemselneharą każdy gwałcił kark do ziemi i błagał o pozwolenie odejścia sprzed jej oblicza. Naturalnie, cudzołóstwo karano śmiercią i było rzeczą nader nierozważną zamienić nawet kilka słów z Szemselneharą, zwłaszcza że cieszyła się opinią osoby o bardzo swobodnych obyczajach. Przychodziła mi czasem do głowy myśl, że kalifowi, człowiekowi o niepospolitym umyśle, kiedy nie zezwalał, by jego kobiety opuszczały pałac bez asysty eunuchów, wcale nie chodziło o bezpieczeństwo nałożnic. Któż bowiem odważyłby się umizgiwać do faworyty władcy? Dzięki obecności eunuchów kalif chronił swych poddanych przed plotkami, które zmuszałyby go, w imię honoru imperium, skazywać ich na banicję lub śmierć. Ale Szemselneharę, swoją ukochaną, chronił jedynie lękiem, jaki czuli przed nim poddani; szła przez życie niczym zaraza; zarówno mężczyźni, jak i kobiety unikali jej jak ognia. Mimo że nie miała jeszcze szesnastu lat, nawet najpotężniejsi

dostojnicy zbliżali się do niej z największą ostrożnością. Byłem pewien, że nigdy wcześniej młody, przystojny mężczyzna nie stał obok niej z tak wesołymi oczyma i z cieniem uśmiechu na ustach.

Czasami bawiła się swoją władzą i odmawiała mężczyznom łaski odejścia sprzed jej oblicza. Czasami prosiła ich, by recytowali któryś z nieprzyzwoitych poematów Abu Nuwasa*¹⁰ lub pomogli poprawić kwef; kiedy odmawiali prośbie, drżąc ze strachu, udawała gniew. Ale nigdy wcześniej nie widziałem, by zrobiła coś podobnego jak tego popołudnia - pod pretekstem poprawiania kwefu pozwoliła, by zasłona opadła jej z twarzy. Krzyknęła, udając zaskoczenie, ale zajęło jej dużo czasu, by znów zasłonić oblicze.

W momencie opuszczenia kwefu ujrzałem faliste, czarne niczym węgiel włosy, białą skórę i drobne czerwone usta. Miała delikatną twarz i wielkie, lśniące ciemne oczy.

Kiedy już nasunęła muślin, wstała i podeszła do mnie.

- Abu al-Hasanie, czy moje perfumy są już gotowe? - zapytała.

- Tak, pani.

Skinąłem na niewolnika, który z ukłonem wręczył mi flakonik z pachnidłem. Sam nie odważył się podać go Szemselneharze. Zrobiłem to ja.

Pochyliła się nade mną, udając, że wącha perfumy, i szepnęła mi do ucha:

- Abu al-Hasanie, kim jest ten młodzieniec?

Zaskoczony, zamrugałem oczyma i zanim pomyślałem, odparłem zgodnie z prawdą:

¹⁰ *Abu Nuwas (762?-813?) -<przydomek arabskiego poety al-Hasana ibn Hani, związanego z dworem kalifów w Bagdadzie, z Harunem ar-Raszidem i jego synem al-Aminem. Prowadził rozwiązłe życie, co znalazło wyraz w jego poezji określanej jako nieprzyzwoita i opiewającej wino. Wraz z Harunem ar-Raszidem jest bohaterem Księgi tysiąca i jednej nocy (zob. t. 9, przypisy i objaśnienia, opracował W. Kubiak, Warszawa 1976).

- Pani, ten młodzieniec to ksiązę Abu al-Hasan Ali z Persji, syn Abu Bakra.

- Ksiązę Abu al-Hasan - powiedziała w zamyśleniu. - Słyszałam o nim. Potomek dawnych królów Persji, nieprawdaż?

- Tak, pani. Od chwili podboju tego królestwa przez wiernych on i jego rodzina lojalnie służą naszemu panu i władcy.

Stała bez ruchu. Ponieważ jej twarz spowijał kwef, nie mogłem odczytać z niej żadnych myśli. Po dłuższej chwili ponownie pochyliła się do mego ucha.

- Panie - rzuciła zdecydowanie. - Sprawileś mi wielką radość, przedstawiając młodego księcia.

Zachowałem kamienną twarz. Bałem się. Przecież nikomu nikogo nie przedstawiałem.

Odwróciła się w stronę księcia i skinęła na niego ręką. Młodzieniec zbliżył się do niej i nisko skłonił.

- Powstań, panie mój i ksiązę.

Kiedy ksiązę wyprostował się, Szemselnehara odezwała się na tyle cicho, by nie mogli dosłyszeć jej moi niewolnicy:

- Po powrocie do pałacu przyślę tu, do sklepu Abu al-Hasana, Monę. Panie mój i ksiązę, ona zaprowadzi ciebie i Abu al-Hasana do moich komnat. Będę zaszczycona waszą wizytą w moim domu.

Byłem tak zdumiony, że nawet nie ukloniłem się na te uprzejme słowa. Szemselnehara dała krok do tyłu, obrzuciła mnie przeciągłym spojrzeniem, po czym znów zbliżyła się do mnie i szepnęła do ucha:

- Nie zawieź mnie, Abu al-Hasanie. Jeśli to zrobisz, będę zła i nie zapomnę ci tego do końca moich dni.

Pochyliłem się tak nisko, że dotknąłem czołem ziemi.

- Królowo pomiędzy niewiastami, Bóg nie pozwoli, by twój nędzny sługa cię zawiódł. Twoje życzenia były, są i będą dla mnie rozkazem.

Wsunęła flakon z perfumami do rękawa swej szaty.

- Dziękuję ci, panie. Taka ilość pachnidła wystarczy mi na dłużej.

Odwróciła się i opuściła mój dom w asyście swej świty. Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Powinienem obawiać się o los księcia, zapewne powinienem czuć gniew do Szemselnehary, ale ogarniał mnie jedynie bezbrzeżny smutek.

- Panie mój i księżę - powiedziałem po dłuższej chwili. - Czy mogę zaprosić cię do biblioteki?

Potrząsnął głową, jakby zbudził się z głębokiego snu.

Mój dom ma trzy dziedzińce. Pierwszy, przylegający do mego sklepu, służy służbie oraz znajdują się na nim stajnie. Drugi przylega do mojej biblioteki, pracowni, magazynów oraz komnat, w których przyjmuję gości. Trzeci należy do żony; był również terenem zabaw naszych dzieci, zanim wyrosły i zawarły związki małżeńskie. Wyprowadziłem zatem księcia do swego drugiego ogrodu i rozchylając kotarę ze skórzanych pasów, wskazałem mu drogę do biblioteki. Choć świeciło jaskrawe słońce, w komnacie musiałem zapalić lampę wiszącą u powały. Kiedy już lampa, lekko się kołysząc i rzucając ruchliwe cienie na ściany oraz dywany zalegające izbę, zapłonęła jasnym blaskiem, odwróciłem się do księcia.

Przez wszystkie te lata porobiłem w glinianych ścianach biblioteki nisze, w których trzymałem rękopisy. Teraz księżę stał przed jedną z nich, wypełnioną zwojami starego pergaminu w zakurzonych skórzanych futerałach. Załśniły mu oczy...

- Abu al-Hasanie...

Przerwałem mu gestem ręki. Przez ostatnie trzy lata, od chwili kiedy poznałem księcia, narażał się na wiele niebezpieczeństw. Ale to ostatnie zaproszenie wiązało się z wyjątkowo realnym zagrożeniem.

- Książę, poznałeś właśnie Szemselneharę, faworytę kalifa. Nie potrafię zrozumieć jej intrygi, ale wiem, że jeśli przyjmiesz jej zaproszenie, grozić ci będzie śmierć. W najlepszym razie banicja. Moim zdaniem za wszystkim stoi Nuraddin lub ktoś jeszcze inny, kto chce wywołać skandal.

Nuraddin był wielkim wezyrem i zaprzysięgłym wrogiem marszałka dworu pochodzącego z Persji. Powszechnie wiadano, że w przeciwieństwie do innych nałożnic kalifa Szemselnehara nigdy nie była wplątana w żadne dworskie intrygi, ale jak inaczej mogłem wytłumaczyć owo nieoczekiwane zaproszenie?

Książę w milczeniu usiadł na otomanie. Sofa, obita materia w czarnym kolorze - barwie królewskiej rodziny, była prezentem od kalifa. Sprawiała wrażenie, iż lada chwila pożre młodzieńca o jasnej karnacji.

Spuściłem głowę. Nie wolno okazywać na twarzy tego, co naprawdę czuje serce, a tak właśnie czynił książę. Dlatego nie mogłem popatrzeć mu w oczy. Stałem na dywanie, który utkalała moja żona jeszcze w naszej rodzinnej wiosce, ponad pięćdziesiąt lat temu. Jego pierwotne, czerwone niczym serce tło wyblakło do barwy ciemnego różu, ale czarno-pomarańczowy wzór, jaki wyszyła Fatima, wciąż był wyraźny - palmy i piramidy, których ani ona, ani ja nigdy w życiu nie zobaczymy na własne oczy. Wszystkie kobierce tkane przez kobiety z naszej wioski były grube i ciepłe, można było zarówno po nich chodzić, jak i na nich spać. Pracę nad nim Fatima skończyła tuż przed narodzinami naszego pierwszego syna.

- Abu al-Hasanie - odezwał się po dłuższej chwili. - Mimo to zamierzam przyjąć jej zaproszenie. Wiem, że nie kryje w sercu zdrady... Tak, tego jestem pewien.

Uniosłem głowę. Jego twarz miała, jak zwykle, beztroski wyraz, lecz w oczach pojawiła się powaga.

Przygryzłem wargi.

- Niezależnie od tego, kim jest lub kim nie jest, co ty chcesz osiągnąć? Wiesz, że nigdy z nią nie będziesz.

Uśmiechnął się.

- Zapewne. Ale to ona nas zaprosiła... a zatem musi wiedzieć coś, o czym my nie wiemy. No i nigdy, przenigdy nie spotkałem kobiety takiej jak ona. Nie wiedziałem nawet, że takie kobiety w ogóle istnieją. - Jego uśmiech stał się szerszy. Książę potrząsnął głową, najwyraźniej sam zdumiony nurtującymi go uczuciami. - Wiem, że nie jest to miłość, ponieważ niejednokrotnie rozmawialiśmy o miłości. - Urwał i zmarszczył czoło. Najwyraźniej ważył każde wypowiedane słowo. - Abu al-Hasanie, wciąż wierzę w to, co mi kiedyś powiedziałaś. Wierzę, iż miłość przychodzi z czasem, tak zatem to, co czuję teraz, z pewnością nie jest miłością. Ale, najdroższy Abu al-Hasanie, ciało moje drży. - Znowu potrząsnął głową. - A więc może jest to jednak miłość?

Głęboko westchnąłem.

- Książę, ona jest piękną kobietą, ale istnieje wiele pięknych kobiet. Uroda wzbudza nie miłość, lecz coś... coś całkiem innego... - Chciałem powiedzieć „coś niższego”, ale poskromiłem język; mówiąc mężczyźnie, że jego uczucia nie są poważne, sprawiłbym jedynie, że jeszcze bardziej by się w nich utwierdził. Chciałem jeszcze powiedzieć, że za kilka miesięcy zapomni o tej kobiecie, ale też ugryzłem się w język. Kogo bawiłyby takie bzdury?

- Abu al-Hasanie - rzekł książę. - Jesteś najmądrzejszym i najserdeczniejszym człowiekiem, jakiego znam, a ja największym na świecie głupcem. Poznałem w życiu wiele pięknych kobiet. Naturalnie, żadna z nich nie dorównywała jej urodą; lecz jednocześnie w spojrzeniu Szemselnehary było coś więcej niż płocha zalotność i nagabywanie. W jej oczach dostrzegłem jakąś twardość, a jednocześnie słodycz; wręcz błaganie. Jakby prosiła mnie o pomoc. To było nie do zniesienia. Abu al-Hasanie, owa mieszanina twardości i słodyczy... przeraża mnie, kiedy tylko o tym pomyślę... z całą pewnością nie

ma żadnego związku z Nuraddinem i dworskimi intrygami. - Uniósł głowę. - Abu al-Hasanie, nigdy jeszcze nie widziałem takiego spojrzenia. Nawet teraz, kiedy próbuję na ciebie popatrzeć, spojrzeć ci prosto w twarz, nic nie widzę... widzę jedynie wyraz jej oczu. - Zacisnął dłonie i zaczął uderzać pięścią w pięść. - Muszę ponownie ją zobaczyć. Może kalif jest już nią znudzony?

- Nie - odrzekłem twardo. - A jeśli nawet, sam najlepiej wiesz, że nigdy nie poślubi innego.

Oczy mu rozbłysły.

- Tak. Pozostanie zamknięta w haremie aż do śmierci kalifa. Abu al-Hasanie, ile kobiet tam teraz przebywa?

Popatrzyłem na księcia.

- Z tego, co wiem, kalif jest bardzo jej oddany, a ona jemu. A jeśli nawet znudzi w końcu kalifa, do końca życia nie będzie jej na niczym zbywać, nawet jeśli nikogo nie poślubi. Większość niewiast może jej tylko zazdrościć.

- O nie, Abu al-Hasanie! Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Ja wiem lepiej. Prawdę wyczytałem w jej oczach. To straszny los. Czyż nie zabrania tego Święta Księga?

Potrząsałem głową.

- Książę, bez względu na to, co mówi Święta Księga, i bez względu na to, jaki los czeka Szemselnehare, nie możesz się z nią spotkać. Jeśli przekroczysz progi jej pałacu, czeka cię niechybna śmierć. Ryzykujesz głowę. Wbiją ją na pal, a twoje ciało rzucają za mury miasta szakalom.

Popatrzył na mnie.

- Być może. - Wstał i uśmiechnął się. - Ale nie umrę.

Popatrzyłem pod nogi, na czerwony kobierzec utkany przez moją żonę. Czy książę nie rozumiał, że naprawdę grozi mu śmierć? Kiedy byłem chłopcem, ubogim jak jaszczurka i nieustannie głodnym, wiedziałem, że istnieje

jedyna rzecz, której bym się nie wyrzekł: było to moje życie. Gdy miałem piętnaście lat, opuściłem matkę, sklep i odrzuciłem honor, by wziąć udział w szalejącej wówczas wojnie domowej. Książę zamierzał ryzykować życie dla kobiety, z którą nigdy wcześniej nie zamienił nawet słowa. „Tylko pijacy rozumieją mowę róży” - powiedział kiedyś Abu Nuwas. Po raz ostatni widziałem poetę na przyjęciu w pałacu, na krótko przed śmiercią. Na miejscu, które miałem zająć, położył skórzaną poduszkę, która wydała obrzydliwy dźwięk, kiedy na niej usiadłem. Na twarz wystąpiły mi rumieńce, a głowy wszystkich gości odwróciły się w moją stronę.

- Abu al-Hasanie, wiem, że poczuwasz się do obowiązku pouczenia mnie, ale teraz muszę ci powiedzieć, że ta sztuka nigdy ci nie wyszła. - Wybuchnął śmiechem. - Mimo całego szacunku, jakim darzę ciebie i twoje słowa, zawsze próbowałeś wyperswadować mi to, czego naprawdę pragnąłem.

To prawda. Często przekonywałem go, aby wszystko, co robi, robił z większą rozwagą, lecz on nigdy mnie nie słuchał.

- Poza tym - ciągnął - nie sądzisz, że to ona powinna być ostrożniejsza? A gdybym nawet został przyłapany na gorącym uczynku, sądzisz, że kalif naprawdę by mnie zabił? Przecież nigdy nie byłem z nią sam na sam i nie ma świadków, którzy by to potwierdzili. Kalif może być zazdrosny, ale pochodzi z potężnej i wpływowej rodziny. Znasz go, Abu al-Hasanie. Na pewno nie zgładzi mnie tylko za to, że złożę jej wizytę.

Książę miał rację. Mimo mego stwierdzenia, że ryzykuje głowę, kalif na pewno okazałby wyrozumiałość. Persja wciąż była ogarnięta niepokojem, a większość jej mieszkańców uważała, że ród księcia pochodzi w prostej linii od Boga. W takich okolicznościach nawet Nuraddin nie życzyłby sobie egzekucji księcia. Kalif mógłby najwyżej wygnać go ze stolicy, lecz tak długo jak cnota Szemselnehary pozostałaby nietknięta, nie ściałby mu głowy. Ale o co, tak naprawdę, chodziło Szemselneharze?

Przyszła mi nagle do głowy myśl: skoro książę uparł się, by pójść na to spotkanie, ja muszę mu towarzyszyć; dokładnie tak jak życzyła sobie tego

Szemselnehara. Muszę dopilnować, by nie wydarzyło się nic, co mogłoby zagrozić jego życiu, a jeśli chodzi o kalifa, byłbym najbardziej wiarygodnym świadkiem. W razie potrzeby moja obecność oraz moje słowo z pewnością wystarczyłyby, by usunąć znad głowy księcia groźbę banicji. Cóż innego mogłem zrobić? Wiedziałem, że kalif jest właśnie w podróży i nie było przy nim nikogo, kto mógłby zdradzić mu sekret o Szemselneharze.

Rozmyślania moje przerwał nagle niewolnik, oznajmiając przybycie Mony.

3

Na widok Mony książę pochylił się w głębokim ukłonie i trwał tak, czekając na pozwolenie powstania; zupełnie jakby niewolnica była panią wysokiego rodu. Mona zachichotała.

- Wasza Wysokość może już wstać. Jestem tylko podręczną mojej pani - powiedziała, a kiedy książę się wyprostował, ona z kolei złożyła mu wdzięczny ukłon.

Książę chciał coś powiedzieć, lecz trudno było uprzedzić dziewczynę.

- Witaj, Abu al-Hasanie - trąkotała szybko Mona. - Czy jesteście gotowi? Moja pani z wielką niecierpliwością oczekuje was w pałacu. Podobnie jak i ja.

Z początku Mona była podręczną samej królowej Zubejdy. Okazała się jednak zbyt roztrzepana i niemądra jak na potrzeby władczyni, a kalif doszedł do wniosku, że Szemselnehara potrzebuje towarzyszkę w swoim wieku; od tej pory obie młodziutki niewiasty stały się nierozłączną parą. Mona zasłaniała twarz kwefem tak przezroczyście, że był on bardziej prowokacyjny niż obnażone oblicze, ale w przeciwieństwie do swej pani dużo i często rozmawiała z ludźmi; rozmawiała, bo lubiła mówić. Szemselnehara stanowiła dla niej

niedościgły wzór wdzięku i urody; zachwycała się każdym jej sukcesem i zachęcała do najbardziej ekstrawaganckich kapryśków. Myślę, że Mona wyraźnie się nie doceniała; moim zdaniem emanujące z niej ciepło, życzliwość i żywiołowość bardziej chwytaly za serce niż pełna chłodu doskonałość Szemselnehary. Ale Mona była najszcześliwsza w chwilach, kiedy miała okazję mówienia o swojej pani.

- Tak, Mono, jesteśmy gotowi - odparłem. - Jak dostaniemy się do pałacu?

- Jak to, jak? - zdziwiła się dziewczyna. - Głównym wejściem. A jakżeby inaczej?

Zamknąłem oczy. Przemknęło mi przez myśl, że Szemselnehara wcale nie interesowała się księciem; sprzymierzyła się z Nuraddinem lub jakąś inną pałacową koterią, o której, w swej błogosławionej nieświadomości, nic nie wiedziałem. W pewnym sensie poczułem też ulgę, gdyż moja obecność z pewnością powstrzyma księcia od jakichkolwiek kompromitujących zachowań.

Mimo że potrafiłbym kalifowi wszystko wytłumaczyć, wciąż napawała mnie obawą perspektywa jawnego wejścia do pałacu. Władca z całą pewnością nie życzyłby sobie, aby całe miasto wiedziało, że księżę Persji składa prywatne wizyty jego nałożnicy. Mogłoby to pobudzić wrodzoną popędliwość kalifa, który z całą pewnością chciałby wiedzieć dokładnie, co Szemselnehara i jej sojusznik planują.

- O co chodzi, Abu al-Hasanie? - spytała Mona. - Przecież powszechnie wiadomo, że kalif bezgranicznie ci ufa i żaden z eunuchów nie ośmieli się zadawać ci pytań. Poza tym wielokrotnie już bywałeś w pałacu.

- Bywałem u kalifa - uściśliłem.

- Właśnie!

- Mono, a jaki interes miałbym w tym, aby odwiedzać twoją panią?

- Chcesz wiedzieć...? Po prostu cię zaprosiła.

Potrząsałem zdecydowanie głową.

- Nie! Jeśli mamy wejść do pałacu, to tylko sekretnie. Wiem, że tak życzyłby sobie Jego Wysokość kalif.

- Ale...

- Mono, jeśli nie wejdziemy tam sekretnie, nie wejdziemy wcale. Czy nie istnieje żadne tylne wejście? Jakiś kanał?

Uparłem się, książę bez sprzeciwów przychylił się do mego zdania i Mona musiała ustąpić. Obiecała dostarczyć nam łódź, w której się ukryjemy. Byłem przekonany, że gdybyśmy zostali odkryci, kalif z pewnością nas oszczędzi. Ufał mi; a ja wciąż mógłbym mu wszystko wyjaśnić. Wspólnie wymyśliłbyśmy wiarygodną opowiastkę dla osób postronnych, gdyż kalif nie chciałby wikłać księcia Persji w jakikolwiek skandal. Starłem się nie myśleć o Dżafarze, przyjacielu kalifa z czasów dzieciństwa, a później wielkim wezyrze, któremu władca bezgranicznie ufał. Kiedy rozniosły się plotki o zdradzie wezyra, pogłoski, z których wszyscy rozsądni ludzie po prostu się śmiali, kalif bez chwili namysłu kazał ściąć mu głowę, a rodzinę skazał na wygnanie.

Czekaliśmy niewiele ponad godzinę, kiedy znów pojawiła się Mona z wiadomością, że łódź czeka. Poszliśmy piechotą, gdyż kanał znajdował się w pobliżu mojej posiadłości. Ponieważ wysokie ściany pozbawionych okien domów, takich samych jak mój, zasłaniały jaskrawe światło popołudniowego słońca, wędrowaliśmy ulicą pogrążoną w głębokim cieniu; nad głowami mijały nam liczne łukowate sklepienia z niezapalonymi jeszcze lampami. Mijały nas zakwefione kobiety jadące na osłach i szlachecka młodzież w olśniewających szatach, na dorodnych koniach. Spoceni tragarze, balansując ciałami, dźwigali na głowach kosze wypełnione wydzielającymi rozkoszną woń chlebami i dojrzałymi owocami, tkaninami, dywanami i świeżo wypraną w rzece odzieżą, pachnącą jeszcze mydłem. Ubodzy przekupnie w ciemnych opończach i zawojach wykrzykiwali nazwy towarów piętrzących się na grzbietach ich osłów: „Gruszki miłosne! Migdały! Melony! Świeżo zerwane!

Słodsze od miodu! Handel! Handel!". Sprzedawca wachlarzy, niewidzący, tak że wpuszczono by go do każdego haremu, potrząsał dzwonkiem, jakie noszą ślepcy. „Wachlarze jedwabne i wachlarze z piór! - wykrzykiwał. - Najlepsze wachlarze w mieście! Kupujcie u skromnego, pokornego Buzurga, nieszczęsnego ślepca!".

Mona zaprowadziła nas do płaskodennej łodzi nakrytej namiotem, w którym chroniła się przed słońcem i ciekawskimi oczyma obcych Szemsełneha-
ra; teraz pałatka ta miała chronić nas. Eunuch skłonił się nam bez słowa. Książę podał mi rękę i pomógł wsiąść do chybotliwej łodzi. Jakkolwiek nie potrzebowałem takiej pomocy, pozwoliłem, by troskliwie posadził mnie na poduszkach. Zerwał się chłodny wiatr. Książę spytał, czy ma mnie okryć ko-
biercem, ale odprawiłem go ruchem ręki. Ogarnął mnie osobliwy spokój. Książę opowiadał mi o wielu swoich przygodach, a teraz towarzyszyłem mu w jednej z nich. Pomyślałem, że będzie to jego kolejny niewinny figiel. Kie-
dy opowiem o nim kalifowi, rozbawi nas do łez.

Łódź płynęła powoli kanałem; jej kołysanie usypiało mnie. Nad Miasto Pokoju spływał zmrok, a przez rozsunięte klapy namiotu widziałem stojące nad wodą domy bogaczy, do których i ja się zaliczałem. Za ścianami tych domostw kryły się ogrody, rabaty z kwiatami, fontanny, wysypane kamykami alejki i sadzawki, w których pływały egzotyczne ryby. Na wzgórzach rozcią-
gało się miasto. Łagodną linię usytuowanych na stokach domów łamały jedy-
nie wieże minaretów, z których lada chwila miał rozbrzmieć głos wzywający do modlitwy. W promieniach zachodzącego słońca białe miasto przybierało barwę złota; czarne chorągwie kalifa trzepotały na wietrze. Przypominałem sobie, jak rodziło się Miasto Pokoju, jak się rozrastało i jak wraz z nim zmie-
niało się moje życie. Miasto to należało do mnie i mimo całego znużenia czu-
łem nostalgię nawet na myśl o nieznośnym zgiełku panującym na jego uli-
cach.

W przedwieczornej porze na kanałach zwiększa się ruch. Zamożni kup-
cy, których sklepy znajdują się na obrzeżach miasta, wracają do domów na
wieczerzę; domokrażcy i ubodzy rzemieślnicy opuszczają centrum miasta,

kierując się na peryferie. Po wodzie płyną barki, których załogi śpieszą się, by wyładować towar przed hasłem do gaszenia ogni. Posuwaliśmy się jednak szybko; wszystkie barki, gondole i łodzie ustępowały nam miejsca, widząc czarną banderę kalifa. Kiedy zbliżyliśmy się do kanału prowadzącego prosto do pałacu, cofnąłem się w głąb namiotu. Kiedy jednak dobiliśmy do brzegu, znów spłynął na mnie ów osobliwy spokój. Mona wdała się w rozmowę ze strażnikami; słyszałem, jak droczyła się z kimś z udawanym oburzeniem; strażnik wybuchnął śmiechem i po chwili łódź ponownie ruszyła. Podpłynęliśmy do nadbrzeża, dobiegł mnie głos Mony odprawiającej eunucha, po czym rozchyliły się poły namiotu. Ujrzałem rozradowaną twarz dziewczyny.

- Hej, Sindbadzie! Dobiliśmy do brzegu. Wasza Wysokość może już opuścić pokład. Nestora odesłałam.

- Moja pani - wtrącił książę, próbując wyprostować się w niskim namiocie. - Nie jestem żadną Wysokością.

- A ja żadną panią, co sprawia, że jesteśmy sobie równi. I mogę mówić do ciebie po imieniu, Abu al-Hasanie, ponieważ widziałeś mnie już bez kwefu. Wychodźcie, tędy!

Z prawdziwym żalem opuszczałem mile kołyszącą się łódź, ciepły, pograżony w mroku namiot, w którym sam mogłem wybierać to, na co chciałem patrzeć. Ciężko westchnąłem i pozwoliłem, by książę pomógł mi wyjść na brzeg. Przystań zbudowana była z grubego, tekowego drewna, a balustrada inkrustowana srebrem. Mona obrzuciła księcia filuternym spojrzeniem, następnie poprowadziła nas przez szatnię i długi korytarz do niewielkiego Raju.

W kopulastym pomieszczeniu, o wysokości zaledwie czterech metrów, było ciepło i przytulnie; na pomalowanych na czarno ścianach wypisano złotem dziewięćdziesiąt dziewięć imion Boga*¹¹, imię proroka i antenatów ro-

¹¹ *W oryginale: *al-asma al-husna* - „piękne imiona (Boga)”. Dziewięćdziesiąt dziewięć imion Boga określają jego rozliczne przymioty, takie jak: Miłosierny, Litościwy, Wszechmocny, Wszystkowiedzący, Najwyższy, Najmądrzejszy. Większość z nich jest wymieniona w Koranie. Wymienianie imion Boga stanowi część obyczaju odmawiania różańca, w którym każdy paciorek oznacza jedno imię Boga.

dziny królewskiej. Koberce, poduszki, sofy i gobeliny wykonane były z jedwabiu i puchu; najbardziej tajne sanktuarium kalifa, delikatne i zmysłowe, pławiło się w barwach złota, czerni i szkarłatu. Zapewne wciąż jeszcze na wpół uśpiony hipnotycznym kołysaniem się łodzi, potrząsnąłem tylko głową na myśl o zuchwalstwie i śmiałości Szemselnehary. Usiadłem. Puszyste poduszki otuliły moje chude ciało.

Poczułem na ramieniu dotyk dłoni księcia. Uśmiechał się, ale dobrze wiedziałem, że jest to uśmiech wymuszony.

- Wybacz mi, Abu al-Hasanie, moje niewczesne pytanie, ale w każdej chwili w drzwiach może pojawić się kalif. Prawda?

Pokręciłem głową.

- Kalif popłynął w dół rzeki na inspekcję wojska, które wróciło z Khorasan. Może wrócić dziś wieczorem, ale zawsze, ilekroć ma odwiedzić Szemselneharę, wysyła do niej Mesroua, by uprzedził ją o jego wizycie. Najlepiej, jak opuścimy te komnaty przed pojawieniem się Mesroua. Wtedy będziemy bezpieczni. - Obejrzałem się za siebie. W drzwiach izby pojawiły się dwie służebne niosące wykonany ze złota stół zastawiony jedzeniem. - A na razie uradujmy swe podniebienia.

Księżę potakująco skinął głową.

Jedliśmy, a niewolnice obsługiwały nas, jakbyśmy obaj byli kalifami. Kiedy skończyliśmy, służebne przyniosły księciu krużę wina - Szemselnehara wiedziała, że ja wina nie piję - oraz złotą misę z wodą, byśmy umyli po uciesze ręce. Później wniesiono kadzielnicę z rozżarzoną aloesem, którego dymem służebne okadziły nam szaty, a następnie skropiły nam dłonie olejkami różanymi, abyśmy mogli wetrzeć go w brody. Minęły dziesiątki lat od chwili, kiedy po raz ostatni uczestniczyłem w takiej ceremonii. Wróciłem myślami do czasów, gdy godzinami stroiłem się w domu, a nawet na ulicy, udając się na wystawne przyjęcia, i z dumą wciskałem pieniądze ludziom, którzy trzymali duże lustra, bym mógł się w nich przejrzeć.

Wróciła Mona. Była bez kwefu, wystrojona i bardzo poważna; błyszcząły jej oczy.

- Chodźcie, panowie, za swoją wierną niewolnicą - powiedziała, otwierając niewielkie drzwi, których wcześniej nie zauważyłem.

Znaleźliśmy się w olbrzymiej sali.

Wznosząca się czterdzieści metrów nad naszymi głowami kopuła, pomalowana na niebiesko i białą, na złoto i srebrno, przywodziła na myśl niebo i słońce, ocean i żagle. Sala była wystarczająco rozległa, by mogły się w niej odbywać turnieje. Jej posadzkę pokrywał olbrzymi dywan utkany z białego i czerwonego jedwabiu, wyszywany złotą nicią; kobierzec sprawiał wrażenie złocistego morza lilii i róż. W sali mieściły się porozstawiane w pozornym, ale miłym dla oka bezładzie stoły inkrustowane złotem, srebrem, jadem i agatem. Wokół nich gnieździły się malutkie otomanki. Pomiedzy każdą parą marmurowych filarów znajdowały się okna wychodzące na przepiękny ogród. Wszystkie alejki wysypano różnokolorowymi kamykami w taki sposób, że całość tworzyła imitację kobierca pokrywającego posadzkę sali, w której się znajdowaliśmy; w efekcie ogród i sala stanowiły całość. Po obu stronach alej rosły rzędy drzewek pomarańczowych. Na końcu ogrodu ciągnął się kanał; jego brzegi porastały precudne kwiaty i strzeliste cyprysy, zasłaniające wszystko z wyjątkiem zielonej kopuły prywatnego pałacu kalifa.

Byłem już w tej sali kilkakrotnie, ale nigdy nie wywarła na mnie tak ogromnego wrażenia jak teraz.

- Dlaczego nie siadacie, panowie? - spytała Mona. - Muzycy już czekają.

Odwróciliśmy się. Za nami stał tuzin chórzystek z lutniami. Usiedliśmy, a one zaczęły śpiewać miłosne pieśni. Nie były to sprośne poematy Abu Nuwasa - Szemselnehara zawsze udawała zainteresowanie nimi - lecz piękne starodawne pieśni, których starzy ludzie, tacy jak kalif i ja, słuchaliśmy w młodości. Ja takich pieśni słuchałem ze swoją żoną na bazarze swej rodzinnej wioski, między bajarzami i wierszopisami, zaklinaczami węży i połykaczami mieczy, kiedy słońce zachodziło za wysmukłe daktylowce odgradzające na-

szą wioskę od pustym; kalif słuchał ich w pałacu, po ucztach, otoczony mężczyznami udającymi jego przyjaciół i kobietami utrzymującymi, że kochają każdy jego gest. Pieśni te mówiły o gwiazdach i o nocy, o losie i miłości, która zwycięża wszystko, nawet dumę, nawet honor. Pieśni te wyrwały mnie z rozkosznego otępienia. „Szemselneharo, najokrutniejsza z okrutnych - pomyślałem. - Przekroczyłaś wszelkie granice”.

Księżę słuchał pieśni z wyraźną przyjemnością, ale też bez większych emocji - jakby niczego innego się nie spodziewał. Kiedy dziewczęta skończyły śpiewać, wstał i złożył im ukłon, tak dworny, że na twarzach kilku z nich pojawił się uśmiech. I znów podeszła do nas Mona. Kiedy podążała w naszą stronę, opuszczała ją cała powaga, ustępując miejsca podnieceniu.

- Nadchodzi! - oznajmiła. - Wstańcie!

Dziesięć niewiast wniosło masywny srebrny tron, należący do kalifa. Otworzyły się wielkie drzwi. Stała w nich, niczym udzielna, perska królowa, Szemselnehara; była bez kwe-fu, w szacie utkanej z błękitnego i złotego jedwabiu, obsypana brylantami i perłami. Kroczyła majestatycznie w naszą stronę, a za nią szły, przystrojone po królewsku, kobiety stanowiące jej świtę. Poraziła mnie jej uroda, lecz jeszcze bardziej przerażyły mnie jej ambicje. Ta niewiasta - pomyślałem - jest na tyle szalona, by sprowadzić na nasze głowy śmierć.

Szemselnehara lśniła; księżę pobladł. Faworyta kalifa nie skończyła jeszcze szesnastu lat, jej ojciec był skromnym kupcem handlującym pszenicą, a ona wyglądała jak królowa. Po raz pierwszy ujrzałem, że księżę stracił całą swą odwagę i pewność siebie. Zaczerwienił się jak dziecko i odwrócił do Szemselnehary plecami, co stanowiło ciężką obelgę. Położyłem mu dłonie na ramionach.

- Księżę - rzekłem. - Najlepiej by się stało, gdybyśmy tu w ogóle nie przychodzili, a jeszcze lepiej, gdybyś jej nigdy nie spotkał. Gdybym mógł cofnąć czas, zaaranżowałbym wszystko inaczej, ale teraz, niestety, musisz

okazać jej szacunek, jaki jesteś jej winien. Później przyjdzie czas, by odwrócić się i śpiesznie opuścić to miejsce.

Książę zamrugnął oczyma i odwrócił się w stronę Szemselnehary.

Nałożnica kalifa wstąpiła na srebrny tron. Uderzyliśmy czołami o posadzkę. Zastanawiałem się chwilę, jak często Szemselnehara sama leżała plackiem na ziemi w miejscu, gdzie teraz leżeliśmy, oddając cześć i okazując swe całkowite poddaństwo starcowi, do którego ten srebrny tron należał.

- Wstańcie, panowie, proszę. Łaska, jaką wyświadczycie moim skromnym progom przez swoje przybycie, jest dla mnie dobrodziejstwem, za które mogę jedynie wam odplacić skromną gościna.

- Potężna pani, budząca szacunek, skromna, prawa i cnotliwa - zacząłem, rozważnie dobierając słowa. - Bardziej niż powitanie, jakiego doświadczyliśmy, godne samego kalifa, twojego i naszego władcy, ujęła nas twoja uroda i życzliwość. Ujęłaś nas tym za serce.

Szemselnehara milczała; wpatrywała się w księcia. Abu al-Hasan Ali próbował coś odpowiedzieć, ale gardło miał tak ściśnięte, że nie mógł wyartykułować słowa. Znowu złożył głęboki ukłon, a kiedy się wyprostował, na twarzy gościł mu lekki, pełen smutku, przeproszający uśmiech.

- Chciałbym... - Urwał i potrząsnął głową. - Chciałbym, pani, służyć ci zawsze i we wszystkim. - Spuścił wzrok. - Ale nie jestem tego godny.

Znowu przeniosłem wzrok na Szemselneharę. Ujrzałem to, czego się spodziewałem: jej ciemne oczy zwilgotniały, wyraz twarzy miała współczujący.

- Mój panie i książę, skąd taki smutek na twym obliczu...? Ale nie, nie powinnam była zadawać tego pytania. - Z niedowierzaniem patrzyłem, jak faworyta kalifa wstaje z tronu, idzie w stronę księcia i ujmuje jego dłonie. - Mój panie - rzekła. - Wybacz niemądrej dziewczynie jej dzikie fantazje. Czy wyświadczysz mi tę łaskę i usiądziesz obok mnie na tej otomanie? Proszę cię o to, panie, choć jestem tylko nędzną niewolnicą, która nie ma niczego swo-

jego, a ty jesteś jednym z najmożniejszych ludzi w tej krainie. Błagam, wyświadczyć mi tę łaskę i usiądź obok mnie.

- O pani...

- Usiądź - powtórzyła. - Błagam cię, panie. Proszę.

Książę spełnił jej prośbę. Szemselnehara zajęła miejsce obok niego.

- Muzyka! - zawołała. - Ale bez pieśni. Abu al-Hasanie...

Popatrzyła w moim kierunku i urwała. W jej ciemnych

oczach pojawiła się skrucha, a na twarzy zmartwienie. Jeszcze przed chwilą była niczym dumna królowa; teraz przypominała piętnastoletnią dziewczynkę, którą w rzeczywistości była.

- Abu al-Hasanie, panie mój - powiedziała. - Nigdy nie spotkał mnie zaszczyt poznania cię bliżej, ale zawsze sprawiałeś wrażenie jednego z nielicznych uprzejmych i życzliwych mi ludzi na dworze. Być może jesteś tu taki jedyny. Wybacz, że uwikłałam cię w tę sprawę. Pomyślałam... - Na chwilę umilkła i potrząsnęła głową. - Nie, tak naprawdę wcale nie pomyślałam, ale chciałam, byście weszli do pałacu jawnie, tak bym nie musiała niczego przed kalifem ukrywać. Tak, powinnam uzgodnić tę sprawę nie z tobą, nawet nie z księciem, ale z samym kalifem. Ale teraz... - Spuściła wzrok. - No cóż, jestem wdzięczna, że przyszliście sekretnie.

Proszę, pozostań z nami, ale pozwól, bym zamieniła z księciem kilka słów na osobności.

Spoglądając na Szemselneharę, przypominałem sobie, jak wyglądała półtora roku wcześniej, kiedy kalif po raz pierwszy mi ją pokazał.

Weszliśmy wtedy do jej komnat bez zapowiedzi; Szemselnehara była w niekompletnym stroju. Minał dopiero dzień czy dwa, kiedy kalif ją do siebie sprowadził, więc na widok jego oraz innego, obcego mężczyzny zarumieniła

się ze wstydu i sięgnęła po coś, czym mogłaby się okryć. Kalif wybuchnął śmiechem.

- Daj spokój, moja miłości - powiedział. - Nie trzeba. Odrzuć to prześcieradło. - Klasnął w dłonie. - Odrzuć je, powiedziałem! I popatrz na nas. No, popatrz na nas, mówię!

Dziewczyna posłusznie odłożyła prześcieradło i spojrzała w naszą stronę. W jej oczach płonął wstyd i strach. Odwróciłem głowę, lecz natychmiast uświadomiłem sobie, że unikając widoku dziewczyny, mogę wzbudzić gniew kalifa. Zmusiłem się, by znów popatrzeć na nią, ale mój wzrok był pełen współczucia, co Szemselnehara z pewnością spostrzegła. Jak to jest zostać zdeflorowaną przez starca, do którego musiała mówić: „Wasza Wysokość”?

- Jest piękna, nieprawdaż, Abu al-Hasanie?

- O tak, panie. Bardzo piękna. Chodźmy już stąd.

- Ach, dajże spokój, zaledwie ją zobaczyłeś. Obróć się, Szemselneharo, pokaż naszemu przyjacielowi, jaka jesteś piękna.

Posłusznie odwróciła się tak, bym mógł sobie wszystko dokładnie obejrzeć, ale ja już spuściłem wzrok, nie dbając o to, co sobie pomyśli kalif.

- Panie mój i władco...

- Prawda, że jest cudna? Popatrz tu, w miejsce, gdzie dopiero zaczyna nabierać formy. Pomyśl tylko, jak będzie wyglądać za rok lub dwa, kiedy stanie się już w pełni kobietą.

- Tak - wybełkotałem.

Kalif zbliżył się do niej, wziął w objęcia i na moich oczach namiętnie pocałował.

- Ach! - mruknął. - Nie mogę się od niej wprost oderwać. Gdybym tylko miał mniej rozumu, prosiłbym cię, abyś się oddalił, a ja bym został z nią sam.

Kalif nie panował nad sobą. Pomijając już dziewczynę, znał mnie bardzo dobrze i w normalnych okolicznościach nigdy by się tak nie zachował.

- Ale nie - rzekł i ciężko westchnął. - Czekam na jeszcze spotkanie z Nuraddinem i resztą doradców. Chodźmy, Abu al-Hasanie. Żegnaj, Szemselneharo.

- Żegnaj, Wasza Wysokość. Dziękuję za łaskę, jaką wyświadczyłeś mi, pojawiając się w moich pokojach.

Kiedy opuściliśmy komnatę, kalif popatrzył na mnie.

- I co, Abu al-Hasanie?

Choć byłem jedynym człowiekiem w imperium, któremu wolno było krytykować jego prywatne życie, starałem się zachować czujność; kalif zachowywał się jak opętany.

- Tak, jest bardzo piękna, panie - odparłem. - Ale nie jestem przyzwyczajony do oglądania niezakwefionych żon innych mężczyzn.

Kalif zmarszczył brwi.

- Wybacz mi - powiedział. - Wybacz mi, przyjacielu. Było to bardzo nieuprzejme z mojej strony. Ale jestem w niej tak zakochany, że nie potrafię myśleć o niczym innym. Niemniej rad jestem, żeś ją zobaczył i że ona cię poznała. Jestem głęboko przekonany, że stanie się bardzo istotną częścią mego życia i życzę sobie, byś ją bliżej poznał. Ale wybacz też, że wywołałem w tobie takie zażenowanie.

Całą swoją uwagę skupił teraz na mnie. Lęk przed mężem jest doznaniem wielu młodych żon, ale rozkaz, by obnażać się przed obcym mężczyzną, był już upokorzeniem bez precedensu.

W ciągu miesięcy, jakie upłynęły od tamtej chwili, widząc, jak pierwotna, dzika żądza kalifa przemienia się w prawdziwą czułość i przywiązanie, zapomniałem o tamtym pierwszym spotkaniu. Teraz jednak, obserwując Szemselneharę siedzącą obok księcia, w pałacu, który kalif jej podarował,

zrozumiałem, że w jej duszy nic się nie zmieniło. Całe współczucie, jakie dla niej poczułem tamtego pierwszego dnia, ulotniło się z mego serca bez śladu. Pochyliłem nisko głowę i spełniłem jej prośbę. Stałem w pewnej odległości od otomany, na której siedzieli, tak że cały czas nie spuszczałem ich z oczu, a jednocześnie nie słyszałem, o czym mówią.

Z gestów i wyrazu ich twarzy wnioskowałem, że ona go za coś przeprosza, a on uspokaja ją, próbując rozproszyc jakieś wątpliwości. Książę mówił o czymś z wielkim żarem, a ona z uśmiechem mu odpowiadała. Po chwili oboje wybuchnęli śmiechem. Ich rozmowa toczyła się wartko, pytania i odpowiedzi padały szybko i w końcu książę najwyraźniej złożył jakąś deklarację. Szemselnehara zamrugła oczyma i przez dłuższą chwilę spoglądała nań w milczeniu. Spuściła powieki i z lekkim drżeniem ciała pochyliła się ku niemu. Książę nie wahał się ani chwili; na moich oczach i na oczach całej służby ujął ją za dłoń i pocałował w usta. Gwałtownie odwróciłem głowę, ale nie mogłem przecież udawać, że niczego nie widzę. Kiedy ponownie spojrzałem w ich stronę, trzymali się za ręce i spoglądali sobie w oczy.

Na widok pocałunku dziewczęta opuściły instrumenty, lecz po chwili kilka z nich podjęło grę. Dołączyły do nich inne, ale wszystkie odwracały wzrok od siedzącej na otomanie pary. Niektóre zmyliły melodię, wróciły do niej, i znów ją zmyliły; nuta po nucie słodka muzyka przechodziła w kachonkę. Wszystkie z wyraźną ulgą przerwały grę na dźwięk innej melodii - na głos muezina wzywającego do wieczornej modlitwy.

Szemselnehara i książę, niczym zbudzeni ze snu, rozejrzeli się wokół siebie. Powoli podszedłem do nich.

- Pani, czas płynie - powiedziałem. - Kiedy już odejdziesz, książę i ja niezwłocznie opuścimy pałac. Spiesz się.

Popatrzyła na mnie oszołomiona, zupełnie jakby nie wiedziała, gdzie się znajduje.

- Jeszcze chwilę, panie.

W najśmielszych snach nie wyobraziłbym sobie takiego pocałunku. Z pewnością stanowił on wyrok śmierci na księcia.

- Szemselneharo, zbliża się pora gaszenia ogni. Musimy natychmiast iść.

Zatrzepotała rzęsami i spuściła głowę.

- Naturalnie, masz rację, Abu al-Hasanie. Wybacz mi! Wybacz, proszę! Sama nie wiem, co robię.

Rozejrzała się i nagle uświadomiła sobie, gdzie jest. Ujrzała wielki pałac należący do kalifa, ujrzała górującą nad głową kopułę, ujrzała ściany, ogród za oknem i bramę na jego końcu. Zobaczyła otaczające ją kołem niewolnice, które, podobnie jak ona, stanowiły własność kalifa.

- Mona... - zaczęła, ale wątek przerwała jej inna niewolnica, która gwałtownie wtargnęła do komnaty.

- Pani, nadchodzi Mesrour z dwoma eunuchami.

Szemselnehara zerwała się na równe nogi. Przez krótką chwilę sprawiała żalosne wrażenie, była oszołomiona i dezorientowana. Szybko jednak odzyskała panowanie nad sobą, a kiedy odezwała się, głos miała już całkowicie spokojny i zdecydowany.

- Spotkam go na zewnątrz. Spuść w oknach zasłony, a służbie w ogrodzie powiedz, by była gotowa. Mona, zaprowadź księcia i Abu al-Hasana na piętro i zamknij ich na klucz w mojej przebieralni. Klucz im pozostaw i dopilnuj, by łódź była gotowa. - Odwróciła się w moją stronę. - Lepiej będzie, jak zostanieie w pałacu do chwili, aż kalif wróci do siebie lub zapadnie w sen. Jemu zawsze towarzyszy dziesięciu niewolników z pochodniami, a wtedy łatwo odkryto by waszą obecność.

Odwróciła się do księcia i ujęła go za dłonie. Przygarnął ją do siebie i przez jeden, straszliwy moment myślałem, że znów zaczną się całować, ale oni tylko przez chwilę coś do siebie gorączkowo szeptali. Następnie Szem-

selnehara odwróciła się i nie oglądając za siebie, opuściła salę. Mona skinęła na nas i posłusznie ruszyliśmy za nią.

Opuściliśmy olbrzymią komnatę, wspięliśmy się po wyłożonych kobiercem schodach, przemknęliśmy długim korytarzem o ścianach obwieszonych jedwabnymi gobelinami i przekroczyliśmy próg niewielkich drewnianych drzwi, ukrytych pod jednym z dywanów. Mona wręczyła księciu klucz, opuściła pomieszczenie i zamknęła za sobą drzwi. Księżę przekręcił klucz w zamku. Usiadłem, zamknąłem oczy i próbowałem uspokoić oddech. Prócz bólu w krzyżu i stawach, co wynikało raczej z wyężdżających prac alchemicznych niż wieku, cieszyłem się doskonałym zdrowiem. Ale nie byłem przyzwyczajony do tak szybkiego biegu, jaki właśnie za sobą miałem. Przez dłuższą chwilę panował błogi spokój i cisza.

- Abu al-Hasanie - zmącił ciszę szept księcia. - Czy byłeś kiedyś zakochany?

Nie otwierając oczu, potrząsnąłem głową.

- Nigdy.

Kiedy księżę milczał, rozchyliłem powieki. Świdrował mnie wzrokiem, lecz na jego twarzy malował się cień uśmiechu. Jak mógł w takiej chwili i w takich okolicznościach uśmiechać się?

- Wybacz, panie - powiedział cicho. - Ale nie wierzę ci.

Popatrzyłem na niego, a jego uśmiech jeszcze się pogłębił; uśmiech miał łagodny, osobliwie mądry, jakby to księżę był starym człowiekiem, który opiekuje się mną, młodzieńcem.

- Abu al-Hasanie, wiem, że to nie pora na rozmowy o miłości, wiem, że mamy na głowie ważniejsze sprawy, ale też musisz przyznać, iż w tej chwili nie mamy najmniejszego wpływu na nasz los. Możemy zatem porozmawiać, jeśli tylko tego zapagniemy.

Spoglądał na mnie badawczo dłuższą chwilę, po czym wstał i zaczął przechadzać się po pomieszczeniu, wymachując beztrudno ramionami jak kilkunastoletni, zadowolony z siebie chłopiec. Miłość - pomyślałem. - Miłość i szaleństwo. A na dodatek ja. Po plecach przeszły mi ciarki. Próbowałem rozmyślać o mojej żonie i czasach młodości, lecz nie chciały napłynąć żadne wspomnienia. Gapilem się na księcia, który krążył po pokoju; o czymś rozmyślał, uśmiechał się pod nosem, marszczył brwi. Potrząsnąłem głową i zacząłem bacznie rozglądać się po izbie.

Ściany i sufit pokrywała gruba, pikowana, stanowczo zbyt różowa jedwabna materia. Lampa, choć wykonana raczej z mosiądzu niż ze złota, stanowiła arcydzieło sztuki, ale już dekoracyjne obicia ścienne całkowicie do siebie nie pasowały; wycyzelowana, subtelna kaligrafia sąsiadowała z dziecięcymi wręcz gryzmołami. Dotknąłem jednego z tych prymitywnych wzorów - stokrotki na zielonym tle. Pod opuszkami palców wyczułem wełnę, a i to najpodlejszego gatunku. Porozwieszane lustra były proste i w bardzo dobrym gatunku, lecz jedno sprawiało wrażenie, jakby jubiler, który robił do niego złotą ramę, otrzymał polecenie, by wprawić w nią tyle drogocennych brylantów, szmaragdów i rubinów, ile tylko zdoła. Jeden z kufrów był przesadnie szamerowany złotym kruszcem i kosztownościami, podczas gdy w innym, stojącym obok, czyjaś toporna ręka niechlujnie ponaklejała na wieko zwyczajne muszelki. Wstałem i dotknąłem tej skrzyni. Muszelki ponaklejano na zaśnieżoną miedź, powyginaną i pełną rys. Nad skrzynią wisiał kawałek marnego pergaminu oprawionego w przepięknej roboty złotą ramkę. Dziecięca ręka wypisała na tym skrawku słowo „Marida” - imię mojej matki.

Były tam też wytarte, puszyste czerwone poduszki; takie same, na jakich wciąż jeszcze sypiała moja najmłodsza wnuczka. Obok nich dostrzegłem inne, z powszywanymi gemmami układającymi się w tęczowe wzory, na których jednak, ze względu na te klejnoty, nie sposób było się położyć. Dywan pod moimi stopami utkano ze zbyt wielką ilością złotej nici - dlatego był niewygodny i niepraktyczny. Ale inny, z czerwonej i czarnej wełny, miał wzór w stylu wiejskim i do złudzenia przypominał kobierce tkane w mojej rodzinnej wiosce. Trzeci natomiast wzbudził mój najwyższy zachwyt; ko-

bierce takiej urody rzadko widywało się nawet w Isfahanie. Otomana, na której siedziałem, była wytworna, zgoła królewska; inne jednak obito wełną z ordynarnej wielbłądziej sierści. Różnorodność i wartość kosmetyków, pachnideł i perfum, choć większość z nich pochodziła z mojego sklepu, przyprawiły mnie o istny zawrót głowy. Oprócz naprawdę drogocennych barwiczek i pachnideł dostrzegłem kilkanaście flakoników cudownych eliksirów i pięknie pachnących afrodyzjaków mających zwabiać mężczyzn. Wonności takie można było kupić w byle jakich sklepach i na straganach za pół dirhema*¹². Zauważyłem tam nawet amulet zwany magnelem miłości. Aż za dobrze znałem praktyki stosowania tego typu pachnideł i wywarów. Zarówno wiara, jak i rozum traktują je jak gusła, ale zanim przestałem się nimi zajmować, podarowałem wiele z nich mojej żonie, a ona ukryła je przede mną tak głęboko, że nigdy już ich nie odzyskałem.

Do naszych uszu dobiegł dźwięk muzyki. Zaskoczeni, że dochodzą do nas z tak bliska, rozejrzeliśmy się po izbie. Po chwili ksiązę podszedł do jednego z gobelinów wiszących na ścianie i ruchem ręki przywołał mnie do siebie. Materia zasłaniała niewielkie okienko w ścianie, wychodzące na ogromną salę. Dyskretnie odchyliłmiśmy wełnianą zasłonę, przyklękliśmy i z zapartym tchem patrzyliśmy, co dzieje się po drugiej stronie.

U wrót wiodących do ogromnego holu stali Mesrour i Wasif, nadzorca eunuchów, a zarazem zastępca Mesroure; pod ścianami czaił się tuzin pozostałych eunuchów. Po chwili pojawił się kalif. Był absolutnym władcą największego imperium w historii człowieka, Strażnikiem Wiary, Cieniem Rzucanym przez Boga na Ziemię... a tu, proszę, po prostu uśmiechnął się na widok Szemselnehary leżącej plackiem na ziemi u jego stóp.

Pochylił się, ujął ją za dłonie i pomógł wstać.

- Powstań, o najukochańsza pani. Szczęście, jakie ogarnia mnie na twój widok, jedynie wzbudza we mnie gniew na samego siebie. Sprawy kraju to

^{12*} W tamtych czasach w Arabii podstawowymi miarami wag były dirhemy (pochodzące od greckiej drachmy) i miskale lub dinary (pochodzące od bizantyjskiego solidusa). Dirhemy to były monety srebrne, a dinary - złote.

sprawy kraju, ale nie powinienem wyjeżdżać na tak długo, nie odwiedzisz uprzednio ciebie.

Pocałował ją w obie dłonie. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziałem. Szemselnehara spuściła wzrok, co kalif potraktował zapewne jako całkowite poddaństwo wobec niego.

- Władco każdej chwili mego życia, jestem zaszczycona twoją obecnością tak, jak jestem pogrążona w nieszczęściu, kiedy ciebie nie ma.

Kalif roześmiał się i musnął palcami jej policzek.

- Dość tego. Któregoś dnia naprawdę przekonasz mnie, że mnie lubisz.

- Panie mój i władco. Ja...

- Dość, powiedziałem. Mesrourze, wyprowadź swych ludzi na zewnątrz. Zamierzam tu spędzić noc. Szemselneharo, czy możemy napić się wina? Czy przygotowałaś muzykę? Lecz dlaczego okna są zatonięte?

Wciąż ze spuszczoną głową, wzięła go za rękę i zaprowadziła do tronu, którego otwarte drzwi skierowane były na ogród, a właściwie na zasłonięte okna.

W wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, kalif był postawnym i krzepkim mężczyzną. Miał na sobie wspaniały strój - ciemnowiśniowe szarawary w złote wzory, błękitną kamizelę wyszywaną srebrną nicią, a na głowie biały turban; klejnoty wkładał tylko wtedy, gdy zasiadał w Wielkim Dywannie*¹³.

Po raz pierwszy grałem z nim w szachy jakieś dwadzieścia lat wcześniej; jak na ironię, zdarzyło się to już kilka lat po tym, jak odsunąłem się od świata i poświęciłem się bez reszty alchemii. Po krzyżu przeszedł mi dreszcz, gdy uświadomiłem sobie, że prócz księcia, wszyscy moi przyjaciele dawno już nie żyją. Kalif, Strażnik Wiary, też zaliczał się do moich przyjaciół.

13 Najwyższa rada państwa.

Szemselnehara skinęła na jedną ze swych niewolnic i wydała polecenia, a sama zajęła miejsce u stóp kalifa. Jej twarz nie wyrażała niczego, ale czy nie były to tylko pozory? Trudno powiedzieć. Niewolnica podała jej kielich z winem, lecz Szemselnehara odmówiła. Muzyka stawała się coraz głośniejsza i coraz szybsza. W miarę jak uśmiech kalifa stawał się szerszy, muzyka rosła i rosła, wirowała w niepojęty sposób, rytm doprowadzał do szaleństwa... i nagle wszystko ucichło. Uniesiono zasłony w oknach. Rozległy ogród, rozświetlany lampami, pałający blaskiem tysięcy pochodni i świec, przypominał magiczne niebo wypełnione światłem gwiazd i lśniących planet, które spadło i rozprysło się pośród drzew pomarańczy; zaskoczone ptaki zaczęły śpiewać i rozleciały się po tym nowym niebie. Ponownie zabrzmiała muzyka, delikatna, melodyjna.

Rozradowany kalif wstał i z rozjaśnioną twarzą oglądał piękne widowisko. Po chwili spojrzął na niewiastę, która wciąż siedziała u jego stóp. Na barkach władcy spoczywają ogromne obowiązki, a ja po raz pierwszy zobaczyłem na jego twarzy taką dziecięcą radość.

- Szemselneharo, ilekroć cię widzę, zawsze potrafisz mnie czymś zaskoczyć i zabawić. Na twój widok opuszczają mnie wszelkie troski, a w twych ramionach dostępuję raju. Ale nigdy jeszcze nie pokazałaś mi czegoś tak pięknego jak dziś. Wstań, proszę, moja miłości, bym mógł ci podziękować w taki sposób, na jaki zasługujesz.

Me podnosząc głowy, Szemselnehara wsparła się obiema rękami o podłogę i niezdarnie przykucnęła. Drżącą dłonią oparła się o tron, dźwignęła się na nogi i osunęła nieprzytomna w ramiona kalifa.

Gdy spoglądaliśmy przez małe, okrągłe okienko, muzyka przeszła w kofonię dźwięków, po czym zapadła cisza. Niewiasty krzyczały, kalif rzucił się do drzwi w poszukiwaniu medyka; wszystkich medyków w imperium. Niewolnicy i eunuchowie miotali się gorączkowo, przynosząc wino, sole trzeźwiące i gorące kompresy. Ktoś gwałtownie zapukał w drzwi naszej izby.

Poderwałem się na nogi, ale księżę położył mi uspokajająco dłoń na ramieniu. Położył palec na ustach. W milczeniu skinąłem głową.

Pukanie powtórzyło się.

- To ja, Mona - dobiegł z zewnątrz szept. - Otwierajcie! Szybko!

Księżę otworzył drzwi. Wystraszona Mona chwyciła go za ramię.

- Szybko! Łódź czeka!

- Czy jesteś pewna...? - zaczął księżę.

- Teraz albo nigdy, księżę. Szybko!

- Czy ona...?

- Nic jej nie jest. Tylko udaje. Jeśli Bóg pozwoli, przyjdę jutro do sklepu Abu al-Hasana i wszystko wam opowiem. Ale teraz już chodźcie... szybko!

W kilka chwil byliśmy na przystani. Ale zamiast wytwornej gondoli Szemselnehary czekała na nas inna, nieoznakowana łódź.

- Wsiadajcie. Nestor was ukryje. Nestorze, wiosłuj powoli! Albo nie, szybko! Masz przywieźć od Abu al-Hasana lekarstwa!

Mona rozpląnęła się w mroku. Weszliśmy do łodzi i położyliśmy się plackiem na jej dnie. Opadła na nas, niczym wiekuisty mrok, ciężka, wilgotna płachta. Przywarła do naszych ciał i twarzy, odbierając oddech. Łódź kołysała się, w miarę jak Nestor potężnymi pchnięciami tyczki posuwał ją do przodu. Zbliżaliśmy się do posterunku straży pilnującej wylotu królewskiego kanału.

4

- Hej tam, Nestorze! Dokąd to wybierasz się tak późną porą? Jeśli masz wino, nawet się do tego nie przyznawaj. Jesteśmy na służbie.

- Żadne wino. Płyniemy po lekarstwo! Otwieraj wrota! Szybko! Szemselnehara zemdląca w ramionach kalifa i wszyscy mieszkańcy pałacu wpadli w popłoch. Płynę do Abu al-Ha-sana, aptekarza!

Strażnicy zaczęli otwierać bramę. Zazgrzytała korbą; z wody wynurzyła się masywna żelazna krata. Łodzią zakołysało; rozbryzgi wody uderzyły mnie w twarz. O mało się nie rozkaszałem.

Leżeliśmy ściśnięci jak ryby w beczce: jednymi ramionami przyciśnięci do siebie, drugimi do wewnętrznych burt łodzi. Czarna płachta spowijała nas niczym całun; dusiła i grzała nieznośnym żarem bijącym od ciepła naszych oddechów i ciał. Strażnicy kalifa stali w odległości półtora metra od nas i odnosiłem wrażenie, że oddychamy tak głośno, że z całą pewnością nas usłyszą. Ja w każdym razie słyszałem ich zduszone, chrapliwe oddechy, kiedy z wysiłkiem kręcili korbą, by zamknąć wrota. Nestor gromkim głosem oznajmił im, że być może nie będą potrzebne żadne medykamenty, ale kalif prawie oszalał. Niewielka łódź kołysała się i kołysała; przez niskie burty wdzierająca się do środka woda, zalewając nam ramiona i nogi.

Kiedy usłyszeliśmy, że tyczka Nestora uderza miarowo o dno kanału, poruszyliśmy się. Na Boga, szybciej, Nestorze! - modliłem się w duchu. - Na Boga, szybciej! Po dłuższej chwili odchyliłem płachtę, wpuszczając do środka trochę świeżego powietrza, i zacząłem nasłuchiwać.

Spodziewałem się, że usłyszę jedynie równe, kojące uderzenia tyczki Nestora o dno kanału; po hasła gaszenia ogni w Mieście Pokoju panowała absolutna cisza. Czasami żałowałem dawnych czasów, nocnych włóczęg po

mieście, grup rozbawionej młodzieży przemierzających ulice i pływających gondolami po kanałach. Kalif jednak wprowadził nowe prawa, a jeden z dekretów nakazywał, by nocą w mieście panowały cisza i spokój. Tej nocy jednak posłyszałem muzykę, cichą, ale niewątpliwie muzykę, oraz krzyk kobiety, który szybko przeszedł w pomruk. Muzyka stawała się głośniejsza; nowe pieśni, szybkie, zawile rytmy taneczne... osobliwy akompaniament dla starca w kołyszącej się, niesionej wodą trumnie, uciekającego z miejsca, które kalif nazwał Pałacem Wiecznej Rozkoszy.

- Hej tam, łodźiarzu! W imię Jego Wysokości kalifa, wymień swoje imię i podpłyn do brzegu!

Nestor nie odpowiedział, tylko uderzenia jego tyczki o dno kanału stały się szybsze niż poprzednio. Przy każdym pchnięciu łódź pochylała się to na prawą, to na lewą burtę; obaj z księciem przewalaliśmy się to na jeden, to na drugi bok. Czuję się, jakby toczono mnie w beczce, żołądek podchodził mi do gardła. Z nakrywającej nas płachty skapywała mi na twarz woda skroplona z naszych oddechów; zupełnie jakby płachta się pociła. Krople wilgoci wsiąkały mi w brodę.

- Łodźiarzu! Tu straż kalifa! Zatrzymaj się lub zaczniemy strzelać!

Nestor jeszcze szybciej zaczął pracować tyczką. Ciężko dyszał. Kiedy wartownik zawołał: „Wroga łódź na Nowym Kanale!”, odrzuciłem płachtę; tuż przed nosem ze świstem przeleciała mi strzała. Na chwilę znów nakryłem nas płachtą i ponownie ją odchyliłem. Ostrożnie wychyliłem głowę i bacznie rozejrzałem się wokół. Na lewym brzegu kanału, na szczęście dosyć odległego od nas, wartownik strzelał z łuku, a jego kompan świecił mu pochodnią. Daleko za nami, od brzegu odbijała łódź rozświetlona pochodniami. Pojąłem też, co zamierza zrobić Nestor: kierował naszą łódź w stronę kilkunastu gondolii rzeźbiście oświetlonych lampami i spowitych niebieskim, zielonym, czerwonym i żółtym jedwabiem. Otaczały wielką barcę pławiącą się w jeszcze barwniejszym i jaskrawszym blasku lamp oraz pochodni. Znaczyło to, że eskadra ta należała do jakiegoś dostojnika, którego nie obowiązywała cisza nocna, i że człowiek ten z całą pewnością zna zarówno mnie, jak i księcia.

Kiedy koło ucha przeleciała mi ze świstem kolejna strzała wystrzelona z wartowniczej łodzi, szybko schowałem głowę.

Muzyka stała się głośniejsza. Zagłuszała zupełnie dźwięk alarmowego dzwonu i ostrzegawcze krzyki straży; nie tłumiała jedynie obrzydliwego świstu strzał, które od czasu do czasu przelatywały obok nas.

Nasza gondola uderzyła z impetem w znacznie większą łódź, uzbrojoną w żagiel.

- Wyskakujcie! - zawołał Nestor, kiedy właśnie księżę zrywał się na nogi.

Jego ruchy były zbyt gwałtowne; łodzią niebezpiecznie zakołysało i księżę wraz z Nestorem niechybnie wpadliby do wody, gdyby ten ostatni nie chwycił się mocno burty sąsiedniej gondoli. Księżę zgrabnie do niej wskoczył i wyciągnął rękę, by pomóc mi wdrapać się na jej pokład, a następnie przechylił się przez burtę i zaczął gwałtownie wymiotować. Nestor złamał na kolanie tyczkę i obie jej połowy wbił w dno łodzi. Gondola zaczęła szybko tonąć pod jego stopami. Nestor kurczowo złapał się burty sąsiedniej łodzi i sprawnie wciągnął się na jej pokład.

- Poczekaj - powiedziałem szybko, kiedy znalazł się obok mnie. - Jesteś naszym niewolnikiem, a księżę i ja poczuliśmy się źle.

Nestor mruknął coś pod nosem, kiwnął głową i przyklęknął po drugiej stronie księcia. Dobiegały do nas głośnie dźwięki wesołej muzyki; w bąblach wody, w miejscu, gdzie zatonała nasza gondola, odbijały się tęczowym blaskiem zielone, czerwone, żółte i niebieskie refleksy światła rozsiewanego przez lampy. Błysnęła mi w głowie mglista myśl... to aniołowie, którzy jak mówią, nawiedzają mnie w moim grobie. Z ciemności wyłoniła się łódź straży, jej dziób rozdarł kolorowe bąble unoszące się na wodzie. Rozbłysło jasne, białe światło licznych latarni.

- Nie ruszać się! Tu gwardia kalifa.

Uniosłem głowę. Ujrzałem uzbrojonego w szablę strażnika. Moje zaniepokojenie i zdumienie były tylko częściowo udawane.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Kim jesteście? Co tu robicie? Odpowiadaj!

- Jestem... - Zająknąłem się. - Jestem Abu al-Hasan, syn Tahera, aptekarz Jego Wysokości kalifa. A to jest Jego Dostojność perski książę, Abu al-Hasan Ali. I jeszcze ten. - Wskazałem głową na Nestora. - To mój niewolnik Jounes. A co do tego, co tu robimy... Byliśmy z księciem na przyjęciu, gdzie zanadto sobie pofolgował, a ja z kolei nie jestem przywykły do przebywania na łodzi.

Nie skończyłem jeszcze wymieniać imienia księcia, kiedy strażnik zgiął się w głębokim ukłonie.

- Po tysiącokroć proszę o wybaczenie, dostojni panowie - powiedział dowódca straży. - Ścigamy zdrajców, którzy schronili się na pokładzie tej łodzi. Miłosierny Boże, musieliście ich z pewnością widzieć.

- Cóż - odparłem. - Nie znam się na zdrajcach, ale widziałem dwóch młodych panów i młodą niewiastę... hmmm... z pewnością niepochozących z najlepszych rodów. Dosłownie przed chwilą wdarli się na pokład tej łodzi, ochlapując obficie wodą księcia i mnie; sami zobaczcie, jak mokre są nasze okrycia. Nie widziałem ich twarzy, ale ubrani byli bardzo dostatnio i z trudnością gramolili się na pokład. Zanosili się głośnym śmiechem. Zapewne byli kompletnie pijani, gdyż przed wejściem na naszą łódź zatopili własną gondolę.

Dowódca straży ponownie złożył głęboki ukłon.

- Jestem niebywale wdzięczny Waszym Dostojnościom za ich uwagi. Za pozwoleniem, moi podwładni i ja przejrzymy szybko łódź, by upewnić się, że nikt już więcej nie zakłóci wam zabawy.

- Czyńcie swą powinność. Jounes, pomóż im wejść na pokład.

Nestor wyciągnął rękę, wypełniając gorliwie moje polecenie, a ja odwróciłem się do księcia i położyłem mu dłoń na ramieniu.

- Jak się czujesz, przyjacielu? - zapytałem z troską w głosie.

Na twarzy księcia pojawił się blady uśmiech.

- Nie jestem pewien, czy mogę odpowiedzieć ci na twoje pytanie w kilku słowach, ale czuję się już dobrze. Miałem chwilę słabości.

- Poczekamy na następną - odparłem z szerokim uśmiechem. - Nigdzie się nam nie śpieszy.

Zamknąłem oczy, byłem kompletnie wyczerpany. Pod czaszką boleśnie pulsowały mi i dudniły dźwięki lutni, fletów i przenikliwe głosy śpiewaków. Na ucztę zaangażowano ; z pewnością ponad setkę muzykantów. Ze wszystkiego, co spotkało mnie tego wieczoru, najbardziej niepokojąca była perspektywa wystawnej uczyty, na której nikt się mnie nie spodziewał, a gdzie wielu z gości z pewnością zechce uścisnąć mi dłoń, wyrażając radosne zaskoczenie, że po tak długim, pustelnicznym trybie życia pojawiłem się wreszcie wśród ludzi. Będę się musiał tłumaczyć, a nie byłem w nastroju do rozmów.

Obok mnie przyklęknął Nestor.

- Panie, straż udała się na przyjęcie. Na pokładzie znalazłem jedno z zaproszeń. Gospodarzem jest Kasim, syn wodza Harthamy.

Przesłałem Nestorowi uśmiech.

- Jesteś równie roztropny jak twój imiennik. Ale skoro masz być moim niewolnikiem, Jounesem, musisz mówić do mnie „mój władco”, nie „panie”. Ale możesz odzywać się do mnie niepytany. Jestem z natury łagodny.

Skinął głową. Jego twarz, pocętkowana refleksami rzucanymi przez różnobarwne lampy, przypominała oblicze błazna.

- Dziękuję, mój władco - powiedział z figlarnym uśmiechem.

Muzyka wybuchła fanfarami cymbałów i trąb; zauważyłem, że księżę bacznie mi się przygląda.

- Odsapnąłeś, panie? - zapytał.

- Chyba tak.

Kiedy księżę pomagał mi wstać, każdy mój staw zaskowy- czał z bólu. Kiedy jednak już stanąłem na nogach, ból ucichł. Byłem po prostu śmiertelnie zmęczony. Popatrzyłem w stronę barki, na której odbywało się przyjęcie.

Choć w pierwszej chwili oślepiły mnie światła, ruszyłem w ich stronę po pokładzie łodzi. Kiedy już moje oczy odzyskały ostrość widzenia, pojąłem, że słuch sprawił mi figła. Na niewysokim podwyższeniu, przed którym tańczyło kilkanaście kobiet, znajdowało się najwyżej dwudziestu muzykantów. Większość gości siedziała na otomanach zalewanych światłem lamp, które malowało ich twarze i sylwetki na czerwono, żółto i zielono. Pili wino i rozmawiali ze sobą lub zajmowali się niewiastami przebranymi za wielkie damy. Zapewne inne łodzie nie były opuszczone przez pasażerów jak ta, na której wylądowaliśmy, ale dobre obyczaje i formy towarzyskie obowiązywały; przy burtach wielkiej barki gromadzili się wyłącznie mężczyźni. Rozmawiali, napawali się chłodną nocną bryzą, z rozkoszą obserwowali precudną grę światła na wodzie.

Weszliśmy na pokład największej barki i ruszyliśmy wzdłuż niego. Poprzez dźwięki muzyki docierały do nas strzępy rozmów: „...dlaczego, skoro Isa*¹⁴ nie oskarżył...” (młodzieniec)... „poezja Burda nie może być porównywana z...” (młoda kobieta)... „co najmniej pół miliona dirhemów, mój przyjacielu...” (starzec)... „nigdy nie byłem w klasztorze. Wino, moja miła! Chrześcijanie nawet nie dyskutują o winie, ale dziewczęta takie jak ty powinny unikać mnichów...”. Mówił to podstarzały mężczyzna do młodej niewiasty. Przystanąłem na chwilę, ponieważ znałem tego człowieka - Jusuf, handlarz

¹⁴ *Muzułmański Prorok, postać koraniczna, odpowiednik chrześcijańskiego Jezusa. W islamie Isa jest zwykłym człowiekiem, choć jako Prorok cieszy się szczególnie wielkim szacunkiem. Został zesłany przez Boga jako głosiciel jedynobóstwa; był ostatnim Prorokiem przed Mahometem.

bawełną - ale po chwili podjąłem wędrówkę po pokładzie. Znałem go o tyle, że mój najstarszy syn wszedł z nim w interesy. Nie lubiliśmy się.

Wiele osób patrzyło na nas, poznawało nas, było wyraźnie zaintrygowanych naszą obecnością, ale nikt nie podszedł. Od dziesięcioleci nie uczestniczyłem w tego rodzaju przyjęciach, a i ksiązę brał w nich udział jedynie wtedy, gdy były to festyny wydawane na cześć kalifa lub któregoś z jego synów. Nasze pojawienie się zaskoczyło wszystkich. Kątem oka obserwowałem gości wskazujących nas dyskretnie palcami i wymieniających szeptem uwagi. Kasim, gospodarz uczy, był potężnym sojusznikiem Nuraddina, zaprzysięgłego wroga Persów.

Zagrzmiały cymbały; rozległ się aplauz, kiedy nawet tak roztargnieni ludzie jak ja pojęli, że muzykanci skończyli kolejną pieśń. Potrząsnąłem głową i również kilka razy zaklaskałem w dłonie. Zbliżyliśmy się właśnie do sceny i cisza, jaka nagle zapadła, niezmiernie mnie zaskoczyła.

- Chwała Najwyższemu! To naprawdę ty! Abu al-Hasan, syn Tahera i... i... Toż to sam ksiązę Abu al-Hasan Ali! O, radości mych oczu, niech łaska Boga obsypie was obu niezmiernym bogactwem! Abu al-Hasan i ksiązę Persji zaszczytli tę ucztę swoją obecnością! - Dżibril, medyk z królewskiego szpitala, chwycił mnie za dłoń. - Cóż, w imię Najlitościwszego, was tu sprowadza?

Miał poczerwieniałą od nadmiaru wypitego wina twarz i wyraźnie dymiło mu się z czuba. Podejrzewałem, że jego radość na mój widok wynikała bardziej z tego, że stanowiłem ciekawostkę towarzyską, niż z prawdziwej sympatii; w końcu spotkaliśmy się zaledwie dwa lub trzy razy.

Po tak barwnej nocy nie byłem już w stanie toczyć jakichkolwiek rzeczowych rozmów. Mogłem tylko wybuchnąć śmiechem i oświadczyć, że pragnę się jeszcze przed śmiercią raz a dobrze zabawić... nie, to nie tak... Byłem w stanie jedynie zaczerwienić się i spojrzeć na księcia, który najwyraźniej oczekiwał, że wszystko klarownie wyjaśnię. W jego spojrzeniu dostrzegłem panikę.

Dżibril głośno wciągnął powietrze. Cofnął się o krok i wytrzeszczał oczy na księcia i na mnie, jakby dopiero teraz dotarła doń cała prawda. Trwało chwilę, zanim zrozumiałem, co sobie naprawdę pomyślał. Może brało się to z jego rzeczywistych inklinacji? Cóż, jeśli plotka pójdzie w świat, ojcowie mogą zabronić swym synom przychodzić do mojego sklepu; ale zapewne i tak nikt nie da wiary słowom Dżibrila. Ja również już nie dbałem o to, co przyniesie następny dzień. Najpierw musiałem się solidnie wyspać.

Uśmiechnąłem się niepewnie, jak człowiek przyłapany na gorącym uczynku i gwałtownie potrzebujący pomocy.

- Dżibrilu, czy mogę na ciebie liczyć? - zapytałem. - Książę i ja będziemy ci do końca życia wdzięczni, a dobrze wiemy, jak odpłacać naszym przyjaciołom. Nie planowaliśmy zabawy do tak późna.

Uśmiechnąłem się szerzej i wzruszyłem ramionami. Książę również zrozumiał nagle sytuację; dał krok do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem.

Dżibril, zbyt zaskoczony, by oddać mi uśmiech, poważnie skinął głową.

- Naturalnie, Abu al-Hasanie. Zrobię wszystko, co w mej mocy.

- Chodzi mi o transport... Cóż, to sprawa trochę skomplikowana. Jestem zmęczony, a książę zjadł trochę za dużo, i raczej nie chcielibyśmy pozostawać na tej barce do rana. Dżibrilu, wybaczone, że nadużywam twojej uprzejmości, ale gdybyś dysponował gondolą, która odwiezie nas na brzeg...

- Ależ oczywiście, Abu al-Hasanie - przerwał mi. - To dla mnie honor usłużyć człowiekowi o twojej... - Uśmiechnął się. - O twojej reputacji. t

Odwzajemniłem mu uśmiech.

- Chodźcie ze mną, panowie. Moja łódź czeka.

Ruszyliśmy za nim, mijając kilka stołów i liczną grupę rozprawiających o czymś mężczyźni. Jeden z nich popatrzył na mnie wytrzeszczonymi oczyma i niepewnie wymienił moje imię: „Abu al-Hasan?”. Udałem, że nie słyszę, lecz kątem oka dostrzegłem, jak ktoś położył na jego ramieniu rękę i zaczął

coś pośpiesznie szeptać mu do ucha. W naszą stronę skierowało się spojrzenie kilkunasu par oczu. To już nieważne - pomyślałem - czy Szemselnehara planowała wciągnąć księcia w pułapkę, czy też ów pocałunek był zwykłą głupotą z jej strony. Dziesiątki niewolników i służących było świadkami tego zajścia.

Znów rozległa się muzyka. Znajdowaliśmy się już na tyłach sceny i choć dźwięki były równie hałaśliwe jak poprzednio, odnosiliśmy wrażenie, że dobiegają z oddali. Kiedy dotarliśmy do grupki służących i niewolników zgromadzonych przy burcie barki, spłynął na mnie spokój. Ludzie ci, skupieni wokół niewielkiej lampy, pili wino, grali w kości i prowadzili beztroskie rozmowy. Zwieszające się nad ich głowami latarnie zalewały pokład ruchliwym, niebieskim i czerwonym światłem, które padało również na wodę, skrząc się i niknąc w niespokojnych falach. A jednak zamiast myśleć o drodze, jaką jeszcze mieliśmy przed sobą, albo o niebezpieczeństwie, jakie ściągnęliśmy sobie z księciem na głowy ze strony kalifa, zastanawiałem się sennie, czy niewolnicy i służba nie potrzebują mocniejszej lampy, by dokładnie odczytywać wyniki gry w kości, a może zgromadziła ich w tym miejscu jedynie zwykła ludzka potrzeba kontaktu człowieka z człowiekiem przy wspólnym ognisku. Pamiętałem, jak w rodzinnej wiosce również siadywałem nocą przy ognisku. Nie mieliśmy wówczas ani wina, ani kości, nie prowadziliśmy beztroskich gawęd, rzadko kiedy śmieliśmy się; siedzieliśmy po prostu wokół ognia, wpatrując się w płomienie. Gdy byłem chłopcem, nie myślałem o niczym; kiedy osiągnąłem wiek młodzieńczy, zacząłem zastanawiać się nad własną przyszłością. Kiedy dorosłem, przestałem gapić się w ogień, z wyjątkiem, naturalnie, tego w piecach medycznych, a później w alchemicznych tyglach. Nie wiem, czego bardziej pożądałem: złota czy ognia?

- Panie mój? - wdarł się w me dumki głos Dżibrila. - Książę i twój niewolnik czekają już na pokładzie mojej łodzi.

Wyrwany z marzeń, potrząsnąłem głową.

- Wybacz mi, Dżibrilu, przyjacielu - odpowiedziałem krótko, zbyt znużony, by udzielać mu dłuższych wyjaśnień.

Kiedy wstąpiłem na łódź i księżę, ująwszy mnie za ramię, zaprowadził na poduszki, zrozumiałem, jak bardzo prostackie i pijane są głosy zgromadzonych przy burcie graczy. Lampa służyła im wyłącznie do tego, by wyraźnie odczytywać wyniki gry w kości.

Otępiały, patrzyłem, jak księżę i Nestor zajmują miejsca naprzeciwko mnie. Na pokład wskoczył Dżibril.

- Moi niewolnicy dostarczą ciebie i księcia na brzeg - oświadczył. - Niech Miłosierny czuwa nad wami.

Nawet nie pamiętam, kiedy znaleźliśmy się na brzegu. Czyjeś silne ręce poderwały mnie na nogi i wyprowadziły na zakurzoną ulicę. Popatrzyłem na okalający ją rząd schludnych białych domów. Znajdowaliśmy się na jednej ze skromniejszych ulic leżących w centrum miasta.

- Nestorze, gdzie dokładnie jesteśmy? - zapytałem.

- Na ulicy Trzech Czarnych Psów, mój panie.

Uśmiechnąłem się. Lubilem tę nazwę i znałem tę ulicę.

- Nestorze, nie mów do mnie „mój panie” - powiedziałem - ani „mój władco”. Dziś nie poczuwam się do żadnych zasług. Być może jutro lub później, kiedy się znów spotkamy, wrócimy do tej formy, jak każe obyczaj; ale nie dzisiejszej nocy. Sądzę, że znajdujemy się w odległości zaledwie kilkuset metrów od mego domu. Musimy tylko na najbliższym skrzyżowaniu skręcić w lewo, prawda? Jeśli napotkamy strażę, zaprosimy je ąa wino do mego domu; a raczej pošlemy je po nie, gdyż wina w domu nie trzymam.

_ Tak... To dobry plan.

- A więc prowadź.

Nestor ruszył przodem.

Kiedy już znaleźliśmy się w moim domu, dałem mu fiolkę „smoczej krwi”, która tak naprawdę była jedynie wywarem z soku czarnej porzeczki;

nie zamierzałem marnować drogiego eliksiru na leczenie udawanej choroby Szemselneha-ry. Niewolnik zawiadomił moją żonę, że ze mną jest wszystko w porządku, a ja wyznaczyłem kilka osób do przygotowania księciu sypialni. Udałem się do mej pracowni, a stamtąd do biblioteki, aby złożyć swą skołataną głowę do snu. Kiedy wszedłem, ku memu zdumieniu oczekiwał mnie tam książę. Podszedł do mnie, zalewany żółtym światłem lampy. Przez chwilę bacznie mi się przyglądał, po czym ujął moją dłoń.

- Abu al-Hasanie - powiedział cicho. - Pragnę przeprosić cię za to, że naraziłem cię dzisiejszej nocy na takie niebezpieczeństwo.

Cofnąłem dłoń.

- Tak naprawdę to ja sam się o nie prosiłem.

Popatrzył na podłogę i potrząsnął głową.

- O nie! - odezwał się po chwili, podnosząc wzrok. - To ja chcę ci podziękować. Chcę wyrazić wdzięczność za to, że dzięki tobie poznałem tę najbardziej zachwycającą niewiastę na świecie.

Mówił to z poważną i szczerą twarzą. Odwróciłem wzrok w stronę glińskiej ściany, pełnej nisz wypełnionych księgami. Niektórych rękopisów nie pofatygowałem się schować do skórzanych futerałów. W tej chwili owe zwoje, w jaskrawym świetle lampy, lśniły niczym czyste złoto. Popatrzyłem pod nogi, na matę. Jedynym moim pragnieniem było rozwinąć ją i położyć się spać.

- Najbardziej zachwycająca, mówisz. Dlaczego?

- Zachwycająca, gdyż jest mądra i odważna, czuła, miła i bardzo, ale to bardzo szczęśliwa.

Wciąż spoglądając na matę, skinąłem głową.

- I co dalej? - zapytałem.

- Nie wiem. - Podniosłem wzrok i popatrzyłem mu w twarz. Malował się na niej wielki smutek i rozterka. - Wiem jedno: obiecałem ponownie się z nią spotkać. I uczynię to.

Znów schyliłem głowę. Popatrzyłem na czerwony kobierzec utkany niegdyś przez moją żonę. Zamknąłem oczy, chcąc odciąć się od całego świata i nic nie widzieć.

- Nie rób nic pochopnie - powiedziałem. - Sam najlepiej wiesz, że ryzykujesz życie. Jeśli nawet Szemselnehara jest szczerą, to pałac z pewnością jest pełen szpiegów.

- Wiem, mój przyjacielu. Wiem też, że ryzykuję życie. Ale nie uczynię nic, co mogłoby zagrozić twemu, mój panie. Tego bądź pewien.

Ponownie ujął mnie za dłoń, a ja ponownie ją cofnąłem. Czuję się, jakby przybyło mi wiele lat.

- Dobranoc, książę.

Dłuższą chwilę świdrował mnie wzrokiem. W oczach miał wiele czułości, ale ja nie mogłem odplacić mu tym samym.

Nisko się skłonił.

- Dobranoc, panie mój. Wybacz, że jutro przed świtem opuszczę twe domostwo. Obawiam się, iż moja matka rozesała już niewolników w poszukiwaniu mnie, a nie ma powodu, by całe miasto plotkowało o tym, że nie wróciłem na noc do domu.

Skinąłem głową. Książę ponownie złożył mi głęboki ukłon i opuścił bibliotekę.

Poszedłem spać.

5

Następnego ranka, kiedy już po wezwaniu do porannej modlitwy ponownie zapadłem w sen, pojawił się posłaniec od kalifa; musiałem go przyjąć. Mógł to być Nestor, Musa lub ktokolwiek inny, kogo znałem. Okazało się, że był to nowy niewolnik; tradycji musiało się stać zadość. Oddałem mu pokłon.

- Wasze łaskawe przyjęcie, panie, zawstydzia mnie - oświadczył posłaniec. - Jestem tylko nędznym niewolnikiem.

- Szlachetny przyjacielu - odparłem. - Wszyscy jesteśmy niewolnikami Jego Wysokości.

Wręczył mi pismo, a ja ucałowałem pieczęć kalifa, po czym otworzyłem list.

Abu al-Hasanie! Przybądź dziś wieczorem, po ostatniej modlitwie.

Harun

Kiedy skończyłem lekturę listu, skłoniłem się nisko i głośno poświadczyłem moje poddaństwo woli kalifa. Położyłem dłoń na głowie, wskazując tym, że wolałbym raczej stracić tę głowę niż okazać nieposłuszeństwo Jego Wysokości.

Po odejściu posłańca znów opadło mnie znużenie. Pragnąłem jedynie przespać cały dzień, nie myśląc o kalifie, o księciu, o Szemselneharze, a nawet o wiszącym nad moją głową niebezpieczeństwie. Ale nie poszedłem spać. Zamiast tego udałem się gdzieś indziej, tam gdzie mogłem zapomnieć o otaczającym mnie świecie.

Alchemia - jak często myślałem - przypomina miłość: w praktyce jest niewymownie trudna, wręcz niemożliwa do zniesienia, ale w teorii prosta.

Korzeniami sięga do Arystotelesa. Arystoteles twierdził, że cała materia składa się z czterech elementów: ziemi, powietrza, wody i ognia. Najróżniejsze proporcje i kombinacje tych składników tworzą różnorodność, którą nazywamy światem. Weźmy jakikolwiek przedmiot, zmieńmy w nim liczbę i wzór owych czterech elementów, i już mamy zupełnie inny przedmiot. Na tym właśnie polega transmutacja. Na przykład (jak twierdzi Zosimos), jeśli usunie się trochę ziemi, doda trochę powietrza oraz pokąsną porcję ognia, kawałek ołowiu zamieni się w najczystsze złoto, czystsze od tego, które występuje w naturze.

Opierając się na innych autorytetach, dochodzimy do wniosku, że sprawa jest jeszcze prostsza. Cztery elementy tworzą prostą materię; materia skomplikowana stworzona jest z kombinacji materii prostej. Siarka i rtęć stanowią proste metale, z których biorą się wszystkie inne. Alchemik nie musi zajmować się czterema głównymi elementami; podstawą jego pracy są siarka i rtęć.

Opanowawszy teorię, z pewnością siebie zająłem się alchemią praktyczną. Historia uczy nas, że wielu ludzi odniosło sukces. Ludzie ci pozostawili po sobie księgi. Inna sprawa, że księgi te są bardzo trudne. Ostatnim alchemikiem, któremu się powiodło, był Dżabir ibn Hajjan¹⁵; zmarł, zanim jeszcze pojawiłem się na świecie. Nie oczekiwałem natychmiastowych sukcesów w mojej pracy, ale nie skończyłem jeszcze sześćdziesięciu lat i byłem w pełni władz umysłowych i fizycznych. Zbiłem fortunę dosłownie z niczego. Po prostu stworzyłem wiele niezwykle skutecznych leków, które rozślawiły moje imię. Posiadam już mnóstwo złota, lecz sukces osiągnięty w alchemii ukoronowałby moją życiową karierę, a imię moje uczyniłby nieśmiertelnym; jak Dżabira.

Ale pragnąłem, by nie tylko moje imię stało się nieśmiertelne; eliksir ma jeszcze inne właściwości. Powszechnie wiadomo, że złoto jest trwałe, niepo-

¹⁵ *Dżabir ibn Hajjan (ok. 760 - ok. 815), alchemik znany w Europie pod imieniem Geber (albo Gaber). Był twórcą terminu „kamień filozoficzny”. Ustalił, że rtęć jest metalem oraz że siarka ma właściwości palne i jest żółta, podobna do złota. Sądził, że te dwa pierwiastki są podstawowe dla innych metali.

datne na zniszczenie i korozję. Tak jak ołów stanowi podstawę wszelkich metali, złoto jest doskonałe i wieczne, stanowi zakończenie ewolucji metalu, podobnie jak Dzień Ostatni stanie się końcem człowieka. Elixir, który udoskonala metale, udoskonali człowieka. Kto napije się eliksiru, żyć będzie aż po kres Czasu. Wielu ludzi wierzy, że Dżabir powstrzymuje się tylko od życia, że tak naprawdę wybrał w dobrej wierze sen, który ma trwać do Dnia Ostatniego; inni wierzą, że wciąż oddycha, myśli i zgłębia wiedzę. Kiedy nastąpi kres Czasu, wyłoni się z ukrycia, by wyprowadzić nas z ciemności, zastępując gusła i przesady światłem bijącym z filozofii i alchemii. Ci, którzy w to wierzą, milczą; kalif ścina głowy ludziom publicznie głoszącym ateizm.

Zasiadłem do pracy. Dżabirowi przypisuje się autorstwo dwunastu rękopisów. Niektóre z nich są apokryfami, a większość tylko marginalnie traktuje o alchemii. Pozostały jednak po nim dziesiątki przepisów i receptur. Dżabir nie był jedynym alchemikiem. Był nim też Dżafar al-Siddak, po którym pozostała księga, i wielu innych: Persów, Afrykańczyków, Franków, Greków, Żydów, Medów. Do jednej z recept Dżabira należało zdobyć krew, włosy, kości, szpik, urynę, spermę lwa, antymon, saetrę potasową, popiół winogrodu, poranną rosę oraz krew ptaka olbrzymia¹⁶. Przepis ten pochodzi z księgi powszechnie uważanej za autentyczną. Zapłaciłem bajońską sumę opiekunom zwierzyńca kalifa; w mojej obecności przerwali w kulminacyjnym momencie parzenie się pary lwów, dzięki czemu zdobyłem to, czego potrzebowałem. Najwyraźniej sprzyjały mi gwiazdy; akurat wtedy stolicę odwiedził Sindbad. Zaklinał się wprawdzie, że nigdy już nie wyruszy w kolejną podróż, ale inni wiedzieli lepiej. Rozmawiałem z nim. Kiedy więc ponownie pożeglował w świat, po jego powrocie dostałem kilka drogocennych kropeł krwi ptaka olbrzymia. Trzymałem się dyrektyw Dżabira co do joty: połowę eliksiru wylałem na roztopiony ołów, a drugą połowę wlałem sobie do gardła. Skończyło się to tylko bryłą stopionego ołowiu i koszmarnym bólem kiszek. Zapewne sperma lwa uległa zepsuciu i potrzebowałem nowej, świeżej; ale nie miałem

¹⁶ *Ptak występujący w bajkach wschodnich.

już jak zdobyć krwi ptaka olbrzyma. Pozostały mi jednak jeszcze inne receptury.

Zawsze czułem zamiłowanie do porządku. W mojej pracowni było jak w pudełeczku. Znajdowały się tam dwa paleniska z tyglami, przy oknie kilka kadzi, komin oraz kotły destylacyjne. Wkrótce nabyłem, a także samodzielnie zrobiłem ponad tuzin tygli o różnych rozmiarach; od nie większych niż ludzka dłoń po ogromne, wyższe ode mnie. Mniejsze ustawiłem blisko okien, ale za to musiałem wybudować trzy dodatkowe kominy. Aby zrobić miejsce na wszystkie te zmiany, wyburzyłem ścianę oddzielającą laboratorium od przyległego magazynu. Schludna początkowo pracownia zamieniła się w istny diabelski labirynt rozpalonych do czerwoności palenisk i tygli; jedne z nich rzygały dymem i płomieniami, z innych, niczym trąby słońi, unosiły się pod sufit wąskie smugi ciemnych, duszących oparów. Wyrąbałem w glinianych ścianach nisze, w których trzymałem słoje i flakony, pręty ołowiu i żelaza, butelki z połyskliwą rtęcią, wagi, moździerze, młotki i cedzidła.

W zależności od temperatury, jaką chciałem osiągnąć, dokładałem do paleniska węgla drzewnego, drewna, torfu, dolewałem oliwy, a nawet wrzucałem wysuszone łajno. Powietrze wypełniał dym, unosiły się jęzory ognia; w kotłach i kolumnach destylacyjnych bulgotało, z przewodów wydobywała się para; ich złączy nigdy nie można było dokładnie uszczelnić. Tak więc w powietrzu krzyżował się lepki odór kwasu octowego, kamfory i amoniaku, ale przez wszystkie te wonie zawsze przebijał słodki, przyprawiający o mdłości smród siarki. W kłębach dymu i ognia, na niskich stołach, mieszałem arszenik i rtęć; proszkowałem ołów i łajno. Choć wyrąbałem w ścianach trzy dodatkowe okna, a u powały zawiesiłem nowe lampy, nad którymi umieściłem lustra, to nieustannie dymiące tygle, cztery paleniska i gliniane, pełne różnorodnych roztworów naczynia sprawiały, że w pracowni panował głęboki półmrok, niczym w jaskini ukrytej głęboko pod ziemią. Kiedy wychodziłem do swego ogrodu, jaskrawe promienie słońca nieznośnie raziły mnie w oczy. Dym wypełniający pracownię sprawił, że skóra na mojej twarzy i dłoniach poczerniała, a odzież i broda na dobre przesiąknęły wonią siarki, węgla drzewnego i łajna.

Wypróbowałem setki receptur, stworzyłem nowe na podstawie wzmianek i alegorii; wiele ksiąg jednak jest nieskończenie aluzyjnych. „Wiedz, iż ta nauka jest prostsza niż inne - naucza jedna z nich - ale nazwy i zawarte w nich formuły są niezrozumiałe dla ludzi przyjmujących je zbyt dosłownie”. Ale co miałem zrobić z przepisem, który nakazywał mi: „Odbierz połowę ducha z ołowiu, dręcz go powoli, a potem stopniowo zastępuj go połową duszy”? Można to było interpretować dowolnie: „Oddziel ziemię od ognia, cienkość od grubości, ale zrób to delikatnie i ostrożnie. Wówczas wzniesie się duch z ziemi do nieba, po czym natychmiast spadnie, by uzyskać moc istot wyższych i niższych”. Topiłem i gotowałem, odbarwiałem i odparowywałem, spalałem, miazdżyłem i sublimowałem, prażyłem i cedziłem, przemywałem, filtrowałem, gotowałem i rozkładałem na czynniki pierwsze. Ogromną ilość złota wydałem na gliniane i żelazne garnki, na szklane i mosiężne instrumenty, na antymon i ołów.

Dżafar al-Siddak preferował metodę wymagającą czterdziestu dni.

„Zaczyna się od spalania - pisze - które oczyszcza złoto tak, by zaakceptowało infuzję duszy; i tylko wtedy może przekształcać się w eliksir i reprodukować. Dzień pierwszy: Zetrzyj i połącz ze sobą czterdzieści miskali¹⁷ złota oraz sto dwadzieścia miskali surowej rtęci. Podgrzewaj to w kotle nad płonącym węglem. Kiedy osiągnie temperaturę żelaza wyłożonego w południe na pustynne słońce, wyjmij i włóż do zimnej wody. Sproszkuj to za pomocą młotka, dolej jeszcze wody i ponownie sproszkuj, aby stało się delikatne jak szpik wielbłąda. Wtedy rtęć «połknie» złoto.

Przedestyluj witriol. Wlej do «połkniętego» złota taką samą miarkę destylatu; gotuj wywar pod przykryciem na ogniu z końskiego nawozu. Trzymaj stałą temperaturę. W chwili absorpcji zdejmij z ognia. Sproszkuj. Dodaj dziesięć habbów¹⁸ salmiaku. Znow sproszkuj. Rozlej do dwóch szklanych

¹⁷ *Miskal - jednostka wagi równa jednemu dinarowi (pochodził od bizantyjskiego solidusa). W dinarze był jeden miskal złota, czyli 4,23 g.

¹⁸ *Habba - 1/100 miskala.

zlewek i postaw je na nagrzewnicy. Podgrzej do temperatury wrzenia wody i poczekaj, aż wyparuje cała wilgoć. Podgrzewaj od rana do wezwania do południowej modlitwy. Potem pozostaw to w chłodzie do następnego poranka".

Trzydzieści dziewięć kolejnych dni wymaga wielbłądziego gnoju i gołębic bobków, szkła i ołowiu, glinianych, drewnianych i złotych pojemników, luster, by łapać światło gwiazd, wymaga porannej rosy, kropel wieczornego deszczu, miedzianki, żółtek z jaj, morskiej wody i piasku ze Świętego Miasta. „Wszystko musi być zrobione dokładnie” - pisze al-Siddak. Jeśli temperatura podgrzewanej wody przekroczy temperaturę wrzenia, cały proces diabli wezmą. Jeśli receptura mówi: „podgrzewaj od rana do wezwania do południowej modlitwy”, to tak właśnie ma być; nie bez znaczenia są tu wątki duchowe. Zatem dnia pierwszego należy tak zagospodarować czas, by cała wilgoć wyparowała dokładnie w chwili, kiedy muezin nawołuje do porannej modlitwy. Najmniejszy błąd, najdrobniejsza pomyłka spowodują, że cały proces trzeba będzie zaczynać od początku. „Spalanie - pisał Dżabir - jest największym skarbem, spalania nigdy mało”.

Całe lata strawiłem na powtarzaniu formuł al-Siddaka. Za każdym razem popełniałem jakiś błąd i zmuszony byłem zaczynać wszystko od początku, aż w końcu dawałem za wygraną i zajmowałem się inną formułą. Wspomniałem o przepisach zawierających nieprawdopodobne ingrediencje i o recepturach z niezrozumiałymi formułami. Receptury al-Siddaka należą do trzeciej kategorii, kategorii najbliższej memu sercu. Instrukcje do nich są tak zawile i mętne, że aż niewykonalne - niemożliwe do wykonania i niemożliwe do zakwestionowania. Al-Siddak stworzył ich bez liku. Dobijałem już siedemdziesiątki, kiedy mnie oświeciło. Przez dziesięć lat nie robiłem niczego innego prócz poszukiwania eliksiru. Co bym zrobił, gdybym jednak go stworzył? Co bym zrobił z tym niezmiernym bogactwem, czym wypełniłbym swe życie, które by trwało przez całą wieczność? Może wydawać się to dziwne, ponieważ moja mroczna, zadymiona pracownia bardziej przypominała piekło niż niebo, ale ja czułem się w niej szczęśliwy, osiągałem duchowy spokój. Na swój sposób - nie umiem tego wytłumaczyć - moje badania, formuły al-Siddaka i całe moje życie poświęcone alchemii - wszystko to przypominało mi o Bogu.

Doszedłem do wniosku, że Bóg nie zniszczył wieży Babel za pomocą wichury i trzęsienia ziemi. Bóg zesłał szatana, najpiękniejszego z aniołów, dając mu instrukcje, jak ma tę wieżę wybudować. Budowniczości przestudiowali ją, przedyskutowali i przystąpili do robót. Sztuka ta jednak im nie wyszła. Najwyraźniej źle zrozumieli instrukcje. Zaczęli się kłócić, podzielili się na sekty, wybuchła między nimi bójka spowodowana odmienną interpretacją; i to właśnie stanowiło pomieszanie języków. Ale byli i inni, którzy tamten wieczór spędzili w domach, gdzie po całym dniu ciężkiej pracy ponownie przestudiowali instrukcje. Stworzyli modele wież wysokich do kolan. I jedynie ci właśnie, jak sądzę, byli szczęśliwi.

Niektórzy alchemicy mówią o duchowej stronie zagadnienia, ale nie do końca tak, jak ja ją rozumiem. Wiele receptur, łącznie z tymi al-Siddaka, wymaga modlitw i postów. „Wiedz, mój najdroższy synu - napisał chrześcijanin - iż nauka ta jest niczym innym, jak umiłowaniem Boga”. „Tworzenie złota - pisze - stanowi jedynie zewnętrzną manifestację prawdziwej transmutacji: stare, wewnętrzne «ja» musi umrzeć, by zastąpiło je nowe, duchowo czyste”. I tylko wtedy alchemik osiągnie sukces, i to wyłącznie za pomocą najprostszych metod: zlewki wypełnionej rtęcią i siarką, zanurzonych w gorących, nieustannie odnawiających się popiołach. Jeśli alchemik jest oczyszczony, złoto „pojawi się z rtęci tak, jak jajko pojawia się z kury”. Tak więc pożądana nieśmiertelność nie pochodzi z tego świata, lecz ze świata pozagrobowego.

Byłem sceptyczny, ale ów sceptycyzm dodawał mi jedynie motywacji, by kontynuować eksperymenty. Każdego ranka i każdego wieczoru podgrzewałem popioły; pilnie sprawdzałem zlewki z rtęcią i siarką, poszukując w nich śladu złota. Czyniłem tak za każdym razem, gdy wracałem do domu w towarzystwie księcia, i każdego ranka, kiedy wchodziłem do pracowni.

Pewnego dnia, gdy kończyłem pracę, żona zawołała przez ozdobione paciorkami zasłony wiszące w drzwiach:

- Mężu!

- Tak, Fatimo! Wejdz, proszę.

Kiedy przeszła przez paciorkowe zasłony, odwróciłem się na taborecie w stronę drzwi. Towarzyszyła jej kobieta w stroju o barwach dworu Szemselnehary. Wstałem ze stołka. Szemselnehara przysłała do mnie niewolnicę, by podziękować mi w jej imieniu za smoczą krew. Nie czuła się jeszcze najlepiej, ale stan jej zdrowia znacznie się poprawił. Miała nadzieję, że ja oraz moi najbliżsi jesteśmy bezpieczni i fortuna nam sprzyja.

- Przekaż swojej pani - powiedziałem - że u mnie wszystko w porządku i jestem bardzo rad, iż dzięki mej skromnej wiedzy mogłem oddać jej tak niewielką przysługę.

Nie dodałem, aby przekazała swej pani, że jestem zawsze na jej usługi. Bo nie byłem, i nie chciałem być.

Niewolnica opuściła mój dom. Żona pozostała w drzwiach.

Staliśmy naprzeciw siebie, patrząc sobie w twarz. Było to niezwykajne. W ostatnich latach nasze kontakty ograniczały się do tego, że ona stała, a ja siedziałem; posiłki jadłem samotnie w pracowni. Nie, nie znaczyło to wcale, że byłem panem i władcą; nie, znaczyło to, że kiedy byliśmy razem w jednej izbie, to tylko dlatego, że ona tam przychodziła, a ja byłem na tyle zajęty swoją pracą, że czułem, iż nie muszę jej przerywać ze względów grzecznościowych. Czasami nawet nie odwracałem się w stronę Fatimy i rozmawialiśmy ze sobą, nie patrząc sobie w oczy. Ona postępowała tak samo, z wyjątkiem rzadkich okazji, kiedy podchodziłem do niej w kuchni, gdzie tkala, lub chciałem przeczytać jej którąś z sur ze Świętej Księgi.

- Kiedy spałeś, pojawił się inny jeszcze posłaniec - powiedziała Fatima. - Od Nuraddina.

Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, ale wszyscy mieszkańcy miasta wiedzieli, że wielki wezyr nie ma żadnych przyjaciół. Nigdy wcześniej nie przysyłał do mnie posłańców.

- Jaką przyniósł wieść? - zapytałem.

- Nuraddin dopytuje się o twoje zdrowie. Słyszał, że ostatniej nocy miałeś niezwykle przygody.

Kiwnąłem głową. Wymieniliśmy spojrzenia. Była w moim wieku, lecz jej oczy nic nie straciły ze swego dawnego blasku.

- Fatimo - rzekłem. - Była to osobliwa noc. Chcę ci o niej opowiedzieć, ale nie ma pośpiechu.

Dłuższą chwilę spoglądała mi w oczy. Moja żona zawsze bardziej wolała słuchać niż mówić, a z upływem lat stawała się coraz bardziej milcząca.

Od czterdziestu siedmiu lat żona nie odezwała się do mnie po imieniu; jestem „mężem”. Nasze matki zaaranżowały nasze małżeństwo, tak jak mądrość i tradycja nakazują. Byłem młodym kupcem stawającym dopiero na nogi. Potrzebowałem żony, która by mi towarzyszyła, a zarazem nie domagała się życia w dostatku. Ojciec Fatimy, sędzia i lekarz, byłby przydatnym teściem. Fatima była pracowita, piękna i mądra; a ponadto trzecia córka starego Osamy miała dziewiętnaście lat. W niespokojnych czasach, jakie nastały po wojnie domowej, w której zginęło tylu mężczyzn, niewielu miało środki, by się żenić. Najstarsza siostra Fatimy nosiła już na sobie piętno starej panny. Zarówno moja żona, jak i ja doskonale wiedzieliśmy, że namiętności i burzliwe życie sławione przez starodawne pieśni i legendy są nie dla nas. Nie szukaliśmy miłości.

Nauczyłem żonę, by mniej dbała o własne korzyści i przyjemności, a na względzie miała głównie moje zyski i moją próżność; zarówno jako kupca, który wymagał pomocy, jak i człowieka nauki. Potrzebowałem żony wykształconej. W mojej rodzinnej wiosce niewiele osób umiało czytać, a już na pewno żadna niewiasta. Fatimie nauka zawsze przychodziła z trudem; matka nie nauczyła jej nawet grać na jakimkolwiek instrumencie. Kiedy czytała surę otwierającą Świętą Księgę, sylabizowała tak, że wydawało się, iż każde następne słowo stanowi dla niej wielkie odkrycie. Wybuchiała płaczem i całowała mnie po rękach, a mnie w mojej próżności bardzo łechtало to dumę. A jednak byliśmy dla siebie bardzo bliskimi osobami, tak jak tylko mogą być

sobie bliscy ludzie prości. Nie stać mnie było na to, by zamknąć żonę w haremie; pracowaliśmy ramię w ramię. Fatima, która w opinii swojej matki była nieskończenie głupia, znała się na aptekarstwie lepiej niż połowa uczonych z sułtańskiego Domu Mądrości, założonego przez kalifa.

Minęło pięć lat; zaczynaliśmy coraz lepiej prosperować, a przede wszystkim byliśmy ze sobą szczęśliwi. Nazywam swoje rodzinne miasteczko wioską, ponieważ w porównaniu z Miastem Pokoju nią jest, choć Trzy Źródła liczyły ponad pięć tysięcy mieszkańców. Otaczające tereny były nieurodzajne, ale nadawały się na pastwiska. A co najistotniejsze, przez naszą krainę ciągnęły karawany pielgrzymów zmierzających do Świętego Miasta. Prowadziliśmy z żoną wygodne życie; byłem człowiekiem o wysokiej pozycji społecznej; mieliśmy dwoje dzieci. I wtedy padło słowo o nowej stolicy.

Wtedy jeszcze moja żona nie miała ostrego języka, który wyostrzył się jej z biegiem czasu. Nie szydziła sobie ze mnie. Po prostu mówiła „nie”. Byliśmy szczęśliwi, mieliśmy wielu przyjaciół i stać nas było na wszystko. W stolicy czekałoby nas inne życie, dalekie od tego, co dotąd znaliśmy; tam mówiono nawet innym dialektem. Moja żona się bała. Przymilałem się jej i pochlebstwami nakłamałem do wyjazdu, uspokajałem, ale wszelkie moje zabiegi nie odnosiły skutku. I wtedy zrobiłem coś, co w ciągu ostatnich pięciu lat naszego małżeństwa nawet nie przyszłoby mi do głowy.

- Żono - powiedziałem. - Jestem twoim mężem i ja tu decyduję. A twoim obowiązkiem jest podporządkować się mojej woli. - I odwołałem się do tego, w co ona wierzyła, a ja nie. - Religia nakazuje ci być mnie posłuszną.

Popatrzyła na mnie. Była wtedy taka młoda... tak samo jak ja.

- Abu al-Hasanie - odrzekła. - Nie chcę stąd wyjeżdżać.

Kiedy nic nie odpowiedziałem, zagryzła tylko usta. W kącikach jej oczu pojawiły się łzy, ale nie spuszczała ze mnie wzroku. Na policzki wystąpiły mi rumieńce, nic jednak nie powiedziałem. Chciałem się ze wszystkiego wycofać, chciałem ją uszczęśliwić, ale nie mogłem zmienić swej decyzji. Spędzić resztę życia w Trzech Źródłach, prowadząc w mozole lichą egzystencję...? W

tamtym czasie pożerała mnie taka ambicja, że nawet wbrew uczuciu, jakim darzyłem swoją żonę, byłem gotów ją opuścić. I to właśnie Fatima, i zarazem mój największy przyjaciel, dostrzegła w moim wzroku. Zamrugła powiekami, wytarła oczy skrajem szala i popatrzyła na mnie twardo.

- Dobrze, mężu. Niech stanie się twoja wola.

Opuściła izbę.

W miesiąc później wyjechaliśmy do nowo wznoszonego Miasta Pokoju.

Do dzisiaj Fatima nosi ciemnoniebieskie i ciemnoszare bawełniane płaszcze, takie same, w jakie ubierała się w naszej wiosce. Nie nosi klejnotów i nigdy nie odziewa się w jedwab. Ma niewielu przyjaciół; wszystkich pochodzących z Trzech Źródeł: żonę rzeźnika, wróżbiarkę i mamkę do ostatniej czwórki naszych dzieci. Kiedy przybyliśmy do miasta, odmawiała nawet spotkań z żonami moich nowych przyjaciół i znajomych i wciąż mówiła z dawnym prowincjonalnym akcentem. Kiedy tylko było już mnie stać na wynajęcie służącego, poprosiłem ją, by nie pojawiała się więcej w sklepie, a kiedy wybudowałem obszerny dom, stworzyłem tam harem dla niej i dla naszych dzieci, jak przystało człowiekowi o mojej pozycji społecznej. A jednak łączące nas uczucie okazało się silniejsze od mojej próżności i jej urazy.

Po pewnym czasie nieśmiało zaczynałem zasięgać u niej rad na tematy aptekarskie i handlowe oraz opinii o naszych dzieciach i ludziach, których poznawałem. Wciąż byłem „mężem”, ale szybko zaczęła spędzać wszystkie wieczory w moim towarzystwie, tkając, podczas gdy ja do późna w nocy przebywałem w swej pracowni. Narodziło się nam kolejnych czworo dzieci. Znowu spieraliśmy się w kwestiach wiary, religii i magii, a ona wyrażała obawy, że po śmierci pójdę do piekła. Oburzało mnie, że wierzyła w astrologicz-

ne almanaki*¹⁹, magiczne napoje lecznicze i kokardki wiązane z kosmyków włosów.

W ostatnich latach nasze spory na ten temat zaczęły stopniowo zamierać; a nawet, zapewne, to żona wygrała tę wojnę. By sporządzić pewne specyficzne formuły, położyłem w swej pracowni modlitewny dywanik i oznaczyłem ścianę wychodzącą na zachód, w stronę Świętego Miasta. Dywanu tego używałem wprawdzie jedynie przy pracy nad tymi receptami, ale z czasem zacząłem odchodzić od tej reguły. Zaświtało mi bowiem w głowie, że sama obecność tego kobierca stanowi zaprzeczenie zasad, które wcześniej wyznawałem, co niebywale radowało Fatimę. Przestałem reagować na węzowe skórki, jakie czasami znajdowałem pod drzwiami mojej pracowni, oraz na pukle białych, rudych i czarnych włosów pod poduszką. Czasami nawet sorbet podawany mi przez żonę miał dziwny, cierpki smak. Owe gusła odprawiła w chwilach, kiedy miałem jakieś kłopoty; nawet jeśli o nich nie wspominałem, bezbłędnie je wyczuwała. Jej czary nic mnie nie kosztowały, a pieniądze, jakie wydawała na swoje rekwizyty, były niczym w porównaniu z fortuną wykładaną na moje tygle, paleniska i krew ptaka olbrzyma. Cóż mogę rzec? Kiedy następnego dnia po mojej przygodzie w Pałacu Wiecznej Rozkoszy przyniosła mi śniadanie, intuicyjnie wyczułem osobliwą słodycz w soku cytrynowym, który mi zro biła; miał wyraźnie mało cytrynowy smak. Smakował raczej jak musztarda. Fatima spoglądała na mnie bez zmrużenia oka. Przesłałem jej uśmiech i wypilem napój duszkiem do dna. Kto wie? Może zamieniłby mnie w złoto?

6

Według religii każdemu z nas nieustannie towarzyszą dwa anioły; tego popołudnia śniłem o nich. We śnie z oddali ujrzałem siebie. Siedziałem sztywno w gondoli płynącej najpierw jednym kanałem, następnie drugim.

19 *Almanak - dawniej kalendarz, osobliwie z uwagami astrologicznymi (zob. J. Karłowicz, *Słownik języka polskiego*).

Zawiły szlak zdawał się nie mieć końca, ale wiedziałem, że zmierzam prosto do pałacu Szemselnehary. Nie było żadnego wioślarza, gładkiej toni wody nie przecinały inne łodzie. Byłem sam, towarzyszyły mi tylko dwa anioły unoszące się nad moją głową. Mówią, że anioł po prawej stronie zapisuje nasze dobre uczynki; ten po lewej - złe. Ale w moim śnie tylko jeden z tych aniołów wszystko zapisywał, przemieszczając się nade mną to z lewej, to z prawej strony. Drugi natomiast zanosił się śmiechem. Popatrzyłem w górę, ale nie ujrzałem już moich niebiańskich towarzyszy. Byłem sam.

Mój skryba miał na twarzy figlarne dołeczki. Nagle stał się nadąsany, ujrzałem błyszczące oczy... mojej córki Zajnab? Nie, było to oblicze mojej ulubionej, najmłodszej córki, a skrybą była Mona, niewolnica Szemselnehary. Gwałtownie otworzyłem oczy. Nic mnie nie zdziwiło. Dobrze wiedziałem, że zapadłem w sen, a teraz się obudziłem. A jednak przez moją głowę przeleciała myśl: skoro każdy z nas ma dwóch aniołów stróżów, to w takim razie nad Miastem Pokoju muszą unosić się ich miliony. Gdybym tylko mógł je wszystkie ujrzeć, powietrze, którym oddycham, wirowałoby od ich lśniących skrzydeł.

Przeciągnąłem się i popatrzyłem w słońce. Prawie zasnęłem. Zawsze, kiedy nawiedzały mnie przedłużające się wizje, opowiadałem o nich kalifowi, który uwielbiał opowieści o aniołach i Bogu. Ale wciąż jeszcze do połowy pogrążony we śnie, w stanie odrętwienia kojącym mój lęk, ruszyłem w stronę Pałacu Złotej Bramy.

Pierwsze zaproszenie od kalifa otrzymałem jakieś dwanaście lat wcześniej. Jego Królewska Mość Harun Sprawiedliwy, Strażnik Wiary, Pogromca Greków, Syn... Syn... Potomek Proroka życzy sobie, byś zagrał z nim w szachy. Partia szachów? Czyżby brakowało mu innych laików szachowych, których mógł pokonać? Od paru lat stroniłem od świata. Nie pragnąłem zatem względów kalifa, nie miałem ani talentu, ani zamiłowania do gry w szachy.

Wcześniej tego dnia, kiedy nachylałem się nad paleniskiem, naciągnąłem sobie mięśnie pleców; wymagana ceremoniałem czołobitność i ukłony dopełniły moich cierpień. Po krótkiej wymianie grzeczności - taki honor mógł po-

walić na kolana kogoś o wyższej pozycji społecznej niż moja - kiedy kalif oświadczył, że od dawna pragnął poznać człowieka zaliczanego do najbieglejszych w swoim fachu, zasiedliśmy do gry. Znakomity w ataku, kalif odsłaniał swe figury. Trzykrotnie nie wykorzystałem sytuacji, sądząc, że jest to pułapka; żaden gracz zdolny do tak fantastycznych posunięć nie mógłby być aż tak nierozsądny. I wtedy nieoczekiwanie odsłonił mędrca*²⁰. Obrzuciłem szachownicę baczny spojrzeniem. Mój król był w pełni chroniony, a gambit poświęcający mędrca po prostu nie mieścił mi się w głowie. A jednak zbiłem tę figurę. Kalif pokręcił głową, popatrzył na mnie znad szachownicy, po czym znów utkwiał w niej wzrok. Na twarzy pojawił mu się uśmiech.

- Byłem bardzo nieostrożny, nieprawdaż?

- Zapewne Wasza Wysokość zastawił na mnie pułapkę.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Nie - zaprzeczył. - Po prostu zabrałeś mi mędrca. To wszystko. Mój słoń bije jeźdźca na czwórcę.

Kontynuowaliśmy grę. Władca wykonał dwa brawurowe ataki, doprowadzając do sytuacji, w której w dwóch ruchach mógł zbić mi króla. Ale za każdym razem zostawiał w swych szeregach pewne luki, a ja je bezlitośnie wykorzystałem. Zabrałem mu słoń, następnie obu jeźdźców. W tym momencie powinien był przerwać grę, ale on nie wykazywał najmniejszych oznak strapienia. Czyżby cały czas symulował?

Nie należałem do tęgich szachistów. Powszechnie znano upodobanie kalifa do szachów; był wytrawnym znawcą tej gry. Dograliśmy partię do końca. Wygrałem. Padając przed kalifem plackiem, oświadczyłem, że jestem najszczęśliwszym ze wszystkich szachistów, bo, po pierwsze, grałem z przeciwnikiem bardzo przewyższającym mnie godnością i znaczeniem, a po drugie, że dzięki ślepemu przypadkowi udało mi się odnieść niezasłużone zwycię-

²⁰ *Arabska terminologia szachowa różni się od polskiej.

stwo nad kimś, kto tak bardzo przewyższa mnie umiejętnościami. Naprawdę sądziłem, że kalif w swej łaskawości i mądrości pozwolił mi wygrać partię.

- Bzdura - odparł kalif. - Powstań, proszę.

Klasnął w dłonie i drzwi do komnaty otworzyły się. Władca wezwał Mesroura i Dżafara, wielkiego wezyra, którzy z całą pewnością mieli ważniejsze rzeczy na głowie niż zajmowanie się moją osobą.

- Jeszcze raz, jak się nazywasz? - odezwał się kalif.

- Abu al-Hasan, syn Tahera, panie.

Byłem kompletnie oszołomiony i zbity z tropu. Uzmysłowiłem sobie, iż popełniłem fatalny błąd.

Pojawili się Dżafar, Mesroure, marszałek dworu Madżnun oraz kilku innych najwyższych rangą dostojników.

- Czy widzicie tę szachownicę? - zapytał kalif.

Oni pochyłili grzbiety w kornym ukłonie.

- Z tym oto aptekarzem, Abu al-Hasanem, synem Tahera, przegrałem. Jest on jedynym godnym mnie przeciwnikiem w całym imperium. Czego pragniesz, Abu al-Hasanie, czy masz jakieś szczególne życzenia, które mógłbym spełnić?

Może chcesz domu, muzykantów albo nałożnicę? A może tysiąca złotych dinarów?

Byłem tak osłupiały, że prawie zapomniałem złożyć mu ukłon.

- Wasza Wysokość jest zbyt wspaniałomyślny. Cała ta łaska spłynęła na mnie przez ślepy przypadek. Nie wyobrażam sobie większej nagrody niż ta, która już mnie spotkała. Jest nią obecność Waszej Wysokości.

- No dobrze. Zatem dziesięć tysięcy dinarów i... czy masz żonę?

- Mam, Wasza Dostojność.

- Zatem jeszcze naszyjnik z najpiękniejszych pereł dla twojej pani. I spodziewam się ciebie tutaj dokładnie za tydzień.

Leżałem przed nim plackiem i nie widziałem, czy wypowiadał te słowa z uśmiechem. Zakładałem jednak, że mówi poważnie.

- Dobroć i łaskawość Waszej Wysokości wprawia mnie w konfuzję i zażenowanie. Ale błagam i zaklinam Wasz Majestat, Panie, na wszystkie świętości, byś pozwolił mi cenić łaskę twego zaproszenia wyżej niż nagrodę, jaką w swej dobroci raczyłeś wyznaczyć mi za moją tak niewiele znaczącą usługę. Ale nie pragnę pieniędzy, a moja żona, wyniesiona ponad miarę przez łaskawość Waszej Królewskiej Mości, nie nosi klejnotów i kosztowności.

- Wstań, aptekarzu.

Wstałem.

- Spójrz na mnie.

Spojrzałem.

Na twarzy malował mu się wyraz rozbawienia i wielkiej serdeczności.

- Cóż, przyjacielu, widzę, że jesteś całkiem szczerzy. Nie chcesz pieniędzy, twoja strata. Rozdam je w twoim imieniu ubogim. Ale nalegam, byś przyjął dla swojej żony perły. Przekaż jej i swoim dzieciom moje życzenia szczęścia, zdrowia oraz powodzenia. A jeśli nawet twoja żona wzbraniać się będzie przed przyjęciem tego daru, z całą pewnością masz córkę, bratanicę lub siostrzenicę, która z wielką radością przyjmie ten naszyjnik. - Zaklaskał w dłonie. - A teraz odejdz już, Abu al-Hasanie, synu Tahera. Dobrze bawiłem się w twoim towarzystwie i z niecierpliwością oczekuję kolejnej partii szachów... Madżnunie, daj mu jakiś drogocenny naszyjnik.

Niewolnik, który wyprowadził mnie z pałacu, uświadomił mi pewną rzecz. Moje wcześniejsze wysiłki, by podnieść swój status społeczny, uwieńczyłem sukcesem, ale tylko w pewnych granicach. Nigdy nie otarłem się o najwyższe elity królestwa; nie mogłem nawet marzyć o tym, by znaleźć się w

poblizu kalifa. Nie miałem nawet kontaktu z dostojnikami wchodzącymi w skład dworu. Skąd zatem mogłem wiedzieć, że żaden z tych wielkich panów nie odważyłby się wygrać z kalifem w szachy? Dżafar, jedyny człowiek, który był gotów podjąć grę z kalifem, znenawidził szachy od chwili, kiedy jedną z figur zadławił się na śmierć jego syn.

Spotykałem się z kalifem co tydzień. W szybkim tempie doskonalił swe umiejętności szachisty; podobnie jak ja. Staliśmy się równorzędnymi przeciwnikami. Pewnego razu, kiedy tłumiał rebelię kacerzy, przesłał mi w liście swoje ruchy. W odpowiedzi przesłałem mu swoje i w ten sposób przez sześć miesięcy graliśmy ze sobą, mimo iż przebywał w odległym Khorasanie. Po roku czy dwóch zaproponował, bym zwracał się do niego po imieniu - Harunie. Odmówiłem. Mój grzbiet z łatwością znosił nieustanne czołobitne pokłony, a nie chciałem udawać równości stanu, która po prostu nie istniała. Abu Nuwas mówił mu po imieniu, podszczypywał żartobliwie w policzki i rozlewał mu na szaty wino; przypominał małego, figlarnego chłopca bawiącego się z wyrozumiałym ojcem. Ja wołałem mu się kłaniać i mówić do niego „panie”, podobnie jak czynili to inni utytułowani słudzy; tak było bardziej godnie. Mijały lata. Toczyliśmy długie rozmowy o miłości i Bogu, o starych tradycjach i nowych obyczajach, o alchemii i starzeniu się. „Abu al-Hasanie, mój przyjacielu” - mówił. „Panie mój i władco” - odpowiadałem.

Teraz, kiedy przekraczałem bramę zewnętrznego ogrodu i kroczyłem wyłożonymi marmurem alejami, pałacowa straż nisko mi się kłaniała. W stawach o kształcie półksiężyca rozkwitały lotosy, poprzycinane odpowiednio krzewy róż słały imiona Boga, Proroka i kalifa, liście cyprysów, o pniach nabijanych srebrnymi blaszkami, lśniły w promieniach zachodzącego słońca. Owo srebro nie wpływało dobrze na drzewa, jak też na żyjące pośród nich zwierzęta - pawie, oślepienie i rozdrażnione srebrzystymi rozbłyskami metalu, kroczyły dumnie i toczyły ze sobą bezsensowne walki.

Przed wrotami właściwego pałacu oczekiwał mnie Jazid, syn Mazyada, marszałek dworu pełniący tę funkcję od czasu, gdy otruto Madżnuna.

Uklonił mi się z przymilnym uśmiechem.

- Abu al-Hasanie, panie mój! Co za zaszczyt!

Marszałek dworu zarządzał dworem kalifa i całym gospodarstwem, w tym również pałacem Szemselnehary. On też decydował, kto mógł stanąć przed obliczem kalifa. Osobiści szpiedzy kalifa zapewne dostawali się do pałacu osobnym wejściem, lecz jedyna droga wiodąca do tronu władcy prowadziła przez tego niskiego, grubego i pozornie serdecznego Persa. Nosił zazwyczaj szaty i turbany utkane ze złotego jedwabiu wyszywanego srebrem, a długą brodę barwił na jaskrawoczerwony kolor; gdyby nie jego smoliście czarne oczy, mógłby udawać delikatną, połyskliwą zabaweczkę. Oddałem mu ukłon.

- Co u ciebie nowego, Jazidzie, panie mój? Pokój niech będzie z tobą.

- I z tobą, drogi Abu al-Hasanie, dostojny panie. U mnie wszystko w najlepszym porządku. A u ciebie? Słyszałem, że zeszłej nocy zabawiłeś do późna.

Popatrzyłem nań uważnie.

- No cóż, trochę przesadziłem - powiedziałem beztrąsko, mając nadzieję, że nie zauważył lekkiego dreszczu, jaki wstrząsnął moim ciałem.

Smoliście czarne oczy Jazida były czujne, a ich spojrzenie ostre. Cóż miałem odpowiedzieć? Mam na dworze tylko jedną przewagę - błysnęła mi myśl - i jest to przewaga miażdżąca. Byłem w imperium jedyną osobą, która nazywała kalifa swoim przyjacielem. Ponownie spojrzałem na Jazida.

- Właśnie udaję się do kalifa, by porozmawiać na ten temat.

- Doprawdy?

Po twarzy marszałka dworu przemknął cień uśmiechu. Właściwie nie wiedziałem jeszcze, co mam powiedzieć kalifowi. Instynkt podpowiadał mi, że powinienem wyznać mu całą prawdę, a następnie we dwójkę zastanowić się nad rozwiązaniem kłopotliwej sytuacji. Widząc jednak czarne źrenice Jazida, które lśniły niczym dwa rozpalone węgielki w miękkich pokładach zwo-

jów jedwabiu, oraz obwisłe policzki i ufarbowane na czerwono włosy, zacząłem się bać. Jak książę mógł uniknąć banicji? Skalany został też honor Szemselnehary. Kalif nie tylko mógł zabić księcia; większość ludzi wręcz domagać się będzie jego śmierci. Byłby to z pewnością uczynek bardzo nierozważny, o poważnych reperkusjach politycznych w całym imperium, i któż wiedział, na co stać kalifa ogarniętego dzikim płomieniem nieprzytomnej zazdrości?

Pozwoliłem Jazidowi wziąć się pod ramię i ruszyliśmy wolnym krokiem.

- Abu al-Hasanie - odezwał się. - Jeśli idzie o takie kwestie jak religia, filozofia, alchemia i inne sprawy istotne w tym świecie, nikt nie zaprzeczy, że jesteś bardzo mądrym człowiekiem.

- Dzięki ci za łaskawe słowa, mój panie.

Uśmiechnął się skromnie.

- Twoje podziękowanie jest bezzasadne, mój panie, gdyż wypowiedziałem jedynie prawdę powszechnie znaną. Dlatego, mój drogi Abu al-Hasanie, jako człowiek mądry i myślący, zdobyłeś przyjaźń i szacunek naszego suwerena, naszego dostojnego księcia Abu al-Hasana Alego, i naturalnie... - Nie zwalniając kroku i nie puszczając mego ramienia, skłonił się nisko. - I naturalnie mojej skromnej osoby. Jestem twym dozgonnym sługą i niewolnikiem, panie.

Spojrzałem na niego kątem oka.

- Dzięki, mój panie, Jazidzie. Bądź pewien, że i ja darzę cię niezmiernym szacunkiem i przywiązaniem za wierność, jaką okazujesz naszemu Strażnikowi Wiary.

Jazid lekko wzruszył ramionami. Pod zwojami jego kosztownej jedwabnej szaty poczułem przelewające się zwały sadła.

- Robię co w mej mocy - odrzekł. - Jego Wysokość jest tak mądry, jego myśli tak wzniosłe, a umysł tak lotny i przenikliwy, że drobniotka część tych zalet w osobliwy sposób przenika zapewne do umysłu pokornego, niegodne-

go służy, jakim jestem ja. Dlatego też potrafię, niczym stare, zmatowiałe zwierciadło, odzyskiwać dawny kryształowy blask dzięki promieniom słońca, które rzuca na nie jaskrawe światło. Jak sam najlepiej wiesz, każdy mój sukces zawdzięczam jego światłemu przewodnictwu, a każde moje niepowodzenie wynika jedynie z tego, że nieuważnie wsłuchuję się w jego słowa i w niedostateczny sposób analizuję jego rady i postępowanie.

Mijaliśmy właśnie połyskliwy staw, w którym odbijał się pałac kalifa. Przepływający łabędź marszczył wodę tak, że odbita w toni zielona kopuła pałacu drżała.

- A na dodatek naszego oddania Jego Wysokości - ciągnął układnie marszałek dworu - obu nas, ciebie, drogi Abu al-Hasanie, i mnie, łączy jeszcze coś: miłość do młodego księcia Abu al-Hasana, dziedzica królewskiego tronu Persji, symbolu mego narodu, poddanego i mężnie stojącego na straży Jego Wysokości i Wiary. Książę jest tak szlachetny i wierny, że gdyby nawet padł na niego jakiś cień podejrzenia, byłby to z całą pewnością dowód spisku jakichś złych, wrogich naszemu kalifowi sił.

- Panie mój, Jazidzie, twoje obawy świadczą jedynie o tym, jak szczere i wielkoduszne jest twoje serce. Ale mam ten zaszczyt i przyjemność zapewnić cię, że twoje lęki są płonne i bezpodstawne.

Na twarzy Jazida pojawił się szeroki uśmiech. Ścisnął moje ramię z taką siłą, że aż sprawiło mi to ból. Zastanawiałem się chwilę, skąd w tak tłustym i zniewieściałym mężczyźnie drzemie tyle siły.

- Też mam taką nadzieję, drogi Abu al-Hasanie.

- Rozumiem cię, panie mój, Jazidzie, ale raz jeszcze pragnę cię zapewnić, że obawy twoje nie mają podstaw.

- O nie, mój miły Abu al-Hasanie. Mimo iż mam w wielkiej estymie twój rozum i mądrość, wydaje mi się, że teraz mnie nie zrozumiałeś.

Uścisk jego dłoni na moim ramieniu zelżał. Po chwili jednak marszałek dworu przesunął rękę na mój łokieć i ścisnął go z taką mocą, że ostry ból przeszył mi ramię, dochodząc aż do szyi.

Zatrzymałem się gwałtownie i głośno wciągnąłem powietrze. Jazid, z którego twarzy nie schodził uśmiech, powiedział cicho:

- Nie wiem, jaką prowadzisz grę, Abu al-Hasanie, ale wiem z całą pewnością, że nie jesteś człowiekiem stworzonym do takich intryg.

Puścił moją rękę i dłuższą chwilę spoglądaliśmy sobie w oczy. Z oddali, znad rzeki, doszły do nas krzyki łodziarzy. Były za daleko, bym rozróżnił poszczególne słowa, ale z natężenia przenikliwych nawoływań wywnioskowałem, że zderzyły się dwie łodzie. Uśmiech Jazida stał się jeszcze szerszy. Poklepał mnie serdecznie po ramieniu.

- Abu al-Hasanie, musimy koniecznie porozmawiać. Oczywiście nie tu, ale w moim domu, po wieczornej modlitwie. Mam nadzieję, że jutro lub pojutrze książę wybierze się w podróż, a ja chętnie mu ją zaplanuję. Myślę, że powinien odbyć pielgrzymkę do Świętego Miasta. Byłoby to krzepiące, gdyby młodemu człowiekowi przyświecały tak pobożne cele... ale oczywiście nigdy ani ty, ani ja nie wątpiliśmy w jego wyjątkowe zalety i pobożność. Poza tym stolica to bardzo niebezpieczne miejsce. Nieszczęsny Madżnun, zacy starzec, nigdy tego do końca nie zrozumiał. - Zrobił kwaśną minę i wydał wargi. - Sam najlepiej wiesz, że nieustannie brakuje mi Madżnuna. Odnoszę wrażenie, iż jego nagła śmierć, ta okropna trucizna, zaskoczyła wielu ludzi. Podobnie jak ty interesowałeś się filozofią i podobnie jak ty szczylił się zaufaniem Jego Wysokości. Niech jego dusza spoczywa w spokoju.

Odwrócił się gwałtownie i podjął marsz. Wciąż bolało mnie ramię po jego mocarnym uścisku. Nie odwracając głowy w moją stronę, nie patrząc nawet, czy za nim podążam, powiedział:

- Jesteś dobrym i uczciwym człowiekiem, Abu al-Hasanie. A dla takiego człowieka nie ma miejsca w pobliżu ludzi pokroju Nuraddina.

Po chwili ruszyłem za nim.

- Idę właśnie do Jego Wysokości - rzekłem na tyle głośno, że strażnicy odwrócili się w naszą stronę. - Nie udaję się ani do Nuraddina, ani do nikogo innego.

Jazid zwolnił kroku, tak że po chwili zrównaliśmy się ze sobą.

- Wiesz, jakim zaufaniem darzy mnie Jego Wysokość - powiedziałem cicho. - Wiesz także, jakim przywiązaniem i uczuciem darzę księcia. Jazidzie, widzisz bardzo dużo, ale nie wszystko z tego, co widzisz, w pełni rozumiesz. - Potrząsnąłem wciąż bolącą mnie ręką. - Ty też musisz uważać, drogi Jazidzie. Jeśli wplączesz się w sprawy, z których kalif, w całej swej mądrości, nie zamierza się tobie zwierzać, możesz sprowadzić ogromne kłopoty nie tylko na Jego Majestat, ale też na księcia oraz, wybaczyć, że to mówię, na swoją własną głowę.

Oczywiście blefowałem, ale Jazid doskonale wiedział, że jestem przyjacielem zarówno kalifa, jak i księcia. Musiał mi po prostu uwierzyć; i z całą pewnością tego chciał.

Zerknął w moją stronę.

- Zapamiętam, co mi powiedziałaś, Abu al-Hasanie, ponieważ zawsze ceniłem i cenię skarby, jakimi są słowa mądrych ludzi. W rewanżu, miły przyjacielu, znając w swej roztropności na wskroś miasto i znając roztropność, z jaką prowadzisz młodzież, pamiętaj również o tym, co ja ci powiedziałem. Los księcia zawsze bardzo leżał mi na sercu, a to znaczy, że moje oddanie i cały mój afekt dotyczą również ciebie. Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo zasmuciłoby mnie, gdybym musiał zmienić zdanie co do ciebie, gdybyś stracił cały mój szacunek i całą miłość, jakie zawsze do ciebie czułem. Ale na razie byłbym zaszczycony twoją wizytą w moim domu. Mam nadzieję, że w swej łaskawości przyjmiesz to zaproszenie.

Dłuższą chwilę szliśmy w milczeniu aleją wyłożoną marmurem i otoczoną majestatycznymi palmami. Jazid nieoczekiwanie przystanął. Jego złota

szata i turban lśniły matowym blaskiem w promieniach zachodzącego słońca. Dał krok do przodu, schylił się w niskim pokłonie, dotykając niemal głową ziemi, i gestem ręki dał mi znak, bym ruszył do przodu. Wkroczyliśmy do niewielkiego ogrodu, gdzie oczekiwał kalif.

Babilońskie wierzby, o których powiadają, że wciąż jeszcze ronią łązy po upadku miasta, szeleściły w lekkich podmuchach wiatru. Drzewka granatów, obsypane dojrzałymi owocami, lśniły ognistym blaskiem; w niewielkich stawkach złote ryby połyskiwały wielobarwną łuską. Pnie drzew nie były niczym upiększone, a brzegi stawów wyłożono zwykłymi, czarnymi głazami. Podobnie jak w pałacu Szemselnehary układ ogrodu poprzez swą pozorną przypadkowość był nieskazitelny. Dalej rozciągała się kojąca wzrok toń rzeki oraz gęste lasy; ilekroć kalif przebywał w swym ogrodzie, wszelki ruch na rzece wstrzymywano. Wszystkie domy stojące na brzegach rzeki zostały wykupione i zburzone po to, by zrobić miejsce dla zagajników, w których rosły drzewa sprowadzane z rozciągających się na północy gór.

Kalif siedział przy prostym kamiennym stoliku z wyrzeźbioną na blacie szachownicą. U jego nóg zaczynały się schody prowadzące prosto do rzeki. Kilku muzykantów grało na lutniach; eunuch chłodził go wachlarzem.

- Wasza Wysokość, przybył Abu al-Hasan, syn Tahera.

- Abu al-Hasan! - Kalif wstał z uśmiechem na ustach, ale czoło miał zmarszczone, a wyraz oczu nieobecny. - Dziękuję, Jazidzie, możesz odejść. Abu al-Hasanie, na dobroć Boga, nie kłaniaj się... wy też możecie odejść. - Skinął ręką na muzykantów i eunucha, i ci zniknęli w mgnieniu oka. Jazid, nieustannie bijąc pokłony, wycofywał się powoli, by po chwili zniknąć za zakrętem alei. - Piechur na króla na czwórce, Abu al-Hasanie. Ale co u ciebie? Wciąż czekasz na wyląg jajka?

Opowiedziałem mu kiedyś o recepcie zawierającej jedynie siarkę, rtęć, popioły i duchową doskonałość.

Podszedł do mnie i ujął za dłoń. Zmusiłem się do uśmiechu, mając nadzieję, iż drzenie mej ręki weźmie za objaw starości. Nuraddin dobrze wie-

dział, co wydarzyło się ostatniej nocy, podobnie jak Jazid i dziesiątki niewolników; pytanie brzmiało: czy ktokolwiek z nich doniósł o tym kalifowi? Zarządzający zarówno haremem, jak i prywatnymi audiencjami u kalifa Jazid miał nieograniczone możliwości blokowania wszelkiej informacji. Ja z kolei wiedziałem, że kalif, mający wszędzie swych donosicieli, polecił, by żaden z nich nie tropił Szemselnehary. Jeśli Nuraddin chciałby o wszystkim poinformować władcę, musiałby znaleźć do niego dojscie; ale po co wysyłałby posłańca, który pytałby tego ranka o moje zdrowie.

- Panie mój, u mnie wszystko dobrze. Wielkie dzięki za troskę.

- Miło mi to słyszeć. Ale czy wczoraj nie czułeś się chory? Doszły mnie głosy, że twój sklep był zamknięty.

Pobladłem. Kalif był człowiekiem nader spostrzegawczym i pamiętał wszystko, ale w tej chwili wyraz jego twarzy wyrażał jedynie ogromną troskę.

- Spałem - odrzekłem. - Zeszłej nocy zabawiłem się nieco dłużej w towarzystwie księcia Persji.

- Tak. Słyszałem, że udaliście się na przyjęcie, co bardzo mnie zdziwiło. Myślałem, że Abu al-Hasan Ali jest człowiekiem równie wstrzemięźliwym jak ty.

Zmusiłem się do uśmiechu.

- Też tak myślałem, ale...

- Oczywiście - przerwał mi kalif. - Jeden z eunuchów Szemselnehary zbudził cię w środku nocy. Wybacz.

Potrząsnąłem głową.

- Zostałem obudzony... Właśnie wróciłem do domu... Mam nadzieję, iż moje lekarstwo pomogło. Dziś rano jeden z jej niewolników przybył do mnie z wiadomością, że pani czuje się już lepiej.

Kalif zmarszczył brwi.

- Istotnie, lepiej.

- Ale jeszcze nie wydojrzała do końca?

Zakłopotany, spuścił na chwilę wzrok i potrząsnął głową.

- Dobrze, Abu al-Hasanie, usiądź i spojrzysz na szachownicę. Wybacz, że kazałem ci tak długo stać. Czy masz ochotę coś zjeść?

Potrząsnąłem odmownie głową. Usiedliśmy pod zielonymi gałęziami płaczącej wierzby.

Był upalny letni wieczór, ale znad rzeki napływała rozkosznie chłodna, niosąca wilgoć bryza. Wierzby szumiały. Na granatowym niebie lśnił dochodzący do pełni księżyc. Aż trudno było uwierzyć, że zaledwie poprzedniej nocy dopuściłem się zbrodni i teraz musiałem okłamywać kalifa. Przepęłniły mnie gorycz i smutek; nie chciałem oszukiwać przyjaciela, ale w tej chwili nie mogłem mu jeszcze wyjawić całej prawdy. Jeśli skłonię księcia do opuszczenia miasta, jak sugerował Jazid, kiedy opadną emocje i minie pierwszy gniew, jeśli będę miał trochę czasu... Ostatecznie kalif wszystko zrozumie, a nawet mi podziękuje. Jeżeli w porywie zazdrości zetnie księciu Persji głowę, z całą pewnością wybuchną zamieszki; egzekucja może nawet pociągnąć za sobą rebelię.

Poza tym każda z osobistych komnat kalifa miała co najmniej jedno sekretne wyjście, zamaskowane ściennymi obiciami, kilimami lub kobiercami. Tak więc sam władca albo któryś z jego szpiegów mógł zawsze podsłuchiwać toczące się w komnatach rozmowy. Przyszło mi nagle do głowy, że również ogród pełen jest zacienionych miejsc, gęstych kęp drzew i zarośli, schodków, pod którymi szpieg mógłby się ukryć i śledzić rozmawiających.

Z wysiłkiem skupiłem uwagę na szachownicy. Piechur na króla na czwórce? Cóż, mogłem zastawić go swoim jeźdźcem, a następnie, kiedy odsunie swego króla, zabrać mu jeźdźca swoim jeźdźcem. Jego Wysokość rzeczywiście tego wieczoru był roztargniony. Nawet podczas wielkiego buntu

czcicieli Zoroastra nie wykonywał tak nierozważnych ruchów. Podobnie lekkomyślne posunięcia z jego strony pamiętałem jedynie z kilku naszych pierwszych gier.

Podniosłem znad szachownicy wzrok. Ogarnął mnie strach, gdy zobaczyłem, że kalif bacznie mi się przygląda.

- Panie?

- Tak?

- Co wydarzyło się ubiegłej nocy?

- Ach! - Odwrócił wzrok i niedbale machnął ręką. - Cóż, zaraz po moim wejściu do jej komnat zemdląca. Odzyskała przytomność po solach trzeźwiących, ale wciąż była słaba; bardzo też jej pomogła przepisana przez ciebie krew. Doktorzy nie potrafią dojść przyczyny słabości, ale ona utrzymuje, że wciąż ma zawroty głowy, kiedy wstaje, a na samą myśl o jedzeniu ogarniają ją mdłości.

Zamilkł i spojrzał na mnie wyczekująco. Przybrałem zamyślony wyraz twarzy.

- Powiedziałeś mi kiedyś, panie, iż medycy twierdzą, że natura ludzka składa się z humorów*²¹ gorących i wilgotnych, których to równowagę bardzo łatwo zakłócić. Być może przyczyna jej choroby leży w diecie?

- Być może. Abu al-Hasanie, kiedy będziesz opuszczać pałac, zajrzyj do niej. Zapowiedziałem eunucom twoją wizytę. Zrób wszystko, co będzie konieczne. Wiedzą, iż ufam tobie bez reszty. Nie masz aby przy sobie jeszcze trochę tej smoczej krwi?

- W każdej chwili mogę po nią posłać.

²¹ *Humory - możemy też zwać je rozciekami, oznaczają wszystkie substancje płynne rozplodzone w ciele ludzkim trawieniem pokarmów (zob. J. Karłowicz, op. cit.).

- Doskonale. Oprócz receptury stworzonej przez jakiegoś tajemniczego, ślepego doktora twój przepis skutkuje najlepiej. Ale również porozmawiaj z Szemselneharą; wydaje mi się, że ufa ci jak własnemu ojcu.

- Raczej dziadkowi.

Na chwilę zamknął oczy. Od rzeki dobiegł mocny powiew wiatru. Zapadł już zupełny mrok, lecz kalif nie prosił o lampy. Siedzieliśmy w ciemności pogłębianej jeszcze przez wiszące nam nad głowami gałęzie wierzby, w których buszował wiatr. Niczym gorące opary łaźni spływało na nas dziwne ukojenie i spokój. Kalif otworzył oczy. W jego zielonych źrenicach, ku swemu przerażeniu, dostrzegłem wyraz cierpienia.

- Abu al-Hasanie, czy przypominasz sobie teologów, których przed kilkoma laty skazałem na śmierć?

- O których mówisz, panie?

- O tych, którzy próbowali oddawać mi boską cześć.

Skinąłem potakująco głową. Kilkunastu teologów oświadczyło, że kalif jest równy Prorokowi, a więc nie może czynić zła i śmiertelnicy powinni uczyć się mądrości na przykładzie każdego najprostszego uczynku władcy. Wszystkich ich skazał na śmierć jako bluźnierców.

- Abu al-Hasanie, myślę, że Szemselnehara nie jest szczęśliwa.

Próbowałem spojrzeć mu w oczy, ale nie starczyło mi odwagi. Przeniósłem zatem wzrok na pogrążone w mroku drzewa. Ich gałęzie były nieruchome, gdyż ucichł napływający od rzeki wiatr. Półtora roku wcześniej kalif zaskoczył mnie pomysłem, by nazwać pałac Szemselnehary Pałacem Wiecznej Rozkoszy. Głęboko religijny, wiedział o śmierci; zdawał sobie więc sprawę, że na tej ziemi żadna rozkosz nie trwa wiecznie. Zastanawiałem się również, co czuje, spoczywając w ramionach dziewczyny, która ma jedną czwartą jego lat. Mówią, że starcy zadają się z młódkami, by przechytrzyć swoją starość. Ja jednak podejrzewałem, iż kalif w ten perwersyjny sposób starał się przy-

pominać sobie o własnej śmiertelności. Powiedziałem mu to; wybuchnął śmiechem, wyraźnie zadowolony:

- Abu al-Hasanie, jak na mnie jesteś stanowczo zbyt subtelny. Zapominasz, że jest piękna i niebywale rozkoszna.

Ale to już leżało w naturze kalifa; starał się udawać, że ma mniej filozoficzną naturę niż w rzeczywistości.

Przez całe lata wybierał sobie bardzo młode kobiety; na kolejne nałożnice brał dziewczęta w wieku szesnastu, siedemnastu lat. Osaczony bezwzględnyymi manipulacjami i dworskimi intrygami, szukał ukojenia w niewinności. A dostęp do władcy oznaczał posiadłości ziemskie, tytuły, ważne stanowiska dla braci i przyjaciół. Wcześniej czy później odkrywał jednak, że kobiety, które kochał, po prostu go wykorzystywały. Władza jest kusząca - tylko niewiasty zbyt bojaźliwe, by zadbać o własne korzyści, naprawdę o niego dbały. Królowa Zubejda*²² miała olbrzymie włości, służbę noszącą jej barwy oraz szeroki krąg wpływowych dostojników i szlachty gotowych na każde jej skinięcie. Od dziesięciu lat nie zamienił z nią nawet słowa; nie wiem, dlaczego. Szemselneha- rze zostawiał bardzo dużo swobody, ale kategorycznie zabronił jej wspomagania biednych; bał się, by nie poczuła smaku władzy. Oświadczył mi, iż ma nadzieję, że dziewczyna się nie zmieni, że pozostanie z nim na zawsze, a on nigdy nie będzie już szukać nowych miłostek ani ona nigdy nie będzie pożądać nikogo innego poza nim.

Również mnie trzymał z daleka od swego dworu. Byłem daleki od tych spraw, ale wiedziałem, że zabronił swoim dworakom, nawet Nuraddinowi i Jazidowi, rozmawiać ze mną nieoficjalnie. „Mam wielu służących - oświadczył mi kiedyś. - Niektórzy są mi nawet wierni. I innych już nie potrzebuję”.

- Abu al-Hasanie!

²² *Córka al-Kasima. Ukochana małżonka Haruna ar-Raszida. Znana z piękności i zamiłowania do klejnotów. Była matką następcy tronu, późniejszego kalifa, al-Amina.

Wyrwany z rozmyślań, popatrzyłem w jego stronę. Ujrzałem utkwiony we mnie wzrok. W oczach kalifa malowała się prawdziwa udręka.

- Tak, panie?

- Sądysz, że jest nieszczęśliwa?

Odwróciłem głowę, spojrzałem na zwieszające się nad nami, pogrążone w mroku, gałęzie wierzby.

- Wczoraj, kiedy odwiedziła mój sklep, sprawiała wrażenie zadowolonej z życia - odrzekłem ostrożnie.

- Ale, znając kobiety, co o niej sądzisz?

- Panie, sam wiesz najlepiej, że zaznałem w życiu tylko jednej niewiasty.

- Abu al-Hasanie, nie zbywaj mnie wykrętami. Znamy się od zbyt dawna. Masz córki, widziałeś i słyszałeś tyle samo, co każdy inny mężczyzna. A mistycy utrzymują, że skoro Bóg jest w każdym atomie, potrafisz zdobyć całą wiedzę o Nim, studiując byle kamyk.

Odwróciłem wzrok od pogrążonych w mroku gałęzi wierzby i popatrzyłem w jego poważną i smutną twarz. Za plecami kalifa fale rzeki były miarowo w kamienne schody. Wiedziałem, że nad jej nurtem nie przerzucono żadnych mostów, a w każdym razie żadnych w pobliżu stolicy. Każdy podróżny udający się do Miasta Pokoju musiał korzystać z łodzi. Czasami, kiedy pojawiało się więcej przybyszów, łączono barki, tworząc chwiejny, nierówny most, po którym przeprawiali się na drugi brzeg.

- Panie mój i władco - powiedziałem. - Ona jest bardzo młoda. Wyniosłeś ją z biedy do królewskiego pałacu, traktowałeś jak królową, obdarzyłeś również wielkimi swobodami, które jednak pociągają za sobą wielkie obowiązki. Nie jest to łatwe.

- Twierdzisz, że dałem jej za dużo swobody?

Wzruszyłem ramionami.

- Myślę, że dałem jej za mało.

Odwrócił głowę. Podążyłem za jego wzrokiem w stronę ciemnego stawu, w którym pluskały się wielobarwne ryby. Sprawiały wrażenie, jakby nie potrafiły zginać swych ciał; płynęły przed siebie w jednym kierunku, w lewą lub prawą stronę, ale zawsze w linii prostej, zataczając kręgi wzdłuż nieregularnych brzegów sadzawki.

- Wiesz - wdarł się w ciszę głos kalifa. - Gdyby ktokolwiek inny zajął mój tron, skazałby mnie na śmierć za bałwochwalstwo. Czczę ją. Nic na to nie poradzę, ale traktuję ją jak królową. I kiedy inne kobiety boją się mnie nie kochać... trudno mi to wysłować... nie wiem... Ale czasami myślę, że ona kocha mnie naprawdę.

- To już wiesz tylko ty, panie.

Kalif doskonale zdawał sobie sprawę, że początkowo bardzo się go bała. Wiedział też, że oślepiiony żądzą, był niedelikatny i nieuprzejmy. „Trudno być miłym - wyznał mi pewnego razu - kiedy nikt nie waży mi się powiedzieć, że po prostu kogoś unieszczęśliwiam”. Ale wierzył, że zdobył jej uczucie, dając w zamian wolność, jakiej nie dałby jej żaden mąż.

Znów popatrzyłem na szachownicę. Zanim go po raz pierwszy pokonałem, kalif chwycił się wszelkich podstępów i forteli, by okazać się lepszym szachistą od innych. Groził swym przeciwnikom śmiercią, jeśli odważą się z nim wygrać; przerażeni - oddawali partie. Tak naprawdę wcale nie chciał ich za to mordować; ale wtedy już tracił motywację do gry. Robił wszystko, by przegrać - wykonywał na szachownicy najbardziej samobójcze posunięcia, próbując zmusić tym swych przeciwników do pokonania go. Oni chwyтали się najbardziej przebiegłych sposobów, by go wymanewrować i przegrać. Był to oczywiście pewien rodzaj sukcesu, skoro zmuszał swych przeciwników, aby w intencji przegrania z nim sięgali do najgłębszych zasobów swego intelektu.

Szybko jednak znudziło go tak perwersyjne współzawodnictwo. Jedyne Abu Nu was starał się go naprawdę zwyciężyć, lecz zawsze żądał, by podczas gry podawano mu wino. Szybko popadł w pijaństwo, choć moim zdaniem

popadł w nie o wiele wcześniej. Następnego dnia przechwalał się, że pokonał kalifa i żyje. Jego przechwałki powinny zachęcać innych, ale sprytni dworacy od razu wyczuwali prawdę; głupi wierzyli Abu Nuwasowi, sądząc, że oszczędziły go szczególne względy kalifa.

Pomyślałem też o tym, co tradycja mówi o Proroku.

Po zdobyciu Świętego Miasta Prorok wszedł do grobowca swojej matki, która umarła jako bałwochwalca. Klęknął do modlitwy, ale po chwili uniósł twarz zalaną łzami. „Poprosiłem Boga, by pozwolił mi odwiedzić grób matki, a On wyraził na to zgodę - wyjaśniał. - Ale kiedy poprosiłem, bym mógł się za nią pomodlić, odmówił mi”. Zabroniona jest bowiem modlitwa za niewiernych. Święta Księga wielokrotnie mówi, że żaden śmiertelnik nie może wstawiać się przed Bogiem; tylko On jest Sędzią. Tak więc Prorok, o którym mówi Święta Księga, powinien wiedzieć o tym najlepiej. Musiał wiedzieć, że jego modły nie miały znaczenia; byłoby to jedynie opłakiwanie zmarłej. Skoro zatem Bóg zabronił mu modlitwy za matkę, tak naprawdę zabronił mu żałoby po niej.

- O czym myślisz, przyjacielu?

Powiedziałem mu o naszych szachowych rozgrywkach, a on tylko skinął głową; powiedziałem też o moich przemyśleniach na temat Proroka - on milczał. Kiedy w końcu odezwał się, nie podniósł wzroku znad swoich kolan.

- Abu al-Hasanie, od czasu, kiedy skazałem Dżafara na śmierć za jego wiarołomność, jesteś jedynym człowiekiem, którego uważam za swego przyjaciela. Ale powiedziano nam, że nie mamy innych przyjaciół prócz Boga. - Popatrzył na mnie, w jego wzroku nie było ani groźby, ani smutku. Tylko powaga. - Twój ruch. Muszę spotkać się z wezyrem.

- Jeździec na słońia na czwórce, mój panie. Szach!

Najwyraźniej się tym nie przejął... zupełnie jakby przewidział mój ruch albo jego myśli błędziły gdzieś indziej. - Król na mędrca na dwójce.

Jeszcze raz przestudiowałem układ na szachownicy; nie było żadnej pułapki. Zabrałem mu jeźdźca.

7

- Powstań, Abu al-Hasanie. Bardzo mnie cieszy twoja obecność.

- Pani, niebywale zasmuciła mnie wiadomość o twojej przedłużającej się chorobie. Przyszedłem tu na rozkaz Jego Wysokości, który życzył sobie, bym służył ci swoją skromną wiedzą medyczną i uchem starca.

Wymawiając słowa „uchem starca”, popatrzyłem czujnie na jej niewolnicę. Szemselnehara skinęła na nie głową.

- Zostawcie nas samych - powiedziała, odprawiając je gestem dłoni.

Zniknęły w mgnieniu oka; wszak niejednokrotnie już były świadkami bardziej gorszących scen. Sprawiały wrażenie, że są naprawdę przywiązane do Szemselnehary, ale kto wie, która z nich poprosi o prywatną audiencję u kalifa? Skąd mogłem wiedzieć, czy któraś z nich już tego nie uczyniła? Wiedziałem, że Jazid zrobiłby wszystko, by sprawę wyciszyć, i wiedząc zarazem, że nikt prócz mnie nie odważył się wygrać w szachy z kalifem, byłem bardziej niż pewny, że nikt nie zgłosi się do władcy z wiadomością, która wielce by go rozgniewała. Wiedziałem, że kiedyś jedna z niewolnic Szemselnehary oskarżyła ją o niewierność. Kalif wezwał nałożnicę przed swe oblicze i spytał, czy to prawda. Kiedy wszystkiemu zaprzeczyła, bez zbędnych pytań kazał wychłostać niewolnicę batogiem i oddał ją ponownie na rynek.

Po raz pierwszy byłem w sypialni Szemselnehary. Zwisające z sufitu zasłony z czarnego jedwabiu powiewały mi nad głową w podmuchach wieczornego wiatru. Ogromne okna wychodziły na ogród pełen drzewek pomarańczy i ścieżek z mozaiką z wielobarwnych kamyków. Na wiszących jedwabiach wyhaftowano konstelacje gwiazd widocznych na niebie podczas bezksięży-

cowych nocy. Komnata była tak rozległa, że człowiek czuł się, jakby przebywał pod gołym niebem otoczony jedynie nocą. I tylko jedwabne zasłony, falujące w podmuchach wiatru, marszczyły rozgwieżdżone niebo, jakby sam Bóg zasiadał na swym tronie. Nad łóżem Szemselnehary paliła się niewielka, kuta w złocie lampa. Dawała niewiele światła, toteż resztę rozległej komnaty mogłem widzieć jedynie w sączącym się przez ogromne okna blasku księżyca. Ściany pokrywały gobeliny, kobierce i dekoracyjne tkaniny w żółtych, czerwonych i granatowych barwach, które harmonizowały z czarnym jedwabem przyczepionym u sufitu tak, jakby promienie słońca przeszywały zalegającą nad pustynią noc.

Szemselnehara w niczym nie przypominała kobiety, jaką widziałem wczorajszego dnia. Skórę miała bielszą, oczy i źrenice większe, rysy twarzy, okolonej burzą kruczoczarnych włosów, w migotliwym świetle lampy były delikatne i pełne drżenia. Opuściła ją cała duma i pewność siebie wielkiej pani. W ciepłe upalnej nocy spowijał ją jedynie cienki tiul powłóczystej szaty. Siedziała w łóżu i spoglądała na mnie wzrokiem pełnym niepokoju. Jej oczy były zarówno uwodzicielskie, pełne lęku... jak i bardzo czujne.

- Szemselneharo, czy naprawdę jesteś chora? - zapytałem cicho i bardzo spokojnie.

Spojrzała na mnie.

- Czy mogę ci ufać, Abu al-Hasanie?

- Możesz - odrzekłem i jej wzrok złagodniał, choć wyraz oczu pozostawał czujny. - Nie wiem, czy mogę ci pomóc, ale na pewno cię nie zdradzę.

Wyciągnęła ramię i ujęła moją dłoń.

- Abu al-Hasanie, nawet nie wiesz, jak bardzo w tej chwili potrzebuję przyjaciela takiego jak ty. Chyba nigdy nie będę w stanie ci się odwdziaczyć.

Cofnąłem dłoń i popatrzyłem w ciemność. Coś zadrżało; ścienny gobelin, wiszący zbyt daleko, bym mógł go w mroku dokładnie dostrzec, zafalował w napływającym przez okno podmuchu wiatru. Oblicze Szemselnehary

było równie łagodne jak jej słowa. Ale wciąż spoglądała na mnie czujnie. Najwyraźniej ważyła każde słowo, każdy gest, w pełni panowała nad mimiką twarzy. Jest taka młoda - pomyślałem - młodsza od moich wnuczek. Miałem nad nią przewagę; nie pozostawał jej inny wybór, ale postępowała z wielką premedytacją. Jeszcze półtora roku wcześniej, zanim wziął ją kalif, nie była aż tak wyrachowana.

- Czy mogę usiąść?

- Naturalnie. Wybacz mi, Abu al-Hasanie. Jestem jak zwykle roztrzepana.

Przysunąłem poduszkę do jej łoża i usiadłem.

- Nestor opowiedział mi o waszej ucieczce ostatniej nocy - powiedziała. - Bardzo mi przykro. Nie powinnam aż tak przedłużać naszego spotkania. Nie mogę wybaczyć sobie, że naraziłam was na takie niebezpieczeństwo.

Machnąłem niedbale ręką. Nie chciałem ciągnąć tego tematu.

- I... - Popatrzyła na mnie badawczo. - Miałeś, partie, jakieś wieści od księcia?

- Żadnych - odparłem. - Przespałem większość dnia...

- To zrozumiałe - wdarła mi się w słowa.

- ...a następnie udałem się do kalifa.

- Czy coś podejrzewa?

- Nie sędzę. - Chwilę milczałem. - Szemselneharo, on bardzo się o ciebie martwi. Nawet nie wiesz, jak bardzo mu na tobie zależy.

Długą chwilę badała mnie wzrokiem. Kiedy znów się odezwała, miała inny głos, dobitny i pełen godności, wręcz władczy. Spojrzała mi prosto w oczy:

- Nienawidzę go! - oświadczyła.

Pochyliłem nisko głowę. Otaczały nas pogrążone w mroku ściany komnaty upstrzone gwiazdami z powiewających nad naszymi głowami jedwabów. W całym pałacu panowała cisza. Byliśmy sami, padało na nas mdłe światło lampy. Łoże Szemselnehary wznosiło się około półtora metra nad ziemią, tak że czułem się paskudnie, jakbym prosił ją o jakąś łaskę.

- Poza tym... - Urwałem. - Szemselneharo, czy zawsze go nienawidziłaś?

- Zawsze!

Zabrzmiało to jak zamknięcie drzwi. Milczałem dłuższą chwilę.

- Nie wiem, czy uświadamiasz to sobie - powiedziałem - ale on naprawdę myśli, że go kochasz.

- Abu al-Hasanie, dobrze wiem, co on myśli. Zrobiłam wszystko, by tak myślał.

- Dlaczego?

- Dlatego, że tak chciał. Gdyby nie zdobył tego, co chce, żyłabym w haremie, w towarzystwie innych kobiet, których miał już dosyć. - Obrzuciła mnie dumnym, pełnym pogardy spojrzeniem. - Wiesz, jak tam jest?

- Nie wiem - odparłem zakłopotany.

- Więc wyobraź sobie dom pełen odrzuconych kobiet. Większość z nich ma szesnaście, siedemnaście lat. Niektóre siedzą już tam od kilku lat; bez nadziei na męża, bez nadziei ujrzenia świata zewnętrznego; bez nadziei na dzieci. Pomyśl o tym.

Na policzki wystąpiły mi gorące rumieńce. Kiedy kalif przejął władzę, musiał zabić brata, który pretendował do tronu. Dwanaście lat wcześniej jego ojciec również zamordował swych braci. Obecny kalif miał dwóch synów. Wysłał ich wprawdzie do Świętego Miasta, gdzie mieli ślubować sobie dożgonną przyjaźń, ale całe imperium obawiało się zbrodni, a nawet wojny domowej, po śmierci ich ojca. Władca nie pragnął więcej synów. A ja odpowia-

dałem za odpowiednie eliksiry; i jeszcze bardziej bym odpowiadał, gdyby te eliksiry zawiodły.

- Wyobraź sobie - ciągnęła Szemselnehara - młodą dziewczynę, nową faworytę, młodszą od wszystkich kobiet w haremie, która trafia między te niewiasty. I wyobraź sobie, że tego samego dnia, kiedy się tam pojawia, z woli kalifa, zostaje przeniesiona do własnego pałacu; łaska, jakiej nie dostała żadna z tamtych kobiet. - Schyliła głowę. - Miałam zaledwie czternaście lat. Spędziłam tylko jedną noc poza domem moich rodziców; i była to noc, kiedy kalif wziął mnie do swego łóżka. Rano trafiłam do haremu. Kiedy tylko odszedł eunuch, zaczęłam płakać i wtedy tamte kobiety... co one robiły... co mówiły... - Potrząsnęła głową. - Teraz jestem już starsza i potrafię zadbać o siebie. Znajdę potężnych sprzymierzeńców, nie stanę się taka sama jak tamte kobiety. Na pewno!

W pierwszym odruchu chciałem ująć jej dłonie, ale powstrzymałem się. Moje ręce zawisły w powietrzu.

- Szemselneharo, uwierz mi, on nie jest okrutnikiem. Jestem przekonany, że po prostu nie wie, co się tutaj naprawdę dzieje. Ale jeśli powiesz mu...

- Powiem mu! - Podniosła głos do krzyku. - Nikt mu tego nie mówił! Za każdym razem, kiedy jego owłosione brzuszysko przylega do mnie, muszę udawać, że jestem w raju, choć tak naprawdę zbiera mi się na...

- Ciii!

Położyłem jej na ustach palec. Nie chciałem tego nawet słuchać.

Zakryła usta dłonią i zaczerwieniła się.

- Wybacz - szepnęła. - Wybacz mi, proszę.

- Już dobrze, Szemselneharo! Już dobrze! Mam tylko nadzieję, że nikt tego nie słyszał.

- Wiem, wiem, ale jeszcze raz proszę, wybacz. Jesteś jego przyjacielem.

Popatrzyła na mnie lękliwie. Myślała, że rozzłościła mnie i nie zamierzam jej pomóc.

Spuściłem wzrok.

Przez ostatni rok kalif czynił wszystko, co mógł, by była szczęśliwa. Robił wszystko, by go pokochała. I sądził, że mu się to udało.

Pierwsze lata z moją żoną to była prawdziwa miłość. Było to już tak dawno temu. Zwracała się do mnie po imieniu, razem pracowaliśmy. Siadywaliśmy przytuleni do siebie po całym dniu ciężkiej pracy. Wciąż nazywała mnie mężem, ale od chwili, kiedy zostałem alchemikiem, rzadko rozmawiamy ze sobą. Czy ciągle jeszcze łączy nas miłość? A co to w ogóle jest miłość?

Siedziałem pogrążony w milczeniu, wspominając młodość i starając się zrozumieć teraźniejszość...

- Abu al-Hasanie. Ty płaczesz - powiedziała cicho.

- Nie, nie płaczę. - Otarłem powieki. - Nie, trochę tylko łzawią mi oczy. Nic mi nie jest. Ale kalif... kalif naprawdę cię kocha.

- Oczywiście, że kocha. To on mnie stworzył. Stworzył wszystko, co tu widzisz, stworzył moje imię. Wszystko to jest jego.

- Twoje imię? - zapytałem.

- A jakaż matka dałaby swej córce na imię Szemselnehara? To on je wymyślił; podobnie jak wszystko inne.

W klasycznym dialekcie słowo „szemselnehara” znaczy „blask południowego słońca”. Nigdy nie spotkałem się z takim imieniem. Nigdy by mi to nawet nie przyszło do głowy.

- Odebrał mi wszystko. Pochodzę z bardzo biednej rodziny. Teraz, kiedy spotykam się z krewnymi lub dawnymi przyjaciółkami... oni nie wiedzą, jak ze mną rozmawiać. Uważają mnie za królową. Kiedyś, Abu al-Hasanie, jak

każda dziewczyna, miałam wiele przyjaciółek. Plotkowałyśmy całymi dniami nad rzeką, piorąc bieliznę. Zawsze skarżyłam się, że muszę pracować te ubrania, chciałam, by robiła to za mnie siostra. Ale w sumie lubiłam tę pracę, bo mogłam rozmawiać z Rehaną, Maradżilą i Aminą. Teraz wszystkie boją się mnie. Z wyjątkiem Mony.

Zamknąłem oczy. Kalif nie słyszał nawet o Monie. Sądzi, że ma Szemselnehare, lecz tak naprawdę, to ma tylko mnie.

- Szemselnaharo? - zapytałem. - Dlaczego zaprosiłaś księcia do swego pałacu?

Ponownie na nią spojrzałem. Wzrok miała wbity w kolana.

- Nie wiem - odparła. - Naprawdę nie wiem. Po prostu go zaprosiłam. - Potrząsnęła głową. - Lubię go i byłam rozzłoszczona na kalifa... Chciałam się dowiedzieć, jak daleko mogę się posunąć. Poza tym myślałam, że w twojej obecności... - Popatrzyła na mnie. - Och, Abu al-Hasanie, sama już nie wiem... Nie chciałam go całować... Po prostu tak się zdarzyło... Ale może myślałam o tym już od dawna... Może zakochałam się w nim od chwili, kiedy go pierwszy raz ujrzałam... Sama nie wiem.

Pochyliłem głowę.

- Jazid jest przekonany, że wszystko to jest intrygą mającą na celu zhańbienie imienia księcia. Nuraddin również ma w twoim pałacu szpiegów. Nawet jeśli nie donieśli jeszcze o wszystkim kalifowi, to tylko dlatego, że uważają, iż nie jest to odpowiedni moment. Każdy z nich mógłby nas otruć, gdyby uznał, że jest to konieczne.

- Nie! - zaprzeczyła. Uniosłem głowę. - Nie mnie, nie ciebie i nie księcia. Zarówno Nuraddin, jak i Jazid już raz weszli mi w drogę i gorzko tego pożałowali. Nie pisną nawet słowem.

Popatrzyłem na swe dłonie, sękaty i zdeformowane od lat ciężkiej pracy w laboratorium. Nosily ślady setek bolesnych poparzeń. Mówią, że dłonie

człowieka świadczą o jego życiu, co w moim przypadku znaczyło ogień i rozżarzony popiół, parujące kolumny destylacyjne i dymiące paleniska.

- Kalif jest dobrym człowiekiem - powiedziałem. - Kocha cię. Na niczym nie zależy mu tak bardzo jak na twoim szczęściu.

- Wiem, że nie jest złym człowiekiem, a już na pewno nie jest złym kalifem. Próbowałam, ale nie umiem... nie potrafię... - Urwała. - Nie mogę być z nim...

Popatrzyłem na nią.

- Tak naprawdę wcale nie jesteś chora. Widzę to.

- Nie. Po prostu nie zniósłabym dotyku jego rąk na swoim ciele.

- Przedtem znosiłaś.

- Tak, dopóki nie spotkałam księcia. Ale brak apetytu to nie szachrajstwo. Po prostu nie jestem głodna.

- Powinnaś się jednak postarać. Szemsel... jak powinienem się do ciebie zwracać?

Wzruszyła ramionami.

- Szemselneharo. Teraz nią jestem.

- Szemselneharo, co mogę dla ciebie zrobić?

Z powagą popatrzyła mi w oczy.

- Nie wiem.

Czekałem. Spuściła oczy.

- Jak... - Urwała, jakby strwożona. - Jak myślisz, czy księżę mnie kocha?

Znów zamknąłem oczy. Chciałem już tylko wrócić do domu albo, jeszcze lepiej, opuścić Miasto Pokoju. Mógłbym wrócić z żoną do Trzech Źródeł, gdzie starego aptekarza nie nagabywałyby ani kalif, ani księżę, ani nieszczę-

śliwa dziewczyna nie pytałaby o radę w sprawach miłosnych. Ponownie założyłbym tam z Fatimą sklep, na starym rynku przy meczecie, i prowadzilibyśmy go tylko we dwójkę, bez służących i terminatorów.

Szemselneharę opuściła już cała pewność siebie; po prostu się bała.

Chrząknąłem.

- Szemselneharo, niewiele wiem o miłości. Nie powiem ci zatem ani „tak”, ani „nie”. Po prostu nie wiem. Nie wiem, co to miłość. Wiem, że twoja osoba poruszyła księcia. Chce ci pomóc, ale nie mam najmniejszego pojęcia, jak mógłby to zrobić.

Rozległo się wezwanie do ostatniej modlitwy i oboje umilkliśmy. W tej chwili sam kalif, moja żona i miliony wiernych na całej ziemi pochyłili głowy w modlitwie do samego Boga. Szemselnehara i ja leżeliśmy plackiem na ziemi, czekając na głos muezina, który zakończy modlitwę.

- Myślę, że mnie kocha - powiedziała cicho dziewczyna. - Tak mi się wydaje. Ale czy kochałby mnie, gdybym nie była Szemselneharą? Gdybym była prostą dziewczyną bez pałacu i drogocennych strojów, gdybym mieszkała w małym miasteczku...? - Zamilkła i przez chwilę spoglądała mi w oczy. - W małym miasteczku w Hiszpanii lub Afryce, gdzie nikt by nas nie znał?

A zatem miała taki pomysł - uciec z księciem Persji na koniec świata. Było to szaleństwo, lecz jej marzenia poruszyły mnie do głębi. Uśmiechnąłem się najłagodniej, jak potrafiłem.

- Sądysz zatem, że księżę zabrałby cię do Hiszpanii?

Spojrzała na mnie.

- Powiedział, że tak. Czy ty uważasz inaczej? Uważasz, że tego nie zrobi? Ale przysiągł na Świętą Księżę.

- Co?

- Ponownie się dziś u mnie pojawił. Nie powiedział ci o tym?

- Nie. Mówiłem ci, że go nie widziałem. Jak...?

- Dzisiejszego popołudnia przyszedł przebrany za doktora. Udawał ślepeca, więc eunuchowie uznali, że jego obecność w niczym mi nie uchybi. Oczy zakrywała mu gruba, czarna jedwabna szarfa. Wprowadził go sam Mesrour, na którego ramionach trzymał ręce... wyobrażasz to sobie? - Jej oczy zalśniły.

- Czy możesz sobie wyobrazić ryzyko, jakie podjął, i to dla mnie?

- Tak, mogę.

- Oświadczył mi, że spowijająca jego twarz szarfa sprawiała, iż ludzie go nie poznawali, lecz ja oczywiście natychmiast rozpoznałam go po jego podbródku i ustach. Rozmawialiśmy szeptem dłuższą chwilę, sprawiając wrażenie, że wypytuje mnie o moją chorobę. Ujął mnie za rękę, by sprawdzić ciepłość mego ciała, a następnie przeciągnął dłońmi wzdłuż moich ramion. Dotknął też palcami mego czoła i szyi w poszukiwaniu guzów, po czym, czule ściskając mi przegub ręki, sprawdził puls. A eunuchowie cały czas stali pod ścianami, bacznie nas obserwując. By zyskać na czasie, poprosił o kataplazm oraz inne medykamenty i zaczął zadawać mi kolejne pytania. W końcu poprosił o Świętą Księgę, twierdząc, że ona mnie uleczy, następnie poprosił, by wszyscy oddalili się, ponieważ musi wygłosić inkantacje. I wtedy właśnie mi to przysięgł. - Urwała. - Ale, Abu al-Hasanie, czy sądzisz, że był szczery? Czy wierzysz, że mnie kocha?

- Skoro przysięgł, chyba tak - odrzekłem. - Spróbuje cię stąd zabrać.

Twarz rozjaśnił jej promienny uśmiech.

Może wydać się to dziwne, ale choć miałem na głowie ważniejsze sprawy - sprawy dotyczące naszego życia lub śmierci - pomyślałem o jej pytaniu, pytaniu o miłość. Czy miłość może wybuchnąć w ciągu jednego popołudnia? Czy może zniszczyć ją zamiana szaty królewskiej i pałacu na wyprawę do Hiszpanii?

Aranżowanie małżeństw zawsze jest lepsze. Jeśli mężczyzna poślubia kobietę z miłości, jego oczy są ślepe, nie dostrzega wszystkich wad żony; aż

do chwili, kiedy miną pasje i namiętności. Wtedy dopiero zaczyna żyć z prawdziwą kobietą, kobietą z krwi i kości, która bardzo odbiega od ideału, jaki mężczyzna sam sobie stworzył. I przeważnie cała idylla kończy się fatalnie. Natomiast kiedy żonę wybierają rodzice i mężczyzna nawet nie widzi jej przed ślubem, jego oczekiwania względem żony są realistyczne. Mądrzy rodzice wybierają młodemu człowiekowi kobietę, której wady i zalety uzupełniają wady i zalety młodego małżonka. Młody mężczyzna widzi je wyraźnie i jest z góry na nie przygotowany. Kiedy wreszcie pojawia się miłość, jest to miłość do rzeczywistej kobiety, upartej, zabobonnej, czy jaka tam ona jest.

- Abu al-Hasanie?

- Wybacz mi, pani - powiedziałem. - Ale rozmyślałem właśnie nad tym, jak bardzo tradycyjne małżeństwa ułatwiają nam wszystkim życie. Ale przyznaję, teraz jest już na to trochę za późno.

Pochyliła głowę.

- O wiele za późno. Nie musisz mi o tym mówić... wiem, że nigdy nie wyjdę za mąż.

Wstałem, ująłem ją za rękę i, zanim zdążyła zaprotestować, pocałowałem ją w dłoń.

- Szemselneharo, nigdy już nie będziesz prostytutką dziewczyną, czy to w Hiszpanii, czy Afryce, w pałacu czy w nędznej lepiance.

Uśmiechnęła się.

- Co mogę dla ciebie zrobić, córko? - zapytałem. - Niebawem przyjdzie hasło do gaszenia ogni, a moja żona z pewnością się o mnie niepokoi.

- O tak, tak, wybacz mi. Ponownie chcę spotkać się z księciem, ale już poza pałacem. Wiesz, że mogę swobodnie go opuszczać.

- Ale nie wtedy, gdy eunuchowie i doktorzy nie spuszczaają ciebie z oka. Nie wspominam już o Jazidzie i Nurad-
dinie.

- To prawda - odrzekła po krótkiej chwili.

Marzyła o rzeczach nieosiągalnych, ale wciąż chciałem jej pomóc. Potrzebowałem czasu na przemyślenie wszystkiego; do tej chwili nie mogłem pozwolić, by ich przyłapano.

- Szemselneharo, chcę ci pomóc. Ale przede wszystkim musisz zacząć jeść. Musisz przekonać kalifa... - Urwałem. - Musisz ukoić jego niepokój.

Zamknęła na chwilę oczy.

- Muszę, czy mam inne wyjście?

Skinąłem głową.

- Wybacz mi, proszę. Wybacz mi, Szemselneharo.

- Wiem - odrzekła. - Masz rację.

Moja najmłodsza córka Zajnab, którą wciąż widziałem na kobiercu tulącą do siebie ukochaną czerwoną poduszkę, była dwukrotnie starsza od Szemselnehary.

- Może do tego nie dojdzie - powiedziałem cicho. - Kalifowi naprawdę na tobie zależy. Jeśli zrozumie, że jesteś nieszczęśliwa, być może, w końcu...

- Co w końcu? Odeśle mnie do haremu, gdzie z innymi jego kobietami spędzę resztę życia.

- Mogę z nim pomówić. On nie jest okrutny. Jestem przekonany, że nie ma najmniejszego pojęcia, co znaczy zamknięcie w haremie do końca życia ciebie i innych kobiet. Skąd ma to wiedzieć? Nikt mu o tym nie powiedział. Jestem przekonany, że ogarnęłaby go zgroza, gdyby się o tym dowiedział. Wiem, jest tradycja, jest kwestia jego honoru, ale... - Zawiesiłem głos.

- Ale?

Milczałem. Była tradycja, był honor i było jego serce. W oczach Szemselnehary pojawił się chłód.

- Odejdź, Abu al-Hasanie, skoro musisz. Przekaż wyrazy najwyższego szacunku swojej żonie, której cnoty zawsze podziwiałam... i zazdrościłam ich.

- Szemselneharo, porozmawiam z księciem. W każdej chwili możesz przysłać do mego sklepu Monę. Ale w tym czasie nie wykonuj żadnych nieroztropnych ruchów. A już w żadnym wypadku nie spotykaj się z księciem. Jazid chce wszystko wyciszyć, ale Nuraddin pragnie zdobyć takie dowody, wobec których nawet twoje słowa nie przekonają kalifa. Więc nie daj mu do tego najmniejszych powodów. Nie spotykaj się z księciem, choćbyś najbardziej tego pragnęła. Powiedz mu, że musisz czekać na wiadomości ode mnie.

Spoglądała na mnie w milczeniu długą chwilę. W jej wzroku było coś, co wzbudziło we mnie wielki niepokój. Ale w końcu skinęła głową.

Złożyłem niski ukłon.

W domu czekała na mnie żona. Po powitaniu jej udałem się do pracowni, by wymieszać popioły.

8

Bardzo szybko zasnąłem i miałem sny. Takie sny nie nawiedzały mnie od lat: o Trzech Źródłach sprzed sześćdziesięciu lat, kiedy rozpętała się wojna domowa.

Gdy po raz pierwszy pod murami miasta pojawili się buntownicy, komendant nakazał zamknąć bramy, ale nikt nie przypuszczał nawet, że to oblężenie. Staliśmy przed swymi sklepami i domami i w milczeniu spoglądaliśmy na siebie. Spowici zawojami pasterze i rolnicy, uwięzieni w mieście, snuli się w milczeniu ulicami pomiędzy prażącymi się w słońcu niskimi glinianymi domami. Od wielu miesięcy, kiedy dopiero krążyły plotki o nadchodzącej wojnie, dzieciaki toczyły wojny w palcaty, krzycząc przy tym i wzbijając tuman kurzu na ulicach. Teraz siedziały cicho, płakały albo bawiły się z krowami, kozami i osłami, które nie mogły wyjść na pastwisko. Słońce paliło, lecz mimo to nawet w samo południe wychodziliśmy na mury miasta. Spoglądaliśmy na morze namiotów buntowników i ich czarne flagi, po czym w milczeniu wracaliśmy do domów.

Mijały dni. Zwierzęta wyżarły całą trawę w mieście i zaczęły głodować. Pasterze zaczęli je wyprzedawać; najpierw pojedynczo, potem stadami. Noże rzeźników wznosiły się i opadały, wznosiły i opadały, aż ulice spływały posoką. Młodszy chłopcy budowali tamy dla potoków tej krwi i na powstałe jeziora puszczali małe łódki zrobione z kawałków drewna. Biegli za nimi, kiedy czerwona ciecz przerwała którąś z tam. Garbarze nie nadążali z oprawianiem zabitych zwierząt; starsi chłopcy zarabiali miedziaki*²³ za ściganie

²³ *Wypuszczano również emisje dirhema w miedzi. Charakteryzowały je przedstawienia figuralne zaczerpnięte z repertorium bizantyjskiego.

szczurów grasujących na ubitych zwierzętach. Niebo wypełniał dym, powietrze przesączał odór skór i przypalonego mięsa. Wszyscy się nim krztusili.

Kiedy już ubito wszystkie zwierzęta, a dym się rozwiął, pozostało tylko oblężenie. Nadeszła pora żniw. Spoglądaliśmy bezradnie z murów miasta, jak nasza dojrzała pszenica zaczyna gnić na polach. Mimo zapewnień komendanta mieszkańców miasta ogarnęła rozpacz; na ich oczach ginęła żywność przeznaczona na zimę. W końcu, pewnej nocy, dwóch strażników, rekrutujących się z rolników, otworzyło bramy miasta. I wtedy pomiędzy sztandarami zdobywców umocowano tyczki z nabitymi na nie głowami dawnego komendanta, sędziego i naczelnika straży, które patrzyły na nas nieruchomym wzrokiem; stracono również wszystkich strażników prócz dwóch, którzy zdradzili miasto i otworzyli bramy. Zwłoki wynieśliśmy do suchego wąwozu poza miastem. Wówczas to doszedłem do wniosku, że skoro ludzkie ciało po śmierci staje się cięższe, to dusza ludzka musi ważyć mniej niż nic.

Buntownicy toczyli walkę. Twierdzili, że poprzedni kalif zszedł ze ścieżki prawdziwej wiary. W Trzech Źródłach dowódca powstańców miał grupę wojowników, którzy od miesiąca nie widzieli swoich żon. Ogłosił zatem, że skoro dawny kalif był odstępca, to wierni mu żołnierze nie zasługują na miano wiernych; zatem zalecenia Świętej Księgi, iż nie można zniewalać wierzących, nie odnoszą się do ich rodzin. Tak więc nowe wdowy i ich córki oddał swoim ludziom. Zamordowani gwardziści byli mieszkańcami naszego miasta, którzy posiadali własne miecze; ich żony i córki były naszymi siostrami i krewnymi. Chłopców powyżej dwunastego roku życia oraz ich ojców zabito. Młodsze dzieci sprzedano handlarzom niewolników, których karawana rozbiła swoje namioty za okolicznymi wzgórzami w oczekiwaniu, aż skończy się oblężenie i będą mogli przystąpić do interesów.

Skosiliśmy naszą pszenicę i złożyliśmy na przechowanie do zimy. Pracowałem u starszego brata mego ojca, aptekarza. Ludzie masowo chorowali, lecz brakowało im pieniędzy - mieliśmy mało klientów. Kiedy wędrowałem po okolicznych wzgórzach w poszukiwaniu ziół, próbowałem korzonków różnych roślin, które mój stryj uważał za bezwartościowe.

Odkryłem, że niektóre z nich, żute przez dłuższy czas, uśmierzają bóle brzucha.

Wiosną pojawiły się wojska dawnego kalifa. I znów nastąpiło oblężenie miasta, i znów rolnicy tęsknili do swoich pól. Dowódca buntowników skazał na śmierć pierwszych ośmiu ludzi, którzy pojawili się przed jego obliczem. Nie zamierzał nawet udowodniać im, że chcieli go zdradzić; uznał bowiem, że skoro wszyscy mamy zamiar go zdradzić, jeden człowiek wart jest wszystkich innych. Ich głowy powbijał na tyczki ustawione w półkolu, tak by każdy człowiek zbliżający się do wrót miasta mógł je zobaczyć.

Dowódca buntowników, o różnych porach, w południowym słońcu lub głęboką nocą, posyłał swych ludzi na grabieże miasta; każdej nocy słyhać było przenikliwe krzyki walczących i umierających ludzi. Pewnego razu oblegającym nas wojownikom dawnego kalifa udało się wtargnąć do miasta, lecz buntownicy zamknęli za ich plecami bramę. Do białego rana słyszeliśmy wrzaski, po których zapadała cisza, kiedy wyłapywano wrogich żołnierzy. Następnego ranka znów musieliśmy grzebać zwłoki, ale tym razem już w mieście. Nasze studnie cuchnęły krwią; dzieci i starsi ludzie zaczęli chorować.

Trzydziestego dnia oblężenia atakujący przypuścili szturm na miasto, posługując się drabinami. Ostateczna bitwa na miecze, noże i sztylety rozegrała się w wąskich uliczkach miasta, gdzie mieszkali skromni ludzie, tacy jak ja. Wraz z matką i stryjem chroniliśmy się za zaryglowanymi drzwiami jego domu. Stryj był starym, pobożnym i bezdzietnym wdowcem. Od czasu kiedy umarł mój ojciec, a miałem wtedy dwa lata, opiekę nade mną przejął właśnie stryj. Był bardzo surowym człowiekiem, ale bił mnie tylko wtedy, kiedy postępowałem niewłaściwie. Odzywał się rzadko; ilekroć chciałem pocałować go w dłoń, cofał rękę, ale nauczył mnie wszystkiego, co wiem, a kiedy robiłem coś dobrze, z aprobatą kiwał głową. Nigdy o tym nie wspominał, lecz wiedziałem, że oszczędza, bym mógł kiedyś się ożenić, i nawet podczas tej ostatniej zimy, kiedy głodowaliśmy, nie ruszył złota ukrytego pod podłogą naszego domu... dla mnie.

Drugiego dnia bitwy przed drzwiami naszego domu raniony został człowiek. Słyszeliśmy, jak godzinami jęczy, błagając o wodę. O zachodzie słońca stryj miał już dosyć. Kiedy tylko skończyliśmy wieczorną modlitwę, w milczeniu włożył na siebie niebieski burnus z przylegającym do głowy kapturem zastępującym turban i wziął bukłak z wodą. Dotknął ziemi czołem w ostatniej modlitwie mającej chronić go przed złem, odryglował drzwi i wyszedł na ulicę. Stał wyprostowany, kpiąc sobie z łuczników. Dwa dni później, kiedy już mogliśmy go bezpiecznie pochować, cuchnął jak padlina. Jego kościste, stare ciało było tak strasznie ciężkie, że z trudem je niosłem. Zrozumiałem wówczas, jak lekka musiała być jego dusza.

Dawny kalif zwyciężył. Nowy dowódca oświadczył, że należy doprowadzić do niego wdowy i córki po obrońcach miasta, i oddał je swoim ludziom. Ponieważ zbliżały się kolejne oddziały buntowników, a miasto nie przetrwałoby następnego oblężenia, wezwał nas na główny rynek, by nauczyć obchodzenia się z bronią po poległych rebeliantach. Następnego ranka promienie słońca padły na rzędy wychudzonych, wystraszonych ludzi, ale nie na mnie. Moja matka, sklep mego stryja i mój honor musiały zadbać o siebie. Uciekłem na wzgórze.

Na otaczających Trzy Źródła górach wody jest pod dostatkiem, ale brakuje pożywienia. Wykopałem mięsiste korzenie, które poznałem podczas moich poprzednich wypraw. Były zbyt twarde, by je przełknąć, ale po kilku minutach żucia wydzielały biały jak kreda sok. Trochę soku zaspokoilo mój głód, więcej wywołało mdłości; ale mdłości były lepsze niż głód. Odganiałem stada ptaków, by zbierać jagody i orzechy, ale od jagód dostawałem biegunki. W mieście szybko poradziłbym sobie z tą przypadłością, na wzgórzach jednak nie miałem odpowiednich roślin. Jadłem surową kolendrę i nieustannie trzymałem się za brzuch. Mój burnus zaczynał śmierdzieć i lepił się od potu. Czwartego dnia mego pobytu na wzgórzach natknąłem się na znajome mi rośliny. Wyrwałem je; była to marchew. Pożarłem łapczywie dwie i natychmiast je zwróciłem; później już głód zaspokajałem z większym umiarem. Dziękowałem Bogu za Jego miłosierdzie i głęboko wierzyłem, iż pewnego dnia wrócę do Trzech Źródeł i znów będę żyć w spokoju i dostatku, że ożenię

się, będę mieć dzieci. W końcu jednak skończyła się nawet marchew i wróciłem do białych korzeni.

Powrócili buntownicy ze swymi czarnymi proporcami. Naprzeciw nim wyszły siły dawnego kalifa, moi przyjaciele i sąsiedzi. Sępy zaczęły nad nimi krążyć, jeszcze zanim wystrzelona została pierwsza strzała. Gdy patrzyłem ze wzgórz, ludzie przypominali mrówki; wiele z tych mrówek zatrzymywało się nagle i więcej się już nie ruszało. Tej bitwy nie wygrała żadna ze stron, lecz od wschodu nadciągało coraz więcej czarnych chorągwi. Kiedy uciekałem z Trzech Źródeł, kierowała mną tylko jedna myśl: jeśli nie ucieknę, zginę w tej wojnie. Nie pomyślałem o tym, że jako dezertier mogę wrócić tylko wtedy, gdy wygrają buntownicy... jeśli uda się im zabić moich sąsiadów i krewnych.

W miarę upływu dni, kiedy w dole toczyły się walki, mój żołądek kurczył się coraz bardziej, kiszki grały marsza, a serce coraz boleśniej obijało mi się o żebra. Przeklinałem własne ciało. Nie wiedziałem już, w co wierzyć, ale byłem pewien jednego: jeśli ciało odmówi mi posłuszeństwa, to moja dusza wzniesie się na wyższe, lepsze poziomy. „Dosyć! - krzychałem do swego żołądka. - Dosyć, wyrzekam się ciebie! Nienawidzę cię. Nie jesteś mój!”.

Ale żołądek nadal się kurczył.

Pewnego ranka, po przebudzeniu, skonstatowałem, że ból rozciągnął mi się aż do oczu, a kiedy usiadłem i rozchyliłem powieki, wszystko widziałem jak przez mgłę. Po chwili odzyskałem ostrość widzenia, lecz niebawem mgła znów zaćmiła mi wzrok. Trwało to tak i trwało: traciłem ostrość widzenia i odzyskiwałem ją. Każdy mój krok odbijał mi się w głowie bolesnym echem. Spuchły mi stopy; pod koniec dnia stawały się tak duże, że musiałem zdejmować sandały. Bolały mnie zęby, zupełnie jakby je wydrążono, a następnie wsypano w nie piasek pustyni. Dziaśła miałem tak wrażliwe, że kiedy gryzłem orzechy, leciała mi krew. Przestałem więc je jeść, a niebawem musiałem również zapomnieć o jagodach. Nasilały się ataki biegunki i nieustannie popuszczałem, brudząc swój burnus. Kiedy jednak powstrzymywałem się od jedzenia czegokolwiek, wstępowała we mnie nowa energia. Musiałem cały czas iść naprzód, wspinać się na ogromne głazy, przedzierać się przez zarośla

i zagajniki. Ostre skały kaleczyły mi stopy, ciernie rozdzierały skórę. Nawet po zachodzie słońca posuwałem się chwiejnie przed siebie, drobiąc nogami w sypkim piachu, podchodząc i zsuwając się z wydm. W końcu któregoś dnia stoczyłem się z większego pagórka, upadłem na plecy i zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, spostrzegłem, że moje stopy i łydki pokryte są krwawiącymi ranami. Skrzywiłem się z bólu, po czym wybuchnąłem śmiechem. Dźwignąłem się z ziemi, upadłem i ponownie się podniosłem. Pobiegnąłem przez kolczaste zarośla i osty; kiedy spojrzałem na swe pokrwawione ciało, zacząłem skowyczeć i krzyczeć z radości. Na widok jagód zwymiotowałem, cisnąłem orzechami w stado ptaków, śmiałem się i klaskałem w dłonie. Wygrałem z wojną, pokonałem własne ciało, pokonałem cały wszechświat. Spoglądałem w dół na walczących żołnierzy i krzychałem: „Zabijajcie się. Zabijajcie się wszyscy. Ha, ha, zabijajcie się”. Znowu wybuchnąłem śmiechem; mówiłem im, by się pozabijali, a oni się zabijali. W południe leżałem przy źródle. Zamknąłem oczy i byłem po prostu szczęśliwy.

Po obudzeniu się poczułem, że jestem zaśliniony. Obok mnie stał dzbanek z kozim mlekiem.

Sięgnąłem po niego, napiłem się i ponownie zapadłem w sen. Znowu się obudziłem strasznie głodny; obok mnie stał kolejny dzbanek z mlekiem, które łapczywie wypilem. Wciąż odczuwałem głód, więc odszedłem od źródła w poszukiwaniu jagód. Po powrocie znowu zastałem dzbanek, kawałek sera i dwie marchewki. Po tym posiłku dłuższą chwilę siedziałem nieruchomo. Nagle zdałem sobie sprawę, że moje ubranie jest przepocone, zbrukane krwią, uryną i ekskrementami. Mimo palącego słońca zdjąłem burnus, nasączyłem go obficie wodą i tak długo tłukłem w niego kamieniem, aż odpadły zaschnięte kawałki nieczystości i zniknęły ślady krwi. Panowało wczesne lato i noce były ciepłe. Rozłożyłem mokre ubranie na kamieniach, a sam, nago, udałem się na poszukiwanie patyków, kory, suchych liści i mięty. Myślałem, że nie wystarczy mi sił na skrziesanie ognia, lecz wkrótce ogień zapłonął. Kiedy w ciepłe płomieni suszyło się ubranie, napełniłem dzbanek po mleku wodą, zagotowałem ją i wrzuciłem do środka liście mięty. Kiedy wywar

ochłódł, oczyściłem nim rany i skaleczenia. Kiedy przemywałem stopy, odkryłem, iż mogę już kciukiem i palcem wskazującym objąć nogę w kostce.

Czarne proporce w dalszym ciągu walczyły z białymi o Trzy Źródła, a ja wciąż otrzymywałem regularnie podarki w postaci mleka, sera, a raz nawet pieczonej baraniny otoczonej zimnym tłuszczem. Pewnego wiosennego dnia ukryłem się w zaroślach, a nocą udawałem, że śpię, by poznać swego wybawcę - jego lub ją - ale nikt się nie pojawił. Nieznajomy natomiast zostawił mi na skale, z której obserwowałem zazwyczaj Trzy Źródła, glon sera zawinięty w kozią skórę. Szukałem tropów i odkryłem ślady stóp należących do człowieka, nie do dzinna, które jednak znikwały w zaroślach. Kiedy wypuściłem się na dalsze poszukiwania, odkryłem ślady kóz; mój zbawca był zapewne pasterzem, który uciekł z miasta, podobnie jak ja. Ale jak mógł ukryć całe stado? Musiałbym przecież go zauważyć. Z drugiej strony wzgórza były rozległe, poprzecinane dolinami, wąwozami i pełne jaskiń.

Miałem piętnaście lat, wiek, w którym mężczyźni się żenią, jeśli ich na to stać, a ślady pasterza były na tyle małe, iż mogły należeć do kobiety. W Trzech Źródłach kupowałem mleko od pasterzy; mój stryj i ja płaciliśmy im lekarstwami. Kiedy nie mieli pieniędzy, stryj po prostu dawał im proszki, syropy i kataplazmy; wiedział, że następnego dnia pojawią się z mlekiem, mięsem lub skórami. Tak więc dobrze znałem pasterzy i wiedziałem, iż są to ludzie o twardych charakterach i nieufnym spojrzeniu. A mimo to odnosiłem wrażenie, iż mój wybawca jest delikatny i czuły, o lśniących czarnych oczach i nieśmiałym, wstydliwym uśmiechu. Wygłaszałem głośno słowa podziękowań drzewom, wymieniałem swe imię i zawód, oświadczałem, iż mam w mieście ukryte złoto i pragnę odpłacić hojnie za pomoc, jaką otrzymałem. Odpowiadał mi jedynie delikatny szelest liści.

Pewnego ranka, kiedy się obudziłem, nie znalazłem dzbana z mlekiem. Zaskoczony, ruszyłem przez zarośla na skałę, z której zazwyczaj obserwowałem miasto i gdzie mój nieznany przyjaciel zostawiał mi czasem jedzenie. Tam też nic nie znalazłem. Kiedy jednak spojrzałem na Trzy Źródła, ujrza-

łem, że bramy miasta są otwarte. Na murach powiewały czarne flagi; pola wypełnione były rolnikami, nie żołnierzami.

Powrót do Trzech Źródeł zajął mi kilka godzin. Ubranie miałem podarte i brudne. Straciłem turban, włosy miałem niepodcięte i skołtunione. Kiedy spotkałem swoich sąsiadów, popatrzyłem na nich śmiało i szczerze powiedziałem, co się ze mną działo. Z początku mnie nie poznali, później powiedzieli: „Niech pokój będzie z tobą”, i wrócili do swoich zajęć. Jeśli mieli jakąkolwiek nadzieję na żniwa, najpierw musieli obsiać pola i ponownie wykopać kanały nawadniające; później odbudować domy. Na końcu dopiero mogli opłakiwać swych zmarłych i zadawać pytania. Matka powitała mnie obojętnie. Nawet mnie nie pocałowała, nie powiedziała nic; nawet nie pytała, jak i dlaczego ją opuściłem.

Bez reszty pochłonęła mnie praca. Mury miasta i ściany domów prześlaknięte były odorem gnijących ciał. Nawet młodzi, silni ludzie wymiotowali i dostawali gorączki. Często umierali. Szabrownicy zrabowali całe złoto mego stryja, ukradli nawet srebrne i mosiężne narzędzia. Ale suszonych ziół i sproszkowanych minerałów nie tknęli. Tak samo jak czyniłby to mój stryj, mieszałem zioła stanowiące odtrutkę na jad różnych zwierząt, którą wynalazł Dioskurides*²⁴, ucierałem na proszek kasztany, mirrę, rumian, czarne łajno i kolokwintę. Radziłem ludziom, by proszek ten wsypywali do wody przed jej wypiciem, ale to nie pomagało. Mając nadzieję, że przed trupim jadem może chronić ciepło, doradzałem też, by przed wypiciem gotowali wodę wymieszaną z moim proszkiem. Zaraza mijała. Moi sąsiedzi nie mieli pieniędzy, ale krawiec uszył mi spodnie, koszule i burnusy z najlepszej bawełny; kotlarz sporządził narzędzia i przybory; dmuchacz szkła odtworzył naczynia, które zostały w czasie wojny zrabowane. Ale nawet gdy włożyłem nowe ubranie, wciąż pamiętałem o starym, podartym i brudnym; kiedy patrzyłem na nowe, lśniące instrumenty i szkła, myślałem o śmierci swego stryja i jego zrabowa-

²⁴ *Dioskurides Pedanios - lekarz grecki w służbie cesarzy rzymskich Nerona i Wespazjana. Pierwszy wprowadził do medycyny ziołolecznictwo. Opisał m.in. wiele produktów zwierzęcych o znaczeniu leczniczym i dietetycznym.

nym sprzęcie. Myślałem o moich sąsiadach, którzy zostali w okropny sposób zamordowani zaledwie kilka tygodni wcześniej, o ich rodzinach i krewnych, którzy z mozołem odbudowywali swe życie.

Wieczorami włóczyłem się po dzielnicy zamieszkaney przez pasterzy. Niskie, zbudowane z gliny i błota domy stawały się pomarańczowe, później brązowe, a w końcu niebieskie, w miarę jak zachodziło słońce, a wschodził księżyc. Zagrody, wcześniej pełne beczących kóz, wypełniała cisza. Często musiałem długo wędrować, nim natknąłem się na oznaki życia; a to na mężczyznę siedzącego w progu domu i tępo wpatrującego się w zakurzoną drogę, a to na kobietę robiącą pranie. Nigdy nie spotkałem dzieci.

- Witaj! - powiedziałem pewnego wieczoru do napotkanego mężczyzny.
- Pokój niech będzie z tobą.

Człowiek ten nawet nie podniósł się z miejsca. Popatrzył tylko na mnie z dołu; w blasku księżyca wzrok miał twardy i nieruchomy.

- Jestem Abu al-Hasan - przedstawiłem się. - Aptekarz, syn Tahera powroźnika, bratanek Abu al-Kasima aptekarza, niech Miłosierny przyjmie jego duszę. Znasz mnie, prawda?

Po chwili skinął potakująco głową.

- Cóż, jak niektórzy wiedzą, w czasie wojny opuściłem miasto - wyjaśniłem - błąkałem się po wzgórzach, jak wielu innych uciekinierów... no cóż... zapewne zrobił to niejeden pasterz. Natknąłem się na ślady stada kóz.

Mężczyzna spoglądał na mnie w milczeniu. Odwróciłem wzrok na ulicę skąpaną w niebieskawym blasku księżyca. Kiedy znów na niego spojrzałem, parsknął.

- Jeśli natknąłeś się na ślady kóz, aptekarzu, to tylko ty. Nikt z nas nie opuścił miasta. Nikt, z wyjątkiem umarłych, aptekarzu, i tylko oni mogliby zaspokoić twoją ciekawość.

Po stracie swego stada pasterz musiał za kilka nędznych miedziaków dziennie harować na cudzych polach. Uświadomiłem sobie, że jeśli któryś z nich ukrył swe stada na wzgórzach, z całą pewnością nie przyznawał się do tego.

Jedyną dla mnie szansą było opowiedzenie, co się wydarzyło, a wtedy mój wybawca przyszedłby do mnie w sekrecie, a ja w pełni bym mu się odwdzieczył. A gdyby okazało się, że jest to jakiś starzec? Oczywiście stary człowiek również zasługiwałby na moją wdzięczność. Pomyślałem sobie, że ów pasterz na pewno posiadał stado kóz, których nie udało mu się sprzedać, i wylewałby mleko, które dawał mnie. Nigdy o tej swojej przygodzie nie mówiłem, ale wszyscy sądzili, że to moja nadzwyczajna znajomość roślin sprawiła, iż przeżyłem. Tłoczono się do mego sklepu - choć skończyłem dopiero szesnaście lat - jakbym był mędrce. Pograżyłem się bez reszty w pracy, zarobiłem masę złota, sam nie wiedząc, dlaczego tak się trudzę.

Tamtej nocy w Mieście Pokoju, po powrocie od Szemselnehary z jej Pałacu Wiecznej Rozkoszy, śniłem o pasterce.

Miałem piętnaście lat i błąkałem się po wzgórzach; głodny, krwawiący, przedzierający się przez zarośla, kiedy ona spokojnie szła przed siebie. Miała na sobie płaszcz biały jak śmierć. Kiedy szła przez cierniste zarośla i błoto, nic nie raniło jej skóry i nie brukało stóp. Nie miała kwefu, czasami odwracała się w moją stronę, ale tak sprytnie i tak szybko, że nie mogłem rozpoznać rysów jej twarzy. Wydawało mi się, że rozpoznaję w niej swoją żonę, kiedy była młoda, a po chwili widziałem w niej Fatimę, taką, jaka jest teraz. I nagle uświadomiłem sobie, że było to tylko złudzenie, że tej kobiety nigdy w życiu nie widziałem. Nie byłem pewien; nie mogłem jej dokładnie zobaczyć. Zataczałem się, potykałem, wpadałem w kolejne zarośla; ona lekko odwracała się w moją stronę. Zbyt szybko. I nagle była całkowicie naga. Podnosiłem się, chwiałem i znów upadałem. Krwawiły mi stopy i łydki. Jeszcze raz dźwignąłem się na nogi i ruszyłem w jej kierunku. Odwróciła się; z całych sił biegłem do niej.

Gdy obudziłem się, ręce miałem wyciągnięte, ale obejmowały tylko powietrze.

9

Zaraz po wezwaniu do porannej modlitwy pojawił się Ishak*²⁵, mój najmłodszy niewolnik, ze śniadaniem: chleb, masło, daktyle i sól - to, co zazwyczaj jadałem w Trzech Źródłach. Uśmiechnąłem się do niego, kiedy rozkładał na kobiercu owczą skórę i stawiał na niej jedzenie. Nie miał jeszcze ośmiu lat i był bardzo dziecinny, ale w mojej obecności zawsze starał się zachowywać śmiertelną powagę, jak przystałoby to dorosłemu mężczyźnie. Tym razem spoglądał na mnie i zagryzał usta; zapomniał się do tego stopnia, że nerwowo przestępował z nogi na nogę. Najwyraźniej przynosił mi jakieś ważne wieści.

- O co chodzi, Ishaku? Dobrze, ja będę jadł, a ty mi o wszystkim opowiesz.

- Księżę Persji, panie. Przybył jego niewolnik, Ozal, z zapytaniem, czy nie odwiedziłbyś księcia w jego domu w mieście. Ozal był już tu wczoraj, ale ty przebywałeś u Jego Wysokości. Pojawił się więc teraz. Gdy dowiedział się, że będziesz jeść śniadanie, postanowił zaczekać na twoją odpowiedź.

Skinąłem głową, lecz z mej twarzy zszedł uśmiech. Pograżony w snach o Trzech Źródłach, obudziłem się, nie zapominając o swym kłopotliwym położeniu.

- Dziękuję, Ishaku. Powiedz Ozalowi, że mam trochę pilnych zajęć w pracowni, ale później będę zaszczycony wizytą u mego pana i księcia oraz szlachetnej pani Kadzii.

- Tak, panie, dziękuję.

²⁵ *Ishak - odpowiednik biblijnego imienia Izaak.

Za co mi dziękuje? - pomyślałem, ale dzieciak już się oddalił, szczęśliwy z wydanego polecenia. Oderwałem kawałek chleba, zanurzyłem go w maśle i dodałem daktyla. Odrobina soli i zacząłem śniadanie. Musiałem podjąć jakieś decyzje.

Dwa dni wcześniej zaprowadziłem księcia do pałacu Szemselnehary, gdzie całowali się na oczach wszystkich jej niewolników. Następnego dnia byłem u kalifa i kłamałem. Gdybym jednak poszedł do niego teraz, myślę, że by mi wybaczył. Księżę zostałby skazany na banicję lub zabity. Tak czy owak, znów byłbym samotny, pozostawiony swoim paleniskom, manuskryptom i wspomnieniom. Gdyby bowiem kalif skazał księcia - którego traktowałem jak własnego syna - na banicję lub obciął mu głowę, nigdy już nie byliśmy takimi przyjaciółmi jak teraz. Nigdy już nie pokonałbym go w szachy. Co do Szemselnehary, wiodłaby życie tak samo nieszczęśliwe jak teraz, ale bez tej obecnej swobody. Nie sądziłem, by kalif mógł zabić kogoś, kogo tak bardzo kochał. Zabiłby z pewnością Dżafara, którego również darzył wielkim przywiązaniem.

Ale gdybym mógł im pomóc? Gdyby uciekli? Dziwne, ale wydawało mi się, że ta sztuka może się im udać. Kalif nie posłałby zapewne swych ludzi tropem Szemselnehary. Jazid nie wytropiłby księcia, a Nuraddin byłby tylko zachwycony faktem, że perski księżę uciekł z ukochaną władcy. Na dodatek Jazid uczyniłby wszystko, by zatuszować skandal, a jednocześnie uciszyć plotki o śmierci ojca księcia, w którą był mocno zamieszany. Jeśli chodziło o Nuraddina, ten wolałby bardziej złapać ich na gorącym uczynku niż pozwolić im zbiec. Ale niezależnie od tego, czy ucieczka księcia z Szemselneharą powiodłaby się, czy nie, jeśli pomógłbym w tej ucieczce, musiałbym położyć głowę pod miecz Mesroura.

Musiałem więc zdradzić albo księcia, albo kalifa, ale przeżyć mogłem tylko wtedy, gdybym zdradził księcia. Kiedyś porzuciłem wszystko, by ratować życie. Wtedy byłem młody; teraz byłem stary, lecz wciąż przerażała mnie wizja śmierci. Zgadzałem się ze Świętą Księgą, że życie jest tylko błahostką, ale bałem się też, co może mnie czekać w życiu pozagrobowym.

Czy księżę i Szemselnehara znaleźliby szczęście poza granicami imperium? Możliwe. Tutaj, w stolicy, księżę nigdy nie objąłby odpowiedzialnego stanowiska; chyba że zaczęłby intrygować z Jazidem i całą resztą. Ale przecież nawet bez Szemselnehary myślał o opuszczeniu miasta. Daleko na północy, w Hiszpanii, czekał go lepszy los, zdobyłby sławę, walcząc z niewiernymi i służąc emirowi Kordoby. A Szemselnehara? Miała majątek, to prawda, ale była młoda i nigdy jej na nim nie zależało. Pragnęła jedynie miłości, męża i dzieci; i życia poza haremem. Opuściłem powieki. Oczyma duszy ujrzałem Szemselneharę taką, jaką ją poznałem: rozumną, nieszczęśliwą, błagającą o pomoc. Ujrzałem księcia z jego nieograniczonym zaufaniem i serdecznym, zalotnym uśmiechem. Tak, tam mogliby znaleźć szczęście. Ale z drugiej strony, czy samo dążenie do szczęścia nie jest szczęściem?

Kończyłem śniadanie. Sięgnąłem po ostatniego daktyla, włożyłem do ust i napawałem się jego słodyczą. Znajdowałem się w swej niewielkiej sypialni, w której spałem od trzydziestu lat; jeśli nie dłużej. Była to moja biblioteka - harem znajdował się dalej. Jak to się mogło stać?

Stworzyłem harem w pomieszczeniu, w którym Fatima mogła pracować, wyznaczyłem jej kuchnię, jadalnię, dwa pokoje dla dzieci oraz sypialnię przylegającą do ogrodu z sadzawką, figowymi drzewkami i masą trawy. W tym czasie pracowałem do późna w nocy, a wstawałem przed wschodem słońca. Ale w początkowych latach naszego małżeństwa Fatima spędzała wiele czasu w pokojach dzieci, przebywała tam też w dniach, kiedy była nieczysta; wtedy spała sama.

Sypialnię wyposażyłem w jedwabne dywany i poduszki, w stopy materaców z najdroższej bawełny, które nakryłem jeszcze delikatniejszymi kocami. Płonęła miedziana lampa; jej kratkowane szybki rzucały niebieskie i różowe blaski na przepyszne draperie spowijające ściany. Fatima patrzyła na jedwabne kobierce i badała palcami draperie. „Piękna robota - widziałem pytanie w jej twarzy - ale dlaczego nie podobają ci się już te, które ja tkalam miesiącami?” W Trzech Źródłach spaliśmy na macie położonej na wełnianym dywanie leżącym na twardej glinianej posadzce. Oboje uwielbialiśmy naszą sy-

pialnię, ale zgodnie uznaliśmy, że posłanie jest zbyt miękkie; po roku przeniosła się do swojej pracowni i od tej chwili, kiedy sypialiśmy ze sobą, spaliśmy w jej pokoju na wełnianym kobiercu, na który kładliśmy słomiany materac. Czasami, głęboką nocą, kiedy nie mogłem zasnąć, opuszczałem swoją pracownię, otwierałem ciężkie drzwi prowadzące do haremu, szedłem przez trawę, mijałem nieruchomą sadzawkę i szeleszczące figowe drzewa i zaglądałem do naszej sypialni. Fatima zawsze tam czekała.

W niektóre noce, kiedy nasza sypialnia była pusta, udawałem się do jej pokoju. Delikatnie dotykałem jej ramienia. Czasami nie budziła się; wtedy opuszczałem pokój, nie dotykając jej po raz drugi. Czasami wiedziałem, że choć jest świadoma mojej obecności, oddycha regularnie i ma zamknięte oczy, udając sen. I wtedy też ją opuszczałem, nie dotykając ponownie. Innym razem unosiła powieki, mrugała nimi trzy czy cztery razy, po czym na jej twarzy pojawiał się uśmiech.

Mijały lata. Coraz rzadziej zaglądałem do naszej sypialni. Zauważyłem też, że i moja żona wcale do niej nie zagląda. Wszystkie noce spędzałem w bibliotece, na słomianym materacu i kilku wełnianych dywanach, które Fatima utkała własnymi rękami.

Moja żona jest wspaniałą gospodynią. Co tydzień albo ona sama, albo niewolnicy trzepią całe stosy dywaników, dywanów i kobierców zalegających sypialnię. Miedziana lampa zawsze lśni złotym blaskiem. Każde miejsce na podłodze i ścianach jej pokoju jest miękkie i delikatne w dotyku; wszystko spowijają ciepłe brązy i czerwienie, granaty, srebro i stare złoto. Sprzęty świadczą o dostatku i rozkoszy, o luksusie zalewanym różowym i niebieskim blaskiem sączącym się z kratkowanych szybek starodawnej lampy. Wiedziałem o tym, gdyż czasami zaglądałem do jej izby przez otwarte drzwi.

Początkowo byłem zbyt biedny, aby mieć służbę i niewolników, tak więc dzieliłem czas między sklep i pracownię, między bazar i targowiska. Praco-

wałem nawet w Dzień Zgromadzenia*²⁶, zwożąc zebrane rośliny. Towarzystwa mi Fatima, która pomagała mi w pracowni, ale nigdy nie pozwalałem jej obsługiwać klientów ani dokonywać transakcji na bazarach, tak jak to bywało w Trzech Źródłach. Chciałem, by moi klienci uważali, że mi się dobrze powodzi, a kto, komu się dobrze powodzi, zatrudnia żonę?

Nowy kalif był młody, niebywale wzbogacił się, pokonując Greków, tak zatem złoto z jego skrzyń obficie spływało na królewskie miasto. Nocne wino, muzyka i ludzie płynęli ulicami; barki z muzykantami i śpiewającymi dziewczętami unosiły się na falach rozświetlonych pochodniami kanałów.

Pijani, rozbawieni mężczyźni na brzegach ciskali w łodzie monetami. Przeważnie nie trafiali i wtedy złote krążki, połyskując w blasku ognia i różnokolorowych lamp, znikwały w wodzie. Mężczyźni śmiali się; jedna moneta czy dwie... jakież to miało znaczenie? Oczywiście nie dla żebraków, którzy rankiem nurkowali po nie; było to dla nich niebywale żniwo; Bóg i o nich myślał. Barwiliśmy brody na czerwono i żółto, nosiliśmy trzewiki na wysokich obcasach, a nasze turbany ozdabialiśmy złotem. Plamiliśmy winem i jedzeniem szaty z chińskiego jedwabiu, twierdząc, że takich samych mamy w domu jeszcze dziesięć. „Pijcie do dna - mówił gospodarz swoim gościom. - Pijcie za Jego Wysokość i tłuczcie kielichy; pochodzą z Konstantynopola i od przeklętych Greków. Widzicie te noże? Są z Khorasanu, są bezcenne, ale zabierzcie je do domów. Rano kupię nowe”.

Wolałem spędzać czas w domu, z Fatimą, ale jako wzięty kupiec, mający zamożnych klientów, musiałem uczęszczać ' na tego typu przyjęcia. Śmiałem się, wznosiłem kielichy, ale nie piłem; jeśli idzie o wino, moja żona nie była aż tak tolerancyjna, jak nowi teolodzy. Z pewnością nie wyczułaby, gdybym wypił jeden lub dwa puchary, ale odstawiając nietknięty kielich, czułem, że odpłacam jej dobrem za dobro.

²⁶ **Al-gum'a*. Tak nazywa się w języku arabskim piątek, dzień wspólnej modlitwy w meczecie. W czasie tego wspólnego nabożeństwa, które odprawia się zwykle około południa, ustaje ruch i praca, m.in. handel.

Przez wiele tygodni dzieci swoje widywałem tylko w Dniach Zgromadzenia, kiedy zachodziłem do haremu na obiad. Fatima bardzo dbała o wychowanie dzieci. Kiedy wchodziłem, kłaniały się nisko, całowały mnie w dłoń i stały,, dopóki nie poleciłem im usiąść. Żona zawsze przygotowywała półmisek dla chłopców, drugi dla siebie i dziewczynek oraz trzeci - srebrny - dla mnie; wszyscy czekali, aż ja zacznę jeść. Pytałem chłopców o szkołę i ich naukę, a dziewczynki prosiłem, by pokazały mi dywany, które utkały, ubrania, jakie zrobiły, i poduszki, które wyszyły. Nikt pierwszy nie zabierał głosu; wszyscy czekali na moje słowa. Jeśli któreś z moich dzieci miało jakieś życzenie, najpierw zwracało się do Fatimy. Jeśli uznała, że dziecko może się z prośbą zwrócić do mnie, pytała mnie o zgodę. Po skończonym posiłku wszyscy siedzieli nieruchomo do czasu, dopóki nie wstałem ja. Dopiero wtedy podrywali się z miejsc.

Podczas ładnej pogody obiady jadaliśmy w ogrodzie, obok wielkiego figowca. Kiedy byłem chłopcem, całe godziny spędzałem na konarach takiego drzewa; jeśli nie było mnie w domu lub sklepie mego stryja, wszyscy wiedzieli, gdzie mnie szukać. Zwisające nisko, splątane gałęzie figowca stanowiły istny labirynt, któremu nie mógł się oprzeć żaden chłopak. W swoim ogrodzie również zasadziłem takie drzewo, by moi synowie poznali jedyną rozrywkę, jaką w swej rodzinnej wiosce miał ich ojciec. Fatima oświadczyła mi, że musiała chłopców, a nawet dziewczynki, spędzać z tego drzewa, ale dzieci nigdy nie wspinały się na drzewo, kiedy ja byłem w domu. Któregoś Dnia Zgromadzenia chłopcy mocowali się ze sobą, walczyli w palcaty i ganiali się wokół fontanny; dziewczęta tkwały, śpiewały, tańczyły i biegały po ogrodzie do chwili, aż moja żona położyła temu kres. O igraszkach dzieci wiedziałem od Fatimy, ponieważ w mojej obecności nigdy się tak nie bawiły.

Wszystkie decyzje dotyczące ich wychowywania podejmowała Fatima. Sam wychowany bez ojca, nie otrzymałem żadnych wzorców. Zresztą i tak miałem niewiele do powiedzenia. Fatima, kiedy przestała już pracować w sklepie, uznała harem za swoje niepodzielne królestwo. Mogłem wprawdzie wydawać jej rozkazy, ale jakie? Żeby dzieci bawiły się w mojej obecności? Kiedyś zmusiłem ją do opuszczenia Trzech Źródeł. Potem już nigdy nie

chciałem wykorzystywać swej władzy i autorytetu. Zresztą moje dzieci były wyjątkowo grzeczne i darzyły mnie szacunkiem. Rosły zdrowo, a ja zawsze miałem jakieś zajęcia w pracowni albo uczyty, na których musiałem być.

Czasami po zachodzie słońca i po wezwaniu do ostatniej modlitwy zaglądałem do haremu. W takich wypadkach, kiedy odwiedzałem pokoje dzieci, zawsze towarzyszyła mi Fatima. Pozwalałem im, by ucałowały moją dłoń, wysłuchiwałem ich modlitwy, następnie im błogosławiłem. Później odchodziłem. Często chciałem zostać dłużej, ale nie mogłem - zwłaszcza że Fatima nie odstępowała mnie i uważnie obserwowała.

Czasami nocą, kiedy dłużej przebywałem w swojej pracowni, myślałem o nich, jak śpią w haremie, i wtedy ogarniała mnie tęsknota. Zostawiałem swe wagi, słoje, alembiki, paleniska, kolumny destylacyjne i wychodziłem do głównego ogrodu. Tam obserwowałem gwiazdy i złote ryby w sadzawce; spoglądałem na duże drewniane drzwi prowadzące do haremu. Czasami to wystarczało i po prostu wracałem do pracy. Najczęściej jednak otwierałem drzwi haremu. Cichutko wkradałem się do wewnętrznego ogrodu, spoglądałem na spokojny staw, trochę spacerowałem, następnie zerkałem do sypialni, choć wcale nie szukałem tam Fatimy. Później szedłem pod figowiec i delikatnie potrząsałem jego gałęziami; z biegiem lat stałem się zbyt ciężki, by wspiąć się na jego konary. Czasami, kiedy noc była wyjątkowo ciepła, kładłem się na trawie i spoglądałem w gwiazdy. Wtedy myślałem nie o dzieciach śpiących nieopodal, lecz o dniu swego ślubu z Fatimą. Przypominałem sobie karawanę, z którą przemierzaliśmy pustynię, zmierzając do Miasta Pokoju; na kolanach trzymałem wówczas dwójkę naszych dzieci. Wspominałem też czasy, kiedy zabierałem swych synów do meczetu. Choć moja wiara była bardziej niż słaba, z radością klękałem obok nich.

Najczęściej same wspomnienia wystarczały. Podnosiłem się z ziemi i wracałem do pracowni lub do biblioteki, by udać się na spoczynek. Czasami jednak, ale nie częściej niż kilka razy w roku, wchodziłem na palcach do sypialni dzieci. Oddychałem najciszej, jak potrafiłem, gdyż Fatima, która nie zawsze budziła się nawet wtedy, gdy jej dotykałem, była czujna jak sokół na

każdy dźwięk dobiegający z pomieszczeń zajmowanych przez dzieci. Spoglądałem na synów i córki pogrążonych w głębokim śnie. Jeśli tylko któreś przewracało się na drugi bok, wyciągnęło rękę lub cicho zachrapało, w popłochu opuszczałem sypialnię. Musiałem sobie wtedy przypominać, że to przecież moje własne dzieci i mam prawo u nich przebywać. Przed powrotem do pracowni każde z nich całowałem w czoło - były to jedyne momenty, kiedy je całowałem.

Czułem ogromną dumę, kiedy moich synów obrzezano. Każdego z nich, kiedy kończył pięć lat, zabierałem do meczetu, gdzie uczono go alfabetu i modlitw. A kiedy przemierzałem z nimi ulice Miasta Pokoju, zatłoczone osłami i nosiwodami, kupcami, handlarzami i żebrakami, arystokracją jadącą na koniach i tragarzami uginającymi się pod ciężarem dźwiganych koszy, byłem zapewne najszczęśliwszym ojcem w całym mieście. Kiedy jakaś starucha pochylała się nad moimi dziećmi i zaczynała do nich przemawiać, przerażone przytulały się do moich nóg. Nie było z nami Fatimy i ja stanowiłem ich jedyną ostoję.

Kiedy synowie podrośli, wynająłem nauczycieli do nauki jazdy konnej i szermierki; wynająłem nauczycieli matematyki, poezji i filozofii. Uczyłem aptekarstwa, zatrudniałem w sklepie, ale to ich nie interesowało. A kiedy obmyślałem dla nich zawody, okazało się, że każdy chce robić coś innego. Mimo iż miałem trzech synów, musiałem w swoim sklepie zatrudniać obcych ludzi. Najmłodszy z synów, Isa, podróżował i prowadził handel z napotykanymi karawanami. Kiedy spotykał jakąś zmierzającą do stolicy, przesyłał listy. Każdy z nich zaczynał się tak samo: „Najdroższa Matko. Najczcigodniejszy Ojczy”.
Zajnab, nasze szóste dziecko, urodziła się w osiem lat po ostatnim; nie spodziewaliśmy się tego oboje, ani moja żona, ani ja. Ilekroć odwiedzałem harem, Zajnab śmiała się radośnie na mój widok. Kiedy dorosła, często wysyłała do mnie Isę. „Czcigodny panie mój i ojczy - mówił, kłaniając mi się nisko. - Twoja córka prosi cię o łaskę twej obecności podczas kolacji. Przygotowała specjalnie dla ciebie ciasteczka”. Moja żona bardzo często śmiała się i

zartowała z dziećmi, ale wieczorami, kiedy ja pojawiałem się na wieczerzy przygotowanej przez Zajnab, zachowywała powagę i kamienną twarz.

Podobnie jak pozostałe dzieci moja najmłodsza córka kłaniała się i całowała mnie w dłoń. Ilekroć chciała mi coś pokazać, najpierw pytała z szacunkiem swego czcigodnego pana i ojca o pozwolenie. Następnie znów się kłaniała, dziękując za pochwałę, i prosiła o moje pozwolenie, by mogła usiąść. Chciałem ująć ją w ramiona i serdecznie ucałować, ale co miałem zrobić z tą małą osobką, która komie mi się kłamała, nazywając swym panem?

Zajnab zapewniała nas, że jej jedynym pragnieniem jest pozostać z nami do końca życia. Zarówno Fatima, jak i ja uważaliśmy ten pomysł za nonsensowny, ale tak naprawdę nie śpieszyliśmy się z wydaniem jej za mąż i w wieku osiemnastu lat wciąż była panną. Ponieważ uwielbiała muzykę, pewnego dnia sprowadziłem dla niej do haremu trzech muzykantów. Wszyscy, naturalnie, byli ślepcami. Ale jeden z nich, młodzieniec o jasnej karnacji i z czarną jedwabną opaską na oczach, często się serdecznie uśmiechał, jakby widział, że jego muzyka sprawia Zajnab przyjemność. Kiedy skończyli grać, moja córka zaczęła zadawać mu pytania:

O jego utwory, o jego interpretację starodawnych pieśni, o nowatorską technikę gry. Uśmiechał się coraz szerzej, coraz bardziej zaskoczony, lecz kiedy Zajnab poprosiła go, by pokazał jej jeszcze raz palcówki, moja żona przerwała rozmowę, kategorycznie oświadczając, że muzycy mają się już wynosić. Na twarzy Zajnab, młodzieńca i mojej pojawiły się gorące rumieńce - i dopiero w tej chwili zrozumieliśmy, co się naprawdę wydarzyło.

W trzy miesiące później Zajnab poślubiła Fadila. Kupiłem pierwszą alchemiczną księgę. Moja żona, w błędnym przekonaniu, iż religia zabrania alchemii, przestała już odwiedzać mnie w pracowni. Tęskniłem za jej towarzystwem, ale jednocześnie jej upór bardzo mnie drażnił. Nie miałem najmniejszego zamiaru porzucać swych wielkich naukowych planów i ambicji tylko z powodu jej przesądów. Po pewnym czasie tęsknota zaczęła mijać; zastąpił ją smutek, wręcz kojący; w każdym razie przyzwyczaiłem się do takiego stanu rzeczy. Ale zawsze rozpoznawałem kroki Fatimy, kiedy przechodziła dzie-

dzińcem, mijając okna mojej pracowni i biblioteki. Musiała wystarczać mi świadomość, że jest w pobliżu, że mieszkamy pod jednym dachem. Ilekroć jednak miałem jakieś kłopoty, zastawałem zawieszony nad paleniskiem pułki włosów lub smakowałem dziwne mikstury wymieszane z wodą różaną, którą mi żona przynosiła.

Choć Zajnab i Fadil mieszkali w pobliżu, widywałem ich rzadko. Czasami spotykaliśmy się zaledwie kilka razy w roku podczas największych świąt. Dziękowałem wówczas ojcu Fadila za ich obecność. Abu Jusuf chciał, by jego niewidomy syn został muezinem w meczecie; Fadil uciekł od ojca, gdyż pragnął być muzykiem. Kalif rozkazał wprowadzić Abu Jusufowi odwołanie rzuconą na syna klątwę, ale od tamtej chwili rzadko mnie odwiedzali.

Kiedy się u mnie pojawiali, Zajnab całowała mnie w rękę i z ożywieniem opowiadała o Fadilu i ich dzieciach. Rzadko o coś mnie pytała i nie prosiła o radę. Kiedy podawano już posiłek, odchodziła z innymi niewiastami i dziećmi do haremu, podczas gdy ja i moi synowie zasiadaliśmy w głównym ogrodzie do uczyty.

Pytałem Dawooda, niegdyś żołnierza, a obecnie handlarza tkaninami, czy jego zdaniem powstanie wyznawców Mazdaka*²⁷ wpłynie na handel materiałami na półwyspie. Omar z największym szacunkiem zapytał, co jego pan i ojciec sądzi o pogłoskach, iż kalif zamierza zbudować nowy pałac. Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy Fadil zaproponował, że nam zagra, i przerwaliśmy rozmowę.

W dni powszednie prowadziłem spokojne życie. Z rana krążyłem między paleniskami i kolumnami destylacyjnymi. Żona przynosiła mi śniadanie i co tydzień lub dwa wymienialiśmy ze sobą kilka słów. („Fatimo” - mówiłem. „Mężu” - odpowiadała). I znów wracałem do palenisk i kolumn desty-

²⁷ *Pers. Twórca mazdakizmu. Mazdak (?—529) przepowiadał nadejście Mesjasza, który przyniesie nową wiarę, a ta zastąpi wszystkie inne. Tak jak manicheizm, uznawał istnienie dwóch sił: dobra (Światła) i zła (Ciemności) oraz uważał równość i sprawiedliwość za podstawę stosunków międzyludzkich.

lacyjnych, węgla, popiołów i eliksiru. Próbowałem kolejnych formuł, choć nie spodziewałem się, że osiągnę sukces. Pod koniec dnia myłem się i szedłem do swego sklepu, gdzie poważnie i z szacunkiem kłamałem się klientom, tak jak robiłem to przez całe dziesięciolecia, by dodać sobie dostojęstwa i zaskarbić szacunek innych. Kiedy już klienci i goście wychodzili, wracałem do pracowni; i znów węgiel i popioły, odrobina zimnej rtęci i paląca siarka.

Książę był moim przyjacielem. Bez niego miasto byłoby puste.

Kalif również był mi przyjacielem. Tak samo jak uczynił to w przypadku Dżafara, po wydaniu na mnie wyroku śmierci przywdziałby na dziewięćdziesiąt dni białe szaty.

W czasach młodości musiałem opuścić Trzy Źródła, uciekając na wzgórze; i teraz znów musiałem uciekać, tym razem z Miasta Pokoju - po pięćdziesięciu latach dostatniego życia, kiedy żyłem otoczony powszechnym szacunkiem, kiedy czyniłem kompromisy i ustępstwa nie z głosu serca, lecz ze względu na opinię innych. W moich oczach pojawiły się łzy. Otarłem je rękawem. Musiałem wracać do pracowni. Musiałem usunąć wystygłe popioły, posłuszny formule, która nakazywała dodawanie jedynie najczystszych składników: rtęci, siarki, popiołów i duchowej perfekcji. Skonstatowałem, że trzęsą mi się ręce; rozsypałem na podłogę zimny popiół.

10

Brama wiodąca do posiadłości księcia przywodziła na myśl jego matkę: była wielka, wspaniała i odpychająca. Na mój widok niewolnicy padli płaczką na ziemię. Żaden nie odezwał się, dopóki nie odezwałem się pierwszy. Na moje powitanie odpowiedzieli pokornie. Choć mówili z akcentem perskim, wyraźnie wyczuwałem w ich mowie naleciałości słowiańskie lub fran-

końskie. Po plecach przechodziły mi ciarki, kiedy prowadzono mnie korytarzami o białych ścianach, na których wisiały srebrzyste i granatowe kilimy oraz oprawione w ramy z matowego złota wersety ze Świętej Księgi. Kiedy wkroczyłem do komnaty szlachetnej Kadzii, wielka pani nie wstała ani nie odezwała się słowem. Wyciągnęła jedynie dłoń do ucałowania.

- Abu al-Hasanie, mój syn wzywał cię wczoraj - odezwała się po dłuższej chwili.

Od stóp do głów spowijał ją czarny kwef. Odwróciła się do ściany i popatrzyła na pozawieszane na niej wersety. Najwyraźniej potrzebowała wsparcia Świętej Księgi, by znieść moją obecność.

- Pani, błagam o wybaczenie. Ale wezwał mnie do siebie Jego Wysockość.

Nic nie odpowiedziała. Szlachetna Kadzija miała za nic kalifa, a w każdym razie za nic w porównaniu z królem królów, swym małżonkiem. Po dłuższym milczeniu znów się odezwała:

- Abu al-Hasanie, mój syn wrócił od ciebie blady, roztrzęsiony i kompletnie oszołomiony. Nie wiem, co się wydarzyło, ale dzisiejszego ranka pojawił się tu Jazid. - Popatrzyła na mnie bacznie. - Marszałek dworu - wyjaśniła.

- Mam honor osobiście go znać, pani - odrzekłem.

Przez chwilę świdrowała mnie wzrokiem. Mimo iż nie widziałem jej oczu skrytych pod czarną zasłoną, czułem bijącą od niej pogardę i podejrzliwość.

- Uważa, że powinnam mieć bardzo baczne oko na syna. Uważa też, że powinnam mieć baczne oko również na ciebie, Abu al-Hasanie. Może wiesz, dlaczego?

Przełknąłem ślinę.

- Nie mam pojęcia, pani.

- Pojawił się też ów Berber, wezyr Nuraddin. Również chciał się z nami widzieć, ale służba oświadczyła mu, iż nie ma nas w domu. A mój rządca jest przekonany, że kilku podejrzanych typów włóczy się nieustannie po ulicy, obserwując bramę do naszego domu.

- Pani, choć czuję się niebywale zaszczycony, że zwierzasz mi się ze swoich trosk i obaw, o niczym nie wiem. Jeśli moja pani pragnie, po powrocie mogę porozmawiać z dowódcą gwardii kalifa.

Znów chwilę świdrowała mnie wzrokiem.

- Mój syn czeka na ciebie - powiedziała w końcu. - Ty! - zawołała do niewolnika. - Zaprowadź tego aptekarza do księcia.

Nisko się pokłoniłem.

Przeszliśmy wymalowanym na biało korytarzem do skąpo umeblowanej i czystej sypialni księcia. Otwarte szeroko drzwi wychodziły na skąpany w słońcu ogród. Widać było krystalicznie niebieskie niebo; do komnaty wpadało ożywcze poranne powietrze, napływała woń pomarańczowych drzew, dochodziły trele ptaków. Oszołomiony tą letnią jasnością, na chwilę zapomniałem, gdzie jestem i po co tu przyszedłem.

Księżę stał w odległej części komnaty, w progu wychodzących na ogród drzwi. Zazwyczaj witaliśmy się wylewnie, czasami nawet wymienialiśmy żartobliwie głębokie, pełne szacunku ukłony; tym razem jednak staliśmy w milczeniu. Z Szemselneharą czy bez niej, księżę mógł opuścić Miasto Pokoju. A ja wróciłbym do swych samotnych kolacji wśród czarnych palenisk i kolumn destylacyjnych. Czekałbym na anioła śmierci, a następnie na ciemnoskóre i o posiniątych z wściekłości twarzach anioły zapisujące uczynki ludzkie. One już przepytają mnie dokładnie o życie, jakie prowadziłem.

- Nie tylko mój sługa odwiedził wczoraj twój dom - odezwał się w końcu księżę. - Udałem się tam również osobiście, ale prosiłem służbę, by ci o tym nie mówiono.

Księżę miał zaciśnięte szczęki; najwyraźniej też podjął jakąś decyzję.

- Wczoraj byłem u kalifa - powiedziałem cicho.

Skinął głową. Przez otwarte drzwi napłynął upalny podmuch letniego wiatru. Komnatę wypełniła wszechogarniająca, przyprawiająca prawie o mdłości woń pomarańczowych drzewek.

Zamknąłem na chwilę oczy.

- Nic mu nie powiedziałem.

Ponownie skinął głową.

- Wiem.

- Abu al-Hasanie - zwróciłem się doń po imieniu. - Jutro rano wyznam kalifowi całą prawdę. Ale dziś o zmierzchu musisz opuścić Miasto Pokoju. - Odwróciłem głowę i popatrzyłem na drzewa pomarańczy i błękitne niebo. - W imię Najlitościwszego, Abu al-Hasanie, mężczyzna może ryzykować życie dla honoru, dla swych dzieci, ale miłość nie jest dla martwych. - Spojrzałem mu głęboko w oczy. On również wnikliwie na mnie patrzył. Na twarzy pojawił mu się cień uśmiechu, ale bardzo niepewny. - Kiedy stąd wyjdę - ciągnąłem - niezwłocznie udam się do Jazida, który pomoże ci w ucieczce. Kiedy już opuścisz miasto, porozmawiam z kalifem. Za kilka miesięcy znów podejmę ten temat. Sądzę, że kiedy wrócisz ze swoich wojaży, ponownie będziesz mógł zająć dawne miejsce na dworze. Wiem, że w tej chwili nie dbasz o to nic a nic, ale po pewnym czasie zaczniesz ci na tym zależeć.

Teraz już na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech. Odwróciłem głowę. Uśmiech księcia był serdeczny, ale ja czułem się jak dureń. Doskonale wiedział, że ja też nie dbam o swoją pozycję na dworze kalifa.

- Abu al-Hasanie - powiedział. - Mój czcigodny i ukochany panie. Czy zechcesz udać się ze mną? Jest coś, co pragnę i muszę ci pokazać. Błagam.

Wskazał ogród pod rozslonecznionym niebem, wypełniony drzewami o liściach szeleszczących w lekkich podmuchach wiatru.

Na trawnikach i wyłożonych kamiennymi płytami alejkach leżały przejrzałe pomarańcze, które spadły z drzew. Skórki miały popękane; przesyciły swym upojnym zapachem rozgrzane letnim upałem powietrze. Książę zaprowadził mnie do niewielkiego, sześciokątnego pawilonu usytuowanego w środku ogrodu. Ściany altany, skonstruowane z drewnianych żaluzji, można było w każdej chwili podnieść tak, że otwierał się widok na rozciągający się wokół przepyszny ogród. Książę otworzył jedną z nich. Posadzkę pokrywały bogate dywany i poduszki, piętrzyły się stosy ksiąg, w kątach stały wygasłe o tej porze roku piecyki.

- Spocznij, panie mój, proszę - rzekł książę. - Za chwilę wrócę.

Usiadłem na wytwornej, niebiańsko miękkiej poduszce. Zamknąłem oczy.

Kiedy anioły zapisujące uczynki ludzkie kończą indagacje, następuje pierwszy osąd. Niektórzy mędrcy, całe życie spędzający na studiowaniu Świętej Księgi, twierdzą, że ludzie błogosławieni pozostają z Adamem*²⁸ w najniższym Niebie do czasu, aż Izraif*²⁹ zadmie w trąby ogłaszające Dzień Ostatni. Inni z kolei twierdzą, że jedynie święci i męczennicy dostępują tego zaszczytu. Pozostali błogosławieni, całe zastępy wiernych, którzy prowadzili cnotliwe życie, przebywają w pobliżu swych grobów w oczekiwaniu na koniec czasu. Wtedy dopiero będą mogli przekroczyć most dzielący ich od Raju.

- Panie mój?

Książę wrócił w towarzystwie Ozala, którego potężne mięśnie przedramion i bicepsy spinały mosiężne bransolety.

²⁸ *W islamie, podobnie jak w judaizmie i chrześcijaństwie, Bóg stworzył pierwszego człowieka po to, by został Jego przedstawicielem na ziemi. Słowo „adam” oznacza w językach semickich ziemię lub jej powierzchnię. W islamie Adam uważany jest za pierwszego Proroka, ponieważ po wygnaniu z raju jako pierwszy człowiek głosił wiarę w Boga.

²⁹ *Anioł śmierci.

- Ożalu, to jest Abu al-Hasan - powiedział książę. - Znasz go, prawda?

Ożal skinął głową.

- Nie pozwól mu opuścić mego ogrodu. Ty i Hektor będziecie pełnić warty w mojej sypialni. Jeśli spróbuje uciec lub z kimś się komunikować, powstrzymajcie go. Łagodniej lub brutalniej, zależnie od sytuacji. Rozumiesz?

Ożal złożył niski pokłon. Złote pierścienie w jego uszach zadźwięczały.

- Świetnie. Idź do mojej komnaty.

Książę uśmiechnął się i usiadł naprzeciwko mnie.

- Będiesz miał tu wszystko - oświadczył. - Jedzenie, książki, wszystko, czego potrzebujesz. Twojej żonie powiem, że przebywasz u mnie i studiujesz jakieś rękopisy. Dzięki temu kalif nie będzie mógł cię ukarać, a uwięziony tutaj, nie zdołasz mnie przed niczym powstrzymać. Z całą pewnością kalif wybaczy człowiekowi o tak łagodnym sercu, który wolał najpierw wyperśwadować mi pewne rzeczy niż od razu udawać się ze skargą do niego.

Kobierce były grube i miękkie. Najróżniejsze odcienie błękitu mieszały się ze sobą; wyszywane srebrną i złotą nicią wzory przywodziły na myśl światło, a otoczony pięcioma z sześciu ścian, utworzonych z drewnianych żaluzji, czułem się jak w zacienionym lesie; miałem wrażenie, że jestem w kablinie nawy, unoszącej się na falach spokojnego morza. Ale musiałem coś powiedzieć.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że już nigdy nie będziesz mógł mieszkać w imperium? Ze nigdy nawet nie będziesz miał do niego powrotu? Jeśli z nią uciekniesz, uciekniesz na zawsze.

Książę obojętnie wzruszył ramionami.

- Nie jestem o tym tak do końca przekonany. Oczywiście, na razie musimy trzymać się daleko, ale kalif nie jest wieczny, kiedyś umrze. A gdy któryś

z jego synów obejmie tron, krwawo lub bezkrwawo, z pewnością zrozumie, że poddaństwo i wierność księcia Persji są więcej warte niż zazdrość

konkubinę jego nieżyjącego już ojca. Poza tym może ona

ja polubimy Hiszpanię? To zupełnie inny kraj, gdzie nie będę musiał siedzieć beczynnie i marnować życia. Oni tam wciąż potrzebują ludzi, by budować miasta, zasiedlać kraj i walczyć za Wiarę. - Ujął mnie za dłoń, która tak drżała, że nie zdołałem powstrzymać go przed jej ucałowaniem. - Będę za tobą bardzo tęsknić, mój panie. Byłeś dla mnie jak ojciec. Ale jestem twardy.

Popatrzyłem w stronę ogrodu, na drzewka pomarańczy i krzewy karmazynowych róż; w blasku upalnego słońca lśniły jak stal. Czułem, że pod turbanem spływają mi grube krople potu. Książę miał rację. Kalif nie będzie żyć wiecznie.

- Zestarzeje się - powiedziałem. - Jej uroda minie. Pozostaniesz z nią sam w obcej krainie.

- Wszyscy się starzejemy - rzekł cicho.

- Widziałeś ją zaledwie trzy razy.

- Panie, a ile razy ty widziałeś swoją małżonkę przed ślubem?

Gwałtownie wciągnąłem powietrze w płuca, na chwilę zamglił mi się wzrok. Zamrugąłem oczyma i znów odzyskałem ostrość widzenia; znów widziałem drzewka obsypane pomarańczami, różane krzewy i bezkresne niebieskie niebo.

- To coś innego - odparłem.

Oczywiście, jak nakazuje tradycja, nie widziałem swej żony bez kwefu aż do dnia ślubu.

- Tak czy owak, widziałem ją - oświadczył książę.

- Wiem, wiem. Dostałeś się tam w przebraniu doktora.

- Ale później w nocy wróciłem. Zaprosiła mnie.

Wytrzeszczyłem oczy. Księżę uśmiechał się jak figlarny chłopiec.

- W nocy? - wybąkałem.

- Tak. Postanowiliśmy ci o tym nie mówić, gdyż oboje wiedzieliśmy, że tego nie pochwalisz. Tuż przed hasłem do gaszenia ogni przybyła po mnie łodzią Mona. W taki sam sposób opuściłem pałac rano.

Zamknąłem oczy. A zatem na wszystko było już za późno. W twarz uderzył mnie podmuch wiatru; krople potu na czole mroziły mnie jak lód.

- Zapewniam cię, mój panie - ciągnął księżę - że nic między nami... - Urwał. - Tylko rozmawialiśmy. Nie zrobiliśmy nic, co zasługiwałoby na karę.

Ale to już nie miało znaczenia. Wierzyłem mu; zapewne uwierzyłby i kalif, lecz jak mu o tym powiedzieć? Księżę oświadczył, że to Szemselnehara zaprosiła go do siebie. Tak, księżę nie miał już odwrotu... kalif z całą pewnością nie zesłałby go na banicję. Jeśli księżę nie ucieknie, czekała go śmierć. Przez chwilę czułem do Szemselnehary gniew, który jednak szybko minął. Ostatecznie księżę dobrowolnie przyjął jej zaproszenie; drugi raz z pewnością by go nie zaprosiła. Gdyby nie przyjął zaproszenia, złożyłaby to wyłącznie na karb jego strachu.

Otworzyłem oczy. Ujrzałem uśmiechniętą twarz księcia, na którą padały promienie słońca.

- Nigdy bym nie pomyślał, że mężczyzna może spędzić noc z kobietą wyłącznie na rozmowie. Była bez kwefu i znajdowaliśmy się w jej sypialni, ale nawet nie przyszło mi do głowy, by ją posiąść. Nawet o tym nie pomyślałem. Po prostu patrzyłem na nią, słuchałem tego, co mówi, i myślałem, że mogę tak patrzeć na nią i słuchać jej do końca życia. - Wykonał ruch rękami, jakby chciał złapać coś niewidzialnego, co unosiło się w rozświetlonym powietrzu. - Nie wiem, jak ci to opisać, ale kiedy z nią rozmawiam, jest w niej jakaś siła. Czuję, że jej słowa wdzierają się w mój umysł, w moją duszę. Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo jest to ekscytujące. Jakbym się obu-

dził... jakbym się obudził po raz pierwszy w życiu, a wszystkie inne kobiety, które wcześniej spotkałem, były grząskim bagnem, w które się zanurzałem. - Potrząsnął głową. - Nie wiem nawet, o czym rozmawialiśmy. Oczywiście... o kalifie, o tym, co zamierzamy zrobić, a także o naszym dzieciństwie. Opo-wiadaliśmy sobie o naszych rodzinnych domach, o jedzeniu, kolorach, gwiazdach... i o wszystkim. Czasami sprawiała, że czułem się małym chłopcem, a czasami odnosiłem wrażenie, że jeśli rozłożę ręce, poszybuję w powietrze jak ptak.

Świat zakołysał mi się przed oczyma. Przycisnąłem ręce do grubych, czerwonych poduszek, żeby zachować równowagę; ich jedwab chłodził moje spocone dłonie.

- Książę, dlaczego jeszcze nie opuściłeś miasta? - zapytałem. - Zamiast wzywać mnie do siebie powinniście już oboje być w drodze.

Zmarszczył brwi.

- Wiem. To właśnie jej powiedziałem. - Wstał i złożył dłonie. - Ale odrzekła, że musimy jeszcze poczekać, i podała kilka bezsensownych argumentów. Musiała jednak mieć jakiś rozsądny powód, tylko mi go nie wyjawiała. Początkowo chciała czekać tydzień i spotykać się ze mną tuż przed nosem kalifa. Ja dałem jej tylko cztery dni. Kompromis. - Rozłożył ręce. - Ostatecznie zgodziła się na te cztery dni. Uświadomiłem jej, jakie niebezpieczeństwo wisi nad twoją głową. A nie mogę więzić cię tutaj w nieskończoność.

Wstałem i podszedłem do wychodzących na ogród drzwi. Popatrzyłem na lazurowe niebo i nagle wróciło wspomnienie mego uczestnictwa w ostatniej uczcie w pałacu kalifa. Skórzana poduszka, która wydała obrzydliwy dźwięk, stanowiła jedynie preludium do złośliwych żartów Abu Nuwasa. Nie chciałem wówczas pić, co wszyscy zauważyli i przypisali mojej pobożności, ta zaś na tego typu ucztach nigdy nie jest w cenie. Pod koniec wieczoru oszomiony winem Abu Nuwas wskoczył na swój stół, który natychmiast się załamał. „Chciałbym - wybełkotał, bagatelizując zdarzenie, przy wtórze rado- snego śmiechu pozostałych biesiadników - wyrecytować coś na cześć Tabu

al-Tasana - syna Ahera - lśniącego światłem między mężczyznami. Napisałem to wiele lat temu; zawsze go uwielbiałem, uwielbiam i będę uwielbiać". Ściągnął usta, chwycił butelkę wina i zaczął nią wszystkich polewać. „Nowe szaty dla wszystkich! - zawołał. - Harun płaci!" Złapał kolejną flaszkę, wylał jej zawartość sobie na nogi i zaczął recytować:

Lej wino! Lej je znów Hej!

I mów wyraźnie: to jest to!

I nie każ mi pić w samotności,

Gdy wykrzykujesz moje imię!

Zbudziłem babę w środku nocy.

„Kto puka?!“ - wota zatrwożona,

„ To my, braterstwo pustej szklanki,

Gwałtownie trzeba nam napitku;

Trochę rozpusty też się nada“.

„Ja kocham chłopców“ - odpowiada

Z oczyma jak poranna rosa.

Pewne wersy wykrzykiwał pełnym głosem („To jest to!", „Gwałtownie trzeba nam napitku"), inne falsetem („Kto puka?!"). Resztę wyśpiewał bełkotliwym głosem z wyjątkiem dwóch ostatnich wersów, przy których zszedł prawie do szeptu. Wyciągnął w moją stronę ramiona i zaczął poruszać biodrami.

Dobiegające od stołów okrzyki i śmiechy zamarły; biesiadnicy patrzyli na mnie z sympatią i współczuciem. Ich oczy mówiły, że tym razem Abu Nuwas posunął się za daleko, kpiąc sobie z pobożnego starszego człowieka; ale z mojej twarzy nie schodziły gorące rumieńce. Teraz, gdy stałem w ogro-

dzie księcia, policzki pały mi takim samym ogniem. Nad głową rozciągało mi się błękitne niebo, nieskalane ani jedną chmurą.

- Gdzie? - zapytałem. - Gdzie zamierzasz spotykać się z nią przez te cztery dni? Czy chcesz ciągle wkradać się do pałacu?

' - Znajdę jakiś dom.

Znajdzie jakiś dom? Ucieczka z nałożnicą kalifa nie była schadzka z byle nałożnicą. Książę był nierozważny, popędliwy i zbyt pewny siebie; szedł prosto pod katowski miecz. Moja pomoc mogłaby uratować ich oboje. Uratować im życie.

- Książę, wynajęcie domu zajmie ci trochę czasu, a właściciel szybko się zorientuje, że coś jest nie tak, i doniesie władzom. Mam dom poza murami miasta. Niedaleko bazaru, który Szemselnehara często odwiedza. Tam możecie się spotykać.

- Panie?

Odwróciłem głowę w jego stronę.

- Powiedziałem, że możecie spotykać się w moim domu. Chcę ci pomóc. A pomijając kwestię domu, nie zapominaj, że ja w każdej chwili mogę oficjalnie wejść do jej pałacu. Poza tym kalif mi ufa... zawsze ostrzeżę cię przed nadchodzącym niebezpieczeństwem, a nawet być może mu zapobiegnę. Proszę, przyjmij moją pomoc. Uratuję życie wam obojgu.

Książę potrząsnął głową.

- Nadstawiasz głowę pod miecz Mesroura.

Napłynął kolejny podmuch ciepłego wiatru, niosący woń pomarańcz.

- Nie - skłamałem. - Nie ja. Jestem jedynym prawdziwym przyjacielem kalifa. A Święta Księga zaleca śmierć jedynie fałszerzom pieniędzy. Jeśli nawet będzie chciał okazać srogość, w najgorszym razie czekają mnie batogi. Ale jestem pewien, że okaże mi łaskę.

Książę popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma, niepewny, czy ma mi wierzyć. To, co powiedziałem, nie mieściło mu się w głowie. Jednocześnie wiedział, że nigdy go nie okłamałem; a zarazem znałem kalifa jak nikt inny.

- Książę, czyżbyś mi nie wierzył? - zapytałem.

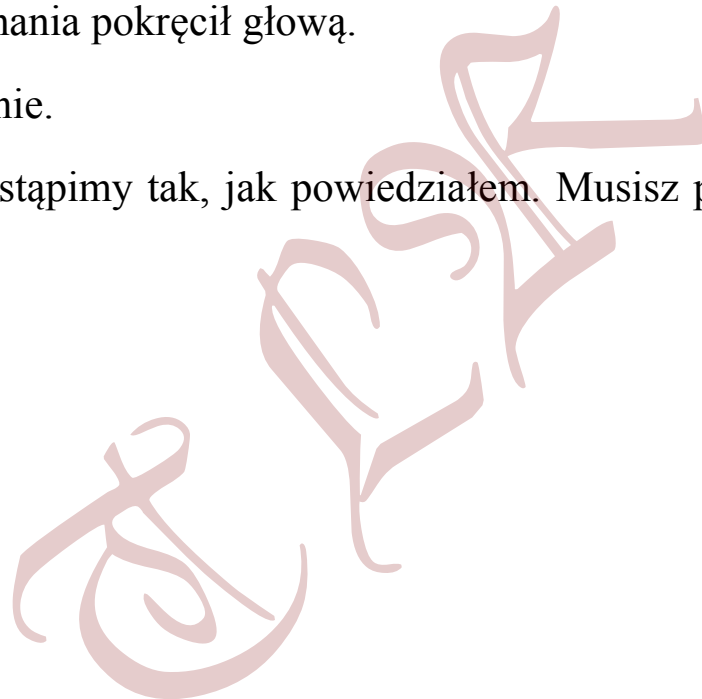
- Wierzę - odparł krótko.

- I czyżbyś wątpił w moje sądy, w moją znajomość kalifa i moje przywiązanie do ciebie?

Po chwili wahania pokręcił głową.

- Nie, mój panie.

- A zatem postąpimy tak, jak powiedziałem. Musisz pozwolić mi uratować ci życie.



Poza tym, że kalif ściął Dżafarowi głowę, to jeszcze skazał na banicję wszystkich jego krewnych w linii męskiej; lecz Dżafarowi udowodniono próbę przejęcia tronu. Była to zbrodnia tak niesłychana, że nieuchronne jej konsekwencje musieli ponieść również jego synowie i kuzyni. W moim przypadku, dopóki rodzina o niczym nie wiedziała, nie istniał żaden powód, dla którego za moją zdradę cierpieć mieliby moi bliscy.

Sprawa Dżafara wciąż pozostawała osnuta mgłą tajemnicy. Większość uważała, że nawet sam kalif nie wierzył w tak absurdalne oskarżenie; i nigdy nie podano żadnych przekonujących dowodów, że taki nieprawdopodobny i niepojęty spisek rzeczywiście miał miejsce. Lecz cóż innego mogłoby wyjaśnić egzekucję wielkiego wezyra? A jeśli nie była to prawda, dlaczego Dżafar przyznał się do winy? Kalif pił z Abu Nuwasem, a ze mną rozmawiał; Dżafar był jego towarzyszem od najwcześniejszego dzieciństwa, trwał przy nim wiernie podczas wszystkich wojen i przygód, jakie kalif przeżywał. Raz w miesiącu obaj snuli się nocą ulicami miasta w przebraniu kupców, strojni-siów, żebraków, a nawet kobiet. Nie raz i nie dwa zostali obrabowani, pobici i pozostawieni w przydrożnym rowie; pili najpodlejsze wino w kompanii żebraków i handlowali na ulicach jajkami. Spotykali dżinny, czarodziejki i wróżki.

Pewnej nocy zakołatali do drzwi domu, zza których dobiegały dźwięki wesołej zabawy. Podali się za kupców, którzy szukają schronienia na noc przed hasłem do gaszenia ogni. W środku ujrzeli trzy śliczne kobiety, trzech jednookich derwiszów oraz prostego tragarza. Kalif był tak zaintrygowany, że przekroczył granice dąbrych manier. Słudzy trzech kobiet przyłożyli im do szyi wielkie, ostre miecze. Kalif i Dżafar, udając kupców, z największym tru-

dem wywinęli się śmierci. Jedna z kobiet, która o mało nie obcięła kalifowi głowy, jest teraz powszechnie znana; zrobił z niej swoją królową, Zubejdę.

Abu Nuwas był zbyt lekkomyślny - ja z kolei zbyt ostrożnie podchodziłem to tego typu awantur. Zresztą po śmierci Dżafara kalif zaprzestał swych nocnych eskapad. Teraz, kiedy władca opuścił Pałac Złotej Bramy, wypełniali go szlachetnie urodzeni, eunuchowie i żołnierze. A rządził wszystkim Messour, którego miecz ściał głowę Dżafara. W dzień egzekucji Zubejda przeniosła się do swego pałacu, a kalif zaczął przebierać między nałożnicami, biorąc jedną po drugiej. „Nie ma dnia - wyznał mi kiedyś - abym nie pomyślał o Dża- farze”.

Wiedziałem, że może mnie spotkać los wielkiego wezyra, ale czerpałem pociechę z tego, że niewiedza uratuje moją rodzinę. O niczym nie wspomniałem żonie. Tego dnia, przy śniadaniu, osobliwy smak podanej mi przez Fatimę wody przypadł mi nawet do gustu, ale też zjadłem kilka kawałków ryby, która wcale nie smakowała jak ryba. A moja żona była pogrążona w dziwnym smutku. Przed laty kupiłem dom, który wynajmowałem; przez ostatnich kilka miesięcy stał pusty. Oświadczyłem służbie, że tego popołudnia nie będzie mnie w sklepie. Nie wzbudziło to niczyjzego zdziwienia; zdarzało się to często.

Rozpocząłem dzień szaleństwa; można wręcz powiedzieć - oszołomienia winem. Wszedłem do dawnych pokojów moich dzieci i wybrałem dywany i poduszki, stoliki i lampy. Wyszedłem z domu, by dokupić dwie sofy, obicia ścienne, trochę poduszek i kobierców. Później jeszcze kupiłem złote rybki, papużki, żółwie i przepyszne kakadu. Dlaczego nie? W porównaniu z tym, czego się dopuściłem, nic nie miało znaczenia, i odczuwałem jedynie przyprowadzającą o zawrót głowy radość. Od wielu, wielu lat nie byłem na bazarze i teraz krążyłem zatłoczonymi, ciemnymi uliczkami, jakbym odkrywał utracony ogród rozkoszy: Ulica Szkła - gdzie kupowałem zwierciadła; Ulica Zegarów - gdzie krople wody odmierzały minuty, a kuranty wydzwaniały kwa-

dranse; Ulica Gwiazd - gdzie sabejczycy*³⁰ sprzedawali astrolabia i almanaki. I Ulica Losu, na której stare kobiety, szczelnie zakryte śmiertelnie białymi kwefami, sprzedawały amulety i atrybuty służące do uprawiania czarnej magii.

Nad bazarem wznosiły się kopuły, jedna za drugą, które chroniły sprzedających i kupujących przed deszczem i słońcem. Choć niewielkie przestrzenie dzielące je od siebie zapewniały dopływ światła i powietrza, bazar pogrążony był w wiecznym półmroku. Zatłoczone ulice przypominały podziemne kanały, ale wypełnione strumieniami ludzi, nie wody. Jedwabne turbany ocierały się o zgrzebne kaptury; złote nici, którymi były wyszywane, pobłyskiwały w zalegającym ulice cieniu; nad nimi unosiły się chwiejnie, dźwigane na głowach spoconych tragarzy, wyplatane ze słomy kosze pełne towarów. Co kilka metrów strumień ludzi wkraczał w oślepiającą kolumnę słonecznego światła, wpadającego przez wyrwę między kopułami; po wyjściu z niej zalegający uliczkę półmrok wydawał się jeszcze ciemniejszy. W mrocznym, dusznym powietrzu kupcy, kłaniając się nisko przed swymi sklepami, zapraszali klientów do środka. Inni trzymali w rękach lampy i oświetlali oferowany towar. Jeszcze inni wysyłali małych chłopców, którzy, czepiając się szat i rękawów przechodniów, ciągnęli ich do sklepów z futrami z Syberii, ze szkłem z Aleppo*³¹, ambrawą z Indii, porcelaną z cesarstwa chińskiego, przyprawami i drewnem z Zanzibaru oraz niezwykle delikatnymi kotami z Syjamu. Na każdej z ulic, niezależnie od tego, czy to złotników, czy powroźników, aptekarzy czy garbarzy, ludzie tłoczyli się przy koszach z żarzącymi się głowniami, które rzucały na ich twarze krwistą poświatę. Piekli na nich ryby, gruszki, ciasto lub dynie. Woń dymu, prażącego się w ogniu jedzenia i skwierczącego, pyskającego oleju mieszała się z hałasem i odorem tłoczących się na ulicach przechodniów.

³⁰ *Sekta praktykująca kult astralny i wyznająca doktrynę neoplatońską. Jej adepci osiedlili się w średniewieczu w Harranie, w górnej Mezopotamii. Podawali się za wyznawców jednej z sekt żydowsko chrześcijańskich, którzy rozprzestrzenili się w dolnej Mezopotamii. W ten sposób mogli być włączeni do grupy „posiadaczy Księgi”. Dokładnie mówi o nich Koran w surze XXXIV: *Sabejczycy (Saba)*. Zob. *Koran, op. cit.*

³¹* Halab - miasto w Syrii.

W Trzech Źródłach bazar stanowiła płacheć terenu przylegającego do meczetu, gdzie kupcy o brzasku rozbijali namioty, a o zmierzchu je zwijali. Wprawdzie bazy w Mieście Pokoju, mroczone i zatłoczone, przesączone smrodem i pełne ludzi myślących jedynie o pieniądzach, bardziej przypominały Piekło niż Niebo, ale dla mnie wciąż były swego rodzaju rajem.

Wydatki, jakie ponosiłem tego dnia, sprawiały mi jeszcze większą radość; żałowałem, że już kończy się dzień i nie mogę kupić więcej rzeczy dla młodych przyjaciół. Przed moim drugim domem zgromadzili się wszyscy sąsiedzi. Patrzyli z niedowierzaniem: człowiek, o którym całe miasto wiedziało, że prowadzi bardzo wstrzemięźliwy tryb życia, nakupował tyle porcelanowych waz i srebrnych talerzy do domu, w którym nigdy nie mieszkał. Dzieciarnia gapiła się na tragarzy dźwigających stoły z hebanu i kryształowe puchary, kafle z Tabrizu i kobierce z Armenii. „Wynająłem ten dom bogatemu cudzoziemcowi - wyjaśniłem. - Nie zabrał ze sobą mebli i hojnie mnie wynagrodził za umeblowanie mu domu. Kiedy już opuści to miejsce, zamieszka w nim mój wnuk, tak więc nie dbam o koszty". Nigdy nie chciałem mieć niewolników, ale jednocześnie byłem na tyle rozważny, by przyjmować do służby wyłącznie cudzoziemców. Po pierwsze, nie znali moich gości, a po drugie - nie znali naszego języka aż tak dobrze, by rozsiewać plotki. Na Ulicy Mężczyzn kupiłem kucharza i dwóch podręcznych, którym obiecałem wolność po upływie miesiąca i płacę, jaka przysługuje zwykłym służącym. Od razu zapłaciłem im srebrnymi dirhemami.

Kiedy wróciłem do domu, zatrzymałem się w moim sklepie. Zostałem tam człowieka pilnie słuchającego, co mówił jeden z moich służących. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że był to Assad, jeden ze szpiegów kalifa. Służący zauważył moje nadejście i umilkł. Assad odwrócił się, uśmiechnął przymilnie, po czym złożył mi ukłon. Spotykaliśmy się wcześniej w przedsionkach pałacu. On wychodził od kalifa, ja zaś wchodziłem do komnaty władcy. Albo odwrotnie.

Oddałem mu ukłon.

- Witaj, panie.

- Witaj - odparłem. - Mam nadzieję, Assadzie, że cieszysz się dobrym zdrowiem.

- Boli mnie gardło, panie, ale to nic poważnego. A twój służący niebywale pomógł mi swymi radami. To naprawdę bardzo biegły w swym fachu człowiek.

Pokazał mi niewielki flakonik.

Assad był człowiekiem nierzucającym się w oczy, po prostu przeciętnym. Wyróżniały go jedynie puciołowate policzki i schludnie przycięta broda. Miał krótkie, serdelkowate, jak u niemowlaka, palce; nie potrafił nawet objąć nimi do końca małej zielonej flaszeczki.

- Assadzie, jestem zaszczycony, że wybrałeś mój sklep - powiedziałem.

- Jestem twoim dłużnikiem, panie - odrzekł.

Skłonił się nisko i szybko wyszedł. Służący pilnie myli szkła, ale oni zawsze, ilekroć wchodziłem do sklepu, udawali strasznie zapracowanych. Jeśli kalif postanowił mnie śledzić, to dlaczego wysłał człowieka, o którym wiedział, że doskonale go znam? Nie - powiedziałem do siebie. Assada po prostu naprawdę bolało gardło. Udałem się do swej pracowni i zacząłem mieszać popioły.

Następnego popołudnia czekałem na dziedzińcu mego drugiego domu na Szemselnehare. Pojawiła się w porze, gdy wszyscy kończyli połudrjową drzemkę i znów otwierali sklepy. Wtedy właśnie miała zwyczaj udawać się na bazar. Towarzyszyła jej wyłącznie Mona. Kiedy zdjęła kwef, na jej drobnej, ślicznej twarzy ujrzałem szaleńczą determinację, jak i lęk. Ująłem jej dłonie.

- Już wszystko w porządku, moja córko. Tutaj jesteś bezpieczna.

Obie niewiasty byty szczelnie zakryte jedwabnymi kwefami na wzór wielu bogatych kobiet. Ostatecznie, aby tu dojść, musiały minąć kilka zatło-

czonych bazarów. Bardzo prawdopodobne, że zgubiły śledzących ich szpiegów; być może nawet obserwujący mój dom ludzie nie zdołali ich rozpoznać.

- Och! - westchnęła. - Wierzę ci. Wiem, że jestem tu bezpieczna. Ale gdzie...?

- Jest w środku. Czeka.

- Jak długo?

- Pojawił się tuż po wezwaniu do porannej modlitwy, choć wiedział, że przybędziesz dopiero teraz. Oświadczył, że pragnie przygotować dom i czekać na wypadek, gdybyś pojawiła się wcześniej. - Uśmiechnąłem się. - Opuścił dom w przebraniu jednego ze swych sług. Nie poznała go nawet rodzona matka; kazała mu wygarnąć i wynieść popiół z pieca.

Wyraźnie uspokojona Szemselnehara skinęła głową.

- Ale teraz jest już w środku, o, tam, i we własnej osobie.

Ponownie kiwnęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca. Popatrzyła na mnie.

- Abu al-Hasanie, czy to jest kakadu?

- Oczywiście. Ale to samiczka. Dziewczynka.

Przesłała mi pełen szczęścia uśmiech; przez chwilę wyglądała jak młodziutka dziewczyna, którą w rzeczywistości była.

- Uwielbiam kakadu. Uwielbiam wszystkie ptaki. Nawet wrony. - Spojrzała na papużki i żółwie, ogarnęła wzrokiem otaczające dom drzewa i kwiaty na klombach. - Abu al-Hasanie, jakże tutaj jest pięknie!

- Dziękuję - odparłem. - Nie potrafię wysłowić, jaką radością napełnił mnie twój uśmiech. Od bardzo dawna nie miałem okazji sprawić komukolwiek radości. - Szemselnehara nie spuszczała wzroku z ogrodu. Chrząknąłem. - Czy mogę już zaprowadzić cię do księcia?

Odwróciła się gwałtownie w moją stronę. Minę miała tak poważną, że aż się uśmiechnąłem; tak gorące pragnienie na młodej buzi było wręcz komiczne.

- Och tak, proszę...! Ale... Abu al-Hasanie, panie mój, to dziwne... Siedziałam jak na szpilkach, by go ujrzyć, ale teraz chcę tę chwilę odwlec.

- Chodź - powiedziałem, nie przestając się uśmiechać. - Nie ma odroczenia.

Zaprowadziłem ją przez ogród do domu. W ostatniej chwili odwróciła się do mnie, ścisnęła za rękę i przekroczyła ozdobioną purpurowymi paciorkami zasłonę. W towarzystwie Mony wróciłem do ogrodu.

Mona paplała coś o Hiszpanii, ale ja jej nie słuchałem. Spoglądałem na złote ryby w wodzie ciemniejącej, w miarę jak zachodziło słońce. Opadały mnie mgliste wspomnienia porannych wypraw po zioła na otaczające Trzy Źródła wzgórza; później wspominałem sześćdziesiąte urodziny mojej żony, kiedy zabrałem ją do pełnego rozrywek miasta. Nasze córki opuściły domy swych mężów, by pomóc jej się przystroić. W pierwszej chwili myślałem, że je odpędza, ale to krzyczały dziewczęta spierające się, jak najpiękniej ubrać matkę. Kiedy płynęliśmy łodzią, przewiązałem jej oczy szarfą, którą zdjąłem dopiero po przybyciu do ogrodu. Początkowo bardzo bała się ludzi. Kiedy jednak ujrzała niekończące się sadzawki i kwietne rabaty, fontanny i muzykantów, miękkie kobierce traw i przepyszne dywany, pomyślała, że jest w raju. Nie dowierzając mi, zwróciła się do naszych córek: „Czy taki ogród nie jest zabroniony przez religię?”

- Abu al-Hasanie...

Słońce prawie już zaszło. Zrobiło się zimno. Przez chwilę zastanawiałem się, co w tej chwili robi Fatima. Od półtora dnia, od chwili, gdy zdecydowałem się pomóc księciu i Szemselneharze, ani razu jej nie widziałem.

- Abu al-Hasanie...

Głos Mony był natarczywy, wdzierał się przykrym dysonansem w moje rozmyślenia. Kiedy spojrzałem na nią, zaczerwieniła się, a ja nastawiłem uszu. I nagle wszystko zrozumiałem. Zatopiony we wspomnieniach, spacerowałem z nią po ogrodzie. W tej chwili staliśmy przed wejściem do domu; od księcia i Szemselnehary oddzielała nas jedynie zasłona z purpurowych paciorków. A oni, jak to kochankowie, którzy nie wiedzą, kiedy znów się spotkają, nie znali granic.

Ich rozkosz przypieczętowała mój wyrok śmierci, ale zamiast strachu czułem dziwne uniesienie. „Czy widzisz te ptaki unoszące się w powietrzu? - mówi Święta Księga. - To nie ich skrzydła, lecz wola samego Boga sprawia, że potrafią latać”.

Twierdzą, że Bóg jest wszędzie; to jego świadoma wola sprawia, iż wszystko istnieje. Wspomniałem już, że moja wiara jest mniej niż słaba i w tej chwili wcale nie czułem obecności Boga. Istniałem tylko ja. Istniałem w papugach, żółwiach i trzepoczących skrzydłach ptaków; chwiałem się wraz z płaczącą wierzwą i każdym z jej listków. Pędziłem z wiatrem. Rumieniłem się wraz z dziewicą, słysząc odgłosy miłosnych uniesień, ale rumieńce na mojej twarzy nie wynikały ze wstydu, lecz z upojenia spełnieniem. Nie było ważne, jak bardzo oddaliłem się od swej żony, jak mało znały mnie moje własne dzieci i to, że moi najbliżsi przyjaciele niebawem mnie utracą. Byliśmy jednym; oni mną, a ja nimi.

Wciągnąłem głęboko powietrze w płuca i spojrzałem na Monę.

- Chodź - powiedziałem. - Zobaczmy, jak bardzo zdołamy zbliżyć się do kakadu. Mono, będziemy musieli znaleźć dla ciebie w Hiszpanii męża, wojownika toczącego krwawe boje z niewiernymi. Tam, na pograniczu, mężczyźni są mężczyznami i kiedy widzą kobietę, która im się podoba... Cóż, będziesz musiała nosić grubsze kwefy.

Na twarz wystąpiły jej gorące rumieńce i po raz pierwszy od chwili, kiedy ją poznałem, zapomniała języka w ustach.

Niebawem z domu wyszła Szemselnehara. Twarz spowijał jej tak gruby kwef, że nie mogłem dostrzec rysów i wyrazu jej twarzy. Ujęła dłoń Mony. Dziewczyna oddała jej uścisk. Szemselnehara pociągnęła swą przyjaciółkę za sobą i, nie odwracając się, rzekła:

- Żegnaj, Abu al-Hasanie.

W chwilę później z domu wyłonił się książę. Sprawiał wrażenie bardzo zakłopotanego. Potrząsnął głową.

- Dlaczego tak gwałtownie odeszła? - zapytał, odzyskując panowanie nad sobą. - To ona zmusiła mnie do przysięgi na Świętą Księgę, że będę tu jutro czekać o tej samej porze.

Kalif oświadczył mi kiedyś, że choć zaznałem w życiu tylko jednej kobiety, znam je wszystkie. Pomyślałem o swojej żonie, o niektórych nocach z nią spędzonych, o naszych sprzeczkach i kłótniach, po czym popatrzyłem z uśmiechem na księcia.

- Bo cię kocha.

Przekazałem mu klucz do bramy; więcej już mnie nie potrzebowali. Niemniej następnego dnia kupiłem starą, wykonaną przed stu laty lutnię. Byłem pewny, że Szemselnehara umie grać na takim instrumencie. Z samego rana udałem się do starego domu przekonany, że nikogo tam nie zastanę, ale na dziedzińcu przywitała mnie Szemselnehara. Ujęła mnie za rękę. W oczach miała łzy. Uklęknęła i poprosiła o błogosławieństwo. Dopiero gdy powstała, spostrzegła, że przyniosłem jej prezent.

- O nie, panie mój - powiedziała. - Nie umiem na tym grać. Ale przyrzekam, że się nauczę, choćby nawet w Hiszpanii były inne lutnie.

Kupiłem ten instrument z czystego kaprysu; nie chciałem narzucać Szemselneharze jakichkolwiek warunków i zmuszać do obligacji. Nie byłem przyzwyczajony, by ktokolwiek w taki sposób przyjmował moje podarunki. Spodziewałem się jedynie pocałowania w rękę i słów: „Dziękuję, panie mój”.

Ale Szemselnehara najwyraźniej była uradowana, że ma wobec mnie dług.

Kiedy wieczorem wróciłem do domu, czekał na mnie posłaniec. Nie przyniósł żadnego pisma. Szepnął mi jedynie do ucha, że Jazid oczekuje mojej wizyty i że nie lubi czekać.

- Przekaż mu, że jednak musi jeszcze trochę poczekać - odrzekłem posłańcowi. - Powiedz mu też, że przyniosę dobre wieści.

Następnego dnia udałem się do domu księcia. Powiedziałem mu o posłańcu.

- Na co jeszcze czekacie? - zapytałem. - Kiedy zamierzacie opuścić wreszcie miasto?

- Za kilka dni - odparł. - Tak postanowiła Szemselnehara. W przyszłym tygodniu kalif wyjeżdża, więc nie grozi jej jego wizyta. Da to nam czas na ucieczkę bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Powiedziała też kalifowi, że podejrzewa, iż Jazid i Nuraddin ją szpiegują. Na to kalif: „Porozmawiam z nimi. Zdecydowanie. Powiem, że we własnym interesie powinni się trzymać od ciebie z daleka”.

Szemselnehara głęboko wierzyła, że w mieście będą najbezpieczniejsi, a żadna z niewolnic jej nie zdradzi; wszystkie dobrze wiedziały, że kalif uwierzy nie im, lecz swej nałożnicy. Ja byłem jedynym człowiekiem, któremu kalif ufał bardziej niż jej, a wszyscy w pałacu widzieli mnie w towarzystwie księcia. Szemselnehara zdawała sobie sprawę, że prawdziwe niebezpieczeństwo pojawi się dopiero wtedy, gdy uciekną, a kalif puści ich tropem całą armię swoich ludzi. Tak więc muszą wybrać na ucieczkę odpowiedni moment.

Nie spierałem się; im dłużej zwlekali, tym więcej pozostawało mi życia. Codziennie widywałem księcia lub Szemselneharę, kiedy przynosiłem im różne prezenty. Zawsze prosili, bym pozostał dłużej, ale zdecydowanie odmawiałem. Sąsiedzi byliby zdziwieni, gdybym spędzał całe godziny ze swymi lokatorami. Wystarczał mi uścisk ich dłoni i serdeczne, pełne wdzięczno-

ści spojrzenie. To prawda, tamte dni były osobiście spokojne. Nie tylko nie widziałem nikogo obserwującego dom, w którym spotykali się książę i Szemselnehara, ale i przylegające do niego ulice były bardziej wyludnione niż zwykle.

Zdrowy rozsądek wracał mi, ilekroć widziałem swoją żonę. Kiedy się spotykaliśmy, patrzyła na mnie, wiedząc, że coś się dzieje. Ja odwracałem wzrok, uświadamiając sobie, że nie mogę wyznać jej prawdy. Wracałem myślami do chwili dziwnego uniesienia, jakie ogarnęło mnie w ogrodzie mego drugiego domu. Kiedy jednak widziałem Fatimę, a nawet kiedy o niej tylko myślałem, owo osobliwe uczucie opuszczało mnie. Jakiż był sens owej jedności z wszechświatem, skoro nie mogłem własnej żonie wyznać całej prawdy? Moje wyprawy do drugiego domu tylko mnie od niej coraz bardziej oddalały i nie wiedziałem, jak to zmienić, nie narażając jej przy tym na niebezpieczeństwo. Zacząłem więc unikać Fatimy, ale ilekroć znalazłem wpleciony w moją szatę dziwny supełek albo zobaczyłem talizman chroniący przed złym okiem, zawieszony za oknem pracowni, chciałem te amulety całować.

A moje dzieci? Zbliżało się Święto Ofiar*³². Gdybym jeszcze żył, moje dzieci i wnuki zgromadziliby się pod moim dachem; może nawet doczekałbym się prawnuka? Wszyscy oni przybiegliby, aby wziąć moją żonę w objęcia, śmieliby się i paplali, a ona całowałaby ich policzki i oddawałaby sobie szacunek, tak jak robili to książę i Szemselnehara ze mną. Kiedy jednak moje dzieci przyszłyby do mnie, ich pocałunki wyrażałyby jedynie szacunek. Wkrótce zapewne umrę. Fatima z pewnością wszystko zrozumie, jeśli już nie rozumiała. Ale dzieci i wnuki nigdy mi tego nie wybaczą. Czasami pragnąłem odwiedzić ich domy, ale przecież nigdy nie odwiedzałem ich bez ważnego powodu. Moje nieoczekiwane pojawienie się wzbudziłoby jedynie ogromne zdziwienie. Poza tym, ze względu na ich własne bezpieczeństwo, nie mogłem tego uczynić w tych dniach zdrady. Tak więc, zamiast odwiedzać

³² * Po arabsku: *id al-adha*. Zaczyna się ono dziesiątego dnia dwunastego miesiąca *zu al-hidżdża* na zakończenie pielgrzymki do Mekki. Ważną częścią tego święta jest złożenie ofiary ze zwierzęcia, zwykle barana, a następnie spożywanie go.

własne dzieci, ponownie przyjmowałem w sklepie młodzież ze szlacheckich rodów, wygłaszając roztropne maksymy i dzieląc się z nimi swoją wiedzą filozoficzną.

W Dzień Zgromadzenia wrócił posłaniec od Jazida.

- Mój pan wciąż czeka na twoją wizytę - szepnął. - Jeśli się u niego nie pojawisz, wyciągnie odpowiednie wnioski... i podejmie odpowiednie działania.

- Powiedz swemu panu, że jeśli podejmie jakieś czynności przeciw mnie lub księciu, będą to czynności skierowane również przeciw Jego Wysokości. Powiedz też, że jeśli w dalszym ciągu będzie mi grozić - bo to właśnie robisz - poniesie straszliwe konsekwencje. - Popatrzyłem na niego z najwyższą pogardą. - Jeśli nie udaję się natychmiast do Jego Wysokości, to tylko dlatego, że jestem głęboko przekonany, iż Jazid jest człowiekiem zbyt mądrym i zbyt lojalnym, by przysyłać mi takie wieści. To ty po prostu coś macisz i knujesz, przemawiając w imieniu marszałka dworu bez jego zezwolenia. A teraz wyłoś się z mego domu, bo wezwę straż królewską.

Jeszcze tego wieczoru opowiedziałem księciu o drugiej wizycie posłańca.

- Musicie opuścić miasto - rzekłem z naciskiem. - I to natychmiast. Jazid nie będzie dłużej czekać... jeśli już nie zaczął czegoś robić. W tych sprawach jest o wiele lepszy ode mnie. Szybko przejrzy mój blef. Wyjeżdżajcie. Gdy następnym razem spotkasz się z Szemselneharą, bez słowa posadź ją na grzbiet swego wierzchowca i uciekajcie.

- Odmówi - odparł książę. - Zdecydowanie odmówi. Kalif odwołał podróż, a więc i my teraz musimy czekać. Twierdzi, że dopóki nie uciekamy, nic nam nie grozi.

Popatrzyłem na niego ze zdumieniem.

- I ty naprawdę w to wierzysz?

Księżca opuściła tak charakterystyczna dla niego pewność siebie.

- Nie wiem - powiedział cicho. - Nie wiem, czy jej wierzę. Ale jaki mam wybór? Ona nie pojedzie, i już.

Wiersz

Następnego dnia, po wezwaniu do porannej modlitwy, zjadłem śniadanie złożone jak zwykle z chleba i daktyli, wymieniłem popioły, w których prażyłem naczynia z siarką i rtęcią, po czym udałem się do łaźni. Chodziłem tam zawsze o tej samej porze: nazajutrz po Dniu Zgromadzenia, kiedy łaźnie nie są tak zatłoczone jak w inne dni, i pozostawałem tam tylko tyle czasu, ile potrzebowałem na dokładną kąpiel. Wielu religijnych ludzi traktuje łaźnie z dużą podejrzliwością, tak więc szybkość i pora moich kąpieli budziły powszechną aprobatę; ludzie w znacznej mierze kładli to na karb mojej surowej i nieugiętej moralności. Gdybym opuścił którąś z moich cotygodniowych kąpieli, zwróciłoby to powszechną uwagę. Poza tym ta kąpiel pewnego dnia mogła być ostatnia w moim życiu. Łaźnia przy ulicy, na której mieszkałem, była zapewne największa i najwytworniejsza w całym mieście. Zapłaciłem jak zwykle pięć srebrnych dirhemów i po stromych kamiennych stopniach zszedłem pod ziemię. Pomieszczenia łaźni wyłożono białym marmurem, z wyjątkiem sufitów, gdzie płyty z półprzezroczystego kamienia przedzielało barwione szkło. Wpadające przez nie słoneczne światło nabierało różowych i niebieskich barw. W przebieralni oddałem swoje odzienie łaźniemu, a sam, okryty obszernym ręcznikiem, rozpocząłem wędrówkę przez kolejne pomieszczenia wypełnione parą, którą napływające z góry światło barwiło na różowo i niebiesko. W niektórych salach para była rzadsza i zaledwie letnia; na ustawionych pod ścianami drewnianych ławach siedzieli mężczyźni. W innych pomieszczeniach para była tak gęsta i gorąca, że odnosiłem wrażenie, jakbym oślepl, jakby moje ciało płonęło żywym ogniem, jakby otaczała mnie pustka i gdybym się poślizgnął, runąłbym w czarną otchłań.

W końcu minąłem wypełnione parą komnaty i znalazłem się w pomieszczeniach z wodą. W każdej sali znajdował się basen. Minąłem pokój z wodą zimną i z letnią, aż dotarłem do gorącej. Udałem się do pomieszczenia z wo-

dą wręcz parzącą. Dla większości ludzi woda ta była zbyt gorąca; tego ranka w basenie przebywał tylko jeden człowiek. Powitałem go skinieniem głowy i ostrożnie wszedłem do basenu. W pierwszej chwili oblało mnie straszne, aż bolesne gorąco, lecz niebawem skóra zaczęła mi rozkosznie mrowić i starcze mięśnie stopniowo się rozluźniały. Łaziebnym przyniósł mydło i wiązki różeg do pobudzenia krążenia krwi. Pojawił się goli-broda i zaczął mnie strzyc brzytwą, umiejętnie zgarniając obcięte włosy tak, że nie wpadały do wody. I dopiero wtedy zauważyłem, kim jest mój towarzysz w basenie. Gdyby nie duży, wpięty w ucho, mosiężny pierścień, jaki noszą niewolnicy, nigdy nie rozpoznałbym tego człowieka.

- Nuraddinie, panie mój! - wykrzyknąłem.

Ze zdumienia gwałtownie usiadłem. Jedyne zręczności golibrody zawdzięczam, że jego brzytwa nie weszła mi w czaszkę.

Poprzez gęstą parę bijącą z gorącej wody zobaczyłem, że wielki wezyr skinął na powitanie głową.

- Cóż za miła niespodzianka, Abu al-Hasanie, panie mój! Niech pokój będzie z tobą.

Popatrzył na mnie łaskawie, z lekkim, łajdackim uśmiechem, który nigdy nie schodził mu z twarzy. Czasami wydawało mi się, że kiedy wyszedł z łona matki, wcale nie krzyczał, lecz głupawo się uśmiechał.

- I niech z tobą będzie pokój, Nuraddinie, panie mój. Proszę o wybaczenie, iż cię od razu nie rozpoznałem.

Nie przestając się uśmiechać, wielki wezyr niedbale potrząsnął głową. W obłokach niebieskiej i różowej pary zaśnił jego mosiężny pierścień.

Nuraddin przyszedł na świat na odległych zachodnich rubieżach imperium. Podczas wojny wzięto go do niewoli i przywieziono do stolicy jako niewolnika. Trafił na służbę u kalifa i od tej chwili zaczął robić oszałamiającą karierę. Kiedy kalif obdarzył go wolnością, Nuraddin nie musiał już dłużej nosić w uchu mosiężnego pierścienia. A jednak zdecydował się go nie po-

zbywać. „On mi ciągle przypomina - wyjaśnił przy jakiejś okazji - że wszyscy jesteśmy niewolnikami Wszechmocnego i Najsprawiedliwszego, a także Jego Wysokości. Wyzwolił mnie wbrew mojej woli”.

Nuraddin był w równym stopniu odrażający, jak jego poprzednik, Dżafar, piękny. Dżafar spoglądał na człowieka z serdecznym uśmiechem, jakby od razu wyczuwał w nim wszystkie jego dodatnie cechy. W towarzystwie Dżafara aż chciało się wyznać mu wszystkie swoje nadzieje i marzenia, troski i sukcesy. W obecności Nuraddina każdy czuł się skrępowany i niezbyt pewnie, jakby dostojnik od razu wyczuwał wszystkie jego złe strony. Człowiek pragnął jedynie jak najszybciej zniknąć z jego oczu, ale bał się odwrócić doń plecami.

Nuraddin miał jasną karnację, długi, ostry nos i jeszcze ostrzejsze spojrzenie. O ile Jazid kochał bogactwo, Nuraddinowi nie zależało na doczesnych dobrach. Nieżonaty, mieszkał w skromnej posiadłości i często osobiście odwiedzał bazyry i łaźnie. Towarzyszyło mu tylko kilku gwardzistów w przebraniu. Nikt, kto widział tego człowieka o bladej skórze i krzywym, łajdackim uśmiechu, nie pomyślałby, że ma przed sobą najpotężniejszego i najbardziej wpływowego, po kalifie, człowieka w imperium.

Golibroda znów przystąpił do pracy. Powietrze wypełniała barwna para. Nuraddin przyglądał mi się z tym swoim wiecznym uśmiechem.

- Od dawna cię nie widziałem, Abu al-Hasanie.

- Ale mam nadzieję, mój panie, że wszystko układa ci się pomyślnie.

- Cóż, czasy są ciężkie. Jeśli podatki są zbyt wysokie, wieśniacy porzucają swe pola. Jeśli są za niskie, nie ma z czego opłacać wojska. - Wzruszył ramionami. - Sam więc widzisz, jak delikatna jest sytuacja. Czasami obawiam się, że nie do rozwiązania.

Do rozlicznych obowiązków Nuraddina należało również pobieranie podatków. Z tego też względu był najbardziej zniechęconym człowiekiem w imperium. Ale w tym fachu był wyjątkowo kompetentny i wiedział o wielu

ludziach bardzo wiele. Pozbyć się go można było tylko w jeden sposób: zadając mu śmierć.

- Panie mój, twoje obowiązki są bardzo uciążliwe - stwierdziłem.

Nuraddin szeroko się uśmiechnął.

- Ach, to prawda. Ale wiesz, lubię je.

Nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć. Milczenie przedłużało się, a wielki wezyr świdrował mnie baczny, pełnym pogardy wzrokiem. Golibroda skończył strzyżenie i zaczął przycinać mi brodę. Rozłożył mi na torsie misterną tkaninę, na którą spadały włosy. Podręczny wniósł kadzielnicę. Wonny dym z drzewa sandałowego mieszał się z obłokami unoszącej się w powietrzu pary.

Nuraddin uderzał dłońmi w parującą wodę basenu.

- Czy wiesz, Abu al-Hasanie, że jedną z moich największych trosk jest Miasto Umarłych?

- Coś o tym słyszałem, panie mój.

Część Miasta Umarłych została rozkopana, a zwłoki rzucone do rzeki; tereny te sprzedano po raz drugi.

- To przypomina nam o naszej śmiertelności. Abu al-Hasanie, tylu ludzi umiera w mieście. Zadziwiające! Przy takim tempie niebawem nikt nie zostanie w stolicy. - Popatrzył na wodę, którą wciąż rozchlaprywał rękami. - Ale Święta Księga mówi, że nasz prawdziwy dom znajduje się w przyszłym życiu, nie tutaj. I o ten dom należy dbać, o cnotliwą ścieżkę, która nas do niego zaprowadzi. Im szybciej, tym lepiej. - Popatrzył na mnie z cynicznym uśmiechem. - Co o tym sądzisz, Abu al-Hasanie?

- Panie mój, nie znam się na tych sprawach.

- To źle, Abu al-Hasanie. Naprawdę źle. Czyż Święta Księga nie nakazuje nam rozmyślać o Dniu Ostatnim? Każdy z nas powinien myśleć o swojej śmierci.

Czułem, jak na moich policzkach i szyi drżą dłonie przerażonego golibrody.

- Myślałem o tym, panie. I o tym, co mówi Święta Księga. Ale większość Świętej Księgi jest poza zrozumieniem takich głupców jak ja. Wierzę jedynie w Miłosiernego.

- A zatem uważasz siebie za głupca...? Ja zawsze miałem cię za mędrca, kalif zresztą też. Jestem o tym przekonany. Naprawdę cię podziwiał.

- Pochlebiasz mi, ale zarówno kalif, jak i ja jesteśmy niczym wobec Wszechwiedzącego.

Z twarzy Nuraddina nie schodził głupawy uśmiezek; zupełnie jakby traktował mnie jak dziecko, które zdało egzamin.

- Bardzo dobrze, Abu al-Hasanie.

Zamknął oczy i znów zaczął uderzać dłońmi w wodę. Go-libroda skończył strzyżenie i zgarnął tkaninę spowijającą mój tors; moja siwa broda była ładnie przycięta. Zastanawiałem się, czy powinienem się ze wszystkiego wytłumaczyć, ale powstrzymywało mnie coś w widoku bijących w wodę dłoniach Nuraddina. Otworzył oczy. Jego ręce znieruchomiały; spoczywały na powierzchni parującej wody.

- To dziwne, Abu al-Hasanie, a w każdym razie dziwne dla człowieka czynu, takiego jak ja, ale czasami najlepiej mogę służyć kalifowi, nie robiąc nic. Weźmy na przykład Miasto Umarłych. Co mogę zrobić? Oczywiście schwytaliśmy sprawców, a ich głowy zostały wbite na tyczki u wrót miasta. Ale co ze świętokradztwem, jakiego się dopuścili? Nie byłem w stanie odnaleźć zwłok, które wrzucili do rzeki, nie mogłem naprawić zła, które się stało. Mogłem jedynie ukarać sprawców, jak wymagała tego zwykła sprawiedliwość. - Umilkł na chwilę; na jego twarzy, jak zawsze, malował się krzywy

uśmiech. - Musiałem więc pozostawić niektórych zmarłych w ich obrabowanych grobach, a innych zostawić w rzece... Abu al-Hasanie, jest jeszcze wielu zmarłych spoczywających w niewłaściwych miejscach. Trudno mi się z tym pogodzić, gdyż wierzę w sprawiedliwość, ale... - Jego oblicze rozjaśnił odrobinę szerszy uśmiech. - Ale jak sam powiedziałaś, wobec Najwyższego wszyscy jesteśmy głupcami, tak zatem czasami nie robię nic, zdając się jedynie na opatrność. - Dłuższą chwilę spoglądał na mnie z uśmiechem, po czym pochylił głowę. - Abu al-Hasanie, spotkanie z tobą uradowało me serce. Obawiam się tylko, że nieprędko ponownie się spotkamy, ale kto wie...? Bóg jest wielki.

Choć łaźnia była publiczna, tak samo moja jak i jego, i mimo iż jeszcze nie zdążyłem się wykapać, zrozumiałem, że zostałem odprawiony. Wstałem, okryłem się ręcznikiem i złożyłem niski ukłon.

- Rozmowa z tobą była dla mnie zaszczytem, Nuraddinie, panie mój.

Uśmiechnął się, nie podnosząc głowy. Odszedłem. Mijałem komnaty z chłodniejszą wodą i sale wypełnione barwną parą.

Tego popołudnia znów gościłem w sklepie młodzież ze szlacheckich domów i znów nadawałem ton dyskusji o zaletach małżeństwa i tajemnicy śmierci.

W pracowni rozpocząłem prace nad kolejną formułą al-Siddaka. Receptura zasadzała się na kohobacji*³³ rtęci, czystej siarki, rodnika żelaza i żółtek jajek. Rozpaliłem ogień pod kotłem destylacyjnym i uważnie obserwowałem, jak płomień liżę glinianą flaszkę. Zaczyn zaczął parować, przemieszczając się do szklanego alembika, skąd skapywał do odbieralnika. Kiedy odbieralnik był już pełny, uzyskany płyn ponownie wlewałem do glinianej flaszki i proces zaczynał się od początku. Przez trzy dni wykonałem dziewięćdziesiąt dziewięć wymaganych receptur destylacji - każda odpowiadająca jednemu imieniu Boga. Następnie wymieszałem rodnik żelaza i siarkę i włożyłem je do

33 * Wielokrotne destylowanie; z arabskiego: *ka 'aba*, i łacińskiego: *cohobare*.

jednego z palenisk. Następnie połączyłem żółtka jajek z oczyszczoną rtęcią i wsunąłem je do drugiego pieca. Cała trudność polegała na tym, by stworzyć idealną formę rodnika żelaza. „Twardość ziemi - mówi receptura - musi całkowicie pochłonąć ciepło ducha; w przeciwnym razie purpurowy eliksir nie będzie skuteczny i starzec pozostanie starcem”.

Wielokrotnie nawiedzał mój sklep Assad. Zawsze skarżył się na ból gardła. Nie był w stanie niczego się dowiedzieć, więc doszedłem do wniosku, że naprawdę cierpi na jakąś dolegliwość. Nie miałem żadnych wiadomości od kalifa; nie wzywał mnie nawet na cotygodniową partię szachów. Nie zdarzyło się to od wielu lat. Jeśli o wszystkim już wie - zastanawiałem się - dlaczego milczy? Moim największym zmartwieniem był Jazid, którego posłaniec więcej się już nie pojawił. Jazid wiedział, że księżę i Szemselnehara mają ze sobą romans, co bardzo szkodziło sprawom księcia. Miałem nadzieję, że zaakceptuje moją grę i uwierzy, iż kalif posługuje się Szemselneharą jako narzędziem do zhańbienia księcia dla własnych korzyści. Ale jak mogłem zwieść marszałka dworu, weterana pałacowych intryg? Jeśli uda mi się zamydląc mu oczy, to co go powstrzyma przed upublicznieniem tego romansu?

W moim sklepie pojawiła się Mona. Kalif ostatecznie udał się w podróż, o której wspominała Szemselnehara. Wciąż jeszcze nie opuszczała z księciem miasta, ale mogli to uczynić lada dzień, przed powrotem kalifa. Cały czas korzystali z jego nieobecności, spotykając się każdej nocy. Zaprosili mnie na wieczerę.

Po wezwaniu na wieczorną modlitwę wynająłem gondolę. Mój drugi dom znajdował się w dolnych rejonach miasta, tak że łodziarz wyprowadził gondolę z kanału na rzekę zatłoczoną wielkimi barkami. Sprawnie lawirował między nimi. Żeglarze z barek wymieniali ze sobą żartobliwe okrzyki i wydawali komendy; czasami pozdrawiali wesołymi okrzykami łodziarzy z gondol. Byłem niewidoczny, zarówno dlatego, że znajdowałem się w głębokiej gondoli, jak i dlatego, że żeglarze nie zwracali uwagi na chwilowych pasażerów łodzi - oni wozili do morza towar; bele bawełny.

Choć mój drugi dom znajdował się poza murami miasta, jego sąsiedztwo przypominało do złudzenia śródmieście stolicy. Mijaliśmy posiadłość za posiadłością, aż dotarliśmy do wylotu kanału, przy którym stał mój dom. W roz-targnieniu wręczyłem łodziarzowi złotego dinara. Łodziarz pomógł mi wy-siąść z łodzi i z uszanowaniem ucałował moją dłoń. Dopiero gdy znalazłem się już na ulicy, uświadomiłem sobie, że straciłem anonimowość, że zapisa-łem się w pamięci łodziarza, który będzie rozpowiadał o tajemniczym, hoj-nym pasażerze.

Brama była zamknięta. Zakołatałem. Otworzył ją Kristof, Frankończyk, którego kupiłem na targu niewolników i uczyniłem jednym z zarządców do-mu. Złożył mi krótki ukłon. Był wysokim, masywnie zbudowanym mężczy-zną o posępnym spojrzeniu. Zgolił brodę i miał teraz twarz niemal chłopięcą. Nie obcinał swych rudych włosów; rosły mu coraz dłuższe i coraz bardziej przypominały zmierzwioną sierść psa. Widziałem go kilka razy i zawsze na-pawał mnie lękiem. Wciąż jednak bawił mnie jego wygląd.

- Czekają na ciebie w domu, panie.

Odwrócił się i bez słowa czy zbędnych gestów, poprowadził mnie przez ogród. Na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech na myśl o jego akcencie i obcesowości; w tym domu służba domowa księcia i Szemselnehary była o wiele bardziej swobodna niż w domu matki księcia i pałacu nałożnicy kalifa.

Oznajmiając moje imię, Kristof zostawił mnie przed ozdobioną pacior-kami zasłoną dzielącą korytarz od komnaty.

- Wejdz, panie! - rozległ się podwójny okrzyk.

Zanim wszedłem, wręczyłem niewolnikowi całą garść dirhemów. Bez względu na to, czy książę i Szemselnehara uciekną lub zostaną złapani, Fran-kończyk odzyska wolność; a wtedy będzie potrzebował pieniędzy, by wrócić do swego ludu.

Jeszcze nie opadła ze mnie zasłona, kiedy książę w kornym pokłonie ucałował moją dłoń.

- Witaj, najmilszy Abu al-Hasanie, panie mój, za którego oddałbym życie - wybąkał ksiązę. - Witaj w naszym niegodnym domu.

- Jesteś zbyt uprzejmy, Abu al-Hasanie Ali, nazywając ten dom niegodnym. - Szemselnehara roześmiała się, słuchając jękającego się księcia. - To my jesteśmy niegodni, a on o tym dobrze wie... Nie, proszę! - wykrzyknęła, kiedy chciałem cofnąć dłoń, którą mi całowała. - Panie mój, pozwól mi ucałować swe ręce, tak jak robi to twój niewolnik. Jeśli nie pozwolisz mi być twoją niewolnicą, Bóg skarże mnie za grzech niewdzięczności.

Uśmiechnąłem się i cofnąłem rękę.

- O, nie! - odparłem, choć z mojej twarzy nie schodził uśmiech. - Mam dosyć niewolników, znam zbyt wiele osób, które całują mnie po rękach, ale twoją wdzięczność przyjmę z przyjemnością.

- Panie mój - odrzekł ksiązę. - Miałem jedynie na myśli...

- Wiem, co miałeś na myśli, ale to jest już twój dom, bo tak musi być.

Popatrzyłem na pełne ciepła, utkane z zielonej, białej i żółtej wełny, ściennie dywany, które kupiłem przed tygodniem. Takie same widziałem w garderobie Szemselnehary oraz w pokoju mego ukochanego syna, Isy; tyle tylko, że tamte były w głębokim granacie, przypominającym nocne niebo. Popatrzyłem na posadzkę, którą pokrywały chińskie i perskie kobierce kupione przeze mnie; popatrzyłem na stare, wytarte poduszki Szemselnehary oraz dawne poduchy Dawooda, mego drugiego syna - uznał je za zbyt dziecięce i oddał Lajli, mojej drugiej córce. Ta jednak stwierdziła, że są paskudne. Przez tyle lat wchłaniały w siebie kurz.

Ksiązę posadził mnie na poduszce obok rozłożonej na posadzce owczej skóry. Kiedy obmywał mi dłonie wodą laną ze złotej wazy, Szemselnehara przyniosła glinianą wazę nakrytą stożkową pokrywą. Takich naczyń używały zazwyczaj ubogie kobiety. Dopiero kiedy postawiła naczynie przede mną i uniosła przykrywkę, zrozumiałem, iż jest to potrawa, którą sama przyrządziła: marchewka, cebula, groch, mięso wielbłąda; jedzenie biedaków.

I nagle znów byłem dzieciakiem w Trzech Źródłach. Łapczywie sięgnąłem po kawałek mięsa i zagryzłem go plackiem*³⁴ podanym mi przez Szemselneharę. Bywały dni, kiedy mojej matki nie było stać nawet na wielbłądzie mięso. Kiedy pojawiłem się na świecie, matka była młodsza od Szemselnehary; kiedy już osiągnęła jej wiek, umarł mój ojciec.

Dałem im dom z ośmioną komnatami, ale Szemselnehara wybrała tylko jedną. Gotowała na ozdobnym piecu, a owcze skóry, na których jadali, rozkładała na kosztownych kobiercach. Sofy przesunęli pod ścianę, gdzie nie było poduszek i dywanów. Zapach cebuli przywołał wspomnienia: spałem w nogach rodziców, a kiedy wspinałem się do nich w poszukiwaniu ciepła, odpychali mnie; wróciła pamięć o wysokim, zawsze spoconym mężczyźnie, który brał mnie na ręce; przypomniałem sobie, jak bardzo lubiłem się bawić wśród zwojów lin i pęków konopi rozrzuconych po całej podłodze. Nasz jednopokojowy domek służył memu ojcu również za warsztat.

- Szemselneharo, twój ojciec handlował zbożem? - spytałem.

Zaczerwieniła się.

- I ciągle to robi - odparła cicho.

Wydało mi się, że wzmianka o jej niskim pochodzeniu bardzo ją zażenowała.

- Wybacz, ale właśnie myślałem o własnym ojcu.

Tłumaczenie się tylko sprawę pogorszyło. Implikowało, że

niski stan uważam za coś, co przynosi ujmę. Ale spoglądała na mnie z wyraźnym zrozumieniem - tak jak dobra gospodyni spogląda na swego roz-targnionego dziadka. Zalety zarówno młodej dziewczyny, jak i dojrzałej kobiety nigdy dotąd nie miała okazji uzewnętrznić, nie chwaliła się tym, ale w obu tych rolach wypadała znakomicie. Gdy patrzyłem na nią i na księcia, wi-

³⁴*Arabowie mają chleb zbliżony kształtem do naszych naleśników, tyle że trochę grubszych. Jedzą palcami, czerpiąc ze wspólnych misek, nabierając tymi plackami jedzenie.

działem młodych małżonków przybranych w kosztowne jedwabie i klejnoty. On był dumny, choć zaślepiony miłością, gotów spełnić każdą jej zachciankę; a jednocześnie czuł na jej smutek. Mimo że jej oczy były radosne, w źrenicach i kącikach ust czaiło się znużenie i starość. Poprzedniej nocy jej łoże należało do kalifa.

Zaczerpnąłem plackiem cebulę, marchewkę i trochę mięsa.

- Nawet nie wiecie, jaką przyjemność mi sprawiliście dzisiaj wieczorzą - rzekłem.

Oboje odpowiedzieli mi uśmiechem. Księżę czule objął Szemselneharę.

Po posiłku poprosiłem, by pozwolili mi na chwilę samotności w ogrodzie. Chciałem zebrać myśli. Później, przy pucharach z winem, porozmawialibyśmy o Hiszpanii. Hiszpania... Być może uda się im tam dotrzeć i zacząć nowe, szczęśliwe życie. Ostatecznie udało się to wielu młodym małżeństwom.

Przechadzałem się jakiś czas po pogrążonym w wieczornym mroku ogrodzie. W końcu usiadłem przy sadzawce. Księżyc był w nowiu i nocne niebo wypełniały gwiazdy. W ich mętnym blasku złociste ryby pluskały się w ciemnej wodzie.

Łomotanie do bramy było tak nieoczekiwane, że dopiero po dłuższej chwili odwróciłem głowę. Później położyłem się na trawie. Do moich uszu dobiegł zgrzyt otwieranych wrót, tupot nóg i krótki, przenikliwy skowyt Szemselnehary, po którym zapadła martwa cisza. Leżałem bez ruchu na plecach. Od domu odgradzała mnie ciemność i murek otaczający sadzawkę. Nie ruchomym wzrokiem wpatrywałem się w granatowe niebo i pałające złocistym blaskiem gwiazdy. Starożytni wierzyli, że to bogowie składają sobie wzajemne wizyty. Moja żona uważała, że gwiazdy to groty niebiańskich strzał miotanych przez aniołów w diabły, które zanadto zbliżyły się do Raju, z którego po kres czasu zostały wygnane.

Dobiegał mnie hałas i łomoty; w domu wciąż buszowali królewscy gwardziści. Zapytywałem sam siebie, dlaczego nie wstaję, by poddać się nieuchronnemu losowi? Tchórzostwo dawało mi zaledwie kilka godzin życia. A jednak nie ruszałem się z miejsca. Po ziemi wleczono jakieś ciężkie przedmioty, z trzaskiem zamknęły się wrota i zapadła cisza. Kiedy wszedłem do salonu, był pusty i obrabowany. Pozostało jedynie kilka wytartych czerwonych i purpurowych poduszek, gliniany garnek z jedzeniem oraz zielono-biało-żółte kilimy ścienne przedstawiające pole usiane stokrotkami.

Zrozumiałem to po dłuższej chwili: to nie gwardziści kalifa naszli dom.

13

Rozwiązałem spętanych służących i wyszedłem skrycie na ulicę. Najwyraźniej nikt nie zwrócił uwagi na ten cały zamęt. Pomyślałem, że złodzieje uwolniliby swoje ofiary w chwili, kiedy zrozumieli, kogo rabują. Ale o tym nie wiedzieli, a ja całe niebezpieczeństwo upatrywałem w tym, że wieść o napadzie dotrze do uszu kalifa. W osobliwy sposób nie dotarł do mojej świadomości fakt, że złodzieje niekoniecznie musieli być złodziejami.

Z tego, co później opowiedzieli mi książę i Szemselnehara, odtworzyłem kolejność zdarzeń.

Złodzieje przyłożyli im do szyi sztylety. Wiedząc, co się święci, nie stawiali oporu. Skrępowano im dłonie i nogi, lecz napastnicy obchodzili się z nimi wyjątkowo łagodnie. „Dajcie jej spokój - szepnął złodziejom książę. - Moja rodzina złoży za mnie okup, lecz jeśli chodzi o nią, jeśli odważycie się...”

Nie dali mu dokończyć, wkładając w usta knebel. Pozostawili ich i przystąpili do plądrowania domu.

Kochanków i zrabowane mienie umieścili na kilku łodziach, smukłych jak gondole, lecz z ławką na rufie, na której pracowało dwóch wiosłarzy. Szemselnehara leżała na głębokim dnie łodzi. Od mężczyzn bił smród potu i cebuli. Po obu stronach dziewczyny poutykano skradzione kobierce, zastawę stołową i drogocenne dzbany. Długa, wąska łódź kolebała się gwałtownie w wartkim nurcie rzeki. Rabusie niczym nie przykryli Szemselnehary i dziewczyna mogła obserwować gwiazdy. Bóg jednak nie zapomniał o niej. Jej przygody przechodziły moje najśmielsze wyobrażenia. Wykazywała absolutny spokój do chwili, kiedy pochylił się nad nią jeden z wiosłarzy.

- Proszę, proszę. Jesteś śliczniutka - powiedział, odkładając wiosło i sięgając po szablę.

- Co robisz? - zapytał jego towarzysz przy drugim wiosle.

- Wiosłuj i steruj. Mam kilka spraw do załatwienia.

- Poczekaj, aż dotrzemy na miejsce. Nie bądź durniem.

- Zamknij gębę i zajmij się wiosłem. I nie nazywaj mnie durniem. - Żeglarz przyłożył do szyi Szemselnehary szablę. - Zamierzam zdjąć ci knebel, ale tylko na chwilę. Jeśli zaczniesz krzyczeć, poderżnę ci gardło... ot, tak. - Wykonał w powietrzu zamaszysty ruch ręką. - Rozumiesz? Kiwnij głową, jeśli zrozumiałaś. Nie chciałbym podrzynać tak ślicznej szyjki.

- Dżahijo, co ty wyprawiasz? Bardzo mi się to nie podoba. Chcesz uciąć jej głowę? Herszt kazał mieć nad nią speqałną pieczę.

Dżahija wyjął z ust Szemselnehary knebel.

- Jakie śliczne usteczka! - zachłysnął się. - Kim jesteś?

Szemselnehara przez dłuższą chwilę chciwie łapała powietrze.

- Panie, miej nade mną litość. Jestem tylko tancerką i sierotą. Te klejnoty, które na sobie noszę, są wyłącznie dla moich wielbicieli. Zabierz je, ale daruj mi życie.

Poruszył ustami pod czarnym zawojem. Znów przyłożył szablę do jej szyi.

- Tylko tyle? - zapytał. - Dobrze, tancereczko. Jak się naprawdę nazywasz?

- Safijja*³⁵, panie mój.

- Jeśli ty się nazywasz Safijja, to ja jestem kompanem proroka. Jesteś taką samą tancerką jak ja tancerzem. Żadna tancerka nie nosi takich szat jak ty.

Szemselnehara miała na sobie wytworne, a jednocześnie skromne ubranie, jakie przystoi mężatce ze szlacheckiego rodu.

- Panie mój, był to kaprys mężczyzny, który mnie wynajął. Popytaj, wszyscy w mieście znają Safijję, tancerkę. - Zawiesiła głos. - Jeden z moich bardzo możnych klientów hojnie zapłacił za skontaktowanie się ze mną.

- Daj spokój, Dżahija. Przestań niecierpliwie przebierać nogami. Zatańczy ci w obozie, kiedy herszt na to pozwoli.

- Mówiłem ci, żebyś zamknęła gębę. I chcę, by mi zatańczyła teraz. W obozie herszt nie pozwoli na nic. Poza tym, jeśli naprawdę jest tancerką, wie o tym najlepiej. Prawda, Safijjo? Ona nawet to lubi. Chyba że tak naprawdę nie jest tancerką.

- Dżahija, herszt powiedział, abyśmy byli wobec niej grzeczni. Nie sądzę, żeby to była tancerka.

- I tego musimy się dowiedzieć. Jeśli naprawdę jest tylko tancerką, nie będzie sprawiała nam kłopotów.

Szemselnehara dłuższą chwilę milczała.

- Jestem tancerką - oświadczyła. - Ale wciąż jestem...

³⁵ *Safijja bind-Hujjaj, jedna z żon Mahometa, Żydówka, księżniczka Banu Kurajza i Banu an-Nadir.

- Dziewicą?

Skinęła głową.

Dżahija parsknął śmiechem.

- No cóż, zaraz to sprawdzimy.

Pochylił się nad nią tak nisko, że poczuła jego śmierdzący oddech; odwróciła głowę.

- Proszę, mój panie, miej litość nade mną, błagam cię w imię Boga...

- Ha! - Znów zakneblował jej usta. - Chrząknij, jeśli będziesz miała ochotę powiedzieć mi, kim naprawdę jesteś. Jeśli nie powiesz, uznam cię naprawdę za tancerkę, a wtedy sobie pohulamy.

Szemselnehara chrząknęła, ale w tej samej chwili łódź dobiła do brzegu. Rabusie wynieśli ją z łodzi i zaprowadzili do ciemnego zagajnika. Zostawili ją pod jednym z drzew. Patrzyła, jak wynoszą zrabowany łup, a następnie ukrywają łódź w gęstych zaroślach. Chrząknęła. Dżahija popatrzył na pustą rzekę, na rosnące nad jej brzegami drzewa i opuścił szablę. Wyjął jej z ust knebel.

- Tak?

- Dżahijo, twój herszt zetnie ci głowę.

- Kim naprawdę jesteś, Safijjo?

- Naprawdę nazywam się Lajla, mój panie, a moim ojcem jest Ali, handlarz bawełną. Jego ojcem z kolei jest Abu al-Ha-san, aptekarz, przyjaciel kalifa. Zlitujcie się nade mną! - Spojrzała błagalnie na kompana Dżahija. - Ojciec zabije mnie, gdy dowie się, gdzie spędziłam ten wieczór, ale dziadek zapłaci królewski okup pod warunkiem, że nie stanie mi się krzywda. Jeśli mnie zhańbicie, wyprze się mnie i nie zapłaci złamanego miedziaka. Błagam was, panowie, zlitujcie się nade mną i idźcie do mego dziadka. Mieszka w

domu, który obrabowaliście; sami widzieliście, jak bardzo mój dziadek jest bogaty.

Dżahija ponownie włożył jej do ust knebel i szyderczo się roześmiał.

- Ha, Safijjo, myślę, że jednak naprawdę jesteś tylko tancerką i jedynie udajesz, że ten szlachetnie urodzony mężczyzna zamierza cię poślubić. Znam takie kobiety jak ty. Twój dziadek, bogaty aptekarz... mogłaś wymyślić coś lepszego. Dlaczego nie generała? A nawet samego kalifa?

Zakneblowana Szemselnehara nie mogła wykrztusić słowa. Dżahija uklęknął przed nią.

- Dżahija!

- Jestem zajęty.

- Słyszałem o Abu al-Hasanie. To najbliższy przyjaciel kalifa. Jeśli ona mówi prawdę, jesteśmy martwi. Sam herszt kazał obchodzić się z nią łagodnie.

- Ona łże. To zwykła tancerka i będzie moim łupem. Przywódca nigdy nie pozwoli nam wejść do miasta i o to mam do niego żal. Jeśli nawet dziewczyna mówi prawdę, zamknę buzię na kłódkę na temat tego, co się wydarzyło, ponieważ kiedyś zechcę wyjść za mąż. Prawda, Safijjo?

- Nie podoba mi się to, Dżahijo. Naprawdę mi się to nie podoba.

W tej samej chwili na plaży pojawił się sam herszt. Dżahija i jego kompan wyjaśnili, że poluzowało się jedno z jej pęt i dziewczyna próbowała uciec. Towarzysz Dżahii odprowadził Szemselneharę do obozu.

Przywiązany do drzewa książę zobaczył prowadzoną przez żeglarza Szemselneharę; za nimi posuwał się Dżahija; wzrok miał ponury.

Rabusie rozbili obóz w lesie przylegającym do brzegu rzeki. Mimo bliskości stolicy imperium lasy wciąż pozostawały poza królewską jurysdykcją. Kompan Dżahii przywiązał Szemselneharę do sąsiedniego drzewa, zaledwie

kilka metrów od księcia. Dziewczyna omiotła wzrokiem okolicę. Spojrzała na księcia, po czym szybko odwróciła wzrok.

Rabusie pakowali w zgrabne toboły ukradziony dobytek. Na każdym pisali „Dom Alego”, jakby były to towary przywiezione świeżo karawaną. Byli w doskonałych nastrojach. Księżę i Szemselnehara obserwowali gorączkowy ruch w pogrążonym w ciemnościach lesie. Czasami załśniła szabla lub srebro, mężczyźni klepali się radośnie po plecach, dobiegały gorączkowe szepty: „O, to jest ładne!”, „Za to sto dinarów! A gdzie tam, więcej!”; albo po prostu: „Łaaaa!” Z radości wymachiwali szablami, tnąc nimi gałęzie drzew. „Wina!” - wrzasnął któryś na całe gardło. - „Obudźcie właściciela któregoś z karawan-serajów i przynieście wina!”

- Dosyć! - rozległ się groźny głos.

Szemselneharę owiał zimny podmuch wiatru. Dziewczyna zadrżała, kiedy do pnia drzewa, do którego była przywiązana, przylgnał plecami mężczyzna. Herszt bandy trzymał ostrze szabli na jego gardle.

- Tu ja decyduję, czy i kiedy będziemy pić wino. A na razie spokój! Jeśli będziesz ryczał jak dziki osioł, przywabiając jakiegoś gwardzistę, zabijemy go, ale najpierw zginiesz ty. Kiedy już popakujemy rzeczy, udamy się w jakieś ustronne miejsce i tam będziesz mógł do woli pić i się łajdaczyć. Ale na razie, spokój!

Schował szablę, i mężczyzna, potykając się, oddalił się szybkim biegiem. W lesie zapadła głucha cisza. Herszt popatrzył na Szemselneharę.

- Wybacz, pani, tak szorstkie zachowanie się moich ludzi. - Uśmiechnął się. - Tak się dzieje zawsze przy porwaniach.

Przywódca bandy rabusiów miał puciołowatą, poznaczoną dziobami ospy twarz i szeroki nos. Nie nosił turbanu; jego długie jak u niewiasty splątane włosy siwiały. W oczach lśniły mu złośliwe błyski, ale największe wrażenie robiły zęby - białe i lśniące, aż niepokoiło to u człowieka, który zaczynał już siwieć. Podszedł do księcia.

- Zapewnimy wam trochę więcej wygód - powiedział - choć zdaję sobie sprawę, że nie będą one aż takie, do jakich dostojny pan jest przyzwyczajony.

Milczący, pogrążeni w mroku rabusie kończyli pakować łup. W podmuchach zimnego wiatru szeleściły liście drzew. Zarówno księżę, jak i Szemselnehara drżeli z zimna.

Bandyci zaczęli rozstawiać namioty. Herszt i dwóch jego ludzi odwiązali księcia od drzewa i zabrali ze sobą. Po chwili herszt wrócił do Szemselnehary i zaprowadził ją do niewielkiego, okrągłego namiotu, gdzie poprawił jej pęta.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy bransoletki dobrze się trzymają, moja miła - oświadczył.

Przywiązał ją do głównego masztu namiotu i wyszedł.

Podłogę wyłożono prostymi wełnianymi dywanami; były miękkie i dawały dużo ciepła. Osłonięta abażurem lampa rzuciła na Szemselneharę blask, ale resztę namiotu spowijał gęsty cień. Dziewczyna położyła się na ziemi i zwinęła w kłębek.

Po pewnym czasie dowódca wrócił. Usiadł obok niej. Lampa oświetlała tylko jego nogi; reszta ciała niknęła w mroku. W ciemności pobłyskiwały jedynie jego białe zęby i białka oczu.

- Sama najlepiej wiesz, że mogę cię sprzedać na targu niewolników w Kufie. Nawet jeśli nie umiesz tańczyć i śpiewać - a jestem pewien, że umiesz - bez kłopotu dostanę za ciebie tysiąc dinarów. - Dłuższą chwilę spoglądał na nią w milczeniu. Skrępowana, zakneblowana Szemselnehara oddała mu spojrzenie. - Mogę to zrobić, ale wcale nie muszę. Zależy to od tego, co mi powiesz. Tak więc waż każde swoje słowo. Jeśli dojdę do wniosku, że kłamiesz, czeka cię targ. Dla mnie byłoby to najprostsze rozwiązanie. Rozumiemy się?

Dziewczyna skinęła głową.

- No dobrze. - Przywódca bandy pochylił się w jej stronę. - Teraz zdejmę ci knebel. Widzę, że jesteś wystarczająco bystra, by wiedzieć, jak się zach-

wywać. - Wyjął z jej ust szmatę. Szemselnehara milczała. Pokiwał z aprobatą głową. - Jak się nazywasz?

- Lajla.

- Dobrze, Lajlo. Uspokój się. Tak czy siak, nie zamierzam cię skrzywdzić. Jesteś zbyt drogocenna. Kiedy patrzę na ciebie, widzę tysiąc śliczniutkich, szczerozłotych dinarów. Czy mnie rozumiesz?

- Tak.

Pochylił się w jej stronę. W kręgu światła rzucanego przez lampę pojawiła się jego ospowata twarz i lśniące zęby.

- Co masz na policzku? Czy któryś z moich ludzi cię uderzył? Jeśli tak, zetnę mu głowę, a wcześniej urżnę rękę. Żaden z nich nie jest wart nawet naskórka z twego paznokcia. Powiedz.

Szemselnehara milczała dłuższą chwilę.

- Nie - powiedziała. - Nikt nie tknął mnie nawet palcem.

Przez chwilę spoglądał jej w twarz, po czym wzruszył ramionami i cofnął głowę tak, że znów zniknęła w półmroku.

- No tak. Czy masz kogoś, kto zapłaci za ciebie okup? W przeciwnym razie czeka cię targ niewolników.

- Mój dziadek, Abu al-Hasan, syn Tahera, aptekarz. Zapłaci za mnie każdą cenę, jakiej zażadasz. Kocha mnie z całego serca i jest bardzo, ale to bardzo bogaty. Obrabowaliście jego dom.

- Ha! Abu al-Hasan, aptekarz? A ty naprawdę nazywasz się Lajla?

- Tak. Dziadek zawsze nazywał mnie Słoneczkiem i to imię mu podaj.

- A twój ojciec? Albo mąż?

- Nie mam męża. A mój ojciec... - Szemselnehara zawiesiła na chwilę głos. - On wyparłby się mnie, wiedząc, gdzie spędzałam ostatni wieczór.

- Doprawdy? A zatem twój ojciec nie aprobuje młodego człowieka, z którym się spotykasz? Nie jesteście zaręczeni?

Na twarzy Szemselnehary pojawił się gorący rumieniec.

- Hmm - mruknął herszt. - A zatem mamy tu romans. Ty lubisz tego młodzieńca, ale twój ojciec go nie aprobuje. Co w takim wypadku ma zrobić dziewczyna? Uciec? A może po prostu stracić cześć, a następnie wrócić do ojca, który będzie miał już tylko jedno rozwiązanie? Czy tak właśnie to sobie zaplanowałaś?

Rumieniec Szemselnehary jeszcze się pogłębił.

- Coś w tym rodzaju.

Przywódca bandy pochylił się do przodu. Padające z dołu światło lampy sprawiało, iż po twarzy tańczyły mu ruchliwe cienie, zniekształcając jego rysy. W szerokim uśmiechu pokazał olśniewająco białe zęby. Jego długie siwiejące włosy falowały. - A więc jesteś po prostu zwykłą, występłą dziewczką. Zakładasz sidła na młodego mężczyznę, sprzeciwiając się zarazem woli ojca. Do czego dojdzie ten świat, kiedy byle dziewczyna będzie tak lubieżna jak ty, jak kotka w rui? Nie byłoby rodzin, nie byłoby mężów, nie byłoby ojców. Z nas dwojga ty jesteś bardziej występna - ja kradnę tylko pieniądze, lecz czymże są pieniądze wobec honoru? Powinienem natychmiast ściąć ci głowę, choćby ze względu na współczucie, jakie czuję do twego ojca i tego, sprawiającego bardzo miłe wrażenie, młodzieńca. Prawda? Nie powinienem tak postąpić?

Szemselnehara spoglądała nań bezmyślnym wzrokiem. Herszt odchylił się do tyłu, odgarnął z czoła długie włosy, wyciągnął z pochwy szablę i położył ją między nimi na kobiercu, tuż obok osłoniętej abażurem lampy. Klinga broni zaślniła groźnym, srebrzystym blaskiem.

- Dochodzę do wniosku, że będę miał okazję przywrócić : wspaniałomyślnie jakiejś rodzinie honor. Nieczęsto trafia mi się taka gratka. Ale najpierw... najpierw powiedz mi, kim jest ten młody człowiek.

- Nazywa się Abu al-Hasan, jak mój dziadek. Jest kupcem.

- Czym handluje?

- Zbożem.

- Czy to jakiś znany handlarz? Bogaty albo szanowany?

Szemselnehara potrząsnęła głową.

- Dopiero zaczyna.

- I w tym cały problem? Dla tak ślicznej dziewczyny jak ty ojciec chce bogatego męża?

Skinęła w milczeniu głową.

- Kochasz go?

Szemselnehara po chwili wahania skinęła potakująco głową. Herszt po-
nownie pochylił się w jej stronę i położył dłoń na ostrzu szabli.

- Cóż, jeśli go naprawdę kochasz, wymyśl jakąś lepszą historię, bo w przeciwnym razie to on straci głowę. - Roześmiał się drapieżnie, i znów bijące od dołu światło lampy zniekształciło jego rysy; zęby lśniły niepokojącym blaskiem. - Posłuchaj mnie, Lajlo. Zapłacono mi tysiąc dinarów za włamanie się do domu i porwanie tego człowieka. A to, cośmy nakradli, to nasze. Jutro mam dostać dodatkowe dwa tysiące, gdy pojawię się w pewnym miejscu z odciętą głową twego ukochanego. Twoja opowieść nie przekonała mnie, że powinienem odstąpić od tej transakcji. Jedynym powodem mego wahania jest to, że należę do ludzi przezornych. Nie chcę ucinać młodemu człowiekowi głowy, dopóki nie będę pewien, że nie wpłacę się przez to w jakąś grubszą aferę. A może dostanę lepszą ofertę? Tak naprawdę nawet nie musiałem ciebie porywać, miałem zostawić cię w domu, ale jak wspomniałem, jestem człowiekiem przezornym.

Szemselnehara dłuższą chwilę milczała.

- Mój dziadek, Abu al-Hasan, aptekarz, wykupi nas za znacznie wyższą kwotę niż dwa tysiące dinarów. - W miarę jak mówiła, jej głos nabierał stanowczości. - Nawet nie wyobrażasz sobie, jakie kłopoty ściągniesz na swoją głowę, zabijając tego młodego człowieka. Zgadza się, kłamałam, ale gdybym wyznała ci całą prawdę, nie uwierzyłybyś w nią.

Herszt bandy znów odchylił się do tyłu i oparł plecami o ścianę namiotu. Górne partie jego ciała spowijała całkowita ciemność. Szemselnehara widziała tylko jego kolana okryte czarną opończę i połyskliwe ostrze szabli.

- A jaka jest prawda? - dobiegł ją z ciemności głos.

Szemselnehara odmownie pokręciła głową.

- Nie powiem. Poślij po Abu al-Hasana. On nas wykupi. Nie pożałujesz. Ale jeśli ośmielisz się wyrzucić krzywdę mnie lub jemu...

Zawiesiła głos.

Choć była jedynie porwaną szesnastoletnią dziewczyną, której skrepowano ręce i nogi, a on dojrzałym mężczyzną mającym na sumieniu dziesiątki morderstw i w zasięgu ręki zabójczą szablę, to teraz ona mu groziła...

I robiła to z wielką pewnością siebie.

Przywódca rabusiów długą chwilę siedział bez ruchu.

- Dobrze - odezwał się w końcu. - Poślę po niego. Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

Szemselnehara potrząsnęła głową. Herszt podniósł się z ziemi.

- To tyle... Aha, dygoczesz z zimna. Jeśli chcesz, żebym okrył cię derką, chętnie to uczynię.

- Tak, proszę.

- Zrobione. Również cię rozwiążę. Ale pamiętaj, będę w pobliżu, a sen mam lekki. Potrafię zadawać straszliwy ból, nie pozostawiając śladów. Zabawne, prawda?

Obrzucił dziewczynę przeciągłym spojrzeniem i opuścił namiot. Szemselnehara skuliła się w kłębek i otuliła kocem. Ból nóg nie był najgorszy, gdyż związane je w kostkach i mogła nimi poruszać. Natomiast ramiona miała całkowicie zdrętwiałe, ponieważ skrępowano je z wielką siłą na plecach. Niebawem znów pojawił się herszt. Nie patrząc nawet na dziewczynę, owinał się kobiercem i zapadł w sen.

14

Następnego dnia, jeszcze przed wezwaniem na poranną modlitwę, obudziła mnie czyjaś dłoń spoczywająca na moim ramieniu. Należała do anioła śmierci. Leżąc na plecach w ogołoconym przez rabusiów salonie, owinięty w wełniany dywan, który pożyczyłem od swych służących, popatrzyłem szeroko rozwartymi oczyma na Izraila; jego powiewne szaty były bielsze od samej śmierci. Z ukrytej pod zawojem głowy spoglądały na mnie czujnie bezlitosne oczy; umarłem, skalany grzechem.

- Spokojnie, panie mój - powiedział i na chwilę zamilkł. - Przybyłem do Abu al-Hasana. - Znów zamilkł. - Syna Ta- hera.

Przybysz miał głęboki, dźwięczny głos, ale łagodny, niczym niewiasta, i zadziwiająco melodyjny, zupełnie jakby słowom towarzyszyły dźwięki lutni. Jak na Śmierć było to nader osobliwe. Izrail nie nazywałby mnie również swoim panem, a jego dłoń spoczywająca na moim ramieniu nie byłaby wcale ciepła. Zamrugąłem oczyma. Naturalnie! Mieszkańcy pustyni, jakich na co dzień spotykałem, mieszkając w Trzech Źródłach, nosili takie same białe,

luźne burnusy. Od czasu do czasu pojawiali się również w stolicy, wiodąc karawany lub stada wielbłądów.

Gość milczał. Nie zdejmował jednak z mego ramienia dłoni.

- To ja - wyjaśniłem w końcu.

- Jestem Saleh. Przynoszę ci pewną propozycję. Ona przywróci słoneczny blask twym oczom.

Słowo „słoneczny blask” wymówił z naciskiem.

Wciąż leżąc bez ruchu na plecach, skinąłem głową białej zjawie. Żyłem. Wiedziałem, kim jest; spodziewałem się go; ale głos wciąż jeszcze miałem drżący po moim pierwszym przywidzeniu.

- Panie mój, zawsze z największą radością dobijam targu, który przynosi korzyść obu stronom.

Przybysz wyprostował się i dał krok do tyłu.

- Nałóż wygodne buty, panie mój. Czeka nas długa wędrówka.

Kiwnąłem głową i przez chwilę bacznie mu się przyglądałem. Całkowicie już wróciłem do rzeczywistości. Saleh był drobnej postury i poruszał się bardzo żwawo. Mimo pustynnego ubioru bardziej przypominał górskiego kozła poruszającego się zwinnie pośród piaszczystych wydm i pagórków niż człowieka.

Leżąc samotnie przez całą noc w zrabowanym salonie, oczekiwałem tej wizyty. Nad ranem zmorzył mnie głęboki, pozbawiony wszelkich marzeń, czarny sen.

Podążałem za Salehem przez budzące się miasto. Rozległo się wezwanie do porannej modlitwy. Otwierano pierwsze sklepy, powietrze zaczął przesączać zapach pieczonego chleba. Znad wyłożonej na straganie sterty pomarańcz popatrzyła w naszą stronę jakaś zakapturzona postać. Assad, szpieg kalifa! Szybko jednak odwrócił się do owoców, jakby badając ich jędrność.

Krępy i gruby, przybrany na białe, z trudem dosięgał do pomarańcz wyłożonych na wysokim straganie. Wykonał jakiś niezdarny ruch i kilkanaście owoców potoczyło się po ziemi. Powiedział coś do wieśniaczki, która wybuchnęła oburzeniem. Chciałem zawołać doń po imieniu, ale się bałem. Kiedy popatrzyłem na jego usmarowane błotem kostki i stopy o skórze grubej jak podszew, powiedziałem sobie, że to jakiś prosty robotnik; Assada wyobrażałem sobie tak, jakbym widział Izraila.

Słońce było coraz wyżej, a ja podążałem niezmordowanie za Salehem. Zatrzymaliśmy się tylko raz, by kupić chleb i mleko na śniadanie. Niebawem dotarliśmy do wijących się zakrętami uliczek, cuchnących ekskrementami i łajnem, tak wąskich, że pozostawały w głębokim cieniu aż do południa, kiedy słońce stawało w zenicie. Musieliśmy wciskać się plecami w ściany domów, kiedy mijaliśmy spoconych nosiwodów, klnących ordynarnie na niesiony ciężar. Uliczki i zaułki wiły się i zakręcały, pełne śliskiego błota i stosów cuchnących odpadków i śmieci, które ciężko było nawet dostrzec w zalegającym półmroku. A jednak nosiwody nie ronili nawet kropli drogiego płynu.

Przy szerokiej, pokrytej kurzem ulicy znajdował się bazar, jakiego nie widziałem od czasów, kiedy mieszkałem w Trzech Źródłach: używane miedziane naczynia, gliniane dzbany z niepomalowanej, surowej gliny, figi, chleb i hordy żebraków. Otoczyli nas w jednej chwili. „Szlachetny panie... w imię Najlitościwszego... kilka miedziaków, cokolwiek... umieram z głodu, panie...” Przerażony widokiem uschniętych rąk targających niezdarnie moją szatę, zaślinionych ust, policzków napiętnowanych trędem, sięgnąłem do sakiewki ze srebrnymi monetami; byłem bogaty i miedziaków po prostu nie miałem. Rozdałem najbliższemu dziesięciu żebrakom po dirhemie. Ze łzami w oczach całowali mi dłonie. Wśród pozostałych zawrzało; szarpali mnie, czeplając się odzieży, obłapiali mnie za szyję, bijąc po twarzy, ciągnęli za brodę, aż w końcu, strwożony, zawołałem do dziesięciu, których obdarowałem, by mnie bronili. W jednej chwili zdrowe ramiona zaczęły zadawać ciosy, zaświ-

stały w powietrzu drewniane sztaify*³⁶, zdrowe nogi skakały po chromych i kulawych. Obdarowani przeze mnie żebracy wezwali na pomoc najgorsze szumowiny, niegodne nawet ucałować dłoni szlachetnego pana. Ale oni, kiedy dobiegałem do końca ulicy, połączyli się z moimi prześladowcami i, kulejąc, utykając, opierając się na kulach i wymachując niewładnymi rękami, ruszyli moim tropem, domagając się kolejnych dirhemów. Kres wszystkiemu położył Saleh, kiedy wyciągnął szablę.

Podążaliśmy kolejnymi, pełnymi ludzi, cuchnącymi uliczkami i przejściami. Wiły się i wiły, lecz Saleh bezbłędnie wynajdował w tej plątaninie drogę. Nie docierał do nas ani jeden promień słońca. Nie wiedziałem nawet, czy posuwamy się na północ, czy południe. Zasycał na nas kot, inny otarł mi się o nogi. W mrocznych domach w oknach, które stanowiły jedynie otwory w ścianach, majaczyły głowy niezakwefionych kobiet, krzątających się wokół saganów z zapachem cebuli. Spoglądały, odprowadzając nas wzrokiem. Gromadka dzieci pochwyciła szczura. Malcy otoczyli go kołem i ze śmiechem, zadziwiająco szybko przebierając nogami, nie pozwalały uciec zwierzęciu do nory. Dzieciarnia zablokowała całą uliczkę i musieliśmy czekać, aż szczur w końcu się wymknie. Na kolejnej ulicy kompletnie gołe dzieci bawiły się kamykami i ościami z ryb. Na nasz widok przerwały grę, znieruchomiały i gapiły się na nas w zadziwieniu. Po chwili na kilku buziach pojawił się uśmiech. Dzieciaki zaczęły machać do nas rękami i dopraszać się miedziaków. Ale żadne z nich nie zeszło nam z drogi i musieliśmy je omijać.

Znaleźliśmy się na placu. Pod ścianami domów okalających plac stali mężczyźni chudzi jak szakale. Patrzyli na nas zwężonymi oczyma; sprawiali wrażenie głodnych. Uświadomiłem sobie, że to „drapieżcy”, rolnicy, którzy porzucili swe gospodarstwa i przybyli do stolicy w płonnej nadziei, że zbiją tu fortunę. Mieli na sobie granatowe opończe, co poniekąd nosili nawet na nogach czerwone sandały. Nie strzygli włosów, jak niewolnicy, i nie nosili turbanów. Słońce wzeszło zaledwie godzinę wcześniej, ale z pograżonych w

³⁶ * Po staropolsku „sztaif”: stać prosto. Dawniejsza nazwa drewnianych kul.

półmroku domostw dolatywał zapach wina i wymiocin. W rogu placu toczyły się walki kogutów. Na widok kapiącej na ziemię krwi mężczyźni klęli i głośnymi okrzykami wyrażali radość. Ruszyliśmy przez plac. W odległym rogu odbywała się walka na pięści. Obaj przeciwnicy spływali krwią. Czy była to walka na śmierć i życie? „Dawaj! Dawaj! Mocniej! Walnij go! Zabij go! Właśnie tak! Jeszcze raz. O, właśnie tak! Nie!” „Dziesięć miedziaków na Othmana!” „Dwa do jednego na Sajda. Krupier!, krupier!, gdzie jest krupier?! Dwa do jednego!” „Krupier, pół dirhema!” Święta Księga stanowczo zabraniała hazardu; więc tak bezczelne lekceważenie prawa, jak i nędza, jaką miałem przed oczyma, wstrząsnęły mną do głębi.

Minęliśmy następną ulicę i kolejny, pokryty kurzem plac. Nie wiedziałem nawet, jak bardzo rozległe jest Miasto Pokoju. „Milion mieszkańców” - pochwalił się kiedyś kalif - a ich liczba ciągle rośnie. Było w nim tysiące takich placów, jaki właśnie minęliśmy. Zaczęły łzawić mi oczy.

- Salehu - powiedziałem. - Wybacz, ale jestem starym człowiekiem. Zatrzymajmy się chwilę, bym mógł odpocząć.

Uważnie na mnie popatrzył.

- Cierpliwości, panie mój. Za chwilę odpoczniesz.

Niebawem dotarliśmy do jednego z rozlicznych kanałów.

Saleh wezwał wiosłową łódź, jakimi wożono towary w górę rzeki. Położyłem się na jej drewnianym dnie, jakby była to gondola wysłana miękkimi poduszkami. Saleh zaczął szeptać mi coś do ucha, ale nie słuchałem. Myślałem jedynie o odpoczynku.

Wydawało się, że zaledwie w chwilę później dotknął mego policzka.

- Panie mój, musisz zapłacić wiosłarzowi pięć miedziaków.

Przewoźnik był wyschniętym na wiór, pomarszczonym mężczyzną, zapewne starszym ode mnie, choć ciągle jeszcze machał wiosłami. Dałem mu dirhema i oświadczyłem, że nie musi wydawać reszty. Cofnąłem dłoń, którą

chciał ucałować, ale oszołomiony zmęczeniem i snem, pozwoliłem, by pomógł mi wydostać się na brzeg.

Wciąż jeszcze znajdowaliśmy się na przedmieściach miasta. Wzdłuż ulicy ciągnęły się skromne, dwu- i trzypiętrowe domy, w których każde piętro zajmowała jedna rodzina. Saleh zaprowadził mnie do kolejnej łodzi, w której czekał wioślarz zakapturzony jak nadzorca stada wielbłądów. Obaj pomogli mi wsiąść do łodzi i odbiliśmy od brzegu. Kiedy znaleźliśmy się w głównym nurcie rzeki, Saleh pochylił się nade mną i szepnął do ucha:

- Panie mój, musisz się położyć, a ja zasłonę ci oczy.

Zapadłem w głęboki sen.

Łódź wpłynęła w jeden z kanałów. Tam ukryto ją w gęstych, porastających brzeg zaroślach. Mężczyźni wyprowadzili mnie na porośnięty gęstym lasem brzeg i zawiedli na niewielką polanę. Pojawił się kolejny człowiek, milczący i zwalisty jak niedźwiedź. Z przewieszzonej przez ramię torby wyjął cienki dywanik i rozłożył go na ziemi.

- Usiądź, panie mój - powiedział Saleh. - Czy jesteś spragniony?

- O, tak! - wychrypiałem.

Mężczyzna o posturze niedźwiedzia wyciągnął spod burnusa skórzany bukłak. Zacząłem łapczywie chleptać ciepłą wodę.

- To zajmie trochę czasu - odezwał się Saleh. - Połóż się, panie.

Dywan był cienki, ale położony na miękkim piasku; w drzewach buszował lekki wiatr. Przeniosłem się z dywanem na skraj polany, w cień. Od lat tak nie spałem: na kobiercu i pod dachem utkanym przez korony drzew. Zamknąłem oczy. „Izraelu, miej nade mną pieczę” - pomyślałem sennie.

Zbudził mnie delikatny dotyk czyjejś dłoni. Dłuższą chwilę zajął mi powrót do rzeczywistości. Bez opończy z kapturem Saleh okazał się młodzieńcem, któremu zaledwie zaczynał sypać się pod nosem wąs. W jego wąskiej

twarzy i cieniu ostrego nosa czaiła się chytrość, ale brązowe oczy były niewinne i pełne ciepła.

- Wstań, panie mój - powiedział. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Przykucnął, rozłożył ręce i pomógł mi dźwignąć się z ziemi.

- Dziękuję, mój synu - rzekłem.

Prowadził nas mężczyzna o posturze niedźwiedzia. Milczący Saleh niósł zwinięty kobierzec.

Dotarliśmy do kolejnej polany. Stały na niej trzy niewielkie namioty. Pośrodku siedziało ośmiu lub dziewięciu mężczyzn. Cicho o czymś rozprawiali. Nad ogniskiem grzały się trzy kociołki o stożkowatych pokrywkach. Na zgromadzonych przy ogniu ludzi padały migotliwe blaski słońca, przebijające przez gęste listowie. Jeden z mężczyzn zauważył nasze nadejście i głośno chrząknął. Pozostali popatrzyli z lękiem w naszą stronę. Mieli zmierzwione brody i długie, od dawna niestrzyżone włosy. Popatrzyli na moje szaty utkane z najdelikatniejszego jedwabiu i długą, wypielegnowaną brodę. Saleh rozłożył cienki dywanik i poprosił, bym usiadł obok niego przy jednym z kociołków. Zgromadzeni przy ognisku mężczyźni, wskazując mnie głowami, zaczęli szeptać między sobą. Umilkli, kiedy z jednego z namiotów wyłonił się ich herszt.

Popatrzyłem na dziobowatą twarz, na długie jak u niewiasty, siwiejące, brudne i splątane jak u kozła włosy oraz na olśniewająco białe zęby. Skrzywił twarz w cierpkim uśmiechu.

- Witamy - powiedział.

Towarzyszył mu chłopiec, jeszcze młodszy od Saleha. Przybrany w czarne jedwabie, był śliczny i delikatny jak dziewczynka; smoliście czarne włosy opadały mu na szyję i kark. Rabusie odnosili się do herszta z niebywałym szacunkiem. Chłopiec jednak, mrużąc coś pod nosem, beztrąsko odgarnął z czoła włosy, zdjął z kociołków stożkowate pokrywki i zaczął rozdawać wyjęte z torby, ciepłe jeszcze, placki. Przywódca bandy usiadł i sięgnął po

jedzenie. „W imię Najwyższego” - wymamrotali zgromadzeni przy ognisku mężczyźni i również przystąpili do jedzenia. Nie miałem apetytu, ale zjadłem kilka marchewek, które skamieniały mi w przełyku, kiedy herszt skierował na mnie wzrok.

Gdy biesiadnicy zaczęli już z przejedzenia bekać, chłopiec przyniósł bułki i czarki. Herszt bandy skupił na mnie spojrzenie. Sprawia wrażenie człowieka rozsądnego - pomyślałem. - Może więc dojdziemy do porozumienia.

- Ty jesteś Abu al-Hasan, syn Tahera, aptekarz?

- Tak.

- Właściciel domu, z którego zeszłej nocy porwałem młodego mężczyznę i jego kobietę?

Skinąłem głową.

- Tak.

- Czy jesteś gotów złożyć za nich okup?

Uśmiechnąłem się protekcyjnie.

- Oczywiście, ale w twoim najlepiej pojętym interesie radziłbym ci poniechać tego żądania.

Herszt pokazał w szyderym uśmiechu białe zęby.

- A niby dlaczego?

- Ponieważ ten młodzieniec to Abu al-Hasan Ali, książę Persji, syn Abu Bakra...

Urwałem. Oczy herszta rozbłysły. Wśród zgromadzonych przy ognisku mężczyzn przeszedł szmer.

- A młoda dama, którą wprowadziłeś - ciągnąłem - to słynna Szemselhara, ukochana nałożnica Jego Wysokości.

Przy ognisku zapadła martwa cisza. Niektórzy mężczyźni podnieśli się z miejsc.

Herszt pobladł.

- Łżesz!

Wzruszyłem ramionami.

- Co niewiasta kalifa miałaby robić w twoim domu w towarzystwie perskiego księcia?

Ponownie wzruszyłem ramionami.

- Myślę, że nie jest to twój interes - odrzekłem. - A mówiąc szczerze, powiedziałem już chyba zbyt dużo, by wyszło ci to na zdrowie.

- Panie - odezwał się bojaźliwie do herszta jeden z rabusiów - byłem kiedyś w szpitalu i tam wszyscy znają Abu al-Hasana, aptekarza, syna Tahera. Mówią, że to najbliższy przyjaciel kalifa, że widują się co tydzień, a ponadto ma nawet wstęp do haremu naszego władcy i...

- Zamknij gębę! Skąd mam wiedzieć, że to jest właśnie ten Abu al-Hasan?

- Wypytywałem o dom Abu al-Hasana, syna Tahera, aptekarza - wtrącił cicho Saleh. - Wszyscy go znają.

- Ty też zamknij gębę! - ryknął herszt. - Tarik, przyprowadź chłopaka!

Wezwany i jeszcze jeden z rabusiów pobiegli do namiotu. Pozostali przy ognisku mężczyźni spoglądali na siebie z niepokojem. Już od dawna wisiał nad ich głowami wyrok śmierci, ale porwanie księcia i faworyty sułtana... Wojsko przeszuka całą prowincję, las za lasem, drzewo za drzewem. Kiedy wreszcie zostaną schwytani, ich egzekucja nie skończy się na litościwym świście katowskiego topora. Będą umierali całymi dniami, nawet miesiącami, znosząc straszliwe tortury zaczerpnięte ze starodawnych tradycji Persji i Chin.

Z namiotu wyłonili się Tarik i jego towarzysz, dźwigając skrepowanego księcia. Ostrożnie położyli go na ziemi u stóp herszta bandy.

- Zdjąć mu knebel!

Tarik odsłonił jeńcowi usta. Związany książę leżał bez ruchu, zwilżał językiem wargi i milczał.

Przywódca bandy dał krok do przodu.

- Hasan! - warknął. - Powiedz do niego coś po persku!

Wiele najlepszych ksiąg aptekarskich napisanych jest w ojczystym języku księcia. Nie umiem mówić po persku, ale wiedza, jaką zdobyłem, studiując te dzieła, pozwoliła mi zrozumieć sens słów, które Hasan wypowiedział drżącym z emocji głosem: „Najszlachetniejszy panie (było to około dwudziestu słów; Persowie, jeśli idzie o tytuły, są jeszcze bardziej skrupulatni niż Grecy), czy naprawdę jesteś księciem Ali, zwanym Abu al-Hasan?”

- Masz go przed sobą - odparł spokojnie książę.

Hasan dał krok do tyłu i odwrócił się do herszta.

- Myślę, że to naprawdę jest...

- Dosyć! Ozair, idź po dziewczynę. I rozwiąż jej nogi, by mogła przyjść tu o własnych siłach.

Herszt popatrzył na mnie, przeniósł wzrok na księcia i znów spojrzał na mnie. Zignorowałem go. Kiedy pojawiła się Szemselnehara, przesłałem jej uspokajający, wręcz ojcowski uśmiech.

- Powiedziałem im, kim jesteś, córko. Wypuszczą nas.

Dziewczyna skinęła głową i popatrzyła na księcia, który wciąż skrepowany leżał na ziemi.

- Kim naprawdę jesteś? - spytał krótko przywódca rabusiów.

- Zwą mnie Szemselneharą - odpowiedziała cicho.

Herszt długo spoglądał na nią w milczeniu. Zapewne studiował delikatne rysy jej twarzy, czarne, lśniące inteligencją oczy i długie, gęste ciemne włosy. Kontemplował jej wdzięczne nadgarstki i delikatne dłonie, jej skórę, która ciągle pałała osobliwym blaskiem, mimo całego dnia i nocy, które spędziła ciśnieńta na brudną, zakurzoną podłogę namiotu. Być może miał też wciąż w pamięci jej dumne odpowiedzi na jego pytanie, kim jest, i jej przekonanie, że gdyby mu wyznała prawdę, nie odważyłby się zrobić jej krzywdy. Podziwiał też zapewne jej nieskazitelną figurę i proporcje ciała. Z całą pewnością narodziła mu się w głowie myśl: „Gdybym to ja był absolutnym władcą największego imperium w historii świata... gdybym to ja sprawował nieograniczoną władzę nad każdym jego mieszkańcem... i gdybym to ja miał wybrać sobie kobietę, wybrałbym

- Rozwiązać jej ręce - powiedział krótko. - I uwolnijcie księcia.

Księżę powoli dźwignął się z ziemi, ale nie wykazywał już najmniejszych oznak leżącej w jego naturze porywczosci.

Szemselnehara patrzyła na niego, a w jej wzroku również czaiła się dziwna bierność, wręcz rezygnacja. Kiedy księżę napotkał wzrok dziewczyny, zaczął nerwowo otrzepywać ubranie z liści i brudu. Ale nawet kiedy jego szata była czysta, w dalszym ciągu ją otrzepywał.

Odwróciłem głowę w kierunku herszta, który przebierał nogami, jakby miał zamiar złożyć niski ukłon. Jego ludzie, zbici w gromadkę, tłoczyli się za nim. Prócz młodziutkiego chłopca tylko ja jeszcze spoczywałem na ziemi. Chłopiec siedział skulony przy naczyniach z jedzeniem i z zachwytem wpatrywał się w Szemselneharę, w księcia, a nawet we mnie. W jego pojęciu byliśmy wręcz niezmiemskimi istotami w przepięknych szatach. Wszak bali się nas wszyscy, nawet jego pan.

Przywódca bandy chrząknął.

- O niczym nie wiedziałem, dostojni państwo - oświadczył.

- Oczywiście, że nie - odparłem. - Salehu, podaj staremu człowiekowi rękę i pomóż mu podnieść się z ziemi.

Saleh łagodnie i z wdziękiem pomógł mi stanąć na nogi.

- Dziękuję, synu.

- Panie mój - odezwał się herszt - z całego serca pragnę zwrócić ci zrabowany dobytek, ale uwierz... większość z niego trafiła już na bazyry i...

Zmarszczyłem czoło, lecz po chwili rozchmurzyłem się i obojętnie wzruszyłem ramionami. Moje dzieci i tak odziedziczą wystarczająco dużo... jeśli oczywiście prawo pozwoli im odziedziczyć to po mojej egzekucji.

- Ale nie... chwileczkę! Hasanie, przynieś moje srebra stołowe!

Po chwili Hasan wrócił z drewnianą skrzynką. Przywódca bandy ukląkł i otworzył szkatułę.

- Tu, proszę, panie mój, wszystko to jest twoje... nie, nie to, ale reszta... proszę, ten nóż... Zabieraj wszystko.

Miał dobrą pamięć. Moje łyżki i noże były wymieszane z setkami innych. Zauważyłem miniaturowe widły, jakich Grecy i Frankowie używali do jedzenia; potrzebowali ich, ponieważ nie mieli zwyczaju obmywania rąk.

- Panie mój, wszystko to jest twoje.

Wepchnął mi w rękę całą tę masę srebra. Naprawdę to wszystko miało być moje?

- Dziękuję - bąknąłem oszołomiony.

- Nie, zaczekaj panie. Saleh! Zapakuj to w zgrabny tobolek. A, jeszcze, panie mój, popatrz! Zawsze przydają się dodatkowe noże. Ten pochodzi z Chin, a jego rękojeść wysadzana jest perłami.

Przez chwilę oglądał go z tęsknotą w oczach, po czym z wyraźnym żalem przekazał nóż Salehowi. Zamierzałem właśnie powiedzieć mu, by zostawił ten nóż dla siebie, ale on już sięgnął po dwa bliźniacze sztylety.

- Pochodzą z karawany, która szła z Khorasanu; widzisz te wzory? Noże przeznaczone były dla księcia, panie. Dla księcia królewskiej krwi! - Zamilkł na chwilę, po czym sięgnął pod burnus. - I ten. Ale ten to już kupiłem, panie mój. Na bazarze. Pochodzi z Indii. Czy kiedykolwiek widziałeś, najdostojniejszy panie, tak pięknie rzeźbioną kość słoniową?

- To bardzo uprzejme z twojej strony - stwierdziłem, kiedy wyciągnął około dwudziestu kolejnych noży.

Dopatrzyłem się w nich co najmniej dziesięciu całkowicie innych stylów, które reprezentowały.

- Saleh! Zapakuj tak, by dostojny pan mógł nieść to z łatwością.

Saleh wypełnił polecenie herszta.

- Najdostojniejsi panowie, może powiecie mi na koniec, kim oni są. Jak to może być, że nikt ich nie karze? Pytam, bo nie rozumiem - ciągnął przywódca bandy - kto nas na was nasłał? Komu zależało na śmierci księcia Persji?

Popatrzyłem nań ze zdumieniem.

- Słucham? - zapytałem.

- Nie mówiłem ci, szlachetny panie? No tak, oczywiście, że nie. Wynajęto mnie, bym wdarł się do twego domu. Miałem zabić księcia, ale dostojną panią zostawić w spokoju. Panie mój, człowiek, który mnie wynajął, ubrany był w burnus mieszkańców pustyni. Nic więcej o nim nie wiem. Ale miałem się z nim spotkać dziś wieczorem na Ulicy Garbarzy, przy sklepie Sarkisa Ormiańczyka. Może powinieneś wysłać tam królewską straż?

- Niewątpliwie - odrzekłem.

- I błagam, proszę, panie mój, nie wysyłaj naszym tropem wojska. Zrozum, nie mieliśmy pojęcia, na kogo się porywamy. Nie wyrządziliśmy naszym jeńcom większej krzywdy. Rezygnuję z dwóch tysięcy dinarów, wiedząc, że byłaby to zapłata za śmierć księcia.

Skinąłem w roztargnieniu głową; myślałem już jedynie o próbie skrytobójstwa.

- Tak, tak - mruknąłem. - Żadne wojsko nie pójdzie waszym śladem.

Postanowiliśmy, że rabusie natychmiast zwiną obóz i zostawią nam konie. Przysiągłem na Świętą Księgę, że pozostaniemy w tym miejscu aż do zachodu słońca.

Banda zaczęła zwijać manatki. Namioty opadały z łoskotem, maszty uderzały o siebie z donośnym klekotem. Zwijano dywany. Wszystkie toboły taszczono do koni ukrytych w leśnych ostępach. Złodzieje otwarcie spoglądali na mnie i na księcia z wyraźną ciekawością, lecz na Szemselneharę rzucali jedynie ukradkowe spojrzenia; wielu z nich, ilekroć ją mijają, zasłaniało dłońmi swoje twarze. Księżę wodził spojrzeniem, przenosząc je, to na wystraszonych rabusiów, to na dziewczynę. W końcu Szemselnehara usiadła na zeschniętych liściach i pochyliła głowę, jakby zamierzała zapaść w sen. Wtedy księżę zwrócił na mnie wzrok. W jego źrenicach, mimo ostatnich przejść, nie dostrzegłem lęku; jedynie ogromne zdziwienie.

Zbliżył się do mnie i popatrzył mi prosto w twarz.

- Abu al-Hasanie - szepnął, nachylając się do mego ucha tak, by jego słów nie dosłyszała Szemselnehara. - Abu al-Hasanie - powtórzył. - U mnie w ogrodzie mówiłeś, że kalif oszczędzi cię, jeśli ucieknę z Szemselneharą. Kłamałeś?

Popatrzyłem pod nogi, na ziemię, na którą padały pasma słonecznego światła, przebijającego się przez gęste listowie.

- Tak.

Dał krok do tyłu.

- Dlaczego?

Milczałem dłuższą chwilę.

- Bo tego chciałem. Taki był mój wybór.

Bez słowa odwrócił się i przeszedł na drugą stronę polany. Uklęknął obok Szemselnehary, ujął ją za dłonie i zaczął szeptać jej coś do ucha. Nie słyszałem, co mówi, ale mówił to żarliwie. Dziewczyna podniosła na chwilę głowę, ponownie ją pochyliła, po czym gwałtownie nią potrząsnęła. Książę mocniej ścisnął jej ręce i mówił jeszcze gwałtowniej. W końcu Szemselnehara uniosła głowę i lekko nią skinęła. Książę w dalszym ciągu coś jej perswadował i wreszcie dziewczyna, całkiem nieoczekiwanie, roześmiała się. Choć oczy miała suche, wydało mi się, że uśmiecha się przez łzy.

Za ich plecami gałęzie drzew lśniły w blasku popołudniowego słońca; przez konary przedzierały się jaskrawe smugi. Kiedy powiał wiatr, przyjemnie chłodząc mi policzki i nasiąkłe potem brwi, na ziemię spadło kilka drżących liści.

Rabusie skończyli pakowanie. Podeszli do nas i złożyli głęboki ukłon.

- Pamiętaj, szlachetny panie - przypomniał mi ich herszt. - Ślubowałeś na Świętą Księżę, że pozostaniecie tu aż do zachodu słońca.

- Pamiętam - odparłem, i banda zniknęła między drzewami.

Po ich odejściu zbliżył się do mnie książę.

- Panie mój, odjedziemy jutro o wschodzie słońca. Moglibyśmy wprowadzić wyruszyć już dziś, ale nie możemy zostawić Mony.

Skinąłem potakująco głową. Książę wrócił do Szemselnehary, która wciąż siedziała na ziemi z pochyloną nisko głową.

Po chwili usiadłem i ja. Zamknąłem oczy.

Siedziałem w miejscu, gdzie połowę ciała oblewały mi promienie słońca, a druga pozostawała w cieniu. Było to rozkoszne wrażenie czuć na prawym ramieniu rozleniwiające ciepło, podczas gdy lewe ogarniał kojący chłód. Nieoczekiwanie po plecach przeszedł mi zimny dreszcz: obok mnie coś się czaiło. Byłem o tym najświęciej przekonany wtedy i jestem tego pewien do dzisiaj. Był to dzinn, a może nawet anioł. Otworzyłem gwałtownie oczy i bacznie rozejrzałem się wokół siebie. Niczego nie dostrzegłem, ale to coś przez dłuższą chwilę jeszcze mi towarzyszyło.

Sięgnąłem po skórzany bukłak z wodą, który zostawili nam rabusie. Łapczywie wziąłem kilka haustów, następnie spryskałem sobie twarz i zwilżyłem czoło.

- Musicie mi dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło - odezwałem się do księcia i Szemselnehary.

Dziewczyna opowiedziała o złodzieju imieniem Dżahija, który groził jej na łodzi, a następnie wywlekl na brzeg, przyłożył do gardła szablę i zamierzał ją pojąć... Opowiedziała, jak pojawił się herszt bandy i do niczego nie doszło. Mówiła to spokojnie, wręcz obojętnie, jakby opowiadała o czymś, co przydarzyło się jakiejś innej kobiecie.

- Miałam bardzo dużo szczęścia, że pojawił się ich przywódca - zakończyła. - Bardzo dużo.

Niemniej ton jej głosu, pełen smutku i rezygnacji, sugerował, że tak naprawdę jest jej obojętne, czy herszt bandy pojawił się wtedy z odsieczą, czy nie. Wszak musiała prawie każdą noc spędzać z kalifem.

Przez dłuższy czas milczeliśmy. Ciszę przerwał książę. Mówił prawie szeptem.

- Wyjeżdżamy jutro o brzasku. Uciekniemy do Hiszpanii i tam się pobierzemy. Wczoraj sprawiłem ci ogromny zawód, a ponieważ jedynie Bóg może nas ocalić, możliwe, że los zmusi mnie, bym ponownie zawiódł cię w przy-

słości. Lecz jeśli mi wybaczysz, jeśli zrozumiesz, że jestem niedoskonały, w każdej chwili mogę oddać za ciebie życie.

- Naprawdę mnie poślubisz? - zapytała Szemselnehara. - Nawet jeśli...

- Tak. Jeśli, naturalnie, się zgodzisz. Niezależnie od tego, co będzie w kontrakcie ślubnym. Nie dbam o to.

Dziewczyna przez chwilę milczała, następnie uniosła głowę.

- A jak będziemy żyć w Hiszpanii?

Odniosłem nieodparte wrażenie, iż dopiero teraz, po raz pierwszy, pomyślała, że wszystko to dzieje się naprawdę, że naprawdę uciekają do Hiszpanii - po raz pierwszy w to uwierzyła i nagle zaczęła całą sprawę traktować bardzo poważnie.

- Początkowo skromnie - odrzekł książę. - Oczywiście, zabierzemy tyle złota, ile się uda...

- Brylanty - przerwała mu. - Brylanty będą lepsze. Zaszycę je dzisiejszej nocy w swe stroje.

- Tak, masz rację - powiedział. - Ale będziemy potrzebować również złota na podróż. Srebra też. Płacenie brylantami lub złotem zwróci na nas powszechną uwagę.

Szemselnehara posłusznie skinęła głową.

- A w Hiszpanii?

- Zaofiaruję swoją służbę emirowi Kordoby. Być może nada mi jakąś ziemię, ale Hiszpania leży tak daleko, że mój tytuł może tam nic nie znaczyć. W takim wypadku kupimy w mieście dom lub kawałek ziemi poza miastem. Dzięki brylantom i złotu, jakie ze sobą zabierzemy, będziemy mogli tam żyć do końca naszych dni. Ale w Hiszpanii ciągle trwa wojna. Jestem przekonany, że uda mi się zdobyć na niej sławę i majątek.

- Nie, tylko nie to! - sprzeciwiła się Szemselnehara. - Nie zależy mi na sławie i bogactwach, a na wojnie możesz zginąć.

Książę przesłał jej ciepły uśmiech.

- Mogę umrzeć na wiele sposobów - powiedział. - Ryzykowanie życia to jeszcze nie śmierć. Niektórzy ludzie, o wiele mądrzejsi ode mnie, twierdzą, że ryzykowanie życia jest właśnie samą istotą życia. Ale nie zrobię niczego, co mogłoby cię unieszczęśliwić

Szemselnehara potrząsnęła głową.

- Zamieszkamy w niewielkim domu i będziemy mieć wielu przyjaciół. No i dzieci.

Uśmiech księcia stał się jeszcze szerszy.

- Będzie tak, jak sobie zażyczysz.

- A jak jest w tej Hiszpanii? - zaczęła dopytywać się dziewczyna. - Czy jest tam zimno? Czy ubierają się tak samo jak my?

Książę, któremu z twarzy nie schodził uśmiech, zamknął na chwilę oczy.

- Droga do Damaszku zajmie nam około dwóch tygodni. W Tyrze*³⁷ wynajmiemy statek. W zależności od tego, czy będą nam sprzyjać wiatry... - Otworzył oczy. - Za dwa miesiące kupimy już nasz mały dom. Wtedy o wszystkim się dowiesz.

Szemselnehara nie odwzajemniła uśmiechu. Twarz miała poważną. Próbowwała wyobrazić sobie życie w Hiszpanii. Wydało mi się, że zaczęła jaśniej patrzeć w przyszłość.

³⁷ *Tyr - starożytne miasto fenickie w południowym Libanie, położone nad Morzem Śródziemnym. Dzisiejszy Sur.

Z oddali, gdzieś zza lasu, dobiegł głos muezina wzywającego do wieczornej modlitwy. Słowa, nawołujące wiernych do poddania się woli Boga, były stłumione, ale wyraźne. Szemselnehara, jak zbudzona ze snu, potrząsnęła głową; zupełnie jakby zapomniała, gdzie jest. Książę przestał się uśmiechać. Skończyła się nasza chwila wytchnienia. Musieliśmy wrócić do miasta przed hasłem do gaszenia ogni. Szemselneharę czekała jeszcze jedna noc w pałacu kalifa; później wszyscy opuścimy Miasto Pokoju; każdy na swój sposób.

Rabusie zostawili nam trzy konie. W pośpiechu zapomnieli, że towarzyszy nam niewiasta. Pomyślałem, że Szemselnehara, na wypadek gdyby nas rozpoznano, powinna jechać w moim towarzystwie, na grzbiecie mojego wierzchowca, nie z księciem. Kiedy oceniałem wzrokiem konie, starając się wybrać najsilniejszego, a zarazem najlepiej ujeżdżonego, dziewczyna odwiązała od drzewa największą bestię i wskoczyła jej na grzbiet. Na wpół dzikie zwierzę miało wprawdzie uzdę, lecz nie było siodła. Wierzchowiec wierzgnął tylnymi nogami, próbując zrzucić Szemselneharę, lecz dziewczyna wbiła mu w boki pięty i z całych sił ściągnęła uzdę. Koń próbował początkowo stawać dęba, ale po krótkiej walce posłusznie już kłusował między drzewami, poddając się komendom wydawanym przez Szemselneharę.

Byłem zdumiony. Czy młode niewiasty, w naszych czasach, ujeżdżają dzikie konie? Nie, ona stanowiła wyjątek; kalif pobłażał wszystkim jej kaprysom i zachciankom. Tak więc Szemselnehara stała się wyśmienitym jeźdźcem. Ale kobieta na końskim grzbiecie budziłaby powszechną sensację. Postanowiliśmy zatem, że otuli się szczelnie kwefem, a jej wierzchowiec zostanie przywiązany do mojego tak, jakby ojciec wiodł córkę.

Niebawem dotarliśmy do bitego traktu, jednego z tych, które prowadzą do morza. Gościńcami tymi przewożono towary i podróżnych z całego świata

do Miasta Pokoju. Po prawej stronie rozciągały się lasy, za którymi płynęła rzeka, a po lewej - pola pszenicy, zagrody wieśniaków i rezydencje bogaczy. Przed nami pojawiła się karawana złożona z kilkudziesięciu osłów i kilkudziesięciu poganiaczy. Pozdrowili nas serdecznie, nie zwracając uwagi, że tak nagle wyłoniliśmy się z lasu, a jednym z jeźdźców była niewiasta. Wszak wszyscy wiedzieli, że w stolicy panują osobliwe obyczaje; zapewne podczas swych licznych podróży widzieli wiele innych, dziwniejszych jeszcze praktyk.

I gdzie pośród tego dostatku i spokoju było miejsce na nieszczęścia, jakie widziałem tego ranka? A może tylko o nich śniłem? Może była to zamierzona polityka kalifa, by odsuwać je z publicznych dróg i wewnętrznego miasta? W murach Miasta Pokoju spotykało się żebraków w miarę schludnych i nienatarczywych; gromadzili się jedynie na schodach meczetów.

Posuwaliśmy się w zapadającym zmierzchu; naszą podróż opóźniały moje mniej niż skromne umiejętności jeździeckie. Kiedy już wyprzedziliśmy karawanę złożoną z osłów, Szemselnehara odwróciła głowę w stronę księcia. W mętym świetle wieczoru jej szary kwef sprawiał, iż twarz dziewczyny była prawie niewidoczna.

- Jutro - powiedziała - przebiorę się za mężczyznę i będę jechać obok ciebie. I mów do mnie Ajsza.

Zarówno księżę, jak i ja popatrzyliśmy na nią ze zdziwieniem. Jechaliśmy obok siebie po pustym już o tej porze gościńcu.

- Ależ Ajsza to imię kobiece - wybąkał księżę.

- Wiem. Przy ludziach mów do mnie, jak chcesz.

Dłuższy czas posuwaliśmy się w milczeniu. Kurz wzbijany końskimi kopytami sprawiał, że powietrze nabierało barwy brązu.

- Przecież mówiłaś, że naprawdę nazywasz się...

- Wiem, wiem. Mówiłam. Ale od chwili, kiedy opuścimy miasto, nazywam się Ajsza.

Minęliśmy spalonego na brąz starca z krótką, białą jak mleko brodą i w granatowym turbanie, prowadzącego osła obładowanego drewnem na opał. Na nasz widok z szacunkiem pochylił głowę. Nieoczekiwanie dotarło do mnie, że kalif również musi znać jej prawdziwe imię. Czy Marida? Słowo wypisane dziecięcym pismem w jej przebieralni? Nieistotne, Marida czy Ajsza; dla mnie była Szemselneharą, ukochaną mego najserdeczniejszego przyjaciela, kalifa. Kochał ją; wziął ją siłą, nie zważając na swój wiek, nie zważając na to, co ona czuje; ale naprawdę ją kochał.

- Kiedy już będziemy w Hiszpanii, czy zapomnisz o swojej matce? - zapytała.

Księżę zmarszczył brwi. Długo milczał.

- Tak, zapewne tak. Z pewnością będę za nią początkowo tęsknił. Ale to nie ma znaczenia.

Szemselnehara zamilkła. W takt miarowego kroku konia jej kwef unosił się i opadał.

Niebo zaczynały wypełniać gwiazdy. Srebrny księżyc zalał jasną poświatą Miasto Pokoju. Pojawiało się coraz więcej domów. Przybywało też dzieci, które, szarpiąc za skraj szat moich i księcia, zachwalały mijane przez nas karawanseraje i gospody. Zakwefione na biało od stóp do głów kobiety, opuszczały cmentarz znajdujący się po lewej stronie gościńca. Przypomniałem sobie, że jest to ten dzień tygodnia, kiedy odprawia się modlitwy za zmarłych. A za kogo ja powinienem się modlić? Za ojca, za matkę i za stryja, którzy spoczywali obok innych moich przodków na cmentarzu w Trzech Źródłach. Ja będę pierwszy, którego pochowają z dala od nich.

Otoczający nas świat był mętny i ja pomyślałem, że powinniśmy się śpieszyć, by dostać się do miasta przed hasłem do gaszenia ogni. Większość wę-

drowców zbaczało już z drogi, by zatrzymać się na noc w przydrożnych karawanserach. Ale w tej samej chwili odezwała się Szemselnehara.

- Stało się to na takim samym gościńcu jak ten. Wracalam z Aminą z cmentarza. Z przeciwnej strony galopował na przepysznym rumaku emir, przybrany w złoto i szkarłaty. Kiedy nas mijał, pozwoliłam, by z mej twarzy opadł kwef. Był to żart. Miałam zaledwie czternaście lat. Bardzo nas to rozśmieszyło, gdyż nigdy wcześniej żadna z nas nie odważyła się na coś takiego. Nie miałam nic złego na myśli, po prostu bawiło to nas. Emir wstrzymał konia. Przestraszyłam się i natychmiast naciągnęłam na twarz kwef. Na twarz wystąpiły mi gorące rumieńce. Czyżby zamierzał chwycić mnie, wrzucić przed siebie na koński grzbiet i porwać na zawsze od moich rodziców? A może nie był to wcale emir, lecz zwykły bandyta? Ruszyliśmy śpiesznie przed siebie. „Pani moja! - zawołał. - Czy wyświadczysz mi honor i wyznasz swoje imię? Nie zamierzam cię obrażać. Proszę jedynie o łaskę”. Przyśpieszyliśmy kroku. Gdyby nawet złożył mi propozycję małżeństwa i uczynił dostojną panią, chciałam już tylko być w domu. Wybuchnął gromkim śmiechem, zawrócił konia i ruszył naszym śladem. „Doskonale! - zawołał. - Szanuję twoją cnotę, pani, i nie chcę nalegać. Proszę jedynie, byś wymieniła imię swego czcigodnego ojca”. Ruszyliśmy prawie biegiem, ale on jechał za nami. W pewnej chwili usłyszałam, że wstrzymuje swego wierzchowca; koń zarżał, kiedy emir ściągnął cugle. Nie zatrzymując się, odwróciłam głowę i wykrzyknęłam imię mego ojca. Amina ścisnęła moje ramię, ale po chwili je puściła. Sprawiała wrażenie wystraszonej. Słyszałam, jak za moimi plecami emir zawraca rumaka i rusza w przeciwnym kierunku. Wierzchowiec, zawracając, wzbił tuman kurzu, który poczułam w moim kwefie. Przez całą powrotną drogę do domu nie wymieniliśmy z Aminą ani jednego słowa. Tak naprawdę nigdy już nie wymieniliśmy ze sobą słowa.

Następnego ranka, kiedy pomagałam matce w kuchni, pojawił się ojciec. Powłóczył nogami, twarz miał białą jak kreda i szarpał brodę. Dłuższą chwilę spoglądał na nas w milczeniu, po czym powiedział drżącym głosem: „Założcie kwefy i chodźcie za mną”. Przeczynałam, że ma to związek z emirem, którego spotkałam poprzedniego dnia. Bardzo się bałam i, nakładając kwef,

byłam rada, że matka nie zobaczy rumieńca na mojej twarzy. W pokoju ojca czekało około kilkunastu eunuchów, przybranych w czarne szaty, barwę kalifa, szamerowane złotem. Pokój nie był duży i przybysze wypełnili go bez reszty. Na tle ich wspaniałych szat nasz drewniany stół, wełniany kobierzec na podłodze i sam mój ojciec wyglądali wręcz ubogo. Wszyscy złożyli mi korny pokłon, a jeden z nich, Mesrour, wystąpił i rozkazał zdjąć mi kwef. Popatrzyłam na ojca. Skinął potakująco głową, ale w jego wzroku była wielka niepewność. Mesrour spoglądał na mnie bezlitośnie. Była to najstraszliwsza chwila w moim życiu, ale zdjęłam kwef. Eunuch popatrzył na mnie wzrokiem pełnym nienawiści. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że Mesrour nie znosi kobiet z wyjątkiem staruszek.

Skinął głową i odwrócił się do mego ojca. Mój ojciec jest drobnym człowiekiem, a Mesrour był trzykrotnie większy od niego.

„Jego Wysokość, Strażnik Wiary, pragnie osobiście obejrzeć twoją córkę. Potem niezwłocznie odeśle ją do domu. Ale najpierw chce oddać cześć jej, jak również oddać cześć tobie; nie wie tylko, czy przyjmiesz ten zaszczyt, czy też odmówisz Jego Wysokości”.

Mój ojciec, blady jak sama śmierć, złożył niski pokłon.

„Jestem oniemiały - odezwał się słabym głosem. - Jestem oniemiały w obliczu takiej łaski Jego Wysokości, niech Naj-miłosierniejszy obdarza go nieustanną łaską i niech spływa na niego Jego nieustanna szczodrość. Niech łaska będzie z nim!” Mesrour skinął głową. „Ubierzcie dziewczynę!”

Powiedziałam później kalifowi, jak zachowywał się Mesrour, ale był to błąd władcy, który dobrze znał swego eunucha i wiedział, jak się zachowa.

Udałam się w towarzystwie mego ojca i matki do haremu. Matka ubrała mnie w najwykwintniejsze szaty i kwef, jakie były w naszych skrzyniach. „Salamo - powiedział ojciec. - Zrób wszystko, by nie była piękna”.

Matka popatrzyła nań wytrzeszczonymi oczyma. „Chyba zwariowałaś! Czy nie zdajesz sobie sprawy, jaka łaska na nas spada? Co? Mam ją przybrać

w łachmany, skoro ma stanąć przed obliczem władcy?" Mój ojciec ciężko usiadł na zwiniętym przeze mnie dywanie, na którym zawsze spałam. Oparł się plecami o ścianę. Spoglądał w naszą stronę nieruchomym wzrokiem. Nie wiedział, co się naprawdę dzieje. Po prostu patrzył. A przecież powinien wiedzieć, że jeśli spodobam się kalifowi, ja i cała nasza rodzina stanie się bardzo bogata. Na pewno zdawał sobie sprawę, że będę daleko, że nigdy nie poślubię syna któregoś z jego przyjaciół. Nie lubiłam ich, uważałam się za lepszą od nich; poza tym czułam lęk przed nimi. Ojciec wciąż siedział na zwiniętym dywanie. To moja matka ubrała mnie i przekazała Mesrourowi.

Kiedy wyszliśmy przed dom, powitał nas tłum sąsiadów zgromadzonych na pokrytym wiecznym błotem placu. Większość z nas nigdy w życiu nie widziała eunucha, a tu nagle pojawiło się ich kilkunastu, i to w barwach kalifa. Dostrzegłam Aminę, Maradżilę i inne dziewczynki, zauważyłam także ich matki, kilku chłopców, a wśród nich jednego,

którym powiedziała mi matka, że gromadzi pieniądze, aby się ze mną w przyszłości ożenić. Czekał na mnie wykonany ze złota i kości słoniowej palankin. Pośród brązowych, ulepionych z gliny domów sprawiał wrażenie, jakby spadł z Niebios. Robiłam wszystko, by zachowywać się dumnie

zuchowato; na szczęście nikt nie mógł zobaczyć prawdziwego wyrazu mojej twarzy. A kiedy już znaleźliśmy się w pałacu... cóż, naprawdę pomyślałam, że trafiłam w Niebiosy. Krążyło wiele opowieści o urodzie tego miejsca, ale rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania. Ujrzałam ptaki, jakich nie widziałam nawet na bazarze, gdzie całymi godzinami włóczyłam się pomiędzy różnorodnymi klatkami. Mój ojciec miał trochę złota, które zakopał pod domem; tutaj nawet zwykłe wazy wykonane były ze szczerzego złota. I przestrzeń - dostałam wręcz zawrotu głowy, kiedy weszłam do głównego holu. Dom mego ojca miał tylko pięć pokoi, a kiedy wychodziło się z niego na ulicę, obok stał następny dom, i następny. I wszyscy mieszkańcy pałacu kłaniali mi się w pas.

Kiedy weszliśmy do niewielkiej komnaty, wszyscy padli na kolana; ja, bez namysłu, uczyniłam to samo. Władczy głos rozkazał wszystkim powstać i

opuścić komnatę; pozostałam tylko ja. Ponieważ twarz miałam zasłoniętą, odważyłam się podnieść wzrok. Wyobrażałam go sobie zupełnie inaczej. Był stary i zmęczony, ale sprawiał wrażenie miłego. W niczym nie przypominał ani Mesroura, ani nawet mego ojca. Był wysoki i masywnie zbudowany. „Proszę, zdejmij kwef, moja droga”. Głos również miał miły i choć wiedziałam, że wcale sympatyczny nie jest, to przecież prosił mnie, a nie rozkazywał. Odłoniłam twarz i wbiłam wzrok w ziemię. „Spójrz na mnie”. Patrzył z uśmiechem, ale w uśmiechu tym było coś, co zmroziło mnie do szpiku kości, napawając przerażeniem. Byłam bardzo młodziutka i niewiele jeszcze rozumiałam, ale wiedziałam, że uśmiech ten nie był przeznaczony dla mnie; kalif uśmiechał się do swoich myśli. „Zrzuć cały kwef, a nie tylko jego fragment zasłaniający ci twarz”. Okrywający moją głowę czarczaf opadł na posadzkę. „Odwróć się... nie, powoli... o, właśnie tak”. Wykonałam pełen obrót, ale choć wzrok wciąż miałam wbity w posadzkę, w jakiś sposób wiedziałam, że uśmiech malujący się na jego obliczu stał się jeszcze szerszy. W głosie pojawiły mu się jakieś bardziej szorstkie nuty.

Zaklaskał. Usłyszałam, że ktoś wszedł do komnaty i padł plackiem na ziemię.

„Powstań, Israilu - powiedział. - Znajdź dla niej naszyjnik z brylantów i każ Habibie wybrać dla niej jakiś stosowny strój. Później weź Mesroura i odwieźcie dziewczynę z powrotem do domu jej ojca. Oznajmij mu, że pragnę jego córki. Daj mu dziesięć tysięcy złotych dinarów. Jeśli będzie się wzbraniał przed ich przyjęciem, twierdząc, że wystarczy mu sam honor i zaszczyt, jaki wyświadczam jego domowi, oświadczy, że moją wolą jest, by wziął te pieniądze dla swej rodziny jako część posagu. Idź!”

Dziesięć tysięcy dinarów! Zakręciło mi się w głowie. Mój ojciec zarabiał najwyżej sto dinarów rocznie. Prawie wybuch-nęłam płaczem.

„Podejdź tu, moja droga”. Dałam krok do przodu. Cały świat widziałam jak przez mgłę. Wszystko, co mnie otaczało, lśniło blaskiem. Oślepiało mnie złoto i perły, które były dosłownie wszędzie. Kalif ujął mnie za rękę.

„Czy ty się mnie boisz?” - zapytał.

Potrząsnęłam głową. Roześmiał się, tym razem serdecznie, tak samo jak mój ojciec, kiedy zrobiłam coś niemądrego. Wy dawało mi się, iż mój strach wzbudza w nim jeszcze większą radość. „Doskonale - ciągnął. - Myślę, że jednak się mnie boisz, ale zrobię wszystko co w mej mocy, by być dla ciebie miłym. Ty jeszcze tego nie wiesz, ale ja jestem przekonany, że dzięki tobie zaznam jeszcze wiele szczęścia. Poproszę twego ojca, by przysłał cię do mnie dzisiejszego wieczoru. Najlepiej będzie, jeśli stanie się to jak najszybciej. Ale zapewniam cię, że będziesz mogła odwiedzać swoją rodzinę w każdej chwili, kiedy tylko zechcesz”.

Pojawiła się Habiba. Była podstarzałą niewiastą. Obrzuciła mnie obojętnym spojrzeniem. Przez jej ręce przewinęło się na dworze tyle młodziutkich dziewcząt, że na mnie nie zwróciła uwagi. Nigdy nie zamieniłam z nią nawet słowa, ale pamiętam, że kiedy wzięła mnie za rękę, miała ciepłe palce. Odesłał mnie z Habibą, bym przebrała się w nową odzież, i polecił mi wrócić, bo chciał zobaczyć mnie w wytwornych szatach. Później kazał Habibie wybrać mi inny strój i jeszcze raz mnie obejrzał, zanim ostatecznie zaaprobował mój wygląd.

Wezwał Mesroura. Nie zapytał nawet, jak się nazywam.

Mesrour wciąż spoglądał na mnie nieruchomym wzrokiem, ale złożył niski pokłon, nazwał dostojną panią i prosił o pozwolenie zabrania mnie z pałacu. Podążałam za nim przez wiele przedpokoi i poczekalni, minęliśmy ogromny hol i wyszliśmy do ogrodów. Wszyscy mi się kłaniali, tym razem padając już plackiem na ziemię. Ojciec obiecywał, że kupi mi kilka sztuk jedwabiu jako wyprawę panny młodej, kiedy się zaręcę, ale nigdy wcześniej nie nosiłam jedwabnych strojów... a ponadto brylanty, dziesiątki ich wisały na mojej szyi. Nigdy wcześniej nie widziałam brylantów i kiedy już siedziałam w palankinie, zaczęłam je oglądać; jeden po drugim. Zamiast myśleć o swej rodzinie zachwycałam się grą światła w klejnotach.

Tym razem przed domem mego ojca zgromadził się prawdziwy tłum. Wszyscy wytrzeszczyli oczy, kiedy wyszłam z palankinu. Wśród zgromadzonych rozszedł się pomruk. Usłyszałam, jak mały chłopiec zapytał matkę, co tak ślicznie błyszczy na mojej szyi. Wystraszona, zaczęła gwałtownie uciszać malca. „Mamo, dlaczego mam być cicho?” - zdziwiło się dziecko. Matka, przełknięta nie na żarty, zasłoniła mu dłonią usta i szybko odprowadziła na bok. Udawałam, że niczego nie słyszę. Szłam w asyście eunuchów, starając się zachowywać jak wielka pani. Wyprostowałam plecy, głowę niosłam wysoko, ale kompletnie nie wiedziałam, co robić z rękami. Założyłam więc je po prostu za plecy.

Moi młodszy bracia cofnęli się na mój widok, matka odmówiła modlitwę, zapewne dziękczynną, a ojciec nieustannie szarpał brodę. Dał odruchowo krok w moją stronę, by mnie przytulić, tak jak zawsze to robił, lecz zatrzymał się w pół kroku. Dłoń mu znieruchomiła i zaciskał jedynie palce na brodzie. Złożył niski pokłon. Złożył pokłon mnie! „Pani, błagam o łaskę i prośbę, byś spoczęła” - powiedział, wskazując swoją ulubioną poduszkę. Usiadłam. Stał wyprostowany przede mną. Podszedł Mesrour i szepnął mi coś do ucha. „Nie chcę jego pieniędzy - odparł głośno mój ojciec i czerwieniąc się, dodał: - Sam honor jest większy niż najhoj... większy niż na to zasługuję”. Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem; wzrok miał przepraszający. Mesrour znów pochylił się do ucha. „Jego Wysokość jest zbyt łaskawy - odezwał się mój ojciec. - Ale jestem jego najniższym sługą i każda jego prośba jest dla mnie rozkazem”. Pieniądze te zrujnowały mego ojca. Przestał pracować i oddał się hazardowi. Ojciec, który nigdy nie opuścił żadnej modlitwy i nie pożyczył złamanego miedziaka, przegrał cały majątek, popadł w długi i stracił swój dom handlowy. Dom ten należał jeszcze do jego ojca i dziadka. Obecnie wspieram go finansowo.

Zamilkła. Zamrugła oczyma, jak wyrwana z głębokiego snu. „Boże, co on zrobi, kiedy opuszczę miasto?”

- Stać! W imieniu Jego Wysokości!

Słuchając opowieści Szemselnehary, nie zauważyliśmy nawet, że zapadła noc. Rozległo się wezwanie do ostatniej modlitwy, a my dojeżdżaliśmy do murów miasta. Planowaliśmy wjechać osobno, ale ruszyliśmy galopem, widząc, że straż zaczyna opuszczać bramy. Zatrzymano nas, kiedy tylko znaleźliśmy się w środku. Odwróciliśmy się w stronę wartowni, która przycupnęła u podstawy murów. Kalif pokazał mi kiedyś plany miasta. Mury dochodziły do trzydziestu metrów wysokości i były grube na dziesięć metrów. Teraz wydawały się jeszcze wyższe; mroczne olbrzymy przytłaczały nas swym ogromem, zasłaniając nawet gwiazdy. Na szczytach murów, niczym odległe, mgliste słońca, gorzały światła; lampy umieszczone w nadbudówkach i wieżyczkach strażniczych rzucały żółty blask; widać było ruchliwe pobłyski pochodni noszonych przez gwardzistów trzymających wartę i przechadzających się po murach. U stóp potężnej warowni również krążyli strażnicy z pochodniami, których migotliwy blask pojawiał się i znikał wraz z krążącymi nieustannie wartownikami. Otoczyli nas trzymający pochodnie strażnicy; za nimi, w cieniu, czaili się łucznicy.

Dowódcą straży był niski, siedzący na ziemi mężczyzna. Wygolił sobie brodę pośrodku tak, że z obu stron jego twarzy zwisała czarnymi kępami, jak kły. Miał czerwone policzki, ale w blasku pochodni moje oblicze, okolone długą, białą brodą, zapewne również przybierało taką samą barwę.

- Proszę was, panowie, byście zsiadli z koni - powiedział. - Niewiasta niech zostanie w siodle.

Zwracał się do nas uprzejmie - jak do wielkich panów - ale w jego zwężonych źrenicach i szorstkim tonie czaił się cień podejrzenia.

- Wybaczcie mi, dostojni panowie i ty, pani, że was niepokoję. Moi ludzie z największą ochotą odeskortują was do domów. Ale najpierw powiedzcie, kim jesteście i dlaczego o tak późnej godzinie przybywacie do miasta.

Obrzucał baczным spojrzeniem nasze wytworne, choć zbrukane nieco szaty, konie bez siodeł, toból z dźwięczącym srebrem stołowym i młodą niewiastę na końskim grzbiecie, której towarzyszyło dwóch mężczyzn. A wszystko o tak dziwnej porze. Szemselnehara, mimo że jej twarz spowijał gruby kwef, trzymała się cienia.

- Panie mój - powiedziałem. - Jestem Abu al-Hasan, syn Tahera, aptekarza. - Urwałem. Jego oświetlona światłem pochodni twarz wyrażała zniecierpliwienie; wcale mnie nie słuchał. - Mieszkam przy ulicy Kufy, ale posiadam również drugi dom poza miastem, w pobliżu meczetu Mansura. Przez wiele lat wynajmowałem go obcym, lecz teraz zdecydowałem się przekazać go mojej wnuczce, Lajli, która... - wskazałem na Szemselneharę - wyszła właśnie za mąż za Alego, kupca jedwabiem. Jej brat, a mój wnuk, Abu al-Hasan... - wskazałem na księcia - pomagał nam porządkować dom po kradzieży, jakiej dopuścili się rabusie. Wzięli nas jako zakładników, spodziewając się, że ich zysk będzie jeszcze większy. Kiedy jednak powiedziałem naczelnikowi bandy, kim jestem, że cieszę się największymi względami Jego Wysokości, uwolnili nas. - Wyjaśnienie to brzmiało absurdalnie. Dowódca straży nie spuszczał wzroku z tobołu wypełnionego srebrem. - Większość ze zrabowanych rzeczy zdążyli już sprzedać - wyjaśniłem. - Oddali mi jedynie zastawę stołową.

Dowódca zmarszczył twarz w szerokim uśmiechu.

- Panie mój, czy mogę zajrzeć do środka? - zapytał.

Ściągnąłem z końskiego grzbietu pakunek i rozwiązałem

troki. Na czoło wystąpił mi pot; miałem jedynie nadzieję, że w świetle pochodni dowódca straży nie zauważy tego. W tobole znajdowała się ogromna liczba noży, pochodzących z dziesiątków grabieży.

- Panie mój - oświadczyłem - Za to, co mi zabrali, zwrócili łup pochodzący z ich grabieży.

Dowódca straży obrzucił mnie ironicznym spojrzeniem.

- Dostojni panowie i ty pani, wybaczcie mi, ale moim obowiązkiem jest potwierdzenie tego, co mi mówicie. Muszę wysłać swoich ludzi do waszego domu, aby znaleźć kogoś, kto potwierdzi waszą tożsamość. Chwilowo musicie pozostać w wartowni. Zapewne mój przełożony zna was i wasze srebra.

Zadrzałem. Jego dowódca z całą pewnością nas rozpozna.

- Chodź tu! Ty! - Szemselnehara wjechała w krąg światła rzucanego przez pochodnie. Dowódca straży zamrugał oczyma, ale posłusznie wstał z ziemi. - Bliżej! - rzekła tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Nie lubię mówić głośno! Jestem Szemselnehara. Rabusie porwali mnie zeszłej nocy, kiedy wracałam z domu mego przyjaciela do pałacu. Porwali też szlachetnego Abu al-Hasana, który stoi przed tobą. To najbliższy przyjaciel Jego Wysokości. Uwolnili nas, kiedy pojęli, kim jestem, i tych dwóch, na mój rozkaz. Dobrze znam Abu al-Hasana. To stary człowiek, pobożny i staroświecki. A historyjkę tę opowiedział ci, ponieważ nigdy nie rozumiał natury miłości, jaką darzy mnie Jego Wysokość. Odwieź jego i jego wnuka do ich domu, a mnie do pałacu. Wiele zniosłam tego dnia i nie chcę już więcej cierpieć.

Dowódca straży cofnął się o krok.

- Szlachetna pani, skąd mogłem wiedzieć...?

- Że ja to ja? Odwieź mnie do pałacu, a sam się przekonasz. Jeśli sądzisz, że kłamię, bardzo się ośmieszysz. Przez kolejne tygodnie twoi ludzie będą z ciebie kpić. Jeśli mówię prawdę, a ty mi nie uwierzysz, będziesz skończony w moich oczach, a tym samym w oczach Jego Wysokości. Nie znoszę widoku krwi, poproszę więc kalifa, by darował ci życie. A teraz nie zamierzam odślaniać przed tobą twarzy.

- Oczywiście, potężna i łaskawa pani. Nawet nie śniłem... - Gwałtownie odwrócił się do swych ludzi. - Ty! Zabierz ich, dokąd będą chcieli. A ty, chodź ze mną! Osobiście odprowadzimy szlachetną panią do jej pałacu.

Pomyślałem, że to najlepszy pomysł, by księżę i Szemselnehara uciekli o świcie z miasta. Rabusie nie przynieśli na srebrnej tacy głowy księcia i jeśli komukolwiek zależało na jego śmierci, osoba ta wiedziała już, że jej plany zawiodły. Poza tym kalif z całą pewnością wiedział już, że widziano mnie i Szemselneharę u wrót miasta, a towarzyszył nam młody człowiek; wiedział o naszym porwaniu.

Szemselnehara odwiązała konia od mego wierzchowca.

- Dobranoc, Abu al-Hasanie, panie mój... - Zamilkła na chwilę. - Niech towarzyszą ci dobre sny, na jakie w pełni zasługujesz.

Pochyliłem głowę w dwornym ukłonie.

- Przekaż Jego Wysokości, niech chroni go Najwyższy, i najniższe pokłony, jakie składa mu jego najniegodniejszy z najniegodniejszych ze sług. A tobie, pani, też życzę spokojnej nocy. Niech Bóg strzeże cię od zasadzek, jakie na ciebie czyhają.

Jeden ze strażników chwycił uzdę konia Szemselnehary, ale dziewczyna wyrwała mu ją z rąk.

- Dziękuję, umiem prowadzić konia. Po prostu towarzysz mi, ale kilka kroków za mną. Znam drogę.

Odjechała, nie patrząc ani na księcia, ani na mnie; była bardzo roztropna. Po chwili zniknęła w zalegającym miasto mroku. Zauważyłem jednak, że wybrała okrężną drogę, prowadzącą wokół murów miasta; dowódca straży i czterech gwardzistów ruszyło jej śladem. Spoglądałem, jak znikali w ciemności. To było nasze pożegnanie. Odwróciłem się do kolejnego gwardzisty.

- Mój dom jest tam - powiedziałem. - I nie musimy jechać galopem. Nie jestem dobrym jeźdźcem, jak Jej Dostojność.

Brama do mego domu była zamknięta i musiałem dłuższą chwilę kołatać, zanim na dziedzińcu pojawiły się dwie osoby, Ishak oraz... Assad, który złożył mi niski ukłon.

- Witaj, panie mój, i wybacz, że natychmiast cię opuszczę - rzekł Assad.
- Nawet sługa Jego Wysokości musi przestrzegając hasła do gaszenia ogni.

Wybiegł przez bramę, którą Ishak właśnie zamykał. Popatrzyłem na swego sługę.

- Panie, pojawił się i... - zaczął Ishak.

- Nieważne, Ishaku - powiedziałem. - Gdzie jest moja żona?

Spała. Wróciliśmy zaledwie kilka minut przed hasłem do gaszenia ogni. Poprzednie noce spędziła w niepokoju, oczekując mego powrotu.

- Ishaku, czy jest chora?

- Nie, panie mój.

- Czy rozkazała, by ją zbudzić, kiedy wrócę?

- Nie, panie. Po prostu poszła spać. Nic nie mówiła. Czy mam ją obudzić?

- Nie trzeba - odrzekłem. - Niech śpi.

Strażnik oddalił się i ksiączę musiał jak najszybciej wracać do domu. Było już po hasle do gaszenia ogni i im dłużej zwlekał, tym bardziej ryzykowny byłby jego powrót do domu. Tymczasem musiał się jeszcze przygotować do ucieczki o brzasku. A jednak wahał się; staliśmy na dziedzińcu. W czarnej, nieruchomej wodzie sadzawki, w której pływały różnobarwne ryby, odbijały się złociste gwiazdy. Do głębi serca przejmował mnie wyraz jego twarzy.

- Jedź już - odezwałem się. - Wszystko zostało powiedziane. Niech strzeże cię Najwyższy. Wiem, że nigdy mnie nie zapomnisz i będziesz czcić moją pamięć, ale teraz musisz już myśleć tylko o swoim bezpieczeństwie. W przeciwnym razie moja śmierć okaże się daremna. Idź!

Stał bez ruchu, zatopiony w myślach. Po plecach przeszedł mi dreszcz. Znów doświadczyłem owej tajemniczej obecności czegoś, co nawiedziło mnie w lesie, i wiedziałem, że tym razem poczuł to również książę. Pomyślałem, że są to anioły zapisujące ludzkie uczynki; że unoszą się nad moją głową, coraz bliżej i bliżej, by wychwycić każdy szczegół tej chwili. Który z aniołów zarejestruje mój uczynek? Czy ten od księgi życia, czy ten od księgi śmierci?

- Nigdy cię nie zapomnę - powiedział książę. - Nigdy nie opuści mnie smutek spowodowany twoją nieobecnością, ale zawsze będę czuć obok siebie twoją obecność.

Pochyliłem nisko głowę. Kiedy ją uniosłem, księcia już nie było. Długą chwilę jeszcze stałem w ogrodzie, ale nie pamiętam, czy spoglądałem w gwiazdy, czy patrzyłem na ryby pluskające się w czarnej wodzie sadzawki.

Wróciłem do swej pracowni.

Panował w niej mrok i chłód. Na tak długo po raz ostatni opuściłem ją przed pięciu laty, kiedy udałem się za miasto w poszukiwaniu ziół. Dawniej odbywałem takie wyprawy regularnie; uwielbiałem noce spędzane w samotności pośród wzgórz. Miałem ze sobą namiot - taki sam, jakich używali złodzieje i rabusie. Po ostatniej wyprawie sprzed pięciu lat przystąpiłem do eksperymentów, które wymagały zmiany popiołów rano i wieczorem. Tak więc musiałem być w swej pracowni każdego ranka i każdej nocy.

Nie zapaliłem lampy. Kiedy już moje oczy przyzwyczyły się do panujących ciemności, ruszyłem przez pogrążoną w głębokich cieniach pracownię. Snułem się między paleniskami, każdym wyższym ode mnie. Mijałem kolumny destylacyjne, miechy i dmuchawki, kotły, flakony, moździerze i tłuczki. Szedłem wzdłuż ścian z wnękami, w których trzymałem chłodnice do destylacji, sztaby ołowiu i żelaza, szklane słoje i gliniane dzbany oraz dokładnie posegregowane księgi. Rękopisy posegregowane były schludnie w skórzanych futerałach. Mimo pootwieranych okien, drzwi i czterech kominów skórę zawsze pokrywała gruba warstwa kurzu i popiołu; powietrze pracowni prze-

sączał nieustannie nieprzyjemny zapach. Ale tej nocy paleniska, kolumny destylacyjne i piece były martwe; wygasł ogień stanowiący ich serce i duszę. Znałem jednak swą pracownię tak, jak niektórzy święci mędracy znają Świętą Księgę. Jeśli zarecytuje się im jakiś werset, natychmiast powiedzą, która to sura i numer, a następnie zaczną cytować kolejne stronicie tak długo, dopóki nie poprosi się ich, by przestali.

Wcale nie musiałem zapalać lampy.

Po raz pierwszy od pięciu lat gniazdo, w którym tkwiło moje złote jajo, wystygło wraz z paleniskami. Szybko wsunąłem ręce w zimne popioły i wyčiułem w nich twarde szkło. Zacisnąłem palce na szyjce amfory - była na tyle gruba, że z łatwością ująłem ją w rękę. Powoli wyciągnąłem naczynie z popiołów. Poprzez drewniane kraty w oknach pracowni wpadał srebrzysty blask gwiazd i księżyca, ale w naczyniu nie zalśniło złoto. Siarka i rtęć wciąż pozostawały siarką i rtęcią - były słońcem i księżycem, pierwiastkami męskimi i żeńskimi; tak samo dalekimi od jedności i doskonałości jak na początku.

Dżabir twierdzi, że złoto jest harmonią, pierwiastkiem męskim i żeńskim stopionym i przekraczającym granice ludzkiego rozumu, niezniszczalne i godzące wszelkie przeciwieństwa, stanowiąc ostateczny kres przemian.

Wyjąłem z paleniska rondel z popiołami i opróżniłem go. Zgodnie z recepturą popioły powinny być wymieniane stopniowo: garść starych usuwana, a na ich miejsce należało dodawać garść nowych; w stopniowych metamorfozach rodziła się nowość. Nigdy dotąd nie pozwoliłem popiołom ostygnąć - teraz jednak dokładność nie miała już znaczenia. Ponownie umieściłem szklaną amforę w garncu, po czym skrzesłem w palenisku ogień... odrobina oleju... iskra. Płomyki rozgorzały czerwienią. Dołożyłem drew.

Kiedy już większość z nich obróciła się w popiół, sięgnąłem po niewielką szufelkę i obłożyłem amforę drzewnym żarem. Dorzuciłem do paleniska węgla i zamknąłem drzwiczki pieca; ogarnęła mnie nagła, oślepiająca ciemność. Nie czekając, aż oczy przyzwyczają się do mroku, ustawiłem garniec z

amforą na piecu. Pozostając na powietrzu, bez podgrzewania, popioły natchmiast by wystygły.

O świcie książę i Szemselnehara uciekną z miasta. Wkrótce potem przyjdą po mnie żołnierze. Jeśli naprawdę istnieją dwa anioły stróże zapisujące moje uczynki, to, nieustannie trzepocząc skrzydłami, odlatują; kiedy ponownie pojawia się Izrail, księgi są już zamknięte. Pojawiają się inni aniołowie i zaczynają studiować księgę.

Lecz jeśli naprawdę istnieje anioł śmierci, jakie imię wyszepcze mi do ucha?

Abu al-Hasan nie jest moim prawdziwym imieniem. Kiedy się urodziłem, obyczaj nakazywał nadać dziecku imię rodziny, w której się urodziło, oraz nazwę ulicy, przy której przyszło na świat. Miało to chronić przed czarami; wiedźmie wystarczyło znać twoje prawdziwe imię, by rzuciła na ciebie urok, należało je zatem chronić przed obcymi. W przypadku chłopców słówko Abu oznacza nazwę ulicy. Abu Nuwas... Abu Becr... Abu al-Hasan. Obecnie w Mieście Pokoju większość rodziców nadaje swoim dzieciom imię ulicy tylko dla czystej formalności. Rodzice księcia nazwali swego syna: Abu al-Hasan, ale nigdy nie ukrywali jego prawdziwego imienia - Ali.

Dla mieszkańców Trzech Źródeł czarnoksiężnicy czaili się wszędzie, a za każdą burzą piaskową krył się ifrit*³⁸; dochowanie tajemnicy było regułą. Żadna matka nie wyjawiała swemu dziecku prawdziwego imienia. Moja matka również; obawiała się, że mogę je komuś pochopnie wyznać. Mój ojciec zmarł w dwa lata po moich narodzinach. Kiedy miałem osiem lub dziewięć lat, matka postanowiła wyznać mi moje prawdziwe imię, ale ja nie chciałem go poznać. Częściowo wierzyłem w te gusła, ale zaczynałem już buntować się przeciw tradycji i przekonaniom mojej matki. Pragnęła, abym był pobożny i rozsądny i przejął po ojcu zawód powroźnika. Zostałem jednak wiemy

^{38*} Ifrit - jeden z rodzaju dżinnów uchodzących za bardzo potężne i złośliwe. Przesądni muzułmanie uważają, że powstające na pustyni wiry powietrza, unoszące w górę słup kurzu i piasku, są wywołane przez przelatującego ifrita.

memu stryjowi - aptekarzowi. Dla mojej matki aptekarstwo niewiele różniło się od czarnoksięstwa. Stryj był bratem mego ojca i prawo nakazywało matce posłuszeństwo wobec jego decyzji. I wiedziała, że tego się właśnie domagam. Oświadczyłem jej zatem, że nazywam się Abu al-Hasan i jest to jedyne moje imię. Powiedziałem też, że moje prawdziwe imię może zachować dla siebie lub jeśli zechce, wyznać je wiedzcie. Kiedy brałem za żonę Fatimę, na kontrakcie ślubnym podpisałem się: Abu al-Hasan. W sześć miesięcy później umarła mi matka. Kiedy opuściłem z Fatimą Trzy Źródła, zostawiłem daleko za sobą krewnych, którzy mogliby znać moje prawdziwe imię.

W snach często nawiedzały mnie różne imiona. Jedno z nich padło zapewne podczas ceremonii mego obrzezania. Trzy inne pojawiały się nieustannie: Omar, Dawood i Isa, imiona moich synów. Ale śniłem też o dziesiątkach innych. Pośród nich nieustannie pojawiało się imię Harun.

W kilka miesięcy po naszych zaślubinach, kiedy Fatima przewyciężyła już swoją dziewczęcą nieśmiałość, zaczęła odważnie patrzeć mi w twarz i zadawać pytania. Jakie jest naprawdę moje imię? To absurd być żoną człowieka, którego imienia się nie zna. „Abu al-Hasan” - odwarknąłem.

Fatima popatrzyła na mnie z szerokim uśmiechem. Byłem obcesowy, ale ona wciąż się do mnie uśmiechała. Jej pełne światła oczy spoglądały na mnie z radością; mówiły wyraźnie, że jestem zabawny, ale mimo to bardzo jej na mnie zależy. „Idź do mojej matki - odparłem. - Traktuje cię jak własną córkę. Z radością wyzna ci moje imię. Ale trzymaj je w sekrecie; nawet przede mną. Teraz jestem Abu al-Hasan”.

Skinęła głową i roześmiała się; wyszedłem na wielkiego głupca.

„Doskonale, Abu al-Hasanie” - powiedziała wesoło.

Moja matka była już wtedy bardzo chora. Naprawdę lubiła moją żonę, ale wtedy jeszcze Fatima bała się ludzi i nie wiem, czy ją o to zapytała. Uważam, że nie, ale któż to wie?

Zapewne spytała.

Coś o Strażniku Wiary... o modlitwie w domu... Otumaniony snem, otworzyłem oczy. Zasnąłem ze skrzyżowanymi nogami przed jednym z pale-nisk. Do mych uszu dotarło wezwanie do porannej modlitwy; ale inne niż zwykle. Kalif, Strażnik Wiary, rozkazywał wiernym oraz wyznawcom innych bogów modlić się w domu. Ciszę nocną przedłużono na czas nieokreślony i wszystkich, którzy przebywali na ulicach bez specjalnego zezwolenia, czekało czterdzieści batogów za zakłócenie porządku.

Próbowałem wstać. Skrzywiłem się z bólu; byłem cały zdrętwiały. Od wielu godzin nie ruszałem się z miejsca. Słyszałem tupot wielu stóp przemierzających mój dom, słyszałem gorączkowe okrzyki. Głosy pełne niepokoju. Mogłem tylko nasłuchiwać. Wyciągnąłem jedną nogę, później drugą; powoli i boleśnie. W końcu podniosłem się z poduszek i powlokłem do ogrodu.

Cała służba tłoczyła się przy bramie. Ulicą przechodził zbrojny oddział wojska. Żołnierze szli w karnym ordynku, nie wykazując zainteresowania moim domem.

- Hej, co się dzieje?! - zawołał Farabi, jeden z moich służących.

- Nic wielkiego - odparł oficer. - Kilka osób zakłóciło spokój nocy i teraz ich szukamy. Pozostańcie w domu!

Służba odwróciła się w moją stronę, spodziewając się, że bardziej zdecydowanie porozmawiam z żołnierzami. Ale ja tylko odwróciłem się; dręczył mnie okropny głód.

Powiadają, że Magowie dzielą się na siedemdziesiąt sekt, a wszystkie kłócą się ze sobą. Żydzi mają takich sekt siedemdziesiąt jeden, a chrześcijaństwo siedemdziesiąt dwie. Prorok kontynuował tę tradycję i przepowiedział u nas siedemdziesiąt trzy. Aż po kres czasu tylko jedna z nich będzie prowadzić

wyznawców do zbawienia. Większość komentatorów uważa tę przepowiednię za apokryf, ale naszą religię można interpretować na tysiące sposobów. Nie jesteśmy tacy jak chrześcijanie, którzy nie potrafią pogodzić się nawet w tak podstawowej kwestii, czy ich Bóg jest człowiekiem, czy nie. Nasze kontrowersje koncentrują się wokół Świętej Księgi.

Wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że Święta Księga jest słowem Boga, objawionym Prorokowi przez anioła Dżibrila*³⁹. Jej wersety stanowią dowód, jak mądre są wyroki Boga. Zarówno szyici, jak i sunnici zgadzają się w jednym: Święta Księga głosi prawdę absolutną i jej nakazom należy się bezwzględnie podporządkowywać. Dzielą ich jedynie różnice ontologiczne. Święta Księga, jak twierdzą sunnici, istniała zawsze. Jest wieczna, nie stworzona, gdyż zawsze stanowiła część Boga - dawno, dawno - jeszcze przed stworzeniem proroka, aniołów i w ogóle całego świata.

To nie tak - mówią szyici: Święta Księga została stworzona w taki sam sposób, w jaki został stworzony świat i wszelkie zamieszkujące go stworzenia. Bóg stworzył ją i przekazał Dżibrilowi. W jaki inny sposób Święta Księga mogłaby się odnosić do współczesnych wydarzeń? Pewnego dnia żona Proroka oskarżona została o cudzołóstwo; ale Święta Księga objawia jej niewinność. W jaki inny sposób mogłyby powstać te wersety, kiedy nie było jeszcze Proroka, jego żony, a nawet ziemi?

Wszystko jest zapisane - odpowiadają sunnici. Wszystko jest z góry postanowione. Bóg, w Swej mądrości, zawsze wiedział, że pojawi się Prorok, tak samo jak wiedział, że w tej chwili właśnie będę pisał te słowa. Nawet jeszcze przed stworzeniem światła wiedział, że żona Proroka zostanie niesłusznie oskarżona o cudzołóstwo.

Otóż nie - mówią szyici. - Człowiek ma wolną wolę.

I obie strony zawsze cytują stosowne wersety ze Świętej Księgi.

³⁹ *Dżibril - odpowiednik chrześcijańskiego Gabriela, anioła śmierci, księcia ognia i grzmotu, a najczęściej jednego z głównych wysłanników Boga.

Czyż jedno z imion Boga nie brzmi Wieczny? - pytają szyici. - Jeśli twierdzicie, że Święta Księga jest współistotna Bogu i wieczna jak On, to czy nie popełniacie grzechu bałwochwalstwa?

Święta Księga stanowi część Boga - odpowiadają sunnici.

Jest jednym z Jego atrybutów, a zatem ma nadprzyrodzoną i nieludzką urodę.

Bezsprzecznie, Święta Księga jest przepiękna - mówią szyici. Piękniejsza niż cokolwiek, co stworzył człowiek lub džinn; niemniej to bluźnierstwo twierdzić, że jest nadprzyrodzona. Ludzie nie są w stanie pojąć jej proroczych opowieści ani zrozumieć mądrości głoszonych przez nią praw; mogą jedynie pisać werset, dorównujące jej pięknem.

Bluźnierstwo - odpowiadają sunnici. Święta Księga wyraźnie mówi, że jej piękna nie odtworzy żaden człowiek arii džinn.

Dla mistyków tego typu rozważania nie istnieją; dla nich istnieje wyłącznie Bóg. Każdy człowiek i wszystko, co jest, będzie istnieć zawsze; tak więc, skoro wszystko jest Jednością, wolna wola nie ma najmniejszego znaczenia. A prawdziwa wiara służy jedynie rozwianiu zwodniczej, gęstej mgły otulającej nasze głowy, tak byśmy mogli dostrzec Boga w każdym stworzeniu i w każdej rzeczy, która Jego jest. W tej kwestii Święta Księga jest jedynie narzędziem, ale narzędziem drogocennym. Napisano bowiem: siedziba Boga jest zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie, toteż niezależnie, w którą stronę świata odwrócisz swe oblicze przy modlitwie, ujrzysz Jego twarz. Jego tron - mówią najcudowniejsze werset - rozciąga się na całe Niebiosa i na całą ziemię. I niestrudzenie utrzymuje wszystko w idealnej równowadze. Tron Boga znajduje się w sercu każdego człowieka - mówi Prorok. Wejrzyj w swoje wnętrze - mówią mistycy. Odnajdź Go, a wtedy będziesz miał w sercu cały wszechświat. Niektórzy utrzymują, że ta sztuka im się udała.

„Jestem Prawdą!” - wykrzykuje jeden. „Ja jestem ja!” - woła inny. „Wysławiajcie mnie!” - domaga się kolejny.

I jeden po drugim kładą głowę pod katowski miecz.

Prywatnie kalif czytywał mistyków. Pozwalał to samo robić innym i nie wyrażał sprzeciwu, kiedy ktoś oddawał się medytacji i umartwianiu. Lecz kiedy ci cierpiętnicy powoływali się na samego Boga, kiedy nawoływali do łamania prawa - w takich przypadkach Strażnik Wiary musiał wkraczać. Gdy pewien mistyk ogłosił, że należy modlić się nie pięć - jak nakazuje Święta Księga - ale pięćdziesiąt razy dziennie, kalif szybko umożliwił mu kontakt z Bogiem. Ale to nie powstrzymało naśladowców tego mistyka. Był człowiekiem charyzmatycznym; niebawem tysiące jego wyznawców, naśladując mistrza, modliło się pięćdziesiąt razy dziennie, łamiąc wszelkie prawa i nakazy narzucane przez kalifa i jego namiestników. Skończyło się to na krwawej interwencji wojska. Ale kalif pobrał lekcję. Jego tolerancja miała swoje granice.

Próbował delikatnie pogodzić sunnitów z szyitami. „Odmawiajcie swoje pacierze - mówił Strażnik Wiary - bądźcie posłuszni prawu. To wystarczy”. Ale kwestia wolnej woli miała swoje praktyczne implikacje. Kalif, nie nazywając tego po imieniu, przyjął jednak interpretację ściętego szyity dotyczące nieślubnego pożycia i wina; powszechnie podejrzewano władcę, że choć sam jest szyitą, którym w rzeczywistości był... podobnie jak Jazid, Nuraddin, Berber z Afryki, ascetyczny wielki wezyr, tak naprawdę należał do sunnitów. Spory religijne przekształcały się w krwawe waśnie. Szyici domagali się odsunięcia sunnitów od wszelkich publicznych urzędów; zgraja sunnitów wdarła się do gospody, gdzie odbywało się prywatne przyjęcie. Wylali całe wino do kanału, pobili tańczące dziewczęta, a towarzyszących im mężczyzn wysmagali batami.

Tego wieczoru, kiedy porwani zostali książę i Szemselnehara, a kalif popłynął w górę rzeki do Rakki, miał miejsce jeden z takich ataków. Podobne napaści zdarzały się bardzo często i ani sam Nuraddin, ani inni przywódcy sunnitów nie mieli na to wpływu. Zazwyczaj gwardia kalifa wcześniej namierzała prowodyrów takich zająć i z góry kładła kres zamieszkom. Ze strony szyitów nie następował odwet i mało kto wiedział, co się naprawdę dzieje.

Choć ani Nuraddin, ani Jazid nie potrafili zachować kontroli nad fanatykami dopuszczającymi się karygodnych występków, to jednak mieli wielki wpływ na przywódców poszczególnych frakcji. Rzadko kiedy próbowali wzniecać zamieszki na większą skalę, zwłaszcza że kalif był w pełni świadomy sojuszy, jakie zawierali jego dostojnicy. Gdyby Jazid lub Nuraddin potrafili przekonać go, że zamieszki wybuchły spontanicznie, a oni nie mieli na nic wpływu, winna frakcja poniosłaby srogie konsekwencje - chyba żeby sam kalif miał interes w tym, aby rozruchy trwały przez dzień czy dwa.

Tamtego popołudnia, już po napadzie na uczestników przyjęcia, kiedy Szemselnehara, księżę i ja siedzieliśmy w lesie, na jednej z ulic w okrutny sposób skatowano dwóch prowodyrów szyitów. Takie odwety zdarzały się niesłychanie rzadko i ten atak mógł wskazywać, iż polecenie masakry wyszło od kogoś wysoko postawionego. Ale na to nie było dowodów, jedynie domysły. Wieczorem, kilka godzin przed naszym powrotem do miasta, rozwścieczony tłum wdarł się do domu przywódcy sunnitów, wywlókł go na ulicę i wzięłyby na nim srogą pomstę, gdyby nie przechodzący akurat wojskowy patrol. Tłum zaniechał krwawego odwetu i cały gniew skierował na żołnierzy, krzycząc, że sam kalif należy do szyitów i pozwala im napastować ludzi o odmiennych poglądach w kwestiach wiary. Prawie natychmiast pojawiły się posiłki. Większość uczestników zamieszek aresztowano; ci, którym udało się uciec, zaczęli zapewne podburzać innych swoich towarzyszy. Wieść o ataku sunnitów szybko rozniosła się po mieście i przywódcy szyitów zaczęli nawoływać do odwetu; ich gromady zaczęły zbierać się na placach i dziedzińcach przyjaznych im meczetów. Nuraddin wysłał wojsko, by rozproszyć tłumy, a następnie wysłał do kalifa gołębia z wiadomością o rozruchach. Ale, rzecz nader osobliwa, nie wprowadził stanu wyjątkowego; uczynił to dopiero za pośrednictwem tego samego gołębia władca, który spieszenie wracał do stolicy.

W takim stanie rzeczy księżę i Szemselnehara musieli koniecznie podjąć próbę ucieczki. W mieście, w każdej chwili, groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo. Mój wyrok śmierci został chwilowo odroczone. Poświęciłem życie, by tylko mogli uciec, lecz w warunkach stanu wyjątkowego ich wyjazd z

miasta stawał pod wielkim znakiem zapytania. Darowano mi kilka dodatkowych dni życia. Może tylko godzin... do chwili kiedy zostanie zniesiony stan wyjątkowy.

Co robi człowiek, nad którym wisi, odroczone chwilowo, wyrok śmierci? Wymieniłem popioły, zjadłem posiłek i uczyniłem to, czego od lat nie robiłem: udałem się do komnaty Fatimy. Idąc przez ogród, zatrzymałem się przy sadzawce ze złotymi rybkami. Zawsze żałowałem, że nie mogę hodować zarówno kaczek, jak i złotych ryb, ale co szanujący się alchemik począłby bez złotych rybek w sadzawce. Na swój sposób byłem równie tradycyjny jak moja żona. Bardzo często spędzałem wieczorne godziny nad brzegiem jednego z pomniejszych kanałów, gdzie karmiłem chlebem dzikie kaczki. A nawet, kiedy w pobliżu nikt się nie kręcił, kwakałem do nich. „Kwak! Kwak! - kwakał mądry, podstarzały aptekarz, otoczony nimbem tajemniczości alchemik, białobrody powiernik samego kalifa. - Kwak!”

Szemselnehara włóczyła się po bazarze wśród straganów pełnych kletek z ptactwem, podziwiając ich barwne upierzenie i fantazyjne dzioby. Ja również strawiłem wiele godzin, wędrując tam i z powrotem po ulicy Ptaków. Kochałem trzepot ich piór, kakofonię ćwierkań, szczebiotów, skrzekliwych głosów, przenikliwej mowy papug, cały ten zgiełk i chaos, który tym różnił się od hałasu, jaki czynią ludzie, że nie mógł wyrządzić mi najmniejszej krzywdy. Kupcy często obrażali się na mnie, że nie kupuję żadnego ptaka, ale ja taki harmider znosiłem jedynie poza domem.

Zostawiłem za sobą sadzawkę ze złocistymi rybami i dotarłem do końca ogrodu.

- Fatimo, to ja, twój mąż. Czy mogę wejść?

- Naturalnie.

Przeszedłem przez zasłonę utkaną z paciorków, jakbym przepływał przez wodę.

Mój dom wypełniony był bezlikiem wytwornych jedwabnych kobierców i poduszek, ale moja żona siedziała ze skrzyżowanymi nogami na prostym, czerwono-czarnym wełnianym dywanie. Wyglądał jak nowy - zapewne Fatima utkała go w ostatnich latach, które mnie upłynęły na grzebaniu w popiołach. Ściany izby również do złudzenia przypominały pokoje w moim rodzinnym domu w Trzech Źródłach. Pokrywały je nieliczne wełniane obicia i płachty pergaminu, na których wypisano imiona Boga i wersety Proroka. Jedyną drogocenną rzeczą w tej komnacie była przepiękna kopia Świętej Księgi; spoczywała na jedwabnej poduszce leżącej na jedynym w pokoju stole. Nieopodal, obok dwóch skrzyń, widniała cienka mata do spania. Była zrolowana, podobnie jak ta w mojej bibliotece.

Fatima podniosła na mnie wzrok. Zatrzymałem się w progu; za plecami miałem zasłonę z niebieskich paciorków, która falowała, wydając cichy, klekoczący dźwięk. Po chwili Fatima opuściła głowę i wróciła do pracy; wyszywała małą czerwoną poduszkę, jedną z tych przeznaczonych dla dzieci. Ale niebawem znów popatrzyła na mnie.

- Fatimo, czy mogę usiąść? - zapytałem cicho.

W milczeniu skinęła głową. Popatrzyłem na wolne miejsce obok niej na dywaniku, ale ostatecznie usiadłem na zwiniętym materacu. Popatrzyła na mnie z ukosa, ale dostrzegłem błysk w jej oczach. Zawsze spoglądała na mnie w ten sposób: wzrok miała czujny, ale nigdy oziębły. Lata, które spędziła ze mną, zabiły jej szczerą, otwartą spojrzenie dziewczyny, ale nie zabiły głosu serca.

- Powiadają, że kiedy Bóg krótko pokazał Prorokowi życie po śmierci, on ujrzał w Niebie głównie ubogich, a w Piekło głównie niewiasty... - Urwałem. - Nawet mimo majątku, do jakiego doszedłem w doczesnym życiu, ty zachowałeś duszę ubogiej niewiasty.

- Stałeś się religijny? - zapytała ironicznie.

Potrząsnąłem głową.

- Jeśli chcesz mi prawić komplementy, możesz to robić lepiej - dodała.

Na twarz wystąpiły mi krwiste rumieńce.

- Fatimo, wybac mi moje postępowanie przez ostatnich kilka tygodni. Byłaś zatrwożona... i bardzo raniłem twoje uczucia.

Wzruszyła ramionami i obrzuciła mnie obojętnym spojrzeniem.

- Tak. Wczoraj były urodziny naszego malutkiego Abu al-Hasana. Zapomniałeś.

Znów pochyliła głowę nad czerwoną poduszką, którą wyszywała złotą nicią.

- Na Miłosiernego...!

Mimo moich sprzeciwów Zajnab nadała dziecku moje imię; całkowicie wypadło mi z pamięci, że był to właśnie dzień jego urodzin. Fatima zawsze przypominała mi o wszelkich rodzinnych uroczystościach, ale ostatnio, troskając się o jej bezpieczeństwo i czując brzemień winy, unikałem żony. Oczywiście, Zajnab powiedziała synkowi, że jego dziadek jest bardzo zajęty, ale dzieciakowi było wszystko jedno. Jednak nie było to obojętne mojej córce, mnie oraz moim pozostałym dzieciom, wnukom i wnuczkom. Przyszła mi do głowy myśl, że przygoda z księciem i Szemselneharą jest niczym dym, który przesłonił mi rzeczy naprawdę się liczące.

- Och, Fatimo, czy ona mi to kiedykolwiek wybaczy? - zapytałem zdławionym głosem. - Jeśli nie...

W moich słowach było tyle rozpacz, że Fatima opuściła na podolek wyszywaną poduszkę i obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

- Oczywiście, że ci wybaczy - powiedziała.

Poczułem się dziwnie.

- Tak - odrzekłem, odzyskując kontrolę nad głosem. - Tak, naturalnie, ona mi wybaczy.

Kiedy urodziło się nam pierwsze dziecko, wywiązała się między mną a Fatimą pierwsza poważna małżeńska awantura. Tradycja stanowi, iż kobieta przez czterdzieści dni po urodzeniu dziecka jest nieczysta; nowo narodzone niemowlę zostaje jej odebrane i przekazane mamce. Uważałem to za barbarzyństwo. Mamka nigdy nie będzie tak czuła jak matka; u Magów, którzy nie hołdowali tej tradycji, umieralność dzieci była o wiele mniejsza. Często rolę mamek pełniły siostry lub kuzynki, ale w naszej rodzinie nie mieliśmy takich niewiast i musieliśmy wynająć służącą, która nie przejawiała nawet czułości ciotki. Upierałem się, by Omarem opiekowała się sama Fatima. Odmówiła. A jednocześnie płakała, kiedy nasz synek przekazany został obcej kobiecie; ale rzeczy tak się już miały. Gdyby nawet nie splugawiła Omara, osobiście się o niego troszcząc, reszta wioski wiedziałaby lepiej; mógłby zostać pariasem. Wyzywałem ją. Nazywałem głupią, przesadną i niegodną mianem matki, ale ona postąpiła tak, jak nakazuje obyczaj. To, że wszystkie nasze dzieci przeżyły, częściowo zawdzięczają temu, iż Fatima wyjątkowo trafnie wybierała dla nich mamki.

A gdybym odwoływał się do jej urody, a nie tylko do jej imion? Gdybym przekonał ją, że jest czysta, że budzi we mnie pożądanie, i udowodnił to, biorąc ją w miłosne uściski... Gdybym powiedział, że skoro ona jest nieczysta, to ja też chcę być nieczysty? Bo byłem nieczysty. Tak, zależało mi na życiu i zdrowiu mego syna. Ale wszystko to było na próżno; chciało mi się wyć. Moja żona była głupia i uparta, opierała się wszystkim moim racjonalnym argumentom, którymi próbowałem ją karmić. Ale jak potoczyłyby się nasze dalsze losy, gdybym poddał się nieuniknionemu, gdybym zamiast na nią krzyczyć, utulił, kojąc jej macierzyński smutek po oddzieleniu od własnego dziecka?

- Mężu, o czym myślisz? - zapytała szorstko Fatima.

- O narodzinach Omara.

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem. Jej rzęsy zatrzepotały. Kiedy byłem dzieckiem, matka powiedziała mi, że jasne oczy u człowieka świadczą o niepokoju, jaki draży jego serce.

- Wybacz - powiedziałem szybko - moje zachowanie w ostatnich tygodniach. Gdybyś знаła prawdę, z pewnością byś mi wybaczyła. Cóż, pewnie tego nie zrobisz, ale być może zrozumiesz, dlaczego ci o niczym nie mówiłem i dlaczego wciąż nie chcę o niczym wspominać. Fatimo, gdybym ci o wszystkim powiedział, sprowadziłbym na twoją głowę ogromne niebezpieczeństwo.

- Naprawdę nie możesz mi powiedzieć, że pomagasz księciu Persji i nałożnicy kalifa, którzy mają ze sobą romans?

Milczałem.

- Cała służba o tym mówi - dodała.

- Hmm.

Spoglądałem dłuższą chwilę na swe dłonie. Zdziwiałem się, jak niewiele miałem do powiedzenia.

- Fatimo - odezwałem się w końcu. - Wiem, że nie zasługuję na to, ale mam... mam prośbę... - Popatrzyłem żonie w twarz, ale z jej wyrazu nie potrafiłem wyczytać żadnej myśli. - Fatimo, to było tak dawno... - Znów urwałem. - Czy możesz powiedzieć do mnie po imieniu?

Popatrzyła mi prosto w oczy.

- Jak mam do ciebie powiedzieć?

- Powiedz mi: „Abu al-Hasanie, nie jesteś naprawdę...”, albo: „Abu al-Hasanie, zapomniałeś o urodzinach swego wnuka”.

Uśmiechnęła się

- Abu al-Hasanie, synu Tahera, zapomniałeś o urodzinach swego wnuka.

Uśmiechnąłem się głupkowato.

- Powiedz mi też - dodałem - powiedz mi, czy kiedyś... mój Boże, upłynęło od tamtej chwili dobrych pięćdziesiąt lat... czy zapytałaś moją matkę o moje prawdziwe imię?

Twarz Fatimy rozjaśnił jeszcze szerszy uśmiech. Miała już niewiele zębów, ale uśmiech wciąż miała promienny i olśniewający, jak w czasach młodości, a oczy pały jej cudownym blaskiem, jakiego nie widziałem już od tak dawna.

- Tak, mężu - odrzekła.

- Czy je pamiętasz?

- Tak, mężu.



- I... i jak ono brzmi?
- Abu al-Hasan. Wiedziałem, że skłamała.
-

18

Do końca dnia wszystkie wezwania do modlitwy nawoływały do modlitwy w domach. Muezini czytali wersety Świętej Księgi, które negatywnie oceniają wszelkie rozłamy nakazujące jedność wiernych, a potępiające wicherzycieli wyszukujących dwuznaczne wyjątki, podczas gdy Bóg, w swym Miłosierdziu, dał nam tak wiele wersetów o bezspornej treści. Po południu pojawili się nosiwody, dostarczający tym razem towar na koszt kalifa. Po ulicach miasta krążyły patrole wojskowe, oczekując pojawienia się wicherzycieli; wyznawcy obu sekt krążyli po domach, nawołując do spokoju. Ulice stolicy, zawsze pełne tłumów, były opustoszałe; jak uliczki Trzech Źródeł w południe, kiedy promienie palącego słońca, wypędzały wszystkich mieszkańców do domów. Ulice przemierzali nosiwody, przygarbieni, spowici tumanami kurzu, ciężko dyszący pod ciężarem skórzanych bukłaków z życiodajnym płynem. Od czasu do czasu przemykał ulicą jakiś bogobojny człowiek, otulony czarnym burnusem. Potem rozlegał się miarowy krok wojskowego patrolu. Przybrani na czarno gwardziści, dźwigający groźne szable i czarne proporce kalifa, przemierzali ulice miasta.

Wróciwszy rano do pracowni, wymieniałem popioły. Nadszedł czas na nowy eksperyment. Skoro nie musiałem już dłużej świadczyć usług klientom, zająłem się greckim rękopisem, który niedawno wpadł mi w ręce; zawierał fragmenty diatryby Zosimosa z Aleksandrem. Ślęczałem nad obcojęzycznym tekstem napisanym obcym pismem i szukałem w nim jakichś alegorii, które

naprowadzą mnie na właściwy trop. Ale robiłem to bez przekonania. Niebawem odwołają stan wyjątkowy i księżę z Szemselneharą będą mogli uciec z miasta, jeśli wcześniej ich nie aresztują. To prawda, istniało wiele receptur, które wymagały zaledwie kilku godzin pracy, ale dotąd się nimi nie zajmowałem. Teraz jednak nie czułem się już brudny od miechów i dmuchawek, kiedy bawiłem się żelazem i siarką. Czym innym miałbym się teraz bawić? Świat - twierdzi Święta Księga - usiany jest kwiatami dla niewiernych.

Udałem się do magazynu, skąd wziąłem w jednakowej ilości suszonych fiołków, wodnych lili, rumianku, błękitnej lili i korzennego goździka. W pracowni starłem to wszystko w moździerz, w którym zazwyczaj ucierałem złoto, a uzyskany proszek wsypałem do kociołka pełnego wody. Zapaliłem nagrzewnicę i patrzyłem, jak woda zaczyna wrzeć. Żałowałem tylko, że nie mam świeżych roślin. Świeże kwiaty wyglądają przepięknie we wrzącej wodzie; grają tysiącem kolorów, błękitnym, białym i fioletowym. Kiedy wywar wyparował i stał się gęsty, zdjąłem kociołek z ognia, by ochłódnąć. Zdjąłem turban i zrzuciłem z siebie odzienie. Receptura wymaga wprowadzić, by uczynił to przyjaciel lub współmałżonek, ale w tych okolicznościach sam natarłem się pięknie pachnącym płynem. Kwietny napar na przygnębienie wymyślił al-Szirazi. Elixir ów jest jednym z medykamentów, w które najbardziej wierzę. A jednak tego dnia nie przyniósł mi ulgi. Czułem się tak, jakbym wcale nie natarł się eliksirem. Ubrałem się. Kiedy wiązałem turban, naszła mnie myśl: zapewne lecznicza moc specyfiku nie leży w nim samym, ale w dłoniach współmałżonka lub przyjaciela, którzy nacierają nim moje ciało. Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Resztkę eliksiru wylałem na palenisko i wróciłem do komnaty żony, by zobaczyć, jak postępuje praca nad purpurową poduszką.

Następnego ranka odwołano stan wyjątkowy, ale ludzie mogli się grupować co najwyżej do pięciu osób; nakaz ten nie dotyczył tylko zatłoczonych meczetów i bazarów. Miasto nieustannie patrolowali uzbrojeni po zęby żołnierze i gwardziści kalifa. Wkrótce po tym, jak wymieniłem popioły, zjawił się Ishak z wiadomością, że czeka na mnie sługa Jego Wysokości. Oświadczył też, że nie jest to zwykły posłaniec, ale ktoś dostojnego rodu. Powód jego przybycia był dla mnie oczywisty i postanowiłem przyjąć wyrok z godno-

ścią. Ale najpierw zamierzałem jeszcze wymienić popioły. Nie chciałem w takiej chwili kłamać, lecz prawda byłaby dla gościa uwłaczająca.

- Powiedz jego dostojności, że pojawię się za chwilę. Muszę się przebrać.

W moim przekonaniu przepis był niedoskonały; wymagał bowiem, by na miejsce każdej szufelki wyniesionego popiołu dodawać szufelkę świeżego węgla. Popioły mieszały się ze sobą; po każdym dołożeniu węgla nieuchronnie musiał się on mieszać ze starym popiołem. Bez względu na to, jak alchemik by uważał, zawsze trochę starych popiołów pozostawało.

Posłańcem był Musa, sekretarz kalifa - drobny, chudy mężczyzna w moim wieku. Widział już tyle przelanej krwi, że jego oczy były pełne smutku, czujne, a jednocześnie szczerze. Był mi przyjazny. Mówił mało, ale wyraz jego twarzy mówił wiele. Tego dnia jego wzrok był pusty; malowała się w nim, prócz zwykłego smutku, radość ze spotkania ze mną. Niewykluczone, że albo źle odczytałem wyraz jego twarzy, albo kalif nie wyjaśnił mu, po co go do mnie posyła. Musa był jedynym człowiekiem w pałacu, który nie zwracał uwagi na plotki i skandale.

Objęliśmy się serdecznie.

- Co u ciebie, przyjacielu? - zapytał Musa.

Wzruszyłem ramionami, osobliwie na wszystko obojętny.

Być może brało się to stąd, że pomimo iż spodziewałem się skazania na śmierć, tak naprawdę w to nie wierzyłem, a jeżeli naprawdę zostałem skazany, nie miało to już najmniejszego znaczenia. *

- Wszystko w najlepszym porządku - odparłem. - A u ciebie?

Potrząsnął głową. Jeszcze trochę krwi - pomyślałem. Zamieszki stłumiono, a przyjazny mi Musa, osobisty sekretarz kalifa zawiadujący jego pieczęcią, przysłany został, by dostarczyć mi wyrok śmierci.

- W innych okolicznościach - powiedział Musa - domagałbym się szklancicy wyśmienitego sorbetu twojej żony oraz wieści o sukcesach twoich dzieci i wnuków. Ale Jego Wysokość pragnie natychmiast cię widzieć.

Skinąłem głową. Wziął mnie za rękę i razem ruszyliśmy w stronę Pałacu Złotej Bramy.

Kalif siedział w swoim ogrodzie, tak samo jak ostatnim razem, kiedy się z nim widziałem. Jazida nie było. Musa oznajmił moje nadejście i bez słowa się wycofał. Kolejne pożegnanie? Przeszedłem pod rozświetlonymi słonecznym blaskiem wierzbami i minąłem sadzawkę, w której pluskały się złociste ryby. Na mój widok kalif nie podniósł się z miejsca. Siedział nad szachownicą i w zamyśleniu spoglądał na połyskliwą toń rzeki i las mający na jej drugim brzegu. Jasnego letniego nieba nie mąciła żadna chmura, zupełnie jakby i ono cieszyło się z odwołania stanu wyjątkowego. Widok nieba dodał mi nadziei, ale natura bywa złośliwa. Po chwili wahania złożyłem niski ukłon.

- To ja, Abu al-Hasan, panie - powiedziałem.

Nie odrywając wzroku od rzeki, kalif skinął głową.

- Usiądź, Abu al-Hasanie.

Popatrzyłem na szachownicę. Kalif nie wykonał jeszcze żadnego ruchu. Na marmurowym stoliku, po jego prawej stronie, leżała Święta Księga. Ale na kolanach miał otwartą inną książkę.

Kalif spuścił wzrok i zaczął czytać na głos:

- „Pewnego razu uczniowie wypili tyle wywaru z błękitnej lili, iż jednemu z nich kompletnie odebrało rozum i na lekcję przyszedł nago. Kiedy pośród powszechnego śmiechu nauczyciel zapytał go, dlaczego to "zrobił, on poważnie odparł, że wraz z kolegami spróbował naparu z orzechów sumaka i wszyscy dostali małpiego rozumu, ale tylko on, na szczęście, zachował zdrowy rozsądek”.

Kalif zamknął książkę i znów przeniósł wzrok na rzekę... nie na mnie.

Wskazał głową Świętą Księgę.

- Czy masz czyste ręce? - zapytał.
- Powinienem je obmyć - odparłem.
- Nie trzeba. Mam to w pamięci.

Jego głos złagodniał. Popatrzył w niebo i zacytował:

A gdyby poszła za ich namiętnościami, to z pewnością uległyby rozkładowi niebios i ziemia, i ci, którzy się w nich znajdują. Tak, przyszliśmy do nich z napomnieniem, lecz oni od napomnienia się odwrócili*⁴⁰.

Popatrzył na rozświetloną słońcem rzekę. Dlaczego nie spojrział na mnie?

Zadrzałem.

- Abu al-Hasanie, wiara jest najtrudniejsza z wszystkich rzeczy - odezwał się cicho. - Wiara w cokolwiek. Czy wiesz, co to jest grzech pierworodny?

- Każdego człowieka przychodzącego na świat dotyka szatan. I wtedy nadaje mu się prawdziwe imię.

Kalif lekko się uśmiechnął.

- Cytujesz Proroka - powiedział. - Ja mam na myśli koncepcję chrześcijan.

- Rozumiem, panie.

- Chrześcijanie, jak zwykle, są bliscy prawdzie. Nasze cierpienie i brzemie, jakie dźwigamy, bierze się z tego, o czym mówiłem: człowiek odważył się odwrócić od napomnienia.

⁴⁰ *Koran. Sura XXII: *Wierni (Al-Muminuri)*, op. cit.

Milczałem. Przez ponad dziesięć lat słuchałem jego zwierzeń. Słyszałem, że w młodości był czarującym człowiekiem. Dopóki nie wstąpił na tron, jego hojność, wręcz legendarna, przechodziła wszelkie wyobrażenia. Pewnego razu wszystkie dochody jakie przynosiły mu przez miesiąc jego posiadłości, przeznaczył na ogromne przyjęcie dla ubogich sąsiadów. Pierwszych tysiąc gości znalazło w swoich pucharach perłę. W następnym miesiącu wszystkie dochody z dóbr rozdzielił sprawiedliwie między swych niewolników. Jego ojciec był zadowolony z hojności syna, niemniej zabronił mu dalszych tego typu praktyk i wydał królewski dekret, iż szczodrość ta miała na celu uczczenie narodzin potomka, jego syna. Kalif nie wahał się poślubić prostej niewiasty, która niemal nie odcięła mu głowy - Zubejdy, sieroty po kupcu; by utrzymać się przy życiu, hodowała jedwabniki. Później, już z towarem bawełny, wypływała w morze na wyprawy handlowe, gdzie prowadziła transakcje jak mężczyźni. Kiedy spotkała się z kalifem, wróciła właśnie z jednej z takich zamorskich podróży.

Twarz kalifa wciąż wyrażała dawne ciepło i dawną łaskawość, lecz na jego obliczu malowało się ogromne znużenie. Uniósł głowę znad szachownicy i popatrzył na mnie zamglonym wzrokiem.

- Strażnicy mojej zwierzyny twierdzą, że w należących do mnie lasach żyje jeden gryf i dwa jednorożce. Ale nie chcą mi ich pokazać. Mam też niedźwiedzia, który umie walczyć pazurami przeciw ludziom uzbrojonym w szable. Wiele razy walczyłem z nim osobiście i wynik zawsze był remisowy. Nikogo nie zabił, ale najlepsi szermierze w imperium nie potrafią go pokonać. Nigdy nie dostaje flinty i paruje każdy cios. Gdyby jeszcze nauczył się sztuki ataku, byłby niepokonany. Czy został wyszkolony? A może jest zaklany? Moja córka, Amina, nigdy w jego obecności nie zdejmuje kwefu. Twierdzi, że to mężczyzna zaklęty przez wiedźmę w niedźwiedzia, a jej nie wolno odsłaniać oblicza przed obcym mężczyzną. Codziennie zanoszą modły, by powrócił do swego naturalnego stanu. Utrzymuje, iż jest to jakiś wielki książę, którego przeznaczeniem jest ją właśnie poślubić. A Szemselnehara jest nieszczęśliwa. Bardzo nieszczęśliwa.

W końcu popatrzył mi prosto w oczy. Z jego wzroku nie potrafiłem niczego wyczytać. Malował się w nim jedynie wyraz straszliwej samotności i jakby niema prośba, bym położył wszystkiemu kres.

- Abu al-Hasanie. Dlaczego?

Potrząsnąłem głową. Kalif znów spuścił wzrok na szachownicę.

- Przed tygodniem pojawił się u mnie Nuraddin - powiedział cicho. - Oświadczył, że o Szemselneharze krążą dziwne plotki. Przerwałem mu. „Masz nastawiać uszu - nakazałem - by wysłuchiwać wiadomości o grasujących na bazarach złodziejach i szpiegach pośród mojej służby, a nie zajmować się plotkami o kobietach”.

Popatrzył na mnie jakby w oczekiwaniu, że coś odpowiem. Ale ja milczałem.

- Nuraddin błagał o wybaczenie i wycofał się na czworakach - ciągnął kalif. - Ale wczoraj pojawił się Jazid, który też chciał mi coś o niej powiedzieć. Jemu także kazałem zamilknąć i przypominałem, że o tobie również nie wolno rozsiewać plotek. Byłem srogim... chyba się wystraszył. Ogarnęła mnie złość, gdyż zaledwie kilka dni wcześniej oświadczyłem im, aby Szemselneharę zostawili w spokoju. Powiedziała mi, że chyba ktoś ją śledzi, i ja jestem o tym święcie przekonany. - Wykrzywił twarz w paskudnym grymasie. - Sądzę, że od początku ją śledzą. - Zamyślił się na chwilę, bębniąc palcami w szachownicę. - Abu al-Hasanie, proszę, porozmawiaj z nią. Myślę, że tobie się zwierzy.

- Tak, panie. Porozmawiam z nią.

Czyżby zapomniał, że już z nią rozmawiałem?

- Może czuje się uwięziona? Ostatnio rozkazałem jej, by nie opuszczała pałacu bez asysty eunuchów. Połowa moich ludzi gotowa jest wszcząć rebelię, uważając, że prawo jest zbyt łagodne. Tak więc zabroniłem jej poruszać się po ulicach miasta bez towarzystwa. Ale tylko chwilowo. - Popatrzył na

mnie z lekkim uśmiechem. - Jesteś dziś osobliwie spokojny, przyjacielu. O czym myślisz?

- O śmierci, panie.

Pochylił się gwałtownie w moją stronę. Na jego twarzy pojawił się niepokój.

- Zwariowałeś?

Znów potrząsnąłem głową.

- Nie, panie. Ale miałem wieszczy sen.

Czułem na karku gorące promienie słońca. Na czoło wystąpiły mi grube krople potu.

Twarz kalifa złagodniała.

- A ja myślałem, że jesteś odporny na wszelkie przesady.

Wzruszyłem ramionami.

Skinął głową i znów pochylił się nad szachownicą. Białe pola lśniły w świetle słońca. Czy tylko mnie dawał się we znaki skwar tego dnia?

- Też myślałem o śmierci - odezwał się kalif. - Wczoraj połała się krew. Mogło być gorzej. Skazałem na śmierć tylko dwóch ludzi. Reszta to biedacy, głodni, pozbawieni pracy - tych skazałem tylko na batogi. Tamci dwaj sprawiali wrażenie, iż naprawdę wierzą, że Bóg zesłał ich, aby przywrócili w moim imperium prawo. Nie miałem wyboru.

Nie spuszczał wzroku z szachownicy.

- Abu al-Hasanie, moje życie wspiera się na trzech filarach. Są to: wiara w Boga, obowiązki władcy i nieliczne osoby, którym ufam. Ale wydarzenia kilku ostatnich dni sprawiły, że nawet te filary zadrżały w posadach. - Na chwilę umilkł. - Czy mógłbym zapobiec tej rzezi, gdybym ustanowił surowsze prawo? A może to tylko machinacje Nuraddina i Jazida spowodowały, że

powstrzymałem trochę swoją karzącą dłoń? Przez wszystkie te lata posłałem na śmierć setki ludzi, których przestępstwa nie były określane przez Świętą Księgę jako zbrodnie główne. Myślę, że postępowałem słusznie... ale co, jeśli się mylę? Czy Bóg mi wybaczy? A może uzna moje prawa za łagodne? Może żyłem w świecie iluzji, sam sobie pobłażając?

Milczeliśmy. Szachownica pobłyskiwała w promieniach słońca.

- Nie wykonałeś jeszcze ruchu, panie - powiedziałem, rumieniąc się na wspomnienie swej bezmyślności.

Kantem dłoni otarłem z czoła pot.

- Nie wykonałem. Bo nagle gra przestała mnie interesować. Ale myślę, że niebawem do niej wrócimy.

Uniósł twarz. Była zmieniona; malował się na niej wyraz przebiegłości, oczy miał zwężone.

- Dlaczego? - zapytał cicho i tak łagodnie, iż w pierwszej chwili pomyślałem, że śnię. - Abu al-Hasanie, dlaczego używasz dziś tak często zwrotu „panie”? - A więc wie, błysnęła mi myśl; bawi się ze mną. - Dlaczego? Dlaczego, Abu al-Hasanie?

- Moja śmierć - wyartykułowałem. - Czuję, jak mnie otacza. Nie jestem sobą. W snach rozmawiałem z Izrailem. Jest cierpliwy, ale nie wykazuje oznak najmniejszej życzliwości.

Zapadło pełne napięcia milczenie. W oczach kalifa znów pojawił się wyraz bezmiernego smutku. Spuścił wzrok na swoje dłonie.

- Abu al-Hasanie, kiedy umrzesz... jeśli umrzesz wcześniej niż ja, ogarnie mnie wielki, wielki smutek. Mam jedynie nadzieję, że ponownie spotkamy się w następnym świecie.

- Jeśli istnieje następny świat, nie ma w nim miejsca dla takich jak ja.

- Drzę na myśl o własnym Sądzie Ostatecznym, ale choć wiem, że ty tak sądzisz, wcale nie uważam cię za człowieka niewierzącego. - Zamrugał oczyma, a na twarzy pojawił mu się lekki uśmiech. - Sam kiedyś oświadczyłeś mi, że aby praktykować alchemię, niezbędna jest żarliwa wiara.

- Niektórzy tak twierdzą - odrzekłem.

Potrząsnąłem głową i spojrzałem na szachownicę. Ujrzałem jedynie pałające światłem białe i czarne barwy. Kiedy pochyliłem niżej twarz, pionki i figury zamieniły się w drżące kleksy.

- Tak - ciągnąłem. - Niektórzy traktują alchemię jak zwykłą naukę. Inni jednak wymagają od nas duchowej doskonałości i całkowitej wiary; czasami wiary w Boga, ale przeważnie wiary w formułę. „Ci, którzy kwestionują mariaż Słońca z Księżycem, nigdy nie będą świadkami zaręczyn”. - Popatrzyłem na kalifa. - Oczywiście, nic mi nie wyszło. Zapewne z braku żarliwej wiary. Wykonywałem jedynie czynności.

Z twarzy kalifa nie schodził uśmiech, ale nie był to uśmiech radosny. Policzki mu się ściągnęły, na czole pojawiły się zmarszczki.

- Czy słyszałeś o wymyślonej uczcie, jaką Dżafar wydał żebrakowi?

Podczas naszego poprzedniego spotkania kalif również wymienił imię Dżafara. Nie wiedziałem, w jaki sposób Dżafar zdradził przyjaciela?

- Dotarły do mnie pewne plotki, ale nie znam całej historii - oświadczyłem.

Jego twarz rozjaśnił jeszcze szerszy uśmiech. Z całą pewnością przypominał sobie Dżafara.

- Żebrak pojawił się u wrót pałacu wielkiego wezyra. Miał przyciętą schludnie brodę, prosty, lecz czysty strój, lśniące sandały. Zwyczajem żebraków podszedł do strażnika u bramy i poprosił o resztki wyrzucone z kuchni. Podczas moich wędrówek w przebraniu po mieście, w których towarzyszył mi Dżafar, zauważyłem, że żebracy dobrze znają naturę innych ludzi, a

zwłaszcza strażników strzegących domostw bogaczy. Ten padł plackiem na ziemię przed pilnującym wejścia, jakby ów był wielkim panem.

„Mój miłościwy i szlachetny panie, wybacz pokornemu, uniżonemu słudze natarczywość, ale głód nie zna dobrych obyczajów. Nieszczęsny żebrak doprasza się łaski, panie mój, i błaga o wyrzucone odpadki. Nawet kawałek czerstwego chleba, najszlachetniejszy panie, stanowi skarb dla głodującego człowieka”.

U bramy akurat stał główny rządcą pałacu Dżafara. Wiedział dobrze, jak jego pan lubi niespodzianki, i żebrak bardzo go zainteresował. Mimo schludnego wyglądu rzeczywiście sprawiał wrażenie umierającego z głodu. Jego wytworna mowa budziła zapewne wśród jego współpracowników odrazę i pogardę; inni żebracy z pewnością nienawidzili kogoś, kto wyraźnie ich przewyższał.

„Pan mój - oświadczył rządcą - jest człowiekiem bardzo mądrym i szczodrym. Zaprowadzę cię do niego. Jeśli naprawdę jesteś tak prawy, na jakiego wyglądasz, da ci o wiele więcej niż kęs czerstwego chleba”.

Żebrak pokłonił się nisko.

„Jestem waszym najwdzięczniejszym sługą, panie mój”.

Rządcą wprowadził żebraka do głównego holu i po prostu zaanonsował: „Panie, masz gościa”. Następnie opuścił hol, choć jest głęboko przekonany, że schował się za którymś z filarów i uważnie wszystko obserwował. Żebrak leżał plackiem na progu drzwi, wtulając twarz w podłogę.

„Powstań, przyjacielu. Powstań i zbliż się”.

Żebrak dźwignął się z ziemi, podszedł do Dżafara, który ze skrzyżowanymi nogami siedział na kobiercu, i znów uderzył głową w posadzkę.

„Niech Bóg ma cię w nieustannej pieczy, najszlachetniejszy panie - powiedział żebrak. - Bóg, który jest miłosierny dla tych, którzy okazują miłosierdzie dla swych poddanych. Za Jego wolą skazany zostałem na skrajne ubóstwo i muszę zebrać o kawałek chleba. Choć wzdragałem się przed taką

natarczywością, twój łaskawy sługa, panie, zaprowadził mnie przed tve oblicze - co uznałem za zuchwalstwo z mojej strony - lecz jeśli jesteś rozgniewany za moje nagłe wtargnięcie przed twój majestat, cała wina spada na mnie. Ale, panie mój, od wczoraj nic nie jadłem. Jeśli podarujesz mi trochę chleba lub kilka miedziaków, spotka cię wielka nagroda w następnym życiu. Wszak Święta Księga mówi:

Czy widziałeś tego,

który za kłamstwo uważa religię?

To jest ten,

który z pogardą odpycha sierotę,

który nie zachęca do nakarmienia biednego.. .

*Biada modlącym się, którzy są niedbali w swojej modlitwie, którzy tylko chcą być widziani, a odmawiają wspomżenia^{*41}.*

Dżafara zdumiała zarówno przemowa żebraka, jak i skromność jego prośby. Zauważył również jego nędzną, lecz czystą odzież, wychudłą z głodu twarz i żalorny błysk oczu. Ten żebrak naprawdę załugiwał na współczucie. „Jak to? - powiedział Dżafar. - W tym największym mieście na świecie człowiek taki jak ty głoduje? Czuję zawstydzenie, choć jestem wielkim wezyrem Jego Wysokości. Dobrze uczyniłeś, przychodząc do mnie. Wyświadcz mi tę łaskę i usiądź, a ja zaproszę cię na wieczerzę”.

Żebrak obsypał go tysiącem błogosławieństw i tysiącem innych prócz tych, które już wypowiedział.

„Służba, przynieść wodę i misę! - zawołał Dżafar. - Dziękuję!”

Oczywiście nikt się nie pojawił. Wielki wezyr wyciągnął ręce, zaczął pocierać dłońmi, a następnie nimi potrząsać. Po chwili zagarnął rękami powietrze, jakby sięgał po ręcznik.

⁴¹ *Koran. Sura CVII: Wspomożenie (Al-Maun), op. cit.

„Nie krępuj się, przyjacielu - powiedział. - Ktoś tak schludny jak ty z pewnością również zechce obmyć dłonie”.

„Dzięki, dzięki, najdostojniejszy panie, i wybacz mi moją bojaźliwość” - odpowiedział żebrak, po czym zaczął odtwarzać pantomimę Dżafara.

„Służba, podajcie pierwsze danie... ooo, dziękuję! Przyjacielu, oderwij pierwszy kawałek chleba i zjedz go ze smakiem! Niewolnik, który piecze ten chleb, kosztował mnie pięćset dinarów”. - Dżafar, z uśmiechem na twarzy, wyciągnął w stronę gościa puste ręce.

„Hmmm, wyśmienity, pachnie cudownie, mój panie. Hmmm! - Gość zaczął poruszać szczękami, przełykając jedynie ślinę. - Twój niewolnik wart był tego wydatku co do ostatniego miedziaka”.

„Cieszę się, że ci smakuje - odparł Dżafar, wskazując na nieistniejące talerze. - Przejdźmy do bardziej treściwych dań. Nie krępuj się, przyjacielu. Nigdy i nigdzie nie posmakujesz tak delikatnego mięsa jagnięcia!”

Obaj łączywie pochłaniali wyimaginowaną pieczeń, żuli pachnący, wymyślony chleb, przełykali ślinę i wychwalali umiejętności kucharza.

„Jestem rad, że jedzenie ci smakuje - odezwał się wielki wezyr - ale jak na człowieka, który od wczoraj nie miał nic w ustach, jesz jak ptaszek. Błagam, pofolguj sobie”.

Dżafar zażądał z kolei gęsi pieczonej w occie i miodzie, z rodzynkami, grochem i figami.

„Powstrzymaj swój apetyt, przyjacielu. Czeka nas jeszcze tyle dań. Nie podobaś wszystkiemu” - powiedział wielki wezyr.

„Panie mój, nie mogę - odparł żebrak, blady wprost z głodu. - Ta gęś jest wręcz wyśmienita”.

Na stół wjechały cztery kolejne wymyślone dania, a po nich danie główne: jagnię pieczone z orzeszkami pistacjowymi.

„Przyjacielu, nalegam, byś to danie zjadł z moich własnych rąk” - oświadczył gospodarz i zaczął karmić nieszczęsnego żebraka garściami pełnymi zwykłego powietrza.

„Smakowite, smakowite, mój panie!” - wołał gość.

Dżafar polecił podać gulasz.

„Coś niebywałego! - wykrzyknął żebrak. - W lepszych czasach miałem dobrego kucharza, ale z twoim, najdostojniejszy, nie mógłby iść w zawody. Ilekroć wbijam zęby w mięso, czuję ambre, goździki, gałkę muskatołową, imbir oraz różne zioła, których nawet nie potrafię rozróżnić. Każda z tych przypraw tak doskonale komponuje się z innymi, że wręcz wybija swój smak ponad inne. Mistrzostwo, wasza wysokość!”

Kiszki nieszczęśliwca były tak skurczone z głodu, że wydawały bulgoczące dźwięki. Ale żebrak klepał się tylko z zadowoleniem po brzuchu, udając, że są to odgłosy przejedzenia.

„No co, przyjacielu, najadłeś się? - spytał z zadowoleniem wielki wezyr. - Zatem pora na wety. Służba... ale, ale... czy naprawdę najadłeś się już do syta? Sądzę, że odeszła cię cała bojaźliwość i wciąż jeszcze jesteś głodny”.

„Wasza dostojność, panie mój, trudno mi wysławić twą gościnność i chciałbym coś jeszcze zjeść, ale naprawdę już nie mogę”.

„Nalegam, przyjacielu... spróbuj choć jedno ciasteczko”.

„Najłaskawszy z łaskawych, panie mój i władco, wybacznemu słudze, ale skosztuję jedynie trochę orzechów. Nigdy jeszcze nie widziałem tak dużych”.

Żebrak zaczął symulować rozgniatanie orzechów.

„Po sutym posiłku riie ma jak dobry puchar wina - oświadczył Dżafar. - Służba, przynieść czerwone!”

„Panie mój - sprzeciwił się tym razem żebrak. - Proszę o łaskę wybaczenia, ale muszę odmówić; religia zabrania mi picia wina”.

„To nieuprzejmie mówić gospodarzowi, że jest mniej religijny od gościa” - zauważył Dżafar.

„Panie mój, masz rację i wybac mi moje kłamstwo zadane w dobrych intencjach. To nie religia, ale rozważa każe mi odmówić. Mam bardzo słabą głowę i obawiam się, że po jego wypiciu mógłbym dopuścić się wielu karygodnych czynów”.

„Bzdura! Koniecznie musisz się ze mną napić”.

„Cóż, panie, skoro nalegasz...”

Dżafar odkorkował nieistniejącą flaszkę i rozlał wino do nieistniejących pucharów. Żebrak przez chwilę kontemplował trzymane w dłoni powietrze.

„Cóż za cudowny karmazynowy kolor, panie mój. - Powąchał wyimaginowany trunek. - Hmm, przechowywałaś go, panie, w dębowych antałach. Wyczuwam w nim też woń wiśni i cynamonu. - Pochylił się lekko w stronę gospodarza. - Pozwól, władco mój, że wzniosę toast za twoje zdrowie i pomysłność”.

Wziął łyk, posmakował, po czym duszkiem wychylił nieistniejący kielich. Dżafar ponownie napełnił puchary. Żebrak łapczywie wypił wino, po czym szeroko się uśmiechnął.

„Coś wspaniałego, chłopie! - wykrzyknął. - Wprost niebywałe!” - A kiedy kompletnie zbity z tropu jego odezwaniem się Dżafar pokręcił głową, gość dodał: - O co chodzi, stary byku? Mówię prawdę. Daj spokój, to najlepsze wino pod słońcem. No, polej jeszcze! - Klepnął poufale Dżafara po plecach. - O co chodzi, przed Bogiem wszyscy jesteśmy równi, prawda? Pij ze mną, durniu! No, pij!”

Powiedziawszy to, klepnął Dżafara w twarz.

Wielki wezyr zerwał się na równe nogi.

„Oszalałeś! - wrzasnął. - Czy mam wezwać straż?”

Żebrakowi wyraźnie zrzędała mina.

„Wybacz, najdostojniejszy, błagam o zmiłowanie, ale ostrzegałem, że mam słabą głowę. Masz tego dowód. Wiedziałem, że tak będzie, zatem proszę pokornie o wybaczenie mej słabości”.

W tej chwili wielki wezyr objął serdecznie żebraka.

„Przyjacielu, ktoś o takich talentach jak twoje zdarza się nieczęsto. Mam nadzieję, że uda mi się przekonać ciebie, byś wstąpił do mnie na służbę. Ale najpierw zjedzmy coś, tym razem naprawdę”.

Zaklaskał. Natychmiast pojawili się niewolnicy z potrawami równie wytwornymi jak te, które opisywał. Żebraka, który kiedyś był kupcem, wielki wezyr uczynił swym majordomo- musem.

Obaj z kalifem wybuchnęli śmiechem. Z władcą łączyła mnie przyjaźń od tylu lat, od tak dawna wysłuchiwałem jego uciechliwych opowieści, że na chwilę zapomniałem o straszliwej zdradzie, jakiej się wobec niego dopuściłem. Ale nasze rozbawienie trwało krótko. Nieoczekiwanie twarz kalifa ściągnęła się; zapewne przypomniał sobie, dlaczego opowiedział mi tę historijkę. Znow ogarnęły mnie wyrzuty sumienia i lęk. Gwałtownie zbierałem myśli, by coś powiedzieć.

- I żebrak ten wstąpił na służbę u Dżafara?

- Służył mu wiernie aż do jego śmierci. Ponieważ wszelkie dobra wielkiego wezyra uległy konfiskacie, człowiek ten pozostał z niczym. Postanowił zatem udać się na pielgrzymkę do Świętego Miasta, ale na pustyni jego karawanę napadli nomadzi. Wzięli go jako zakładnika. Ciągłe jeszcze miał na sobie wykwintne szaty i napastnicy sądzili, że wezmą za niego godziwy okup. Ale on był zbyt delikatny i stary, by przetrwać niewolę. Ostatecznie obcięli mu nożem wargi i porzucili na pustym na pewną śmierć. Cudownym zrządzeniem losu przejeżdżała tamtym szlakiem karawana. Do dziś ma straszliwie zdeformowane usta. Mówienie lub jedzenie sprawia mu straszliwy ból.

Przez pewien czas pracował jako podrzędny pisarczyk, aż w końcu odnalazł go brat, bardzo wymowny i wzięty golibroda, który się nim zajął. Ale to już całkiem inna historia.

Kalif nieoczekiwanie pochylił się nad szachownicą.

- Abu al-Hasanie, piechur na króla na piątce.

Wytrzeszczyłem oczy. Boże Miłosierny, ten ruch całkowicie zmieniał obraz gry. Powinienem był zaatakować słoniem, a wtedy, gdy ruszyłyby jeźdźcem, ja odpowiedziałbym mędrcem; a tak całą flankę miałem odkrytą. Zadrzałem. Tkwiłem w pułapce. Nic nie mogłem na to poradzić, ale sytuację tę potraktowałem bardzo metaforycznie.

- Chyba jednak powróciło mi zainteresowanie szachami - odezwał się kalif. - Abu al-Hasanie, pomyśl w domu nad następnym ruchem. Spotkamy się za tydzień. Teraz śpieszę się odebrać raporty od moich szpiegów. Żywię nadzieję, że praca idzie ci dobrze, że nie zapominasz o duchowej dobroci, na której zasadzają się twoje doświadczenia z popiołami. I jestem najgłębiej przekonany, że Izrael wciąż będzie cierpliwy. Musisz też koniecznie odwiedzić Szemselneharę.

Złożyłem niski ukłon.

19

Eunuchowie nie znali mnie. Położyli dłonie na rękojeściach szabel i rozeźmieli mi się w twarz, kiedy oświadczyłem, że zamierzam spotkać się z Szemselneharą. Niemniej widok moich bogatych szat i siwej brody skłonił ich, by wezwać Wasifa. Zastępca Mesroura był mężczyzną drobnej postury, zbyt chudy jak na eunucha, o szczupłej, kościstej twarzy z wystającymi policzkami; zawsze czujny, zawsze badający otoczenie swym świdrującym, przenikliwym spojrzeniem. Tego dnia sprawiał wrażenie człowieka, który

wietrzy burzę piaskową; popatrzył na mnie, jakbym to ja był nadciągającym huraganem. Mesrour na każdego spoglądał z pogardą, jakby patrzył na obrzydliwego robala, ale Wasif był tylko gburowaty. Teraz jednak okazywał jedynie strach.

- Wybacz im, szlachetny panie. Są tu od niedawna. - Odwrócił się do swych ludzi. - Ten mężczyzna, Abu al-Hasan, aptekarz, stanowi wyjątek. Z nakazu kalifa może tu wchodzić i wychodzić, kiedy tylko zechce.

Eunuchowie oddali mi korny pokłon.

- Abu al-Hasanie, pokój niech będzie z tobą - powiedział Wasif.

- I z tobą, Wasifie - odparłem.

Minąłem pomarańczowy gaj, który przecinały ścieżki wyłożone złocistymi, białymi i czerwonymi kamykami. Przepyszne tkaniny zasłaniały ogromne okna pałacu. W ogrodzie panowała cisza, gdyż uśpione upałem ptaki drzemały w gałęziach drzew; listowie dawało jedynie złudną ochłodę w palących promieniach południowego słońca. Pod nogi spadały mi przejrzałe pomarańcze; pękały, nasączając powietrze oszałamiającą wonią swego mięszu.

Rozsunąłem jedwabną zasłonę i wkroczyłem do głównego holu. Zakręciło mi się w głowie; w środku panował prawie taki sam mrok, jak w mojej pracowni podczas bezgwiezdnej nocy; ale pracownię znałem na pamięć. Wprawdzie wiedziałem, że nad moją głową jest gigantyczna kopuła sięgająca kilkudziesięciu metrów, a sala, w której się znajdowałem, jest co najmniej dwa razy większa, w zalegającym mroku czułem się, jakbym znalazł się na pustyni, gdzie czające się w ciemnościach sofy i stoły to były cierniste, trujące krzewy lub nocne drapieżniki, spoglądające na mnie łakomie i szczerzące kły.

- Witaj! - zawołałem.

Odpowiedziała mi głucha cisza, lecz wydało mi się, że w panujących wokół ciemnościach coś się poruszyło.

- Witaj! To ja, Abu al-Hasan, aptekarz. Przychodzę pokornie do szlachetnej pani z posłaniem od Jego Wysokości.

- Abu al-Hasan! Poczekaj!

Dźwięk uderzanego krzemienia zabrzmiał niczym warczenie czającej się w mroku, rozwścieczonej bestii. W odległym kącie olbrzymiej sali zapłonęła lampa. Padły na mnie drżące pasma światła; była to Mona. Kiedy szła w moją stronę, blask latarni prześlizgiwał się po jedwabnych poduszkach i wykładanych jademitem stołach, rzucając niesamowite, złote i niebieskie lśnienia. Spod stóp niewiasty błyskały w osobliwy sposób wzory tkane złotą nicią na kobiercach. Kiedy w końcu podeszła do mnie, zobaczyłem, że ma oczy podpuchnięte od płaczu.

- Mona? - zapytałem szeptem. - Czy coś się stało?

Olbrzymia, pogrążona w ciemności sala odpowiedziała na mój szept tysiącem ech. Odniosłem wrażenie, iż Mona i ja znajdujemy się w zaklętym kręgu magicznego światła rzucanego przez lampę.

- Abu al-Hasanie, nie pojedę do Hiszpanii. Nie mogę. Tu jest mój dom. Tak bardzo się boję. To niesprawiedliwe. Boję się.

- Cicho...

- To nieistotne. Wszyscy już wiedzą. Miecz kata wisi w powietrzu. A jeśli nawet oni uciekną, co będzie ze mną?

- Mona, uspokój się. Nie mów tak. Ja też zostaję. Kalif nie jest okrutny, nie spotka cię żadna krzywda. Oczywiście, ty musisz tu zostać. Szemselneha-
ra doskonale to rozumie.

- Ona też się boi. Czuję się tak, jakbym ją zdradzała, ale przecież nie chcę tracić życia tylko dlatego, by patrzeć na szczęście jej i szczęście księcia!

- Nie, oczywiście, że nie. Masz rację, ale nie mów tak głośno. Nic ci się nie stanie, a jeśli zechcesz, porozmawiam z moją żoną, która znajdzie ci jakieś miejsce. Ona o niczym nie wie... Ale dlaczego jest tu tak ciemno?

- To wola Szemselnehary. Częściowo przez wzgląd na kłopoty uważa, że nie powinna rzucać się w oczy, a częściowo dlatego, iż mrok odzwierciedla stan jej ducha. Poza tym przed pałacem wartę trzymają nowi eunuchowie, a ona nie chce ich widzieć. Nie zna ich tak, jak znała poprzednich.

- Zaprowadź mnie do niej, proszę. Zapewniam, że nie stanie ci się krzywda. Dobrze zrobisz, pozostając w mieście. Gdybyś opuściła stolicę, strasznie bym za tobą tęsknił. Spośród całej służby Szemselnehary ciebie najbardziej polubiłem i szanowałem.

Uśmiechnęła się blado.

- Ale proszę... porozmawiaj z żoną - powiedziała.

- Porozmawiam. Na pewno.

Bez słowa odwróciła się, by przeprowadzić mnie przez mrok, pod niewidocznym sufitem olbrzymiej sali wypełnionej złotem.

W korytarzach paliły się lampy. Po wypełnionym ciemnością chłodnym holu szkarłatne i granatowe dywany oraz obicia ścienne wydały się wręcz jaskrawe. Mona niecierpliwie nawoływała mnie do pośpiechu.

- Pani, przyszedł Abu al-Hasan - oznajmiła i nie czekając na odpowiedź, śpiesznie się wycofała.

- Wejdz, Abu al-Hasanie.

Otworzyłem wykonane z teku drzwi, po czym je za sobą zamknąłem.

Na suficie nie było już gwiazd, a na ścianach pustyni. Szemselnehara wymieniła stare obicia na nowe, białe, falujące w podmuchach wiatru. Błysnęła mi w głowie nieoczekiwana myśl, że przecież na zewnątrz jest dzień i jasno świeci słońce. Ale okiennice były zamknięte na głucho. Paliły się za-

wieszane u sufitu i porozstawiane po kątach lampy. Szemselnehara stała w odległym końcu komnaty, przy oknie. Miała na sobie prostą czarną opończę, która pogłębiła jeszcze czerń jej oczu. Przez drewniane żaluzjowe okiennice wpadały do środka smugi światła i podmuchy wiatru; falująca w lekkiej bryzie czarna szata dziewczyny sprawiała wrażenie pręgowanej. Dzielilo nas dobrych osiem metrów, lecz jej strwożony, a jednocześnie hardy wzrok sprawił, iż nie ruszałem się z miejsca.

- Czy przychodzisz w imieniu księcia? - zapytała.

Potrząsałem przecząco głową.

- Nie, przychodzę od kalifa.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

- Niczego nie wyjaśnił - ciągnąłem. - Ale niezależnie od tego, czy coś podejrzewa albo wie, nie sprawiał wrażenia, by zamierzał podejmować jakieś zdecydowane ruchy.

- Nie masz więc żadnych wiadomości od księcia?

- Nie. Ale zakładam, że czeka w moim drugim domu. Po wyjściu od ciebie wyślę tam posłańca, by wyjaśnił mu, dlaczego się nie pojawiłaś. Musi szaleć z niepokoju. Jak długo kalif zamierza otaczać cię nowymi eunuchami?

- Dwa dni...? Ale nie wiesz na pewno, czy on tam czeka?

- Oczywiście, że nie, ale...

Zmroziła mnie nagła myśl. Raz już ktoś nasłał rabusiów, by zgładzili księcia. Dlaczego ten ktoś nie miałby posłać kolejnych zabójców?

- O co chodzi? - zaniepokoiła się Szemselnehara. - Coś się stało?

- Nie, nic - odrzekłem. - Jestem przekonany, że on tam jest. Po prostu wróciło do mnie pewne wspomnienie z mego życia. Ale wiem, że księżę tam jest.

Pochyliła głowę. Ośmieliło mnie to na tyle, że podszedłem do dziewczyny tak blisko, że i moje szaty zaczęły sprawiać wrażenie pręgowanych.

Szemselnehara spojrzała mi w twarz.

- Abu al-Hasanie, chyba zwariuję. - Milczałem, a ona znów pochyliła głowę. - Cała służba w pałacu wie o mnie i o księciu, wie zapewne też o tym, że zamierzamy uciec do Hiszpanii. Ale nikt nie odważył się donieść o tym kalifowi... dobrze wiedzą, że władca im nie uwierzy, a ja się na nich zemszczę. Ale ci nowi eunuchowie... Oni nie pójdą do Jazida, ale prosto do Mesroura. Ten zaś, bez zmrużenia okiem, uda się natychmiast do kalifa... a Mesrourowi kalif ufa bardziej niż mnie. Mogę się tylko modlić, że powstrzymają się jeszcze przez dwa dni. Ponadto boję się o Alego, o księcia.

Popatrzyła mi prosto w oczy z nadzieją; tak samo jak kiedyś kalif. Z tym tylko, że w jej spojrzeniu było błaganie, a w spojrzeniu władcy czaiła się groźba.

- Abu al-Hasanie, boję się zarówno księcia, jak i kalifa. Zdaję sobie sprawę, że księżę musi opuścić miasto, czy chce tego, czy nie, ale może to zrobić beze mnie. Kalif zapewne przymknie na to oko, gdyż rodzina Alego ma ogromne wpływy. Poza tym beze mnie ucieknie szybciej i bez rozgłosu. Co go przed tym powstrzyma?

Znów spuściła wzrok.

- A kiedy bylibyśmy już w Hiszpanii... gdybyśmy tam w ogóle dotarli... - ciągnęła bezbarwnym głosem - dlaczego miałby mnie nie porzucić? Nie miałabym tam nikogo, ani ojca, ani nawet Mony. On ożeniłby się z jakąś bogatą miejscową kobietą, a mnie spotkałby los jeszcze gorszy niż tutaj, gdyż zostałabym zdana wyłącznie na własne siły. W Hiszpanii byłabym bezradna, a takiego stanu nie znoszę; nie znosiłam, będąc nałożnicą kalifa, a jeszcze bardziej nie znoszę, będąc z księciem, ponieważ już teraz... - urwała na chwilę - ...już teraz ogarnia mnie szaleństwo, kiedy nie widzę go choć przez jeden dzień... Już teraz ogarnia mnie szaleństwo na myśl, że może przytrafić mu się coś złego, że ci rabusie lub ktoś inny ponownie spróbują go zabić; a wszystko

przeze mnie. Dopóki mnie nie spotkał, pędził szczęśliwe i beztroskie życie, prawda? Sama już nie wiem, czego się bardziej boję: czy tego, że mnie porzuci, czy tego, że spotka go jakaś krzywda.

- Szemselneharo, dlaczego upierałaś się przy pozostaniu w mieście zamiast natychmiast uciekać z księciem? - zapytałem.

Potrząsnęła głową.

- Bo bałam się, że zostaniemy schwytani, a jednocześnie... wiem, że to obłąd... bałam się pozostać w stolicy. Nie jestem tu szczęśliwa, a będzie jeszcze gorzej, kiedy kalif się mną znudzi i do końca życia zamknie w haremie. Ale przynajmniej wiem, jaki los mnie tutaj czeka. A ponadto, jak już powiedziałam, bardzo boję się o księcia. Tutaj jego życie mam w swoich rękach. W każdej chwili mogę zwrócić się do kalifa, udać, że nic się nie wydarzyło, i całą winę zrzucić na księcia. Kalif uwierzyłby moim słowom.

Wytrzeszczyłem oczy.

- Naturalnie, za skarby bym tego nie zrobiła. Nigdy. Prędzej bym umarła. Kupiłam już nawet truciznę.

- Odrzuć czarne myśli - powiedziałem. - Całkowicie księciu ufam. Poczekaj na ciebie, a w Hiszpanii cię poślubi. Szemselneharo, sądzę, że sprawujesz nad nim większą władzę, niż ci się wydaje. Powiem więcej, władzy tej nie utracisz nawet wtedy, gdy posiwieją ci włosy i zaczną wypadać zęby.

Nie chciałem tego ostatniego powiedzieć, ale dziewczyna tylko się uśmiechnęła. Oddałem jej uśmiech.

- Wyślę gońca, by sprawdził, czy jest w moim domu, choć jestem o tym najświęciej przekonany. W każdym razie musi wiedzieć, co się wydarzyło, bo z pewnością zamartwia się o ciebie.

Szemselnehara ucałowała mi dłoń.

- Dziękuję, panie mój.

Przez chwilę spoglądałem jej w oczy, następnie złożyłem niski ukłon, ale ona położyła mi na ramieniu dłoń, nie pozwalając odejść.

- Poczekaj, Abu al-Hasanie - rzekła. - Złodzieje zrabowali ci fortunę, a ja mam wiele złota, którego ze sobą nie zabiorę.

Z uśmiechem potrząsnąłem odmownie głową.

- To miło z twojej strony... Ale nie, dziękuję.

- Dlaczego? Z największą ochotą to wszystko ci dam. Nie myśl, że chcę ci się odwdziaczyć w ten sposób, bo nigdy i niczym nie potrafiłabym odpłacić ci za to wszystko, co dla nas zrobiłeś. Ja z tego złota nie zrobię już użytku.

- Byłem kupcem, Szemselneharo, i łatwo złota nie oddawałem. Ale tam, dokąd idę, również nie zrobię z niego użytku.

Zauważyłem, jak zmienia się wyraz jej twarzy: od zmieszania, przez zrozumienie, do przerażenia. W jej pojęciu zawsze byłem przyjacielem kalifa, człowiekiem, który ma ogromne wpływy i władzę, kimś, o kogo nie trzeba się martwić.

- Na Miłosiernego Boga! - wykrzyknęła. - Dlaczego...?

- Kiedy już zabiorą eunuchów - powiedziałem - i dostaniesz ode mnie wiadomość, że ksiązę, podobnie jak ty, jest gotów do ucieczki - uciekajcie. Nie tylko wy nie macie drogi odwrotu.

Nie spuszczać ze mnie wzroku, skinęła głową.

Ponownie złożyłem niski ukłon.

Zapieczętowałem list do księcia i posłałem z nim Ishaka do mego drugiego domu, a sam udałem się do pracowni. W progu stanąłem, jakby mnie zamurowało. Ktoś odwiedził moją pracownię. Nie ruszając się z miejsca, obrzuciłem pomieszczenie uważnym spojrzeniem. Pozornie nic się nie zmieniło. Ale doskonale znałem to miejsce; czułem je każdym nerwem mego ciała.

Ktoś coś wziął, po czym odstawił na miejsce, ale niedokładnie. Przepytałem wszystkich służących, nawet terminatorów; nikt nikogo nie widział, nikt do pracowni nie wchodził ani jej nie opuszczał. Wróciłem do laboratorium; tym razem wszedłem do środka. Prawie na palcach zbliżyłem się do paleniska, następnie do nagrzewnicy i zatrzymałem się przy kotle. Przeciągnąłem palcem po powierzchni garnków i flaszek, sprawdzając poziom zalegającego na nich kurzu. Czy flaszka z rtęcią była pokryta grubszą warstwą kurzu niż flaszka z salmiakiem? Tak, z całą pewnością, ale czy salmiaku nie używałem później niż rtęci? Tłuczek, który zawsze odkładałem po lewej stronie moździerza, leżał zbyt blisko paleniska. Wszędzie widziałem tyle śladów czyjejś obecności, iż doszedłem do wniosku, że moje podejrzenia to nie wytwór wyobraźni. A garniec z popiołami? Gdy ostatni raz opuszczałem pracownię, dokładnie wygładziłem ich powierzchnię. Poczuję dziwną słabość. Podbiegłem do wielkiego naczynia i zanurzyłem dłonie w popiołach tak gwałtownie, że te siwą chmurą omiotły mi twarz. Chciwie chwyciłem szyjkę flaszki i wyciągnąłem ją z garnca. Siarka wciąż była siarką, a rtęć rtęcią.

Powrócił Ishak. Tak jak się spodziewałem, księżę przebywał w moim drugim domu, ale dla niepoznaki przebrał się jeszcze za kogoś innego. Wysłałem Ishaka do pałacu z wiadomością dla Mony: „Powiedz swej pani, że lekarstwo jest już gotowe. Czekam niecierpliwie, by po nie przybyła. Może przyjechać w każdej chwili”.

W dalszym ciągu grasowałem po pracowni. Najpierw starłem kurz z garnków i flaszek, który wcześniej sprawdzałem. Później wyczyściłem nagrzewnice, kolumny rektyfikacyjne i paleniska. Następnie na wadze numer dwa zważyłem rtęć, arszenik i sól, po czym, choć proporcje mogłem recytować z pamięci nawet przez sen, zrobiłem to samo na wadze piątej. Ze zniecierpliwieniem odstawiłem te substancje i otworzyłem piec służący do roztopiania różnych substancji. W środku znajdował się sześcienny pojemnik z wodą. Przy pewnych doświadczeniach umieszczałem w nim zapieczętowane garnki lub flaszki i gotowałem je we wrzącej wodzie. Teraz ciecz była brązowa. Za pomocą chochli wylałem ją do kubła, wyskrobałem dokładnie ścianki pojemnika z nagaru i dokładnie go wyczyściłem; napełniłem ponownie czy-

stą wodą i zamknąłem. Gdy czyściłem kolejne palenisko, usłyszałem wołanie Ishaka:

- Panie! Panie!

Zagrzechotały paciorki w zasłonie w drzwiach. Do pracowni wbiegła zdyszana Mona.

- Abu al-Hasanie, kalif o wszystkim wie! Przed godziną zabrano dziewczęta, które widziały, jak księżę całował się z moją panią. Później pojawił się Mesrour i kazał mojej pani niezwłocznie z nim pójść. Nie okazywał najmniejszych oznak szacunku. „Ty... chodź!” - powiedział.

Mona zamilkła i gwałtownie łąpała powietrze. Czekwała, co powiem; zrozpaczona, chciała usłyszeć jakąś roztropną radę. Obok niej stał Ishak i oszołomionym wzrokiem spoglądał to na nią, to na mnie.

- Wracaj do domu - rzekłem. - Nie spotka cię żadna krzywda. Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować, zwróć się do mojej żony.

Dziewczyna skinęła głową i bez słowa opuściła pracownię.

Szybko wyszedłem i przez sklep wybiegłem na ulicę. Udałem się na brzeg kanału.

- Hej, tutaj! Tutaj! - zawołałem na przepływającą gondolę. - Hej, tutaj, tutaj! - darłem się, mimo że gondolier dawno już przybił do brzegu.

Przygodni ludzie spoglądali na mnie ze zdumieniem, ale ja nie zwracałem na nich uwagi.

- Na ulicę al-Mansur - poleciłem gondolierowi. - I to jak najszybciej. Daję dziesięć dirhemów. Możesz nawet ochlapać mnie wodą. Chodzi o życie człowieka.

Gondola zadrżała, kiedy przewoźnik uderzył tyczką w dno kanału. Łódź gwałtownie ruszyła do przodu.

Niebawem zakołatałem do bramy swego domu.

- Książę! - zawołałem. - To ja, Abu al-Hasan! Szybko, szybko otwieraj, gdyż...

Zamilkłem, po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Na dziedzińcu pojawił się obcy mężczyzna z ubarwioną na jasnoczerwony kolor brodą.

- Co się dzieje?! - odkrzyknął. - Gdzie ona jest?

Ze zdumieniem stwierdziłem, że był to książę. Prócz barwionej brody miał na lewym policzku wielką bliznę, a pod ubranie wsunął na brzuch poduszkę. W białym turbanie i przybrudzonym, nieświeżym odzieniu wyglądał jak kupiec, któremu nie najlepiej się powodzi.

- Spotkamy się z nią na trakcie obwodnim, za pałacem królowej! - wydyrzałem. - Zmiana planów. Musimy się śpieszyć. Czy masz konie?

- Tak.

Pobiegłem do stajni. Podążyłem za nim najszybciej jak mogłem. Bez zbędnych pytań pomógł mi wskoczyć na siodło.

20

Było późne popołudnie. Na ulicach tłoczyli się kupcy, kramarze i domokrażcy, kupujący i tragarze; wszystko spowijał kurz wzbijany kopytami osłów i koni.

- Jestem doktorem! Z drogi! Z drogi! - wołałem.

Książę strzelał z bata, ale musieliśmy przejechać przez jeden z bazarów. Ludzie tłoczyli się ramię w ramię, dzieci uciekały w popłochu. Na każdym rogu czuwali gwardziści kalifa, obok nich mężczyźni rozkładali dywany do kolejnej modlitwy. Strażnicy nie zwracali na nas uwagi; ci, którzy nas poznawali, gięli karki w kornym pokłonie.

Tłum zaczął rzednąć. Ruszyliśmy galopem, minęliśmy lepianki nędzarzy i dotarliśmy do rozległej rezydencji, nad którą powiewała chorągiew królowej Zubejdy. Jej bram strzegli wartownicy przybrani w brązowe szaty. Były to jej barwy, nie kalifa.

Dotarliśmy do traktu obwodniego. Nosił taką nazwę, ponieważ kiedyś otaczał miasto, ale w miarę rozrastania się stolicy został przez nią wchłonięty i teraz już znajdował się w jej murach; na tle błękitnego nieba majaczył strze-listy, wybielony wapnem minaret wiejskiego meczetu. Nadchodził zmierzch i blask słońca słabł. Dotarliśmy do miejsca, gdzie trakt łączył się po prawej stronie z drogą prowadzącą do Damaszku, i z lewej - do Persji. Z prawej stro-ny nadciągała karawana wielbłądów.

Skierowałem konia w tamtą stronę, ale książę mnie powstrzymał.,

- Abu al-Hasanie, gdzie ona jest? Przybyliśmy za wcześnie?

Spuściłem wzrok na czarną grzywę mego konia, a następnie na zakurzo-ną ulicę.

- Nie. Jej niewolnice wyznały całą prawdę kalifowi, a Szem- selnehare zabral Mesrour. Tylko Mona uciekła i o wszystkim mi powiedziała.

Popatrzyłem na nadciągające wielbłądy, otoczone tumanami wzbijanego przez nie kurzu. Od chwili kiedy pojawiła się Mona, działałem jak w gorączce, ale teraz przychodził już koniec; uspokojenie. Szemselnehara wyobrażała sobie, że ma dom, że ma męża, że ma mnie obok siebie. Fantazje.

Obserwowałem stąpające ciężko wielbłądy, zmierzające do rzeźni. W miarę jak nadciągał zmierzch, ogarniał mnie spokój. Wiedziałem jednak, że lęk powróci, że nie powstrzymam się przed krzykiem, kiedy w postaci Me-sroura pojawi się królewski miecz sprawiedliwości. Nieraz widziałem twarz Mesroura: nadzorcy królewskich eunuchów, nadwornego kata kalifa, kogoś, kto w imieniu władcy wznosił morderczy miecz. „Wiedziałem od początku, że tak będzie - mówił jego zimny, nieruchomy wzrok. - I dobrze. Być może Jego Wysokość zrozumie wreszcie, że to ja jestem jego jedynym wiernym

sługą... sługą, który wiernie mu służy". Ale Mesrour był rozczarowany. Kalif bardziej ufał innym ludziom niż swemu, ogromnemu niczym słoń, katu.

Wciąż miałem w pamięci prośbę Szemselnehary, jej głos dobiegający do mnie przez szelest białych zasłon w oknach. Pytała mnie, czy może polegać na księciu.

- Abu al-Hasanie! - wdarł się w moje rozmyślania głos księcia. – I co było dalej?

- Słucham?

- Co się stało, kiedy poszła do kalifa?

Zmarszczyłem brwi. Karawana wielbłądów była coraz bliżej; kopyta zwierząt wzbijały tumany kurzu

- Podejrzewam... - zacząłem i zmroził mnie strach.

- Co podejrzewasz? Czy coś wiesz?

- Podejrzewam, że kazał ją zabić albo uwięzić - powiedziałem cicho. - Poza tym wysłał za tobą list gończy.

- Ale tylko podejrzewasz - odparł książę. - Nie wiesz na pewno.

Skinąłem głową. Czy było inne rozwiązanie?

- Po co więc, panie mój, zabrałeś mnie ze sobą?

Mijała nas karawana wielbłądów. Zwierzęta biły głośno kopytami. Zerknąłem kątem oka na ich pyski. Mięiste, groteskowe mordy wielbłądów zawsze były wykrzywione w dziwnym grymasie; w tej chwili wydało mi się, że zwierzęta szydzą sobie ze mnie.

- Aby ocalić ci życie - odrzekłem. - Gdybym wyznał ci prawdę, zapewne nie pojechałbyś ze mną.

Książę odwrócił wzrok.

- Masz rację, panie.

Wokół nas przechodziło stado wielbłądów; zapocone, cuchnące, śliniące się zwierzęta pędzili poganiacze.

- Niech pokój będzie z wami! - wykrzyknął z pustynnym akcentem jeden z pasterzy, kiedy spał mi się wystraszony koń.

Gwałtownie ściągnąłem cugle. Zwierzę zaczęło się cofać i wierzgać nogami. Podjechał do mnie ksiązę i chwycił za uzdę. Wielbłądy były wysokie, tak wysokie jak ja na wierzchowcu.

Ksiązę, nie puszczając uzdy mego rumaka, zaczął przepychać się przez żółtawe morze zmierzwionej wielbłądziej sierści. Kiedy znaleźliśmy się na poboczu drogi, zeskoczyłem z konia. Karawana szła i szła. Pocierałem załzawione od kurzu oczy.

Szemselnehara publicznie naraziła na szwank honor kalifa. Nie było dla niej wybaczenia i z przerażeniem myślałem, że już nie żyje. Do rzeczywistości przywróciło mnie dopiero pytanie księcia: a jeśli się wszystkiego wyparła? Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby jej, ale kalif mógł. Wiedziała, że kalif jej ufa; uwierzyłby tylko Mesrourowi, ale ten nie widział jej z księciem.

Mrugałem oczyma w tumanach kurzu wzbijanego kopytami wielbłądów. Niektóre z nich były białe jak sam Izrail, ale w blasku zachodzącego słońca przybierały barwę piasku. Zamierzałem wrócić do Miasta Pokoju. Jeśli nie zostanę natychmiast aresztowany, znaczyć będzie, że kalif uwierzył słowom Szemselnehary. W przeciwnym razie oboje umrzemy. Ale zanim się to stanie, spróbuję dostać się do Pałacu Wiecznej Rozkoszy. Zapewne uda mi się przeдрzeć przez kordon strzegących pałac eunuchów. Skoro i tak mają ściąć mi głowę, zrobię wszystko, by uratować Szemselneharę.

Minął nas ostatni wielbłąd; zapadła głucha cisza, w powietrzu unosiły się tumany kurzu.

Popatrzyłem na księcia. Napotkałem jego baczny wzrok.

- Wracam do miasta - oświadczyłem. - Jeśli jeszcze żyje, przywiozę ją do ciebie.

- Obaj wrócimy. W każdym razie ja wracam. Ty... ;;

- Wiedziałaś, że ja wrócę.

Popatrzył mi głęboko w oczy i skinął głową.

- Ty nie możesz się tam pokazać - powiedziałem. - Jeśli jeszcze żyje, nawet mnie będzie trudno ją wyciągnąć z pałacu. Nam dwóm ta sztuka na pewno się nie uda.

Pomógł mi wsiąść na konia. Nasza paniczna ucieczka była bez sensu. Wracaliśmy do Miasta Pokoju, którego sercem był pałac kalifa. Nie spoglądaliśmy na siebie. Czułem się malutki pod niebieskim, bezchmurnym niebem. Przed oczyma majaczył mi biały minaret wiejskiego meczetu.

Minęliśmy posiadłość Zubejdy, minęliśmy lepianki biedaków i straż przybraną w brązowe szaty. Wokół drogi zaczęły gęstnieć domy i niebawem znaleźliśmy się na zwykłej miejskiej ulicy, gdzie po obu stronach tłoczyły się budynki. Otaczały nas tłumy wracających z bazarów ludzi; śmiejących się, targujących, wykrzykujących przekleństwa.

Nadciągał zmierzch. W zapadającym mroku na ulicach kłębiły się tłumy biedaków o twarzach zasłoniętych kapturami. Bębniłem palcami po końskim grzbiecie, przyciskałem dłonie do jego boków. Wzrok miałem utkwiony przed siebie. Czułem się, jakbym spadał do miasta, staczając się po trawiastym stoku. Kiedy już zamknęły się wokół mnie przylegające do ulicy domy, kiedy ramiona przechodniów zaczęły ocierać się o moje nogi, a twarz owiewało mi smrodliwe powietrze stolicy, wiedziałem, że dotarłem do końca stoku, zawisłem nad urwiskiem, po czym zacząłem swobodnie spadać. Gdy miałem bramy miasta, gwardziści nawet nie skinęli mi głową.

Kiedy zbliżaliśmy się do pałacu, popatrzyłem na księcia. Pokiwał głową i zatrzymał konia.

- Jeśli nie wrócę w ciągu godziny... - zacząłem.

- Będę tu czekać - odrzekł. - Dołączę do ciebie. - Lekko się uśmiechnął. - W tym albo w innym świecie, ale dołączę. Wiesz, że zawsze wierzyłem w swoją szczęśliwą gwiazdę. I nadal wierzę. Abu al-Hasanie, wrócisz. I wrócisz z nią. Wiem o tym.

Popatrzyłem mu w twarz. Czy naprawdę był pewien tego, co mówi? A może tylko próbował podnieść mnie na duchu, dodać odwagi starcowi? Uśmiechał się serdecznie, lecz w oczach malował mu się lęk.

- Tak - odrzekłem. - Wrócimy. Też o tym wiem.

Ruszyłem do Pałacu Wiecznej Rozkoszy.

Przed pałacem Szemselnehary trzymali wartę ci sami eunuchowie, którzy poprzednio mnie nie rozpoznali. Teraz popatrzyli na mnie jak na zjawę i dopiero po kilku chwilach złożyli ukłon.

- Przybyłem do Szemselnehary - oznajmiłem. Eunuchowie wymienili spojrzenia, ale najwyraźniej nie zamierzali otwierać bramy. - Czy mnie nie poznajecie?

- Poznajemy, panie - odparł jeden, ale nie wykonał najmniejszego ruchu. Po chwili dopiero pochylił się i szepnął coś do ucha swemu towarzyszowi. Ten skinął głową. - Chwilę, panie, wezwę Wasifa.

Potrząsnąłem ze zniecierpliwieniem głową.

- No dobrze, ale mam nadzieję, że się pośpieszy. Chcę jeszcze wrócić do domu na wieczerzę.

Eunuch złożył niski ukłon i szybko się oddalił. Pozostali wartownicy w milczeniu spoglądali to na siebie, to na mnie. Odwróciłem wzrok; popatrzyłem na kołyszące się w lekkich podmuchach wiatru palmy, a następnie na inkrustowaną srebrem, wysoką bramę, której kraty przecinały niebo. Widziałem tylko jego skrawek, gdyż zasłaniały je wierzchołki drzew, a przede mną -

biała kopuła pałacu. Musiałem dopiero mocno zadrzeć głowę, by dostrzec ciemniejszy z wolna błękit. Słońce przybrało pomarańczową barwę.

- Co cię tu sprowadza, Abu al-Hasanie?

Wasif siedział na końskim grzbiecie i czujnie mi się przyglądał.

Zwykle szarpał węża i strzelał wokół oczyma. Tym razem spoglądał na mnie: taksował wzrokiem moją twarz, mój turban i brodę zakurzone podczas jazdy, ubłocone trzewiki i szarawary, rasowego rumaka księcia. Po chwili znów przeniósł wzrok na moją twarz. Wasif znał mnie od lat.

- Przyjechałem po Szemselneharę.

Palce Wasifa znieruchomiały.

- Po co, Abu al-Hasanie?

- Mam zabrać ją do jej rodziców... Wasifie, otwórz wrota. Chcę ją tam jak najszybciej zawieźć i zdążyć do domu na wieczerzę.

Wasif ponownie szarpnął węża, przeniósł wzrok na moje buty i znów spojrzał mi w oczy.

- Abu al-Hasanie, krążą dziwne opowieści o tobie... o tobie i Szemselneharze.

A zatem z całą pewnością jeszcze żyła.

- Niewolnika, który roznosi takie plotki, należy jak najsurowiej ukarać. Wasifie, jeśli chcesz zakłócać spokój Jego Wysokości, poślij po jego zezwolenie, ale to będzie twoja prośba, nie moja.

Wasif przestał strzelać oczyma. Utkwił w mojej twarzy wzrok. Było nieprawdopodobieństwem, bym zdradził kalifa; a już pomówienie, że uczyniłem to w imię miłości dwojga kochanków, czyniło zarzut wprost śmiesznym.

Wasif odwrócił się do swoich ludzi. .

- Otworzyć bramę! - polecił. Cofnął konia; zwierzę potrząsnęło łbem i zarżało. - Jego Wysokość przeprowadza inspekcję żołnierzy - dodał i zniknął między szpalerem palm.

- Nie zamykajcie bramy - powiedziałem, wjeżdżając na teren pałacu. - I jak najszybciej sprowadźcie konia dla mojej pani... Tak, pojedziemy konno. Za chwilę się tu pojawimy.

Przy cyprysach oddzielających zewnętrzny i wewnętrzny ogród zeskończyłem z konia. Znów przemierzałem alejki wyłożone czerwonymi, złotymi i białymi kamykami, których wzór odzwierciedlał wzór dywanu w wielkim holu; tym razem wielki hol również pogrążony był w głębokim mroku. Szedłem po omacku, przykucałem, wyciągałem ręce, by wyczuć przed sobą poduszki i stoły, ale wciąż potykałem się o jakieś sprzęty, których nawet nie potrafiłem rozpoznać. Przemieszczałem się pod czarną kopułą, tak wysoką jak samo niebo, z tym tylko że w świecie śmiertelników niebo nigdy nie jest tak zupełnie pozbawione światła i blasku gwiazd. Moja wędrówka poprzez ciemny hol trwała zaledwie kilka minut, ale miałem wrażenie, że zajmuje mi o wiele więcej czasu niż podróż do miasta.

W odległych korytarzach płonęły lampy. Mijałem przejścia, których ściany pokrywały kobierce, a stropy były ozdobione jedwabnymi tkaninami. Wspiąłem się po schodach wyłożonych dywanem tak grubym, że stopy grzęzły w nim jak w błocie. Dotarłem do komnaty Szemselnehary. Wszedłem bez pukania.

- Och, Abu al-Hasan! Wiedziałaś, że przyjdiesz! - Ujęła mnie za rękę. Dłonie miała chłodne i delikatne. - Gdzie jest książę?

- Czeka na zewnątrz. Przebrał się za grubego kupca o czerwonej brodzie.

Znów ścisnęła mi dłonie.

- Jak do niego dotrzemy?

- Konno. Czy jesteś już gotowa do ucieczki?

- Tak. - Puściła moje dłonie i owinęła twarz czarnym kwe- fem, a na ramiona zarzuciła opończę. - Uciekamy?

Patrzyłem, jak owija się zawojami, aż stała się postacią pozbawioną wszelkich kształtów.

- Uciekamy.

Trzymając mnie za rękę, poprowadziła schodami, korytarzami i przez wielki, pogrążony w kompletnych ciemnościach hol. Przy jej pomocy wędrówka nie nastroczała żadnych kłopotów. Kiedy dotarliśmy do cyprysów, przy których czekali eunuchowie, puściła moją dłoń i cofnęła się o krok. Kiedy wynurzyłem się spośród drzew, strażnicy złożyli mi głęboki ukłon.

- Gdzie jest koń mojej pani? - zapytałem.

Eunuchowie znów zgięli karki w kornym pokłonie, a ich dowódca skinął ręką. Pojawiła się biała klacz otoczona pół tuzinem eunuchów siedzących w siodłach.

- Nie prosiłem o eskortę - powiedziałem.

- Panie nasz, Jego Wysokość nie pozwolił jej opuszczać pałacu bez straży.

- Wiem, ale jej strażą jestem ja. Pomóż mi wsiąść na konia. Moja pani nie potrzebuje waszych usług.

Po chwili Szemselnehara również siedziała w siodle. Popatrzyła na eunuchów.

- Jak się nazywasz? - zapytała pierwszego z brzegu.

- Jakut, dostojna pani.

- A twój ojciec? Jak się nazywał?

- Arslan, dostojna pani.

Popatrzyła na następnego.

- A twoje imię? I imię ojca?

Kiedy już przepytwała wszystkich, odwróciła twarz, popatrzyła na ziemię i oświadczyła:

- Jest moją wolą i moim życzeniem, byście mi nie towarzyszyli. Sami najlepiej wiecie, jak Jego Wysokość traktuje osoby, które sprzeciwiają się mojej woli. - Skinęła na mnie głową. - Abu al-Hasanie, jedziemy! Jeśli jakiś głupiec spróbuje za nami podążać, jutro z największą rozkoszą okażę swoją władzę.

Skłoniłem się w siodle; nikt za nami nie pojechał. Minęliśmy posiadłości notabli mieszkających w pobliżu pałacu. Tam dołączył do nas książę. Wymienił z Szemselneharą spojrzenie, po czym wstrzymał konia i posuwał się kilkanaście metrów za nami. Minęliśmy kolejny posterunek straży i wyjechaliśmy na gościniec zatłoczony ludźmi, bądź to na koniach, bądź przemierzającymi drogę na piechotę.

- W lewo - powiedziałem cicho. - Do zachodniej bramy.

- Zbyt łatwo - odezwała się Szemselnehara, spoglądając w moją stronę.

Pokiwałem głową.

- Skoro zrozumiał, że go nie kochasz, nie zamierza cię zatrzymywać.

Nie wstrzymując konia, popatrzyła na mnie. Ze wszystkich mężczyzn i niewiast w tym imperium - największym w historii świata - byłem jedyny, który potrafił czytać w duszy kalifa. Ale czy ktoś rozumiał mnie? Tak, zapewne moja żona. Mimo jej „mój mężu” i długich, cichych dni rozumiała mnie. Byłem człowiekiem szczęśliwszym niż sam kalif. Kiedy już Szemselnehara ucieknie, a moja głowa spadnie, zostanie sam.

- Na swój sposób naprawdę cię kocha - rzekłem. - Po prostu nie wiedział, jak naprawdę cię kochać. Dotrzecie do Hiszpanii - ciągnąłem. - Musicie się kryć, ale on nie sprawi wam kłopotu. Tego jestem pewien.

Dłuższą chwilę w milczeniu spoglądała na mriie, ale z powodu kwefu nie widziałem wyrazu jej twarzy. Jechaliśmy, nie odzywając się do siebie słowem.

Szemselnehara otuliła się opończą tak szczelnie, że trudno było rozpoznać, czy jest niewiastą, czy mężczyzną. Posuwaliśmy się ulicami, nie wzbudzając najmniejszego zainteresowania przechodniów. Kiedy z przeciwka pojawił się emir otoczony świtą, po prostu zjechaliśmy na pobocze, ustępując mu z drogi. Zbliżaliśmy się do murów miasta; ich strzeliste budowle rosły i rosły, aż w końcu zasłoniły całe niebo. Jechaliśmy w ich mętym świetle, w głębokim cieniu, rozświetlanym od czasu do czasu złocistym blaskiem lampy zawieszanej na ostrołuku lub na przęśle mijanego mostu. Stanowiliśmy jedynie grupę kolejnych jeźdźców w tłumie mijającym bramę miasta. Znów ujrzeliśmy pomarańczową tarczę zachodzącego słońca. Kiedy tłumy opuszczające stolicę zaczęły rzednąć, popatrzyłem na Szemselneharę i wstrzymaliśmy konie. W chwilę później dołączył do nas książę.

- Beze mnie będziecie poruszać się szybciej - powiedziałem. - Szemselneharo, pamiętaj, co ci mówiłem. Dotrzecie szczęśliwie do Hiszpanii. I nie miej w sercu nienawiści do kalifa. Zrób to dla mnie.

Popatrzyła na mnie spod czarnego kwefu i po chwili skinęła głową.

- Jedźcie - rzekłem zdecydowanie. - Żegnaliśmy się już nie raz i nie dwa.

Nie mogłem znieść wyrazu smutku malującego się na twarzy księcia; przeniosłem wzrok na Szemselneharę. Pochyliła się w moją stronę. Przez chwilę przytulała osłoniętą kwefem twarz do mojej twarzy, a następnie poczułem, że poprzez tkaninę całuje mnie najpierw w lewy, następnie w prawy policzek.

- Żegnaj, Abu al-Hasanie! - powiedziała i nie czekając na moją odpowiedź, spięła konia.

Na dłoni poczułem z kolei dotyk szorstkiej brody i ust księcia.

- Żegnaj, panie mój - rzekł. - Nasze dzieci dowiedzą się, że to ty byłeś prawdziwym ojcem ich ojca.

Nic więcej nie powiedział. Podobnie jak Szemselnehara zawrócił konia i odjechał.

Nie wiem, jak długo za nimi spoglądałem, lecz kiedy wróciłem wreszcie do rzeczywistości, nad horyzontem widniał już tylko koniuszek zachodzącego na pomarańczowo słońca. Po wschodniej stronie lśniły gwiazdy, na murach miasta pobłyskiwały pochodnie straży a nad moją głową niebo przybierało granatową barwę. Kiedy słońce całkowicie już zniknęło za horyzontem, dobiegł mnie stłumiony odległością głos muezina wzywającego do modlitwy. Jeszcze przez długi czas nie ruszałem się z miejsca. Kiedy ogarnęła mnie ciemność, pozwoliłem, by koń ruszył drogą według własnej woli. Po chwili jednak zwierzę wkroczyło na pobocze i zaczęło się paść. Zeskoczyłem z siodła i chwyciłem go za uzdę. Ileż to lat minęło, kiedy po raz ostatni byłem nocą poza miastem? Niebo wypełniała taka masa gwiazd, że trudno je było ogarnąć wzrokiem. Roześmiałem się cicho i zadarłem wysoko głowę. Drogą nieustannie wędrowali ludzie; z ciemności dochodził mnie zmieszany szmer ich głosów. Wiał chłodny, wilgotny wiatr, który otulał mi twarz niczym wilgotna materia. Dzięki tej bryzie nie traciłem równowagi, stojąc z zadartą głową i wpatrując się w gwiazdy. Ciemność była głębsza od najgłębszej otchłani, ale nie istniał w niej żaden most, po którym mógłbym dotrzeć do gwiazd. Gwiazdy zapraszają mnie do domu - pomyślałem - do domu, gdzie stoi tron Boga, którego władza rozciąga się w całych Niebiosach i na całej ziemi, który panuje niepodzielnie w sercu każdego człowieka... w moim też. Naszło mnie osobliwe przekonanie, że z całą pewnością zachowam życie.

Prowadząc konia, ruszyłem drogą oświetlaną jedynie blaskiem gwiazd. Od czasu do czasu mijali mnie w galopie za- kapturzeni jeźdźcy. Ubodzy ludzie prowadzący osły schodzili mi z drogi i z szacunkiem pochylali głowy. Szedłem zdecydowanym krokiem, grzęznąc miejscami w błocie, nie odwracając nawet głowy, kiedy kopyta galopujących wierzchowców ochlapły tym błotem moją odzież i twarz. Mimo że mój koń dzielnie podążał za mną

równym krokiem, nieustannie poganiałem zwierzę. Pragnąłem już tylko jednego: być u siebie w domu. Nieoczekiwanie dotarłem do traktu obwodniego, skąd brał początek szlak do Damaszku i gdzie, wcześniej, spotkałem się z księciem. Na tle rozgwieżdżonego nieba majaczył wysoki minaret wioskowego meczetu. Skrzyłem w jego stronę, minąłem dziedziniec i wszedłem do świątyni. W środku było pusto; nie spotkałem nawet służącego, który zająłby się moim obuwiem. Zostawiłem je więc w przedsionku i wszedłem do sali głównej. Skierowałem się w prawy róg sali, gdzie docierało niewiele światła padającego z wiszących u stropu lamp, i położyłem się na dywanie. Kalif pozwolił Szemselneharze na ucieczkę, a mnie na tę ostatnią nocną wyprawę za miasto.

Meczet był mały. Na pogrążonej w głębokim półmroku kopule widniały zatarte nieco ciemnością, lśniące, wymalowane srebrną farbą imiona Boga, wersety wysławiające miłosierdzie Boga oraz opiewające Jego straszliwy gniew w dniu Sądu Ostatecznego. Łańcuchy, na których umieszczano latarnie, ginęły w mroku i odnosiłem wrażenie, iż płomienie lamp zawieszono w powietrzu, unosząc się nad ziemią niczym dżinny. To najlepszy czas - pomyślałem - by znów wrócić do wiary. Już dawno odrzuciłem wszelkie racjonalne uprzedzenia wobec religii, zatem wiara powinna wrócić. Powinna - przyznał kalif; ale dlaczego ja sam tego nie chciałem?

- Panie mój, czym może ci służyć niegodny człowiek? - wdarł się w moje rozmyślenia czyjś głos. - Jeśli naprawdę jesteś bogobojny, masz do swej dyspozycji wszelkie skromne środki, jakimi dysponuje Jasin.

Z ciemności wynurzył się młody człowiek. Ukląkł przede mną, zasłaniając swoją postacią wersety wymalowane srebrem na najbliższej ścianie. Miał starannie przyciętą czarną brodę, białe szaty pochłapane błotem, lecz jego dłonie były czyste i delikatne, a mowa wytworna. Zauważyłem w szczupłej twarzy długi, spiczasty nos. Z oczu i ust emanował osobliwy spokój; taki wyraz widuje się na obliczach ludzi, którzy zmarli łagodną śmiercią.

Również ukląknąłem i złożyłem lekki ukłon.

- Panie mój - odrzekłem. - Doceniam łaskę, jaką chcesz mi wyświadczyć, lecz potrzebuję jedynie chwili odpoczynku i wytchnienia.

Jasin skinął głową.

- Ale, panie mój, meczet niebawem zapełni się tłumem wiernych, bogobojnych ludzi, którzy przyjdą się tu modlić. Wspólne modły są cnotą i godne pochwały, ale człowiek tak zmęczony jak ty potrzebuje odpoczynku w spokoju. Jeśli taka będzie twoja wola, mój dom jest do dyspozycji.

Dlaczego tak wyraźnie okazuje mi współczucie i tak bardzo chce mi pomóc? - pomyślałem. Nagle uświadomiłem sobie, jak brudna jest moja broda, a szaty nie tylko zbrukane błotem, lecz również postrzępione i podarte. Popatrzyłem Jasinowi w oczy: malował się w nich spokój i wielka życzliwość. Jego oczy fascynowały mnie. Dłuższą chwilę zastanawiałem się, nim wreszcie zdobyłem się na odpowiedź.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony, panie mój, ale boję się nadużyć twojej gościnności.

Mężczyzna złożył mi niski ukłon.

- Gościnność to mój obowiązek. Zaczekaj tu chwilę, wezwę palankin. Nie potrwa to długo.

Palankin? Czy ten człowiek oszalał? Chyba nie był aż tak bogaty, by stać go było na palankin. Po chwili Jasin wrócił.

- Wyświadcz mi, panie, honor i wyjdź ze mną na zewnątrz.

Na zewnątrz czekało dwóch służących przybranych w schludne ciemnoniebieskie szaty. Stali obok palankinu wykonanego z kości słoniowej i drewna sandałowego inkrustowanego srebrem, choć srebro zmatowiało, a kość słoniową pokrywał brud. Wszedłem do środka. Poduszki purpurowego koloru były wprawdzie trochę spłowiałe, ale rozkosznie miękkie i wygodne. Upłynęło wiele lat od czasu, kiedy ostatni raz podróżowałem palankinem. Przełknąłem głośno ślinę, kiedy podniesiono palankin z ziemi. Pojazd był bez zasłon,

więc ze wszystkich stron miałem otwarty widok na okolicę. Wydawało mi się, iż żegluję pośród gwiazd i nocy, twarz owiewały mi łagodne, rozkoszne podmuchy chłodnego wiatru. W końcu dotarliśmy do posiadłości, której brama straszliwie skrzypiała w chwili otwierania. Ogród nie był oświetlony, ale w blasku gwiazd zauważyłem, że fontanny są suche, trawniki zarosłe chwastami, a drzewka pomarańczowe pozbawione owoców i liści. Jedyne figowce dawały jeszcze oznaki życia. Uschnięte drzewka pomarańczowe nieoczekiwanie znalazły się nad moją głową; palankin gwałtownie opadł na ziemię.

Jasin zaprowadził mnie do pozbawionej okien komnaty o gołych ścianach, w której znajdował się jedynie stos jedwabnych kobierców. Służący wymościł mi na podłodze z kilku dywanów łożo i, nie kłaniając się, opuścili izbę. Usiedliśmy; ja na dywanie, on na gołej podłodze. Po chwili służący wnieśli ręczniki i dzban z wodą do obmycia rąk. Następnie wrócili z miską zimnej soczewicy, okrągłym plackiem i niewielkim naczyniem z daktylami. Naczynia były srebrne, ale tak zmatowiały, że jedynie alchemik mógłby rozpoznać kruszec.

- W imię Najwyższego - powiedział Jasin.

Zagarnąłem chlebem soczewicę i włożyłem jedzenie do ust. Podczas posiłku Jasin popatrzył na mnie tylko raz, by przesłać mi uśmiech. Ściany komnaty były rzeźbione i zbiegały się ku górze, tworząc rodzaj kopuły. Na jej środku wisiała złota lampa. Dawała tak silny blask, że odnosiłem wrażenie, iż brązowe ściany pokoju są o wiele bliżej mnie niż w rzeczywistości.

Po skończonym posiłku ponownie pojawili się słudzy z dzbanem wody do picia i z drugim, w którym mogliśmy umyć dłonie. Znów, nie kłaniając się, opuścili komnatę. Jasin uniósł głowę i popatrzył mi w oczy.

- Panie mój, jeśli chcesz spać, zostawię cię samego.

Popatrzyłem uważnie w jego twarz i w oczy tak niepodobne do oczu Wasifa. Rozejrzałem się po ogołoconych ścianach komnaty, pełnych jednak ciepła w jasnym świetle latarni.

- Nie jestem zmęczony - odparłem.

Jasin skinął głową. Przez chwilę panowała głucha cisza.

- Jeśli życzysz sobie, panie - przerwał milczenie - opowiem ci swoją historię. Byłbym nader uhonorowany, gdybyś zechciał jej wysłuchać.

Skinąłem głową.

- Naturalnie.

Uśmiechnął się i popatrzył mi prosto w oczy. Kiedy rozpoczął opowieść, w tonie jego głosu było coś, co sprawiło, iż doszedłem do przekonania, że historię tę opowiadał już nieraz i teraz recytuje ją z pamięci.

- Jeszcze przed niecałym rokiem ja, Jasin, syn Szahrijara, byłem bogatym kupcem. Prócz tego domu miałem drugi, już w murach miasta. Moją największą pasją było jeździectwo, i w swoich stajniach posiadałem konie i wielbłądy najczystszych ras, pochodzące z Ziemi Świętej. Jeden z moich wspólników w Damaszku miał piękną i cnotliwą córkę. Kiedy udałem się tam w sprawach kupieckich, porozumieliśmy się co do wysokości posagu. Po powrocie do domu zacząłem czynić przygotowania do spędzenia kilku tygodni w towarzystwie rodziny mej przyszłej żony. Wysłałem przodem paru służących z prezentami i zapasami żywności, ale do Damaszku postanowiłem pojechać sam. Cóż to za wspaniałe uczucie jechać samotnie przez pustynię, kierując się tylko gwiazdami! A niebezpieczeństwo napotkania rabusiów jedynie zwiększało ów rozkoszny dreszcz emocji, zwłaszcza kiedy siedzi się na grzbiecie wielbłąda, który bez trudu prześcignie każde inne zwierzę. Niestety, po ślubie zmuszony byłbym zaniechać takich ekscytujących przygód. Tak więc wyprawa do Damaszku miała być moją ostatnią.

Piątego dnia podróży ujrzałem niewielki płat wirującego piasku. Sprawiał wrażenie zbyt małego i wirującego zbyt leniwie, by czaiło się w nim jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Zatem wiedziony ciekawością ruszyłem w jego stronę. On ruszył w moją, zastępując mi drogę. Zwolniłem. To coś odezwało się powolnym, rozwlekłym tonem. Głos miało łagodny i drżący, jak

poranny wiatr lub płynąca woda: „Człowieku, twój wielbłąd jest szybki i niebacznym, i podkuty ciężkimi podkowami. Mam tu nowo narodzonych synów, którzy pogrążeni są we śnie nieopodal drogi, którą wybrałeś. Jeśli nie pojedziesz inną trasą, możesz ich stratać”.

„Dżinnijjo*⁴² - powiedziałem. - Zrobię tak, jak prosisz”.

Odniosłem wrażenie, iż złożyła mi ukłon. Tak czy siak, oddaliła się wadi* z prędkością wiatru.

Patrzyłem, jak znika, po czym rozejrzałem się wokół siebie. Przebyłem już prawie całe wadi; jego koniec widziałem przed sobą. Czy byliście kiedykolwiek w wadil W nocy? Pod nogami kamienie i naniesiony muł; skał otaczających koryto nieistniejącej rzeki nie sforsowałyby ani człowiek, arii najśmiglejszy kozioł. Nad głową majaczyły fragmenty Drogi Mlecznej, która w takim korycie wyschniętej rzeki lśniła jeszcze mocniejszym blaskiem niż na otwartej pustyni. Aby wybrać inną drogę, jak obiecałem dżinnijji, musiałbym cofnąć się do poprzedniego brzegu wadi. Tymczasem nadchodziła pora obfitych opadów. Korytem popłynął strumień wody i po prostu porwał wędrowca, zatapiając go w swych nurtach. Było to jedno z niebezpieczeństw, tak bardzo podniecających mnie podczas moich wypraw. Ale wtedy prawie uniknąłem śmierci w korycie wyschniętej rzeki, a powtarzanie tej samej trasy nie byłoby już przygodą.

Żałowałem, że tak łatwo przystałem na prośbę dżinnijji. Z pewnością zrozumiałaby mój pośpiech, z jakim gnałem do domu rodzinnego swej narzeczonej, i gdybym ją uprzejmie poprosił, zgodziłaby się przenieść dzieci w inne miejsce. Z drugiej strony, jeśli nie kopyta mojego wielbłąda, to sam prąd wody pozabijałby jej dzieci. Zdecydowałem, że jednak ruszę powoli wadi, bacznie wypatrując dżinnijji albo jej dzieci. Zapomniałem tylko, że dżinny są dla ludzi niewidzialne, chyba że tego chcą.

⁴² *Dżinnijja - duch rodzaju żeńskiego.

Kilkanaście minut później 7 kiedy docierałem już do końca wadi - zawirowała przede mną olbrzymia kolumna piasku. Po chwili przekształciła się w długie, potężne nogi, masywny tors, dziką twarz i umięśnione ramiona; jedno z nich dzierżyło szablę większą ode mnie.

„Człowieku! - zadudnił potężny głos. - Szykuj się na śmierć! Bóg może jest miłosierny, ale nie ja! Mimo prośby mojej żony nadal lekkomyślnie kroczyłeś drogą, która należy do nas. Kopyta twego wielbłąda stratowały moje ukochane, pierworodne dzieci... I to ty je zabiłeś! Święta Księga za taki czyn uznaje tylko jedną karę. Masz minutę na ostatnią modlitwę, choć jestem pewien, że Najsprawiedliwszy pošle twoją duszę, zasługującą na najwyższą pogardę, do otchłani, w której przebywają mordercy dzieci”.

Zeskoczyłem z grzbietu wielbłąda i zacząłem błagać o litość. Gorączkowo tłumaczyłem, dlaczego bałem się wracać przez wadi, wyjaśniałem, jak bardzo starałem się dostrzec jej dzieci i że zapomniałem, iż są dla mnie niewidzialne. Ale džinn nie znał litości. „Jeśli mówisz prawdę, Bóg okaże ci miłosierdzie, ale ja muszę dojść swej sprawiedliwości. Odmawiaj swe modlitwy, człowieku!”

Oświadczyłem mu, że jestem jedynym synem swej owdowiałej matki, a za współnika w interesach mam łajdaka. Że jeśli umrę tutaj, na pustyni, nie pozostawiając żadnych zapisów, moja matka zostanie bez złamanego miedziaka.

„Dżinnie, daruj mi rok życia, a dam najświętsze słowo honoru, że pojawię się w oznaczonym terminie, by położyć głowę pod twój miecz. Ale daruj mi ten rok, aby moja matka nie umierała jak nędzarka, obdarta ze wszystkiego; podobnie jak jej jedyny syn!”

Moje słowa poruszyły džinna do głębi. Jego dziadek należał do tych džinnów, których na wiarę nawrócił osobiście Prorok.

„Człowieku - rzekł. - Czy zaklinasz się na własną duszę, że wrócisz w to miejsce za rok?”

„Przysięgam, wrócę”.

„A więc idź”.

Odjechałem. Dżinn puścił mnie wolno.

Wróciłem do Miasta Pokoju. Napisałem do swego przyjaciela, że jestem zrujnowany i dlatego nie mogę poślubić jego córki. Sprzedałem udziały ze swojej firmy, pieniądze przekazałem matce i zamieszkałem w swym starym domu; właśnie tu, gdzie jesteśmy. Prowadziłem złe życie, byłem dumny i próżny, a większość pieniędzy zdobywałem w sposób nieuczciwy. Przez cały rok, jaki dzielił mnie od powrotu do Boga, staram się czynić wyłącznie dobro. Mam nadzieję, że w ten sposób odkupię swe grzechy. Wierzę głęboko, że Bóg okaże mi miłosierdzie, a dżinn był jedynie jego narzędziem, podobnie jak wszyscy ludzie. Wierzę, że dżinn był moim zbawieniem. Oddalił mnie od próżności tego świata; w przeciwnym razie naprawdę skończyłbym w płomieniach wiekuistych. Zaiste Bóg jest najmiłosierniejszy.

Jasin patrzył na mnie spokojnym, nieruchomym wzrokiem; światło złotej lampy padało na jego równo przyciętą brodę i brudne szaty. Dłuższą chwilę zajęło mi zebranie myśli.

- Panie mój - odezwałem się lekko schrypniętym głosem. - Kiedy mija termin twego powrotu do dżinna?

- Za cztery tygodnie.

Nie mogłem oderwać wzroku od jego oczu; źrenice Jasina miały barwę brązowej, wyschniętej ziemi. Kiedy zamrugał powiekami, z najwyższym wysiłkiem odwróciłem głowę. Miał oczy koloru ścian; a ściany oddychały, poruszając się miarowo w przód i w tył... żyły. Zacisnąłem powieki z całych sił, aż czerń zappełniła się rojem płatków barwy krwi. Kiedy otworzyłem oczy, kłuło mnie serce, ale ściany znów były ścianami, miały po prostu barwę ziemi, na jakiej bawiłem się, będąc dzieckiem.

Jasin zmarszczył brwi.

- Panie, jesteś zmęczony - powiedział. - Zbyt długo ciągnąłem swą opowieść.

Przełknąłem ślinę.

- Panie mój, twoja opowieść warta była miesiąca bezsenności. Sprawiliście mi wielki zaszczyt i przyjemność, opowiadając swoją historię. Ale teraz naprawdę już potrzebuję trochę snu.

Jasin skinął głową i powstał z podłogi.

- Dobranoc, mój panie.

Kiedy zgasilem lampę i wyciągnąłem się na kobiercach, rozległ się głos muezina z wioskowego meczetu, wzywającego do porannej modlitwy.

21

Następnego ranka Jasin osobiście przyniósł mi śniadanie - ciapata i niewielki dzbanek z mlekiem: taki sam posiłek, jaki zjadłem z Salehem. Jak dotąd, były to w całym moim życiu dwa odstępstwa od reguły; na śniadanie zawsze i nieodmiennie jadałem daktyle z solą. Później oświadczyłem gospodarzowi, że muszę wracać do miasta i że jego gościnność i serdeczność bardzo podniosły mnie na duchu.

- Przekaż dżinnowi, mój panie - powiedziałem - że prosty aptekarz z Miasta Pokoju przesyła mu wyrazy ojcowskiego współczucia z powodu śmierci jego dzieci. A tobie, panie, życzę łagodnej śmierci, na jaką zasłużyłeś.

Jasin złożył niski ukłon i zaprowadził mnie do konia, którym poprzedniej nocy troskliwie zajął się jeden z jego służących. Wgramoliłem się na siodło i ruszyłem w stronę domu.

Dzień był słoneczny, ale wiatr całkowicie ustał i powietrze zbrązowiło od kurzu, który drapał mnie w gardle. Starzy i młodzi prowadzili osły obładowane drewnem lub ziarnem, na poboczach drogi sprzedawcy zachwalali swój towar: warzywa i owoce. Przyszło mi do głowy, że wszyscy ci ludzie w gęstym, nieruchomym powietrzu wyglądają tak samo: są już śmiertelnie zmęczeni, choć dzień dopiero się zaczynał. Wartę u bram pełnili żołnierze podlegający oficerowi, który mnie znał. Złożył mi głęboki, pełen uszanowania ukłon.

- Witaj, wasza dostojność.

Wstrzymałem konia i uważnie popatrzyłem na gwardzistę.

- Znasz mnie? - zapytałem.

Mężczyzna wyprostował się.

- Jak to? Czyż wasza dostojność to nie Abu al-Hasan, aptekarz? Czym mogę waszej dostojności służyć?

- Czy dostałeś ostatnio jakieś rozkazy co do mojej osoby? - spytałem.

- Żadnych, ale jeśli wasza dostojność sobie życzy, jestem na jego usługi.

- Nie... a raczej tak. Pomóż mi zejść z konia. - Kiedy to uczynił, dodałem: - Odprowadź tego konia do stajni księcia perskiego Abu al-Hasana. Wierzchowiec należy do jego rodziny. Zrób to w dogodnej dla siebie chwili. Możesz nawet poczekać z tym do końca warty.

Oficer znów nisko się skłonił.

- Osobiście odprowadzę go do domu księcia Abu al-Hasana. Zrobię to w południe, kiedy skończę służbę.

- Bardzo dziękuję. Jestem twoim dłużnikiem. Niech Bóg zawsze ci szczęści.

- I tobie, wasza dostojność.

Czy wszystko to tylko mi się śniło? Czyżby ksiązę i Szem- selnehara byli jedynie wytworem mego snu?

Mijałem gładkie, bielone wapnem domy, potem wysokie ściany posiadłości bogaczy. Szczyty ich czarnych bram wieńczyły złote inkrustacje i rodowe proporce. O tej porze dnia, w porównaniu ze znajdującymi się za murami miasta bazarami, gdzie kipiało już gwarne życie, w samym mieście panował względny spokój. Mijały mnie zbudowane z kości słoniowej i złota palankiny, które w promieniach porannego słońca rzucały oślepiające błyski. Sunęli spoceni tragarze, ugięci pod dźwiganymi ciężarami. Minęło mnie kilku młodzieńców z bogatych domów, którzy regularnie odwiedzali mój sklep. Byli dosłownie zieloni, jakby całą noc spędzili na hulance i pijaństwie. Zawstydzeni, złożyli mi niskie ukłony i szybko odeszli. Tuż przed moim domem natknąłem się na Zajda, jednego z najbardziej poważanych w imperium duchownych. Przybrany w czarne szaty mężczyzna złożył mi głęboki ukłon.

- Co nowego, Abu al-Hasanie? - zapytał.

Oddałem mu ukłon.

- Cóż... ale co u ciebie, mój miły Zajdzie?

Potrząsnął głową.

- Żyjemy w ciężkich czasach. Właśnie widziałem się z Jego Wysokością. Pragnie, bym sformułował nową deklarację doktrynalną.

Pokiwałem posępnie głową.

- No, ale muszę już wracać do żony - oświadczył Zajd. - Niech Bóg nad tobą czuwa, Abu al-Hasanie.

- I nad tobą, Zajdzie.

Lekko oszołomiony, przekroczyłem bramę mego domu.

Ishak pojawił się w chwili, gdy kierowałem swe kroki do pracowni.

- Wczoraj wieczorem pojawił się posłaniec od Jego Wysokości. Powiedział, że masz, panie, stawić się w pałacu najszybciej jak zdołasz; nawet po haśle do gaszenia ogni... ale teraz to chyba już nie ma znaczenia? Również pani przesyła wiadomość: „Pytała o ciebie twoja córka Zajnab. Prosi, byś odwiedził ją po południu”.

Uważnie popatrzyłem na Ishaka.

- Czy powtórzyłeś dokładnie jej słowa?

Ishak skwapliwie pokiwał głową.

- Tak, panie. Kazała mi je nawet powtórzyć.

- Dziękuję, Ishaku. Możesz odejść.

Jeszcze przed kilkoma tygodniami moje życie płynęło spokojnie z roku na rok, bez żadnych zmian i wstrząsów. Teraz okazało się, że mam do zrobienia wiele nowych rzeczy i zrobiłbym je, gdybym miał jeszcze przed sobą przynajmniej rok życia. Ale ja miałem czas jedynie na wymianę popiołów. Następnie musiałem umyć dłonie, twarz i brodę, przebrać się w czyste szaty i stanąć przed obliczem kalifa, mego przyjaciela.

Wszedłem z rozświetlonego słońcem ogrodu do mrocznej pracowni. Przez skórzane zasłony w oknach sączyło się mętne brązowe światło. Podszedłem do pieca, klęknałem i otworzyłem palenisko. W twarz uderzył mnie żar z rozpalonych do czerwoności węgla. Było wiele popiołów. Sięgnąłem po szufelkę. Spoglądając na rozpalone główne, wsunąłem ją do stojącego na górze pieca tygla zawierającego popioły oraz flaszkę z siarką i rtęcią. Szufelką zgarnąłem z pieca stare popioły i wysypałem je do kubła; teraz na ich miejsce musiałem dać świeże. Nie chcąc, by wysypały się na podłogę, wstałem. Oczy miałem utkwione w żarzących się węglach. Przez chwilę widziałem jedynie ciemność, ale dobrze wiedziałem, gdzie umieścić nowe popioły. Dołożyłem

jeszcze kilka szufelek, kiedy ujrzałem w tyglu osobliwe lśnienie, nie pochodzące ani od siarki, ani od rtęci. Odłożyłem szufelkę. Długą chwilę stałem nieruchomo, następnie zanurzyłem dłonie w tyglu. Wyciągnąłem flaszę. Była pełna złota.

Choć znałem ów blask lepiej niż największy skąpiec, przenieśliem naczynie na stół, przy którym dokonywałem pomiarów, i ważyłem ingrediencje. Zapaliłem lampę i zbadalem poziom złota we flaszy oraz wyliczyłem jego masę. Następnie zważyłem je. Jeden ratl⁴³ siarki i jeden ratl rtęci tworzyły razem prawie pięć ratli czystego złota. Graniczyło to z cudem. Czyżby w czasie mojej nieobecności ktoś nawiedził pracownię? Ale jaki intruz dawałby mi w prezencie fortunę? Tego ranka zostawiłem w pracowni wiele śladów i było za ' późno, by szukać dowodów na wcześniejszą obecność kogoś obcego. Zadzwońłem po Ishaka.

- Masz - powiedziałem, wręczając mu flaszę. - Oddaj to mojej żonie. Powiedz, że daję jej to złoto na prowadzenie domu.

W pierwszej chwili chciałem udać się do niej osobiście, ale zdałem sobie sprawę, że nie zniósłbym tej wizyty. Poza tym co bym jej powiedział? Kiedy Ishak opuścił pracownię, dokonałem stosownej toalety i udałem się do kalifa.

Po opuszczeniu domu najpierw udałem się nad kanał. Szedłem wzdłuż połyskliwej wody, wypatrując kaczek. Pragnąłem ostatni raz na nie popatrzeć. Uświadomiłem sobie, że jeszcze bardziej lubię moją żonę: zawsze wolałem szczere i uczciwe kwakanie dzikich kaczek niż śpiew słowików. Tego dnia woda była gładka i lśniła w promieniach słońca. Kaczek nie zauważyłem ani nawet żadnej ryby. Tylko od czasu do czasu przepływały z wolna kawałki drewna i jakieś śmiecie. Spokojna srebrzysta toń wody sprawiała wrażenie zakrzepłej do tego stopnia, że mogłaby utrzymać ciężar mego ciała, gdybym chciał po niej przejść na drugi brzeg.

⁴³ *Ratl - jednostka wagi, mniej więcej odpowiednik jednego funta (ok. 0,5 kg)..

Wróciłem na ulice miasta, minąłem posiadłości dostojników, których dobrze znałem, i stanąłem u bram Pałacu Złotej Bramy

- Stój! Kto idzie?

- Abu al-Hasan, aptekarz.

Skrzydła bramy rozsunęły się. Gwardziści zgięli się w kornych ukłonach.

- Wejdz, panie. Jego Wysokość oczekuje twojej wizyty.

Ruszyłem wyłożoną marmurem aleją zewnętrznego ogrodu; ozdobione srebrem drzewa pobłyskiwały mgliście w świetle słońca. Dopiero gdy znalazłem się w połowie alei, uderzył mnie niezwykle bezruch i spokój panujące w ogrodzie. Zazwyczaj po trawnikach przechadzały się dumnie pawie, po sadzawkach pływały łabędzie, pełzały żółwie, powietrze przeszywał skrzek papug i śpiew wszelkich innych, znanych ptaków, które trzepotały niebieskimi, czerwonymi i złotymi piórami. Teraz ciszę mącił jedynie szelest liści. Wszystkie zwierzęta zniknęły. Główna brama prowadząca do pałacu była otwarta na oścież. Strażnicy pochylili się w głębokich ukłonach.

- Jego Wysokość oczekuje waszej dostojności w sali tronowej. Jego Wysokość życzy sobie, by wasza dostojność wszedł tam sam, bez asysty.

Wkroczyłem do wielkiego holu. Po raz pierwszy, odkąd sięgałem pamięcią, wszystkie lampy zostały wygaszone. Kalif nigdy nie przyjmował mnie w sali tronowej, gdzie udzielał audiencji jedynie wysłannikom podbitych krajów i ambasadorom obcych państw. Minąłem pogrążony w mroku olbrzymi hol. Szedłem pod rzeźbionymi ostrołukami i pokrytymi malowidłami sufitami, mijałem fontanny, z których tryskała woda wydzielająca woń piżma i róż. Wszystko pogrążone było w grobowej ciszy, którą mącił jedynie szmer wody. Przed drzwiami do sali tronowej czekał Jazid. Nie powitał mnie ukłonem. Usta miał ściągnięte, a w jego czarnych oczach malował się wyraz zarówno gniewu, jak i strachu.

- Jego Wysokość raczył zmienić zdanie - oznajmił krótko. - Idź do małego ogrodu. I to szybko.

Wszedłem między babilońskie wierzby. Kalif siedział przy szachownicy i spoglądał na wodę. Kiedy podszedłem bliżej, spostrzegłem, że plansza jest pusta.

- Czy to ty, Abu al-Hasanie? - zapytał władca, nie odwracając głowy.

- Tak, panie.

- Proszę, pozostań tam, gdzie jesteś. Nie chcę nawet na ciebie patrzeć.

Zapadła chwila ciężkiego milczenia.

- Abu al-Hasanie, czy wiesz, co się wczoraj wydarzyło?

- Mogę tylko zgadywać, panie.

- Nie pytam, co zgadujesz, ale pytam, czy wiesz.

- Nie, panie.

I znów na długo zaległa martwa cisza. Nad naszymi głowami, w podmuchach wiatru, kołysały się gałązki wierzby.

- Przyprawiono do mnie jedną z niewolnic Szemselnehary. Oświadczyła, że Szemselnehara i książę Abu al-Hasan, Pers, wdali się... - Urwał, ale po chwili ciągnął dalej. - Oświadczyła, że mają ze sobą romans, a ty, mój najstarszy i najbardziej zaufany przyjacielu, w tym brałeś udział; byłeś pośrednikiem, jeśli wolisz. Powiedziała nawet, że to ty ich sobie przedstawiłeś. Niezwłocznie wezwałem przed swe oblicze Szemselneharę. Nie chcę nawet ci mówić, jakie myśli przychodziły mi do głowy, kiedy na nią czekałem. Dawniej znajdowałem pociechę w tym, że zwierzam ci się ze swych najskrytszych myśli i uczuć, ale teraz wiem, że nigdy cię to naprawdę nie interesowało; zapewne tylko bawiło. Przez wszystkie te lata po prostu udawałeś przyjaźń.

Nadeszła Szemselnehara. Była blada, lecz w źrenicach palił się jej płomień nienawiści. Zobaczyłem, że wiernemu Mesrourowi - mojemu mieczowi - który słyszał słowa niewolnicy, rozbłyły na jej widok oczy. Kazałem mu się oddalić i zostałem z Szemselneharą sam na sam. Znajdowaliśmy się w sali

tronowej, bo tam właśnie przyprowadzono tę przeklętą niewolnicę. Szemselnehara nie złożyła mi pokłonu; nie odezwała się też do mnie słowem. Zszedłem z tronu i uklęknąłem u jej stóp. Ująłem jej dłoń, która była lodowata... Abu al-Hasanie, od śmierci mego ojca nigdy przed nikim nie klękałem.

„Miłości moja - powiedziałem. - Twoja niewolnica przyszła do mnie z wieścią o twej zdradzie. Drzę na myśl, że Mesroure i inni twoi niewolnicy słyszeli jej rewelacje, a ja, twój z kolei niewolnik, będę musiał srogo ukarać Mesroure za jego zuchwalstwo. Serce mam chore, lecz rozum zdrowy; możesz uleczyć mi serce jednym swoim słowem. Zapewnij mnie, moja miłości, że to wszystko nieprawda, a ja uwierzę i każdego, kto odważy się zadać kłam twoim słowom, skazę na tortury. Będzie męczony tak długo, dopóki nie przysięgnie na własną duszę, że kłamał. Szemselneharo, powiedz tylko słowo. «Harunie - odrzekła. - Uwierz moim słowom, a nie niewolnicy»".

Poczułem, że jej dłoń staje się cieplejsza. Odważyłem się spojrzeć jej w oczy. Patrzyła na mnie. I dopiero teraz, Abu al-Hasanie, dopiero teraz, kiedy odeszła, dopiero teraz mogę dopuścić do siebie myśl o tym, co ujrzałem w jej oczach. Nie było w nich wyrazu wdzięczności, nie było wyrazu ulgi; był tylko wyraz współczucia. „Uwierz mi - powiedziała - i pozwól mi odejść. Wciąż jeszcze jestem chora".

Popatrzyłem na nią.

„Dobrze, Szemselneharo. Pozwalam".

I ostatni raz ująłem ją za rękę. Resztę, Abu al-Hasanie, znasz lepiej ode mnie.

Nad naszymi głowami falowały gałęzie wierzb; ich chłodne liście ocierały mi się o dłonie. Kalif popatrzył pod nogi, po czym przeniósł wzrok na rzekę.

- Powiem ci, że ostatniej nocy, kiedy już opuściła pałac, udałem się do jej komnaty. Na jej łożu leżała suknia, w której po raz ostatni ją widziałem. W rękawie znalazłem ukryty flakonik z trucizną.

Zacisnął dłonie, potem je rozluźnił i złożył jak do modlitwy.

- Kto sprzedał jej truciznę? Abu al-Hasanie, mówię szczerze, chciałem skazać na śmierć wszystkich aptekarzy w Mieście Pokoju. Ale uświadomiłem sobie, że zginiesz również ty, i okazałem im łaskę.

Wiatr zupełnie ucichł. Ciszę burzył jedynie szum rzeki, której fale biły w szerokie kamienne schody, u szczytu których stało krzesło kalifa. Nagle dotarło do mnie, że będę żyć, że zobaczę jeszcze swoją żonę i odwiedzę po południu córkę. Ze ujrzę jeszcze swego wnuka, Abu al-Hasana, który zawsze traktował mnie jak księcia, i wszystkich synów. Nie wiedziałem jednak, jak przekonać kalifa, że naprawdę jest moim najdroższym przyjacielem, jak przekonać, że naprawdę go kocham.

Woda biła w kamienne stopnie nadbrzeża.

- Dlaczego... - Urwałem. - Dlaczego nie kazałeś mnie zgładzić?

- Chciałem - odparł zamyślonym głosem kalif. - Wstyd mi się do tego przyznać, ale zamierzałem wydać taki rozkaz. Obok mnie stał Mesrour i tylko czekał na jedno moje słowo. - Potrząsnął głową. - Ale miałem ściśnięte gardło. Nie byłem w stanie wydać na ciebie wyroku śmierci.

Popatrzył na pustą szachownicę, a następnie, powoli, złożył dłonie na kolanach. Rzeka lśniła w porannym blasku.

Jazid milczał - ciągnął kalif - ponieważ sądził, że jest to spisek uknuty przeciwko niemu przez mnie i przez ciebie, ale to nieważne; on jest mi wierny. A Nuraddin, nie muszę o tym mówić, jest zachwycony tym, co zrobiłeś. - Kalif potrząsnął głową. - Ale to już nie twój kłopot; również nie mój. Anioł Śmierci czeka na swój ruch. A teraz odejdz. Zostaw mnie i pozwól, bym nigdy już nie oglądał twojej twarzy.

Pochyliłem głowę, lecz nie wykonałem najmniejszego ruchu. Kiedy w końcu podniosłem wzrok, zobaczyłem Haruna takim, jakim naprawdę był; samotnym, wpatrującym się w przepływającą połyskliwą toń rzeki.

- Harunie - powiedziałem. - Harunie.

Stałem jeszcze bez ruchu dłuższą chwilę. Następnie pochyliłem się w kornym pokłonie i położyłem dłoń na czole w zwyczajowym geście, kiedy Jego Wysokość wydawał rozkaz.

22

Przed kilkoma laty książę opowiedział mi pewną historię ze swego dzieciństwa.

W jego rodzinie służył niejaki Musa, dzieciak, który w służbie doszedł do wieku starczego. Nigdy nie był bystry, a z upływem czasu jego umysł stępsiał do reszty. Pewnego dnia książę rozciął lekko worek z mąką, który miał dźwigać stary Musa. Niewolnik zarzucił worek na plecy i ciężkim krokiem ruszył przed siebie. Mąka sypała mu się na plecy, wpadała za opończę, sypała się w szarawary i na sandały. Stary Musa z trudem człapał cały czas przed innymi tragarzami. Nie przyśpieszał kroku, mimo że dźwigany ciężar z każdym krokiem stawał się coraz lżejszy. Kiedy Musa dotarł do kuchni, worek był już pusty. Niewolnik wytrzeszczył oczy, po czym usiadł na podłodze. Rozejrzał się po zgromadzonych wokół niego kuchcikach, ujrzał długą smugę mąki i wybuchnął śmiechem. Książę przyglądał się temu z rozradowaniem; uważał to za swój najlepszy żart.

Jakiś czas później, całkiem przypadkowo, zawędrował do magazynów. Ujrzał, jak rządca Menaus wymierza baty Musie. Wtedy też młodziutki książę po raz pierwszy zobaczył na własne oczy batożenie człowieka. Przy każdym uderzeniu batoga twarz Musy marszczyła się z bólu, po czym przybierała wyraz całkowitej rezygnacji. Bat zostawiał na plecach starego człowieka krwawe szramy. Kiedy Menaus zakończył wymierzanie kary, podszedł do

niego księżę, a Musa szybko opuścił magazyn. Człapał przy tym tak samo jak wtedy, gdy dźwigał worek z mąką.

„Menausie, za co go zbiłeś?” - zapytał księżę.

„Za niedbałość, najszlachetniejszy panie. Roztrwonił cały worek dobrej mąki”.

Księżę wybiegł na pola. Choć starał się jak mógł, nie potrafił zapomnieć o tym, co widział. Wieczorem opowiedział o tym matce.

Pani Kadzija wrzuciła tylko obojętnie ramionami.

„Nie masz się czym przejmować - oświadczyła. - Niewolnik musi myśleć o tym, co robi”.

Po wieczornej modlitwie księżę udał się do pomieszczeń zajmowanych przez niewolników. Ich kwatery znajdowały się na tyłach posiadłości, tuż przy rozciągających się dalej polach. Ulepione z gliny domostwa przylegały ściśle do siebie. Na dachach porozkładane były maty i bawełniana odzież schnąca na słońcu. Kilka kobiet zbierało pościel na noc; inne gotowały strawę w miedzianych kociołkach i plotkowały. Mężczyźni siedzieli przy sąsiednim ognisku, popijali coś i czekali na nadejście nocy. Na zapyłonym dziedzińcu dzieci grały w kamyki.

Na widok księcia niewiasty przestały mieszać jedzenie; tym na dachach pościel wypadła z rąk. Matki uciszały dzieciarnię, przygarniając ją do siebie. Mężczyźni znieruchomieli. Po chwili niektórzy zaczęli chować czarki pod fałdy burnusów. Ten, który trzymał w rękach dzban, na próżno szukał miejsca, by go ukryć. W końcu ujął wyzywająco ucha naczynia i buńczucznie popatrzył na księcia. Dopiero kilka dni później, rozmawiając z rządcą, chłopiec zrozumiał, że niewolnicy pili wino.

Choć księciu przeszedł po plecach zimny dreszcz, śmiało postąpił do przodu.

„Gdzie jest Musa? - zapytał. - Stary Musa, który nosi do kuchni worki z mąką?"

Pośród zebranych przeszedł szmer; młoda kobieta weszła do jednej z chat. W chwilę później wyłonił się z niej zaspany Musa. Przecierał oczy. Złożył księciu niedbały ukłon; był zbyt stary, obolały i zmęczony, by czegokolwiek się bać.

Po raz pierwszy w życiu ksiązę nie potrafił wypowiedzieć słowa. Trząś się ze zdenerwowania.

„Przyszedłem przeprosić Musę - odezwał się do zgromadzonych niewolników. - To ja dzisiaj zrobiłem dziurę w worku z mąką. Musa został ukarany za mój głupi figiel".

Musa wytrzeszczył nań oczy.

„Dzisiaj - wyjaśnił ksiązę - zostałeś wychłostany za worek mąki!"

Kompletnie oszołomiony Musa potrząsnął głową.

„Proszę cię o wybaczenie. Pragnę ci to wynagrodzić".

Kiedy Musa milczał, nie ruszając się z miejsca, ksiązę podszedł do niego.

„Masz - powiedział i wcisnął w dłoń starego człowieka złotego dinara. - I jeszcze raz, proszę, wybacz mi".

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Kilka tygodni później ksiązę wrócił do kwater niewolników. Udało mu się zdobyć dzban wina. Miał nadzieję, że zasiądzie z mężczyznami przy ognisku i napije się z nimi wina. Ale niewolnicy byli jeszcze bardziej wystraszeni. Pić wino z młodym panem?! Rzecz niepojęta; i nie chodziło już tu o karę, jaką mogłaby nałożyć na nich jego matka. Ksiązę dostał pierwszą lekcję w swoim życiu, bardzo surową: na świecie istnieją miejsca, gdzie on nie jest pożądanym; miejsca, które są, bez niego, pełne radości, szczęścia i ciepła.

Od tej chwili, mimo protestów swej matki, zaczął traktować niewolników i służbę z szacunkiem. Życie, jakie dotąd prowadził, przestało mu odpowiadać.

„Gdyby nie Musa, mój panie - powiedział wtedy - nigdy bym do ciebie nie trafił”.

A zatem gdyby nie Musa - pomyślałem z zadumą - moje losy potoczyłyby się inaczej.

Po ostatnim spotkaniu z kalifem opuściłem Pałac Złotej Bramy, do którego nie miałem już wstępu. Gdy wróciłem do domu, służba spoglądała na mnie, jakbym wrócił zza grobu.

- Gdzie jest moja żona? - zapytałem. - Gdzie jest Fatima?

Służba coś tam mamrotała i w końcu Ishak pobiegł do haremu. Niebawem wrócił zdyszany.

- Panie, twoja żona poszła do twej córki, Fatimy. Oświadczyła, że nie chce czekać na twój powrót samotnie.

Kiwnąłem głową. Moja najstarsza córka nosiła imię matki. Przed laty na to właśnie nalegałem.

- Ishaku, idź do mojej córki. Powiedz mej żonie, że darowano mi życie. Niebezpieczeństwo minęło.

Ishak otworzył szeroko oczy, skłonił się i wybiegł z domu.

Służba otaczała mnie kołem.

- Jego Wysokość jest łagodny - oświadczyłem. - Jest najłagodniejszym z ludzi, jakich znam, i do głębi serca żałuję, że nie będę już mu dłużej służyć. Darował mi życie, ale nie wybaczył. - Popatrzyłem na służbę, która gapiała się na mnie rozwartymi oczyma. - To wszystko. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Wracajcie do pracy.

Po ich odejściu zostałem na dziedzińcu sam. Na czoło padały mi palące promienie słońca. Moja córka, Fatima, mieszkała w drugim końcu miasta i Ishakowi zajmie godzinę, nim tam dotrze. Drugą godzinę zajmie mojej żonie powrót do domu. Co miałem dalej robić? Zawsze miałem w życiu jakiś cel... Po chwili zastanowienia opuściłem dom. Udałem się do Zajnab, mojej córki, i jej syna, Abu al-Hasana, o którego urodzinach zapomniałem. Kiedy szedłem ulicą, ścigał mnie wzrok przechodniów, ale nie zwracałem na to uwagi.

Lęk powrócił dopiero, gdy stanąłem u bramy domu Zajnab. Co jej powiem? Co powiem jej mężowi, Fadilowi? Służba u bramy obrzuciła mnie podejrziwym wzrokiem, ale po chwili wahania otworzono wrota.

- Zaanonsujcie mnie córce - poleciłem.

Pojawiła się Zajnab, zdumiona, lecz roześmiana.

- Ojczy, panie mój! - Ucałowała mi dłoń. - Dlaczego przybywasz bez zapowiedzenia? Jaka to okazja? A gdzie moja matka? Fadil ma w tej chwili zajęcia z uczniami. Pojawi się natychmiast, kiedy skończy lekcję. Czy zostaniesz z nami na obiad?

Popatrzyłem na córkę. Ona i Fadil nie zwracali najmniejszej uwagi na to, co dzieje się w Mieście Pokoju. Byli zbyt zajęci sobą, swoimi dziećmi i muzyką Fadila. Ich służba, naturalnie, o wszystkim wiedziała - byłem o tym najświęciej przekonany - ale nikt im o niczym nie mówił.

- Zajnab, składam wam tylko wizytę. Przykro mi, że nie byłem na urodzinach Abu al-Hasana. Byłem zajęty... cóż... znasz mnie... zawsze taki byłem i taki jestem. Chciałbym go zobaczyć. Jeśli nie jest... - Nie miałem zielonego pojęcia, co dzieci robią w ciągu dnia. Ale mój wnuk chyba jeszcze nie chodził do szkoły? - jeśli, oczywiście, nie jest zajęty... - dokończyłem nieśmiało.

Na twarzy Zajnab pojawił się szeroki uśmiech.

- Ojczy, panie mój, oczywiście, że nie jest zajęty. Co za pomysł? - Wzięła mnie za rękę i poprowadziła do pokoju dziecięcego. - Zajęty! Poczekaj, jak powiem o tym matce. Doprawdy, zajęty! Śpi, ojczy. Zajęty, dobre sobie!

Roześmiałem się serdecznie. Ta wizyta okazała się łatwiejsza, niż myślałem. Dlaczego nigdy wcześniej nie odwiedzałem domu swej córki? Kiedy Zajnab wprowadzała mnie przez utkaną z niebieskich i czerwonych koralików zasłonę do dziecięcego pokoju, zrozumiałem, że darowano mi drugie, nowe życie.

Kiedy weszliśmy do izby, mój wnuk natychmiast się obudził. Długą chwilę patrzyliśmy na siebie. Dzieciak najwyraźniej nie wiedział, kim jestem.

- Witaj, Abu al-Hasanie - powiedziałem.

Dziecko wstało, podeszło do matki i chwyciło się jej nogi. Nie spuszczałem z malca wzroku. Mój wnuk był po prostu rozkoszny. Miał okrągłą buzię i jasną skórę ojca. Po matce i babce odziedziczył świetliste oczy.

Spoglądałem na dziecko i zupełnie nie wiedziałem, co mam robić.

Zajnab wzięła synka na rękę, przytuliła, pocałowała i znów postawiła na ziemi.

- Idź - zachęciła. - Idź i pocałuj swego dziadka w rękę. On jest dla mnie tym, kim twój tata dla ciebie. No, idź, pocałuj go w rękę i powiedz: „mój panie”.

- O nie, Zajnab - zaprotestowałem. - Nie jestem panem. Jestem dziadkiem.

- Powiedz: „witaj, dziadku” - rzekła z uśmiechem moja córka.

Abu al-Hasan zakrył buzię skrajem matczynej szaty i wymamrotał cicho:

- Witaj, dziadku.

Roześmiałem się.

- Bardzo dobrze - pochwaliła Zajnab. - A teraz podejdź do niego.

Sądząc, że to pomoże, uklęknąłem, tak jak to często robiłem przy piecu, i wyciągnąłem ramiona. Mój wnuk cały czas zasłaniał się szatą Zajnab. Klęczałem i wyciągałem przed siebie ręce. Czułem się głupio i zapewne tak samo wyglądałem, ale niewiele mnie to obchodziło. Skoro całe życie spędziłem, klęcząc przed piecami, dlaczego nie miałbym spędzić popołudnia, klęcząc przed własnym wnukiem?

- No, idź - namawiała synka Zajnab. - Zapomniałeś, jak się chodzi? Chcesz, by dziadek pomyślał, że taki duży chłopczyk nie umie chodzić?

Dziecko przez chwilę jeszcze trwało w bezruchu, po czym podeszło do mnie, musnęło palcami moje wyciągnięte dłonie i szybko się odwróciło. Najwyraźniej chciało uciec do matki, lecz w połowie drogi zatrzymało się i wybuchnęło płaczem. Zajnab wzięła synka na ręce i zaczęła go uspokajać. Abu al-Hasan darł się jeszcze chwilę, po czym nagle ucichł i uśmiechnął się do matki.

Byłem zadziwiony. Nigdy nie słyszałem płaczu żadnego ze swoich dzieci; ilekroć byłem w pobliżu, Fatima surowo im tego zabraniała. Czy wszystkie dzieci przestają płakać tak nagle? Ale podejrzewałem, że była to wyjątkowa cecha jedynie mojego wnuka, który potrafił tak nagle wstrzymać płacz.

- Zajnab, w co najbardziej się lubi bawić? - zapytałem. - Bo lubi się bawić, prawda?

Pokazała mi stos ulubionych zabawek swego synka. Wybrałem drewniane klocki. Były w różnych kolorach i w pewien sposób kojarzyły mi się z alchemią, która w gruncie rzeczy jest sztuką wielu kombinacji. Usiadłem z dzieckiem na podłodze i zaczęliśmy się bawić. Niech nikt nie myśli, że zabawa z dzieckiem jest rzeczą łatwą. Kiedy Abu al-Hasan budował z klocków domy, stawiał mury, jedne klocki nazywał owcami, inne wielbłądami, musiałem mu pomagać. Lecz kiedy pomagałem za bardzo, wpadał w złość.

Kończyliśmy właśnie budować zagrodę dla owiec, kiedy do domu wrócił Fadil. Oczy miał zasłonięte białą szarfą. Uśmiechnął się, kiedy synek na powitanie objął go za nogę, a jego uśmiech jeszcze się pogłębił, gdy Zajnab oznajmiła, że odwiedziłem ich dom.

- To wspaniale, ojcze, partie mój. Wielki to dla nas zaszczyt.

Podniosłem się z podłogi i podałem mu dłoń do ucałowania. Ów prosty przecież gest nabierał z Fadilem cech prawdziwej ceremonii. Najpierw, macając powietrze, poszukiwał mej dłoni, później chwilę ją wyczuwał i dopiero wtedy przykladał do niej usta.

- Ojcze, panie mój, czy zostaniesz u nas na obiedzie? - zapytał.

- Naturalnie, Fadilu.

- To dobrze, to bardzo dobrze. Naprawdę wyświadczasz nam wielki honor.

I znów się uśmiechnął.

Podczas wielkich świąt Fadil bywał w moim domu, lecz z jakichś dziwnych powodów dopiero tego dnia spostrzegłem, jak bardzo się zmienił. Nie był już tamtym szczupłym chłopcem, w którym zakochała się moja córka; zmienił się w zamożnego, zażywnego mężczyznę, najwyraźniej zadowolonego z życia, z kilkoma siwymi włosami w brodzie. Chętnie się uśmiechał, a uśmiech miał wesoły, serdeczny i życzliwy, jakby wiedział, że powiodło mu się w życiu, choć nie do końca był pewien, dlaczego taki los spotkał właśnie jego.

Fadil macał chwilę powietrze, aż natrafił dłonią na ramię synka.

- A zatem, ojcze, bawiłeś się z tym małym małpiszkiem?

Uniósł syna wysoko w górę. Dzieciak zapiszczał z uciechy.

Kiedy postawił malca na ziemi, Zajnab wzięła chłopca na ręce.

- Chodźmy, Abu al-Hasanie - powiedziała - Twoi rodzice zjedzą dziś obiad z twoim dziadkiem.

Na twarzy chłopca pojawił się wyraz ogromnego zdziwienia; najwyraźniej był przyzwyczajony jadać tylko z rodzicami. Ale nie protestował i bardzo uprzejmie się ze mną pożegnał.

Fadil wyciągnął ręce, aż trafił na moje ramię.

- Poprowadź mnie, ojcze, panie mój. Jadamy w innym pokoju.

Choć ślepy, doskonale znał rozkład domu i sprawnie wskazywał mi drogę, gdy szliśmy przez ogród do niewielkiego, lecz przytulnego pokoju wyłożonego dywanami i prostymi poduszkami.

- Panie mój, czy masz nam coś ciekawego do powiedzenia? - zapytał.

Zmarszczyłem brwi.

- Chyba mam - odparłem po chwili. - Ale chciałbym poczekać z tym na powrót mojej córki.

Fadil uśmiechnął się i skinął głową.

- Doskonale - odparł krótko i obaj pogrzeżyliśmy się w błogim milczeniu.

Uświadomiłem sobie nagle, że Fadil i Zajnab bardzo mnie szanują. Miałem tylko nadzieję, że nadal będą mnie szanować, kiedy opowiem im, co się naprawdę wydarzyło. Fadil, mój zięć, który ostatnio rzadko występował na scenie, a już nigdy na dworze kalifa, nie powinien nabrać do mnie odrazy. Zresztą większość czasu spędzał w domu, grając tylko dla siebie i swojej żony.

Pojawiła się Zajnab z dzbanem wody i miską. Obaj z Fadi-lem obmyliśmy ręce. Zauważyłem, że moja córka również bardzo się zmieniła. Stała się trochę zbyt pulchna, a jej długie czarne włosy nie były już tak bujne jak kiedyś. Zaznała w życiu szczęścia, co czyniło ją młodszą, niż naprawdę była, a drobne zmarszczki wokół oczu i ust tylko dodawały jej uroku. Wytarłem dło-

nie w ręcznik, który mi podała. Byłem zdumiony, że mam taką córkę. Wprost nie mieściło mi się w głowie, że postawiłem wszystko na jedną kartę, ryzykując utratę takich obiadów. Nie wiedziałem, co mam.

Służący wniósł tace z jedzeniem. Zajnab najpierw obsłużyła mnie, potem zajęła się mężem. Ujęła go za dłoń i wodząc nią po poszczególnych półmisek, mówiła, co się na nich znajduje. Jego wrażliwe palce muzyka wędrowały po potrawach, a na ustach pojawiał się szeroki uśmiech, ilekroć rozpoznawał danie. Zajnab własną ręką włożyła mu do ust kilka kęsów, po czym Fadil zaczął jeść samodzielnie. Jadł z wielkim apetytem i przyjemnością, wychwalając żonę przy każdej kolejnej potrawie.

- Ojczy, panie mój, czyż to jagnię nie jest wyśmienite? - zwracał się do mnie. - Czy oddałbyś mi rękę swej córki, gdybyś wiedział, jak wspaniale gotuje? Gdybym był hazardzistą, postawiłbym wszystko na to, że nie.

Kiedy skończyliśmy jeść, Zajnab wytarła mężowi serwetką palce i usta, a on ujął jej dłoń i serdecznie ucałował. Zajnab zachichotała, cofnęła dłoń i popatrzyła na mnie.

Tak bardzo chciałem, żeby była z nami Fatima. Następnym razem - pomyślałem. Jakie to wspaniałe uczucie, że mogę powiedzieć sobie: „następnym razem”, wiedząc, że to się na pewno wydarzy.

Zajnab zaczęła zbierać naczynia, ale Fadil położył jej dłoń na ramieniu.

- Ojciec ma dla nas jakieś nowiny - przypomniał.

Zajnab ponownie usiadła.

- Nie wiem, od czego zacząć - powiedziałem i schyliłem głowę. - Dziwię się, że nie dotarły do was żadne plotki.

Uniosłem głowę. Na ich twarzach malowała się jedynie ciekawość. Fadil, wyczuwając w moim głosie osobliwe tony, spoważniał. Nasunęła mi się refleksja, że myślałem wyłącznie o sobie. A co z kalifem? Straciłem przyjaciela, lecz wciąż miałem Fatimę, wciąż miałem Zajnab i Fadila. Harun został

sam... z Mesrourem, Jazidem i dwójką synów, którzy zamierzali wzajemnie się wymordować, kiedy tylko umrze ich ojciec.

Ale czy kalif kiedykolwiek pozwolił mi, bym mu to wytłumaczył? Zamknąłem oczy. To ja przyłożyłem rękę do upokorzenia go na oczach całego imperium. A jednak wybaczył mi tę obelgę. Postanowiłem, że do końca życia będę ubierać się na biało. Wcześniej czy później kalif się o tym dowie. Zrozumie, co to znaczy.

- Dopuszciliem się zdrady względem Jego Wysokości - powiedziałem cicho.

Zajnab popatrzyła na mnie ze zdumieniem. Fadil tylko ściągnął usta.

- Darował mi życie, ale nigdy już nie stanę przed jego obliczem.

Zapadło głucho milczenie. Przerwał je dopiero Fadil.

- Ale jak... w jaki sposób go zdradziłeś, ojcze, panie mój?

- Pomogłem Szemselneharze uciec z perskim księciem Abu al-Hasanem Alim. Odjechali zeszłej nocy. A miłosierny kalif na to pozwolił.

Zajnab wciąż spoglądała na mnie osłupiałym wzrokiem, Fadil tylko kiwał głową. Ale co się wydarzyło naprawdę? Nie wiedziałem, jak im to wytłumaczyć.

- Ale dlaczego, panie? - spytał Fadil.

- Sam dobrze nie wiem. To tak, jakbym upił się winem. Zrobiłem, co musiałem. - Umilkłem. - Wciąż wprawia mnie to w zmieszanie. Dzisiejszego ranka, tuż przed moim pojawieniem się u was, widziałem się z Jego Wysokością. Spodziewałem się śmierci.

- To dla nas honor i zaszczyt, ojcze, panie nasz, że w takiej chwili przyszedłeś właśnie tutaj - odezwał się Fadil. - Mamy nadzieję, że teraz będziesz już częściej nas odwiedzał.

Zajnab popatrzyła na męża, ujęła jego dłoń i czule ją uścisnęła. Po chwili wahania wyciągnęła rękę nad pustymi talerzami i uścisnęła również moją dłoń.

Uśmiechnąłem się.

- Dziękuję ci, córko. I tobie, synu. - Wstałem. - Muszę iść. Fatima zapewne wróciła już do domu. Ale obiecuję, że następnym razem wszystko wam lepiej wytłumaczę.

Fadil również podniósł się z miejsca.

- Ojczy, panie mój, przyjdź dziś do nas na kolację. I przyprowadź moją cudowną teściową. Nigdy dość waszego towarzystwa.

- Dobrze - odparłem. - Dobrze. Może przyjdziemy.

Wracałem do siebie, nie zwracając uwagi na gapiących się na mnie przechodniów.

Mojej żony nie było jeszcze w domu. Wszedłem do biblioteki; panował w niej półmrok i chłód. Co się naprawdę wydarzyło? Chciałbym o wszystkim opowiedzieć Fadilowi, Zajnab i Fatimie. Pewnego dnia zechce też poznać prawdę mój wnuk, Abu al-Hasan. Nie powinien znać jedynie plotek, które z upływem czasu narastają, tworząc w końcu legendę, całkowicie wypaczając prawdę. Ale bardziej niż wnukowi, bardziej niż żonie i własnym dzieciom pragnąłem opowiedzieć całą historię Harunowi. Gdybym tylko zdołał go przekonać, jak bardzo, mimo zdrady, jakiej się wobec niego dopuściłem, zależało mi na nim, jak bardzo go kochałem! A później, po śmierci, chciałbym z nadzieją przekroczyć most dzielący mnie od pośmiertnego życia. Zapewne istnieje tam miejsce, tuż przed złocistymi bramami Raju, gdzie wraz z innymi grzesznikami, którzy zrobili w życiu niewiele dobrego, czekałbym na Sąd Ostateczny.

„Nie byłem w stanie wydać na ciebie wyroku śmierci” - powiedział kalif. Kiedy spiszę moją historię, z pewnością ją przeczyta. Nigdy mi nie wybaczy,

w każdym razie publicznie... ale kto wie? Być może któregoś dnia do mego domu zawita tajemniczy, zakapturzony kupiec. Poprosi o jakieś medykamenty lub po prostu o gošcinę, ale bez wątpienia w pewnej chwili zapyta, czy lubię grać w szachy. Mam taką nadzieję.

Ale nim zacząłem spisywać swe dzieje, musiałem zrobić inną rzecz. Przeszedłem do pracowni. Stałem pośród pieców, palenisk i kotłów destylacyjnych, błyszczących wag i butelek. Wezwałem Ishaka.

- Nanieś dużo węgla i drewna - poleciłem.

Rozpaliłem ogień w największym piecu. W czerwonym blasku rozpalonych głowni moja twarz również nabrała czerwonej barwy, aż zaczęły mi się przypalać końce brody.

- Przynieś wszystkie zlewki i szklane słoje - poleciłem Ishakowi.

W miarę jak przynosił naczynia, wrzuciałem je do ognia.

- Teraz ubrania i cedzidła, zarówno te do włosów, jak i do jedwabiu - dyrygowałem. - Wszystkie wagi, zarówno te wykonane z miedzi, jak i ze srebra, dwu- i pięcioelementowe.

Moje drogocenne przyrządy topiły się jak masło, zamieniając się w bezkształtną masę.

- Przynieś wszystkie chłodnice - poleciłem. - Przynieś koksowniki, szczypce, nożyce i młotki.

Przynosił wszystko, a ja wrzuciałem to w ogień: proszki i likwory, słoje z siarką i rtęcią, flaszki z grynszpanem, cynobrem, salmiakiem, arsenikiem, gołębim łajnem, witriolem, wielbłądzim szpikiem... Ciskałem w ogień słoje i rondle, moździerze i tłuczki, odważniki, sole i srebro.

Patrzyłem, jak moje drogocenne instrumenty zamieniają się w płynną masę metalu, patrzyłem, jak w wysokiej temperaturze paruje rtęć. A Ishak znosił i znosił coraz to inne przedmioty.

- Więcej sło! - wołałem. - Więcej metali, narzędzi i proszków! Bierz wszystko, co się spali, a resztę tłucz i łam!

Nawet nie wiedziałem, co mi podaje. Wszystko ciskałem w ogień, nie spuszczać wzroku z płomieni. Czułem zawroty głowy, w gorącu bijącym z pieca łzawiły mi oczy.

Choć nie odwracałem wzroku od paleniska, wyczułem, że do pracowni weszła moja żona. Zacisnąłem powieki. Nie mając księcia, kalifa i alchemii, cóż pozostawało mi w życiu poza nią i naszymi dziećmi?

Dałem dwa kroki do tyłu i otworzyłem oczy. Z tej odległości płomienie już tak nie raziły.

- Ishaku - powiedziałem. - Razem z Tarikiem wynajmijcie tragarzy i wszystko, co tu zostało, wrzucicie do rzeki.

Odwróciłem się. W pracowni zgromadziła się cała służba, nawet kucharki. Pośród nich stała moja żona.

Spoglądała na mnie błyszczącymi oczyma. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, ale po pięćdziesięciu latach wspólnego życia zbyt dobrze znałem Fatimę. Rozumiała, co się wydarzyło, i była szczęśliwa, że żyję. Wstrząsnął mną wewnętrzny szloch. Całe życie byłem samolubny i zapatrzony jedynie we własne cele. Co takiego zrobiłem, iż w tej chwili ogarnęła ją radość, że żyję? Co zrobiłem, że wciąż mnie kocha? A przecież była tu, była w mojej pracowni. Jeśli istnieje Bóg, z całą pewnością jest najlitościwszy.

Otarłem z czoła krople potu.

- Fatimo - powiedziałem. - Odwiedziłem dziś Zajnab i Fadila. Zaprośili mnie na kolację. Czy pójdziesz ze mną?

Nasze oczy spotkały się. Choć twarz miała poważną, w jej oczach zalśniły wesole iskierki.

- Idź sam - odparła. - Idź do swojej córki i wnuka. Pójdę z tobą następnym razem, ale dzisiejszy wieczór chcę spędzić tutaj... - Jej oczy jeszcze bar-

dziej rozbłysły, na twarzy pojawił się cień uśmiechu. - Zostanę tu, Abu al-Hasanie.

„Abu al-Hasanie”. Od blisko pięćdziesięciu lat nie odezwała się do mnie po imieniu. Pochyliłem głowę, nie mogąc powstrzymać uśmiechu: głupkowskiego, dziecięcego wręcz.

- Dziękuję, Fatimo - odrzekłem. - Dziękuję. Ale co z moim drugim imieniem, które nadała mi matka?

Na twarzy Fatimy pojawił się złośliwy uśmieszek.

- Może później, Abu al-Hasanie, może później. Ale poślubiłam Abu al-Hasana.

Miała rację, tak samo jak we wszystkim innym. Chwilę jeszcze spoglądała mi prosto w oczy. Odwróciła się i wyszła z pracowni, gestem ręki dając znak służbie, by powróciła do swych zajęć. Niebawem i ja opuściłem pracownię. Ruszyłem ulicami Miasta Pokoju do swej córki i jej syna, który nosił po mnie imię Abu al-Hasan.

Nota autora

Kalif Harun ar-Raszid (Sprawiedliwy) panował w latach 786-809 n.e. (164-187 według kalendarza islamskiego). Akcja mojej powieści rozgrywa się pod koniec jego panowania, kilka lat po tym, jak kazał ściąć Dżafara Barmakidę. Pewnego razu siostra Haruna zapytała go, dlaczego skazał na śmierć swego najbliższego przyjaciela i doradcę. „Moje dziecko, moje życie, moja radości - odparł kalif. - Dlaczego pytasz o powód? Gdyby moje prawe ramię знаło ten powód, obciąłbym sobie prawą rękę”.

Wiersz, który przypisuję Abu Nuwasowi, jest naprawdę jego autorstwa - wielkiego poety, pijaka, kochanka i faworyta Haruna ar-Raszida. Cytat, który przypisałem Abu Nuwasowi: „*tylko pijacy rozumieją mowę róży*”, tak naprawdę pochodzi od poety Omara Chajjama, który żył kilka wieków później. Proszę czytelników o wybaczenie mi tego anachronizmu. Ale rzeczy już tak się mają, jak powiedziałyby Abu Nuwas.

Formuły medyczne i alchemiczne są dostępne we wszystkich średnio-wiecznych księgach arabskich i przypisywanie ich przez Abu al-Hasana Dżabirowi czy al-Siddakowi jest trafne w takim stopniu, w jakim pozwala na to mroczny świat alchemii. Święta Księga to naturalnie Koran, z którego pochodzą cytaty.

Wszelkie kontrowersje i spory religijne zawarte w tej powieści mają swe odbicie historyczne, choć niektóre wydarzenia miały miejsce już po śmierci Haruna ar-Raszida.

Abu al-Hasan, książę i Szemselnehara są już tylko moim wymysłem. Inspiracją do napisania tej powieści była opowieść z *Księgi tysiąca i jednej nocy*, zatytułowana *L'histoire des amours d'Aboulhassan*, w tłumaczeniu Antoinette'a Gallanda^{*44}. Podobieństwa mojej opowieści do tej baśni sprowadzają się

⁴⁴ *A. Galland w XVIII w. pierwszy przełożył *Księgę tysiąca i jednej nocy*. Sam tłumacz dopisywał nowe baśnie, i ta zapewne jest jego autorstwa

jedynie do imion i postaci oraz częściowo samej intrygi. Uczta u Dżafara i pewne szczegóły dotyczące królowej Zubejdy również nie są faktami historycznymi. Napisałem je, inspirowany innymi opowieściami z Księgi tysiąca i jednej nocy.

Miasto Pokoju założono w 752 roku, wkrótce po zakończeniu wojny domowej, podczas której tak bardzo ucierpiał młodzieńcy Abu al-Hasan. W dziewiątym wieku, kiedy największe miasta w Europie liczyły najwyżej czterdzieści tysięcy mieszkańców, Miasto Pokoju zamieszkiwało ponad milion ludzi. Już w tamtych czasach wiele osób zaczynało nazywać miasto Bagdadem.

Odtworzyłem je na podstawie zachowanych dokumentów historycznych, choć pozwoliłem sobie na kilka nieścisłości. Na przykład stojący w centrum miasta pałac, zwany Pałacem Zielonej Kopuły lub Pałacem Złotej Bramy, istniał w czasach Haruna, ale sam kalif mieszkał w innym pałacu, położonym poza murami miasta. W mojej powieści występuje kilka innych drobnych niedokładności, ale sądzę, że udało mi się oddać ducha czasów, a w każdym razie klimat miasta z punktu widzenia klas uprzywilejowanych.

Imperium Haruna ar-Raszida rozciągało się od Afganistanu po Hiszpanię, gdzie panowała rywalizująca z Abbasydami dynastia muzułmańska. Po śmierci kalifa jego synowie wszczęli wojnę domową. Bagdad nigdy już nie powrócił do świetności z czasów Haruna. Ale miasto to przeszło do legendy; w nim właśnie bazarze umieścili dzinny i latające dywany, czarodziejskie lampy, podziemne skarby i urodzonych pod nieszczęśliwą gwiazdą kochanków. Podobnie jak książę i Szemselnehara, Abu al-Hasan i Fatima kochankowie ci zazwyczaj byli ze sobą mniej lub bardziej szczęśliwi.